

JOANNA CHMIELEWSKA

AUTOBIOGRAFIA

tom I

Dzieciństwo

Postanowiłam napisać autobiografię.

Zdaję sobie sprawę, że autobiografię należy pisać przed samą śmiercią, ale skąd, na litość boską, mam wiedzieć, kiedy umrę? Egzystencja, jaką wiodę obecnie, bardzo energicznie pcha mnie w kierunku grobu, i to różnymi drogami. Różne inne osoby, w mojej sytuacji, mieszkały w willach, względnie wygodnych apartamentach z domkiem letniskowym na Mazurach czy gdzieś tam, może nad Lemanem, ale to przecież nie ja! Już w odległym dzieciństwie Cyganka przepowiedziała mi, że nigdy nie będę bogata, i ta klątwa spełnia się skrupulatnie, żeby ją piorun strzelił. Pomijając obowiązki rodzinne, nie ulega kwestii, że dobijają mnie schody, na wszelki wypadek zatem wolę załatwić rzecz już teraz.

Zasadnicze przyczyny tej krew w żyłach mrożącej decyzji są dwie.

Primo: pytania p.t. Czytelników, docierające do mnie ustnie i na piśmie w ilościach przekraczających ludzką miarę, w związku z czym, nie widząc innego wyjścia, zamierzam odpowiedzieć na nie hurtem.

Secundo: nie daj Boże, po opuszczeniu przeze mnie tego padołu, komuś mogłoby wpaść do głowy napisanie mojej biografii i na tamtym świecie dowiedziałabym się, co autor myślał, od czego mógłby mnie szlag trafić.

Autobiografia będzie uczciwa. Mogę sobie na to pozwolić z tej racji, że nie mam za sobą przestępstw, które należy ukryć po wieki wieków, amen. Kompromitacji owszem, dosyć dużo, ale i tak nie stanowią one tajemnicy, więc co mi zależy. Zamierzam napisać samą prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, chociaż wiem doskonale, że i tak mi nikt nie uwierzy. Jeśli z konieczności będę musiała coś zełgać, względnie pominąć, uprzedzę o tym jak człowiek, a nie jak świnia.

Konieczność zełgania może się pojawić w wypadku, jeśli tak zwane osoby towarzyszące jeszcze żyją i brakuje im nieco poczucia humoru. Do sądu mnie wprawdzie nie zaskarżą, ale mogą zatruć życie. Takich osób towarzyszących, ogólnie biorąc, jest dosyć dużo, nie chowałam się bowiem na pustyni, ani też w dzikiej puszczy, tylko między ludźmi i wszyscy wiedzą, co to znaczy. Gdyby ktoś zdecydował się wytoczyć mi sprawę sądową, byłabym zachwycona, ale nadziei na to wielkich nie mam, bo wrogowie nie zrobią mi tej przyjemności, a przyjaciele zapewne nie znajdą powodu. Chała zatem i na dodatkowe atrakcje nie ma co liczyć. Chociaż, czy ja wiem, może...?

No dobrze, o rany, zaraz zacznę, uważam jednak, że tych wstępnych wyjaśnień powinnam udzielić. Ostrzegam, że utwór będzie ponury. Także niemoralny

pod nietypowymi względami. Duża część społeczeństwa przestanie ze mną rozmawiać, wola boska. Szczerze mówiąc, najbardziej się boję własnych dzieci...

Faktem jest, że moja prababcia uciekła od swojej ciotki, hrabiny Ledóchowskiej. w celu poślubienia mojego pradziadka, wywodzącego się z gorszej sfery. Sama nazywała się Szpitalewska. Podobno, informacje te nie zostały przeze mnie sprawdzone, istniały trzy siostry, po mężach Szpitalewska, Ledóchowska i Chmielewska, i od córki Szpitalewskiej w prostej linii pochodzę.

Podobno ktoś się wywodził z Ukrainy, ale nie udało mi się dotychczas stwierdzić, kto, prababcia czy pradziadek. Może obydwójce, ale to chyba niemożliwe, bo pradziadek rzeczywiście miał po przodkach posiadłość w Tończy, raczej od Ukrainy odległej, więc może prababcia. Czarna była, to nie ulega wątpliwości, miała krucze włosy i czarne oczy, z pokolenia na pokolenie przechodzące aż do mojej starszej wnuczki. Heleny Kurcewiczówny pod innymi względami nie przypominała, wzrostem się od niej różniła i posturą, aczkolwiek także była urodziwa. Jednostki, które znały ją osobiście, prababcie, nie Helenę, twierdzą, iż miała mnóstwo uroku, wdzięku, bystrości i poczucia humoru. Nikt nie neguje, jakoby miała również zły charakter i możliwe, że tę ostatnią cechę po niej właśnie odziedziczyłam.

Z drugiej znów strony pradziadek nazywał się Wojtyra, Banderę to jakoby nieco przypomina, zaznaczam, że wyłącznie brzmieniem, więc już w końcu sama nie wiem. Szpitalewski na Ukrainie, a Wojtyra na Mazowszu...? Coś mi nie gra.

Wracając do prababci, cała historia, opisana w Studniach przodków, jest prawdziwa. Nie, przepraszam, nie cała, żadnych spadków nie było, a jeśli były, ja nie o tym nie wiem. Natomiast istotnie, jeśli można wierzyć opowieściom rodzinnym, zaślubiona pradziadkowi prababcia obraziła się śmiertelnie na widok posiadłości i odpracowała drugą ucieczkę. z domu męża do domu mamusi, bo nowe włości nie przypadły jej do gustu. Mamusia prababci była twarda, chyba te wszystkie baby w mojej rodzinie od pokoleń miały zły charakter, i rzeczywiście odwiozła ją do Tończy z powrotem, rzekłszy owe pamiętne słowa: „Jakoś z nim uciekła, to teraz z nim żyj!” Podobno odwiozła ją karetą, ale za to głowy nie dam. Pewne jest, że nie pojazdem mechanicznym.

Dalszy ciąg był już oglądany przez naocznych świadków, moją babkę, moją matkę i moje ciotki. Prababcia, w ramach buntu, gospodarstwa domowego nie tknęła, zajęła się ogrodem i miała do niego szczęśliwą rękę, po tym ogrodzie zaś naprawdę

chodziła w czarnej powłóczystej sukni, z białymi mankietami i białym kołnierzykiem, oraz w białych rękawiczkach. Rosło jej wszystko jak dżungla po deszczu i faktem jest, że ogrodnik książąt Radziwiłłów błagał ją o flance, szczepy i nasiona, bardzo możliwe, że istotnie klęcząc w pobliżu studni. Z gruszy, przez prababcie wyhodowanej, w czasach współczesnych przeszczepionej na działkę pracowniczą w Warszawie, osobiście spożywałam owoce i raz w życiu jeszcze chciałabym zjeść taką gruszkę. Już ją diabli wzięli, więc nie ma o czym mówić.

Dzieci prababcia urodziła czternaścioro, z czego wyżyło dziewięć sztuk. Szczegółów zejścia pozostałych potomków nie znam i zapewne nigdy nie poznam, ale czasy śmiertelności niemowląt sprzyjały, więc nie ma w tym nic dziwnego. Wśród dziewięciorga żywych, synów ocalało siedmiu, a córek dwie. Różnica wieku, siłą rzeczy, istniała pomiędzy nimi znaczna i spowodowało to potężny melanz rodziny. Najmłodszy syn prababci był tylko o sześć lat starszy od jej najstarszej wnuczki, w następnym pokoleniu zaś najstarsza prawnuczka urodziła się zaledwie rok po którejś kolejnej wnuczce. Mój syn jest o sześć lat starszy od swojej ciotecznej ciotki. Najstarszą prawnuczką byłam ja, a znacznie młodszych ode mnie wnuków pojawiło się w ogóle zatrzęsienie, ale nie będę się ich czepiać.

Jak na uczucia, jakie podobno prababcia żywiła do pradziadka, ilość dzieci wydaje się zdumiewająca, ale może te uczucia żywiła niekonsekwentnie. Do końca życia nie przebaczyła mu oszustwa. Kiedy uciekała od ciotki-hrabiny, bez wątpienia gorąco do tego nakłaniana, zapewnił ją jakoby, iż zmian materialnych nie dozna, stanie się panią zasobnej posiadłości i co najmniej dworu, jeśli nie pałacu, rzeczywistość zaś żywy kłam jego słowom zadała. Dóbr konno objeżdżać nie było potrzeby, bez trudu dawały się obejść na piechotę, może nawet kulejąc, budowla mieszkalna zaś składała się z izb czterech, trzech pokoi i jednej kuchni. Możliwe w dodatku, że jeden pokój był zwyczajnym alkierzem, a wszystko razem na miano pałacu nie zasługiwało w najmniejszym stopniu.

Prababcia, przy licznych zaletach, musiała być zawzięta, bo w chwili śmierci pradziadka dała wyraz niezadowoleniu. Ogłosiła mianowicie pogląd, iż przedwczesne opuszczanie przezeń tego padołu jest karą boską za to, że ją tak oszukał, przy czym ogłosiła to w słowach, których elementarny takt nie pozwala mi powtórzyć. Nie było mnie przy tym zresztą i może rodzina coś przekreśliła.

Wszystkie dzieci prababci pozawierały związki małżeńskie, w stanie bezzennym nie pozostało żadne, z domu rodzinnego zaś wynosiły się sukcesywnie,

zdobywając rozmaite zawody. Kiedy wyniosła się starsza z dwóch córek, pojęcia nie mam. obito mi się tylko o uszy, że pracowała w Warszawie w aptece. Była to moja babcia. W tej Warszawie też chyba poznała Franciszka Knopackiego, mojego dziadka.

Knopaccy wywodzili się z Woli Szydłowieckiej i tkwią tam nadal. Na gospodarstwie pozostał brat mojego dziadka, dziadek zaś w bardzo młodym wieku przeniósł się do miasta i ożenił z babcią. Był człowiekiem anielskiego serca i łagodnego charakteru, babcia zatem, nieodrodna 'Córka swojej matki, mogła mu ciosać kołki na głowie w ilościach dowolnych. Zamieszkali na Młynarskiej, ale czasy to były dość skomplikowane, dziadek wdał się w ruchy wyzwoleńcze, kamieni z łódzkiego bruku wprawdzie nie wrywał, władzom carskim jednakże zdołał się narazić, po czym za karę został zesłany do zaboru austriackiego, dokąd babcia za nim pojechała. Szczęście, że nie na Sybir. Na Sybir udała się jej młodsza siostra.

Była to historia wspomiana i opowiadana w rodzinie przez całe lata. W ostatniej chwili babcia dowiedziała się, że po schodach idą właśnie carscy żandarmi, a dziadek już siedzi. Nic nie zdążyła zrobić, ale zachowała przytomność umysłu. Okazując władzy wielką uprzejmość, podsunęła stołek pod tyłek kapitanowi, czy też sierżantowi, szarża faceta jakoś zawsze była pomijana, może nosił po prostu miano przodownika, sierżant-kapitan-przodownik był gruby i nieruchawy, chętnie usiadł i ze stołka kierował rewizją, babcia zaś modliła się gorączkowo, żeby nie wpadło mu do łba przesunąć ów stołek na inne miejsce. Ciężar mebla zainteresowałby go bez wątplenia. Stołek miał podnoszony blat, wewnątrz głęboką skrytkę, a w skrytce znajdowała się cała broń, przechowywana przez dziadka. Modlitwy zostały wysłuchane, sierżant-kapitan-przodownik całą rewizję przesiedział, nie wykazując żadnych głupich chęci, nigdzie więcej nic nie było, dziadka zatem zesłano nie na Sybir, tylko do Trzebini. W tej Trzebini w dwa miesiące później urodziła się moja matka.

Zesłanie trwało krótko, po dwóch latach mogli już chyba wrócić, bo druga córka babci, Lucyna, urodziła się w Warszawie. Dziadek musiał znajdować się na wolności i przy jej boku, bo słyszałem mnóstwo gadania, jak to babcia we wszystkich istotnych chwilach życiowych rozpoczynała pranie, po czym dziadek to pranie wykańczał, ona bowiem leżała w połogu. Nie wykańczał go przecież w turmie. Faktem jest, że moja babcia do prania żywiła nieopanowaną namiętność i faktem jest, że przy praniu zastała ją pierwsza wojna światowa, druga wojna światowa i powstanie

warszawskie.

Razem wzięwszy, babcia urodziła czworo dzieci, trzy córki i syna, ale syn zmarł w niemowlęctwie, czego odżałować nie mogła, bo z całej siły, z całej duszy i z całego serca chciała mieć chłopca. Trzy córki to była moja matka i dwie ciotki, Lucyna i Teresa. Przyczyniały jej zgryzot i zatrwały życie, o czym posiadam już informacje dokładniejsze.

Babcia była jednostką ogromnie czynną i ruchliwą, pełną energii, w domu kamieniem nie siedziała, wychodziła, robiła zakupy, spotykała się z ludźmi, możliwe, że sytuacja życiowa zmuszała ją do zwiększonej aktywności. Po powrocie zastawała sceny krew w żyłach mrozące. Raz znalazła najstarszą córkę w pokoju z woreczkiem mąki, z którego dziecko wydobywało biały pył garściami, siało z zapalem wokół siebie i mówiło: „Sip, sip, sip!” Raz, wchodząc na podwórze, ujrzała tę że córkę, siedzącą na oknie z nogami przewieszonymi na zewnątrz, a okno znajdowało się na czwartym piętrze. W pięćdziesiąt lat później jeszcze babci brakowało tchu, kiedy mi o tym opowiadała. Na palcach, skradając się pod murem, żeby broń Boże dziecko jej nie zobaczyło, przeszła do klatki schodowej, siła nadziemska wniosła ją na czwarte piętro, drzwi otwierała bezszelestnie, przez mieszkanie przepłynęła prawie nie oddychając, wciąż w obawie, że bachor usłyszy, odwróci się, uczyni nieostrożny ruch i polecą na dół. Dotarła do córeczki, złapała ją, wciągnęła do mieszkania i-sprawiła jej rzetelne lanie. Raz zastała swoją starszą córkę, jak łyżką próbowała wydłubać oczy córce średniej i też jej ten widok nie zachwyił. Wnioskując z opowiadań, z początku najgorsza była moja matka, potem jednak młodsze siostry również zaczęły wykazywać inicjatywę.

Wszystkie trzy już były na świecie, kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, dziadek poszedł w żołdacy, a babcia usiłowała jakoś potomstwo wyżywić. Jeździła po prowiant na wieś i przywoziła produkty bezcenne. Wykorzystując jej nieobecność, córki dokonały transakcji wymiennej, mianowicie oddały sąsiadce dwa kilo słoniny za dwa kilo cebuli, a inicjatorką tego handlu podobno była Lucyna. Lucyna też uszczęśliwiła babcie komunikatem specjalnym.

Piętro niżej mieszkała baba, która gromadziła obierki od kartofli w sobie znanych celach. Może miała zaprzyjaźnioną krowę. O magazynie żywnościowym rychło zwiedziały się karaluchy, a babcia maniacko nie znosiła insektów i pilnowała higieny. Sąsiadka po długim czasie wygarnęła swoje zapasy i żyjątko rozlaży się po budynku. Trzeba trafu, że u babci akurat byli goście, rodzina i osoby obce, średnia

córka wkroczyła do pokoju w środku przyjęcia i rzekła głośno i z zachwytem:

- Mamusiu! Jakie zatrzęsienie karaluchów w kuchni!

Lanie dostała moja matka, bo, jako najstarsza, obowiązana była pilnować siostrzyczki, żeby nie robiła głupot. Teresa, najmłodsza, mazała się i skarżyła, za co w charakterze kary boskiej spotykały ją kompromitacje. Została wysłana po naftę. Zajęta czymś tam, jak normalne dziecko, najpierw protestowała, potem uległa, chwyciła spod stołka bańkę i popędziła do sklepu. Zaabsorbowana swoimi sprawami, po drodze tą bańką machała. Wkroczyła do sklepu, z rozmachem postawiła ją na ladzie i wówczas okazało się, iż nie jest to bańka na naftę, tylko nocnik. Ludzie tam byli, patrzyli i widzieli, co przeżyła to jej, bo od razu uświadomiła sobie, że widzieli ją także na ulicy, jak tym nocnikiem machała. Wróciła do domu bez nafty, a za to ze strasznym rykiem.

Skarżyła podobno namiętnie, co obie starsze siostry tępiły bez miłosierdzia, wykorzystując w tym celu chwile nieobecności babci. Od nich dostawała wycisk, czego, rzecz jasna, nie przetrzymywała w milczeniu. Raz im to źle wyszło w czasie, usłyszały, że babcia już wraca, a Teresa się darła, Lucyna zatem zatkała jej gębę ręką. Teresa zareagowała prawidłowo, ugryzła ją w tę rękę z całej siły i nie mam szczegółowych danych, co nastąpiło potem, ale mniej więcej mogę to sobie wyobrazić.

Boże Narodzenie lubiły wszystkie trzy i jak na ich potrzeby, przytrafiało się zdarzać. .o. Raz do roku, cóż to jest! Postanowiły je przyspieszyć. Babcia miała szczęśliwą rękę do kwiatów, po prababci zapewne, roślinność w domu wegetowała bujnie i między innymi rósł wielki kaktus. Przypuszczam, że była to opuncja, z rodzaju tych z potężnymi kolcami. Pasowała im jako choinka, na kolcach poprzyczepiały świeczki, zapaliły je i urządziły sobie święta. Babci musiało długo nie być w domu, bo opuncję szlag trafił definitywnie i nie udało się jej uratować.

Wszystkie córki mojej babci we właściwym czasie poszły oczywiście do szkoły. Z jakiegoś bliżej mi nie znanego powodu moja matka i Lucyna były w jednej klasie, chociaż różnica wieku pomiędzy nimi wynosiła dwa lata. Zdaje się, że to zrównanie klas nastąpiło w wyniku chorób mojej matki, dwóch szczególnie, wyrostka robaczkowego i tak zwanej hiszpanki, złośliwej grypy, szalejącej w dwudziestoleciu międzywojennym. Wyrostek robaczkowy zapewne został usunięty za późno, bo powstały infekcyjne komplikacje i moja matka po tym prostym zabiegu spędziła w szpitalu sześć tygodni. Co do grypy natomiast, umierała na nią w domu i musiała

nieźle umierać, bo babcia siedziała nad córką i już tylko płakała.

- Mamusiu - powiedziała moja matka słabym głosem - tak bym chciała jeszcze zjeść przed śmiercią kawałek arbuza...

Babcia dostała szału, popędziła na miasto, przyniosła arbuza i nastąpiła straszna chwila, bo moja matka do ust go nie wzięła. Popatrzyła tylko i już nie miała siły zjeść. Dopiero wtedy babcia wpadła w rzetelną rozpacz.

Jak łatwo zgadnąć, moja matka jednakże wyżyła. Chorowała jeszcze od czasu do czasu, ale już słabiej, zaś przy okazji jednej z chorób upiła się pierwszy raz w życiu.

Lekarz zaordynował lekarstwo, którego jednym ze składników była łyżka koniaku w filizance mleka i należało to pić cały dzień po łyżeczce. Moja matka wytrąbiła wszystko naraz, być może pod wpływem babci, która była zwolenniczką metod radykalnych, poszła do szkoły i zaczęła zdradzać jakieś dziwne objawy. Głowa jej opadała na ławkę, dostała wypieków i nauczycielka zwróciła uwagę na stan uczennicy.

- Ty jesteś chora, moje dziecko - rzekła z troską. - Musisz iść do domu. Luciu, odprowadź siostrzyczkę.

- Nie chcę - odparła zdecydowanie Lucyna, która doskonale wiedziała, co jej siostrze jest i na czym polega choroba.

Oburzenie tą nieludzkością wzbudziła ogromne i spotkała się z powszechnym potępieniem, ale nie uległa. Moja matka jakoś dotarła do domu i kropnęła się spać, a Lucyna długo jeszcze awanturowała się, że ta oślica wstyd jej przynosi.

Najpiękniejszym wydarzeniem szkolnym był „Powrót taty”. Dziewczyny w klasie mojej matki poprzekręcały sobie poemat, taka moda podobno panowała, i moja matka zapamiętała wersję przekreśloną. Została wywołana do odpowiedzi i nagle z przerażeniem uświadomiła sobie, że normalnie nie umie, umie tylko na odwrót. Milczała jak ten głaz, nauczycielka odczekała długą chwilę, po czym wyraziła najśmiertelniejsze zdumienie i oburzenie.

- Jak to? - rzekła potępiająco. - Nie umiesz „Powrotu taty”?!

Nacisk tego potępienia był tak potężny, że moja matka wpadła w desperację i wyrecytowała wersję zapamiętaną. Brzmiało to mniej więcej tak:

Dziatnęty krzyki, do przypa ojcadly, płaszczą mit się pod tul na tonie...

Dalej była *buła ogromnawa* i tym podobne perły.

Tyle jej się udało powiedzieć, na ile nauczycielkę zamurowało. Dwóję dostała

jak stąd do Ameryki, a w dodatku omal jej nie wyrzucono ze szkoły za szarganie świętości, musieli przyjść rodzice, żeby tę całą polkę odpracować.

O drobnostkach w rodzaju licznych innych chorób, uszkodzeń i szkód, o rosole, który zalał całą kuchnię, bo trzy siostry dolewały wody z kranu do garnka, o sacharynie, którą moja matka nabyła sobie w charakterze łakoci za całe pięćdziesiąt kopiejek i wszystką zeżarła ze szkodą dla zdrowia, a także o innych pomniejszych rozrywkach już nawet nie wspominam.

W sąsiednim domu mieszkał zdun, który zasłynął akcją przeciwko teściowej. Wrócił do domu na ciężkiej bani, co bez wątpienia dodało mu kurażu, krzyknął potężnie: „Kto tu rządzi, teściowa czyja?!”, po czym rozebrał piec. Krótco po tym wydarzeniu trzy siostry, nieco już starsze, poszły do kina i wróciły strasznie późno, co oczywiście było czynem wysoce nagannym. Babcia i dziadek leżeli już w łóżku. Babci widocznie nie chciało się wstawać, bo wypchnęła dziadka do skarcenia córek, które, bardzo niespokojne, siedziały w kuchni i nie wiedziały, co będzie. Dziadek w nocnym stroju pojawił się w drzwiach z groźnym marszem na czole i rozpoczął nagane słowami:

- Kto tu rządzi, ja czy wy...?

- Tylko niech tatuś kuchni nie rozbiera - powiedziała Lucyna pośpiesznie i ostrzegawczo.

Dziadek uciekł do sypialni, a wykroczenie się upiekło.

Nieco później dziadek skompromitował się zmywakiem. Zdarzało mu się niekiedy, nieczęsto, bo nadmiernej rozpusty babcia nie tolerowała, pójść na kielicha z kolegami i wrócić na lekkim rauszu. Wkradał się wówczas na palcach, usiłując nie budzić rodziny, światła nie zapalał i cichutko szedł spać. Raz wrócił, możliwe, że coś potracił, babcia otworzyła jedno oko i wyraziła dezaprobatę.

- W kuchni jest rosół w garnku - rzekła gniewnie. - Możesz sobie wziąć.

Głodny dziadek posłusznie udał się do kuchni, pomacał po garnkach, znalazł rosół, wypił, spróbował także zjeść mięso, ale jakoś mu nie dał rady. Nazajutrz babcia krzyk wielki podniosła.

- Kto mi ten zmywak tak poszarpał, co za gangrena jakaś w strzępy podarła?! - awanturowała się. - I dlaczego nie zjadłeś rosółu?! Mówiłam, że na kuchni stoi!

Dziadek w drzwiach, cichutki i pokorny, smętnie zaprzeczył.

- Jak to, przecież zjadłem. I dziwiłem się, dlaczego to mięso takie twarde...

Wypił pomyje i usiłował spożyć zmywak, rosół stał obok, na szczęście wcale

mu te produkty nie zaszkodziły. Nie jest to żadna anegdota, tylko zwyczajny fakt.

Na lato rodzina wyjeżdżała do Tończy albo do Woli Szydłowieckiej.

W Woli Szydłowieckiej znajdował się pies, imieniem Sznapek. Był to kundel dość duży, rozmiarów mniej więcej dwuletniego dziecka. Kochał nad życie mojego dziadka, który w sobotę przyjeżdżał z Warszawy na weekend do rodziny. Przez nikogo nie instruowany pies zawsze wiedział, kiedy jest sobota, znał godzinę przyjazdu pociągu i nieodmiennie czekał na peronie. Był mądry w stopniu nadprzyrodzonym, sam z siebie, z natury, i dawał tego liczne dowody.

Dwuletnia wówczas moja matka uwielbiała uciekać przed siebie przy każdej okazji i trzeba było ją gonić. Okrzyki i wezwania nie robiły na niej wrażenia, leciała na oślep i mogła sobie zrobić coś złego. Babcia miała tego całkiem dosyć, bo i czasu jej brakowało, i upodobania do sportów, chociaż wtedy jeszcze gruba nie była, za którymś razem zatem, nie mogąc dogonić rozchichotanego i rozpędzonego bachora, w nerwach krzyknęła: „Sznapek, bierz ją!” Pies z miejsca skoczył, babcia przeraziła się śmiertelnie, że uczyni dziecku krzywdę, z jękiem przeszła w galop, ale Sznapek był szybszy. Bez trudu dogonił moją matkę, popchnął ją, przewrócił na ziemię, po czym stanął nad nią, nie pozwalając się ruszyć. Zziębnięta babcia dopadła grupy i mogła już spokojnie córce przyłożyć klapsa, a psa pochwalić.

Jako następne uciekły na staw małe kaczuszki, czemu trudno się dziwić, bo uciekanie na wodę leży w kaczkiej naturze. Kaczuszki jednakże wodziła kwoka, która dostała szału, latała po brzegu, gdacząc przeraźliwie, a przy tym wieczór się zbliżał i nie było wiadomo, jak te małe zarazy do domu przypędzić. Oczywiście wystąpił Sznapek. Znowu któraś babcia krzyknęła: „Sznapek, bierz!” i pies skoczył do wody. Przypuszczam, że tym razem była to moja prababcia, właścicielka tak posiadłości, jak i kaczuszek, chociaż we wszystkich opowieściach używano określenia „babcia”, nie precyzując pokolenia. Ale na logikę wychodzi prababcia. Pies zatem skoczył do stawu, babcia-prababcia też się przeraziła i próbowała go krzykiem zawrócić, ale on był mądrzejszy. Dogonił cholerne kaczuszki i jedną po drugiej wyniósł w zębach na brzeg, nie uszkodziwszy im najmniejszego piórka.

Wierzę w to w pełni, ponieważ w siedemdziesiąt dziewięć lat później, i oczywiście w innym miejscu, na własne oczy widziałam, jak dwa psy bawiły się wielką ćmą. Dwie suki, ściśle biorąc, obie arystokratki, w tym samym wieku, siedmiomiesięczne. Jedna wilczyca, owczarek alzacki, a druga miniatura dobermana, ratlero-pinczer, najwdzięczniejsze stworzenie, jakie w życiu spotkałam. Z ciekawości

poszłam zobaczyć, czym one są tak zajęte i okazało się, że tę ćmę wydzierają sobie wzajemnie, popychają, przewracają, biorą w zęby, zabawa szła na całego i przysięgam na kolanach, a przyjrzałam się dobrze: ćma była nie uszkodzona, w doskonałym stanie, aczkolwiek ze strachu zdążyła już pewnie umrzeć na serce.

Wracając do Sznapka, któregoś dnia zajęta w domu babcia-prababcia usłyszała na podwórzu przeraźliwy kurzy wrzask. Nie tylko kurzy, ogólnie biorąc drobiowy, bo dołączyły się kaczki i gęsi. Wyjrzała, zobaczyła straszne zamieszanie, nie pojmując zjawiska wybiegła i trafiła na moment, kiedy w tym towarzystwie pojawił się Sznapek. Na ziemi leżała kupka jajek, Sznapek doniósł właśnie w zębach następne, ułożył ostrożnie, obleciał kupkę dookoła, rozganiając ptactwo i popędził w dal. Po chwili wrócił z kolejnym jajkiem i operacja się powtórzyła.

Babcia najpierw zbaraniała, a potem w sercu jej zakwitła gorąca wdzięczność dla psa, bo już od paru tygodni martwiła się, że kury tak źle się niosą. Strasznie mało jajek zbierała. Wyszło na jaw, że niosły się w zbożu, gdzie upatrzyły sobie ponętne miejsce. Sznapek pokazał drogę, doprowadził do nielegalnych gniazd, odzysk jajek nastąpił, a z tych przyniesionych ani jedno nie było nawet nad pęknięte.

Nie dożył, niestety, ten genialny pies późnej starości. Dostał wścieklizny, szczepienia w tamtych czasach jeszcze nie istniały, a jeśli nawet istniały, do polskiej wsi nie dotarły. Przyleciał skądś ponury, zjeżony, z pianą na pysku, ale tak bardzo kochał rodzinę, że nie pogryzł nikogo. Moja matka, ciągle jeszcze dziecko, acz znacznie starsze, pchała się do niego, wołała, wabiła, pies spojrzał krwawym wzrokiem, zawahał się, podkulił ogon i uciekł. O ile wiem, został zastrzelony, a strzelający płakał.

To tam właśnie, w Woli Szydłowieckiej, a nie w Tończy, koń ciągnął moją matkę za włosy. Robotami gospodarskimi zajmowały się wszystkie trzy siostry, ale moja matka najchętniej. Czy może najmniej niechętnie. Kazano jej napoić konia, młody był bardzo, jeszcze prawie źrebak, wyciągnęła ze studni wiadro wody, niepełne, bo pełne było dla niej za ciężkie, podstawiała koniowi i zamyśliła się, nie zwracając na niego uwagi. Po czym nagle poczuła, że coś ją trzyma za włosy i ciągnie do góry. Koniowi pół wiadra było za mało, wypił, poczekał chwilę cierpliwie na dalszy ciąg, dalszy ciąg nie następował, przypomniał zatem o sobie pierwszą metodą, jaka mu przyszła do głowy.

Opowieści rodzinne brzmiały rozmaicie i nie zawsze jasno. Dopiero po latach dowiedziałam się, że drób został upity wcale nie u mojej prababci, tylko u hrabiego

Rościszewskiego, którego córkę moja matka знаła. Tam właśnie, u hrabiego, po zabutelkowaniu nalewki, wyrzucono na śmietnik wiśnie ze spirytusu i w parę godzin później żeńska obsługa dworu wpadła w ciężką rozpacz. Cała pierzasta żywina ślaniała się po podwórzach, przewracała i leżała jak martwa, zaraza znaczy jakaś rzuciła się na kury, kaczki i gęsi. Gospodyni we łzach przystąpiła do podskubywania, żeby przynajmniej pierze ocalić i nie żałowała sobie, skoro i tak to wszystko zdychało. Nazajutrz drób wytrzeźwiał i na pół goły latał, po czym pochorował się naprawdę, na skutek nadmiernego obskubania. Następnie częściowo wyzdrowiał, a częściowo został zjedzony.

Nigdy natomiast nie zdołałam dojść, gdzie była wieś z wołoduchem, koło Woli Szydłowieckiej czy koło Tończy. Pewne jest, że w owej wsi mieszkała baba, słynąca ze skapstwa na trzy powiaty, a może nawet jeszcze szerzej. Któregoś roku ksiądz chodził ze święconym, a księdza, jak wiadomo, należy podjąć odpowiednio, a nie byle jak. Już na długo przed Wielkanocą okoliczna ludność zastanawiała się, jak też podejmie księdza owa skapa baba i w jakim stopniu przełamie swoje zakamieniałe skapstwo. Baba szarpnęła się w sobie i zrobiła przyjęcie, mianowicie ugotowała dla księdza jajko na miękko. Ksiądz zasiadł przy stole, cała żywina zaś, ludzka i zwierzęca, bez mała wlała mu na głowę, bo tak nadzwyczajnego rarytasu nikt w tym domu dotychczas nie widział. Baba zdenerwowała się przesadnym tłokiem w izbie i z gniewem wrzasnęła:

- Psy na dwór! Dzieci pod stół! Ksiundz nie wołoduch, som całego jajka nie zji, jak zostawi, to wom dom!

Stąd się wziął wołoduch, który zakorzenił się w mojej rodzinie na zawsze. Tyle o nim wiadomo, że ogromnie żerty.

Córki mojej babci, rzecz jasna, rosły i zaczynały miewać coraz bardziej urozmaicone pomysły. Wieś była raczej bogata. Bóg raczy wiedzieć, kto ją zasiedlał, pańszczyźniane chłopstwo, wolni kmiecie czy zaściankowa szlachta, ale młode pokolenie w dużym stopniu zaczynało już być miejskie. Uczyło się, rozproszone po rozmaitych szkołach, a w domach rodzinnych zjawiało się głównie na wakacje. Miejscowym, pozostałym na gospodarkach, też się chyba źle nie wiodło, skoro mieli dość czasu i siły na liczne rozrywki.

Jednego z tej młodzieży dziewczyny przyszyły do siennika. Moja matka wyniosła sobie siennik w plener nad wodę i po coś wróciła do domu na parę dłuższych chwil. Kiedy ponownie przybyła na miejsce relaksu, okazało się, że na jej

sienniku śpi martwym bykiem jeden z zaprzyjaźnionych młodzieńców, a może był to nawet któryś kuzyn. Okrzyki w rodzaju „wstawaj, ty świnió, to mój siennik, sobie przyniosłam, a nie tobie, wynoś się!” nie dawały efektu, młodzieniec spał rzetelnie. Moja matka natychmiast wymyśliła zemstę. Namówiła swoje siostry i kuzynki i wszystkie razem faceta porządnie obszyły. Leżał na brzuchu, ręce miał pod głową, przyszyły go zatem do siennika na okrągło, a do tego jeszcze zaszyły mu spodnie, obie nogawki razem. Następnie stanęły nad głową ofiary i zaczęły strasznie wrzeszczeć: „Pożar, pali się, ratunku!” To go wreszcie obudziło.

Podobno o odprucie błagał trzy i pół godziny. Sam nie mógł zrobić nic, unieruchomiony był radykalnie. Usiłował się poderwać, ale cały siennik podrywał się razem z nim. Głową mógł ruszać, bo głowy nie dały rady mu przyszyć, młódź męska nosiła wtedy krótkie włosy, ale na głowie się kończyło, ręce skrzyżowane, nogi spętane podwójnie, sytuacja bez wyjścia. Osobiście przypuszczam, że odpruła go w końcu płeć męska, jak już mieli dosyć uciechy.

Dziewczyny chodziły się kąpać, co nad wodą przytrafia się często. Za którymś razem ich miejsce do kąpieli okazało się zajęte przez chłopaków, a koedukacyjna kąpiel w owych czasach i na wsi nie wchodziła w rachubę. Oburzone śmiertelnie, znów postanowiły się zemścić i przyszło im to z łatwością. Starsze dziewczęta podpuściły te młodsze, w tym Teresę, żeby pochować ubrania młodych opryszków, dzieło zostało dokonane, młodzież męska nabrała w końcu chęci wyjścia z wody i wówczas okazało się, że krewa. Nie ma odzieży. Goło latać nie mogli, mowy o czymś takim nie było, aczkolwiek pierwsza wojna światowa należała już do przeszłości. Żebrali i błagali o litość, bez skutku, przystąpili w końcu do poszukiwań metodą indiańską i dopiero wtedy zaczęła się najlepsza zabawa. Każdy z nich, znalazłszy w zaroślach swoją odzież, a obok niej cudzą, tę cudzą wypchał głębiej, twierdząc, że nic tam więcej nie ma, dzięki czemu przedstawienie trwało do nocy. Silnie podejrzana o autorstwo figla moja matka z czystym sumieniem przysięgała, że ręki do tego nie przyłożyła i mówiła świętą prawdę, bo rękę przykładła jej siostra i młodsze kuzynki.

Historia z wieprzem przydarzyła się w Tończy. Moja matka miała wtedy sześć lat. W niedzielę została ubrana w elegancką białą kieckę i zaraz potem jej wuj, najmłodszy syn prababci. Piotrek, wówczas dwunastoletni, nakłonił ją do przejażdżki na wieprzu. Sam ją na tego wieprza wsadził. Zwierzę przeraziło się śmiertelnie, poderwało z wilgotnej ziemi, z amazonką na grzbiecie wypadło za bramę i zrzuciło ją prosto w ogromną kałużę na rozwidleniu dróg. Lanie sprawiedliwie dostali obydwójce,

to znaczy Piotrek i moja matka. Wieprza winą nie obciążono. Rodzina w Tończy była liczna, do posiłku zasiadano w kuchni. Na kolację były kartofle z gorącym mlekiem. Moja matka i Piotrek urządzili sobie konkurs, każde z nich zaparło się, że pierwsze nabierze łyżką potrawy. Kartofle już stały na wielkim półmisku, pradziadek podniósł z kuchni gar z wrzącym mlekiem i przechylił. Moja matka i Piotrek, w zbożnym pragnieniu wygrania konkurencji, podstawili łyżki i cały ten mleczny wrzątek poszedł po oczach obecnych. Pradziadek lat śmiało, więc rozbryzg był imponujący. Lania nie dostali, bo prababci przy tym nie było, siedziała w pokoju, a pradziadek w życiu swoim nie uderzył żywego stworzenia.

W Tończy także Antoś skakał przez okno. Rodzina, zapewne nie wszyscy, bo w komplecie by się nie zmieścili, siedziała na ławce przed domem, kiedy ówże Antoś, jeden z synów mojej prababci, wielkim pędem nadleciał z pola, słowa nie mówiąc wpadł do domu drzwiami, po czym natychmiast z tego domu wyskoczył przez okno i zwiększając tempo, znów udał się w pole. Nikt nie wiedział, co go napadło, zaistniały obawy, że pewnie zwariował. Pojawił się wreszcie z powrotem, wracając już krokiem normalnym, trzymając się za twarz i już z daleka krzycząc:

- Ugryzła mnie zaraza, jednak mnie ugryzła! Okazało się, że goniła go pszczoła, dostatecznie uparta, żeby dogonić, z przyczyn nie znanych, bo twierdził z rozżaleniem, że nie zrobił jej nic złego.

W ogrodzie przed domem, wśród innych wyszukanych gatunków, rosła także normalna klapsa, wysokiej jakości, bo prababci naprawdę darzyły się wszystkie rośliny. Upodobała ją sobie Lucyna, włąziła na drzewo i pożerała gruszki prosto z gałęzi, koronę ta grusza miała wielką i dziecka na niej nie było widać. Pod gruszą stała ławeczka, na ławeczce zasiedli jedna kuzynka i jej fatygant, który chyba właśnie zamierzał się oświadczyć. Obydwoje byli w strojach wytwornych, fatygant nawet w kapeluszu. Lucynie samo pożywanie się nie wystarczyło, zapragnęła dodatkowej rozrywki. Ze starannie obmyśloną częstotliwością spuszczała przejrzałe klapsy to na gors kuzynki, to na panamę fatyganta, dzieląc doznania sprawiedliwie. Do oświadczyn nie doszło, kuzynka poślubiła potem kogoś innego.

Do stwarzania matrymonialnych przeszkód Lucyna chyba miała talent, bo załatwiła także wielbiciela mojej matki. Działo się to już w Warszawie i niewątpliwie znacznie później. Zakochał się mianowicie w mojej mamusi jakiś prawdziwy hrabia, niemrawy trochę i rozlazły, zdaje się, że również nieśmiały, ale zdecydowany w uczuciach. Wszyscy wiedzieli, że będzie się oświadczał i babci wprawdzie z

charakteru nie bardzo się podobał, ale nie zamierzała go zrażać. Moja lekkomyślna matka, o ile wiem, trochę sobie tę wysoką sferę lekceważyła, ale możliwe, że gotowa była go przyjąć. Kwestię rozstrzygnęła Lucyna.

Mówi się, mniej może obecnie, a więcej mówiło w przeszłości: „Równno, sztywno, z bukietem w ręku. pod watowanym parasolem”. Hrabia przybył uroczyście i Lucyna otworzyła mu drzwi. Spojrzała na strój wytworny, odpowiedni wyraz twarzy i bukiet w ręku i z wielkim wyrzutem spytała:

- No, a gdzie watowany parasol?

Hrabia zmieszał się tak potwornie, że oświadczyły przez gardło mu nie przeszły, a na bukiecie usiadł. Tym sposobem nie zostałam hrabianką.

Nie mam pojęcia, w którym mieszkaniu hrabia ową wizytę składał. Na Zgoda albo na Sosnowej. Moi dziadkowie mieszkali kolejno na Młynarskiej, na Żytniej, na Zgoda, na Sosnowej i na Chmielnej, numerów nie pamiętam, tylko ten ostatni, Chmielna 106. Z Sosnowej i Chmielnej wyprowadzono się z konieczności, w wyniku działań wojennych bowiem budynki przestały istnieć. A w każdym razie zaraz po pierwszych bombach i pierwszych pociskach przestało istnieć mieszkanie moich dziadków. Lucyna miała więcej fartu. Puławska 11 rozleciała się dopiero w czasie powstania.

Wszystkie trzy córki mojej babci skończyły szkołę w różnym zakresie. Moja matka przed samą maturą dostała nerwicy, w głębi duszy przypuszczam, że nie chciało się jej uczyć, nerwica objawiła się okropnymi bólami głowy, dano jej zatem spokój i darowano ten ostatni egzamin. Bóle głowy przeszły jak ręką odjął i poszła do pracy w charakterze sekretarki dyrektora w jakiejś instytucji. Gotowa jestem założyć się o wszystkie bogactwa świata, że ów dyrektor zatrudnił ją głównie ze względu na urodę, jej, rzecz jasna, nie swoją, i narwał się biedny człowiek. Nie powiem, co mu z tego przyszło, bo się nie chcę wyrażać. Znam moją matkę i mogę mu tylko współczuć.

Teresa maturę zdała, nie jestem pewna, czy nie odwaliła jeszcze jakichś kursów zawodowych, w każdym razie też podjęła pracę. Lucyna poszła na uniwersytet, na polonistykę, potem zaś wdała się w kulturę, sztukę i dziennikarstwo.

Nieco wcześniej, kiedy miała szesnaście lat, przeżyła straszne chwile, mianowicie jakimś sposobem, podobno zresztą w pełni godziwym, poznała dyplomata. Konsul to był, ambasador czy inna podobna postać, traktował ją jak córkę i sama siebie zaczęła podejrzewać o nieślubne pochodzenie, a swoją matkę o

nielegalny romans. Wnioskując z egzystencji, jaką wiodła moja babcia, nielegalne romanse odpadają w przedbiegach, nie miała do nich głowy. Ojcowski dyplomata usiłował wprowadzać panienkę w wielki świat, zaprosił ją na jakieś szalenie uroczyste przyjęcie, gdzie podano raki, homary, langusty i prawie ją tym dobił. Nie miała pojęcia, jak się to je. Wina tam były również, niewątpliwie rąbnęła sobie dla kurażu i z rozpaczy, w wypiekach dotrwała do końca, po czym wróciła do domu skompromitowana na zawsze, bardzo czerwona na twarzy i zapłakana. Babcia się przeraziła, Lucyna zaś padła na tapczan i wyła szlochem pełnym wyrzutu:

- Dlaczego mnie mamusia nie nauczyła, jak się je homary...?!!!

W przekonaniu, iż jej córka musiała zwariować, babcia wezwała lekarza. Lucyna pełnię zdrowia odzyskała dość szybko, ale na wielkie przyjęcie z dyplomata więcej nie poszła i tak straciła szansę wdarcia się w wysokie sfery.

Potem wszystkie zaczęły wychodzić za mąż, a pierwsza była moja matka.

Druga połowa rodziny, ta po mieczu, rzecz oczywista, również istniała. Przez całe lata słyszałam gadanie, jak to pradziadek przybył z Niemiec i nie umiał po polsku i gryzłam się tą niemieckością, potwierdzoną panieńskimi nazwiskami babek i prababek. Becker, Koch, Szwarz mówiły same za siebie. Na szczęście mój stryj zadał sobie trud sprawdzenia, co się w tej rodzinie działo, i wyszło na jaw, iż na tych trzech niemieckość się wyczerpała, reszta to już były Borkowskie, Luzińskie i Michaliki. Jedną parę moich prapradziadków stanowili w rezultacie Józef Szwarz i Anna z domu Luzińska, drugą zaś Ignacy Borkowski i Julianna z domu Michalik. Zaraz, spokojnie, skąd wobec tego wziął się Karol Becker...? A, już wiem, córka Ignacego i Julianny, też Julianna, z domu Borkowska, poślubiła Karola Beckera i to właśnie byli moi pradziadkowie.

Możliwe, że właśnie ten Karol przybył z Niemiec i nie umiał po polsku. Następne pokolenie język musiało już opanować w pełni, bo syn Karola, mój dziadek, był w tym kraju nauczycielem. Ludowym co prawda, ale to tym bardziej, lud obcymi językami nie władał. Dziadek Paweł poślubił babcię Helenę, córkę Pauliny Koch, z domu Szwarz. wnuczkę Anny Szwarz, z domu Luzińskiej. Gdyby mi jeszcze ktoś zechciał powiedzieć, czyj portret wisiał na ścianie w mieszkaniu mojej babci, byłabym zachwycona. Któraś prababka, albo Paulina, albo Anna, a rzecz w tym, że od wczesnego dzieciństwa zdradzałam szalone do niej podobieństwo.

Babcia Helena miała dwie siostry, ciocię Józję i ciotkę Stachę. Ciotka Stacha

pozostała w stanie panieńskim, ciocia Józia wyszła za mąż i miała dwóch synów, Mietka i Stefana. Mietka w naturze nie widziałem nigdy w życiu. Stefana ganiałam po całym ogrodzie z litrową butelką wody w lany poniedziałek i przyłożyłam rękę do jego małżeństwa, ale to już czasy znacznie późniejsze. Na razie nie ma mnie jeszcze na świecie.

Oprócz siostr miała babcia także troje dzieci, dwóch synów i jedną córkę. Młodszy z synów poślubił moją matkę.

Jak łatwo zauważyć, uparcie piszę o babkach i prababkach, a nie o dziadkach i pradziadkach. Dziadkowie i pradziadkowie oczywiście również istnieli, wcale nie umierali we wczesnej młodości i niekiedy dożywali nawet sędziwego wieku. I co z tego, dominacja kobiet w całej mojej rodzinie, w obu jej częściach, po mieczu i po kądzieli, jest do dziś dnia tak silna, że mężczyźni się prawie nie liczą, chociaż reprezentowali wszystkie normalne ludzkie cechy, charaktery, indywidualności, wykształcenie, a czasem także pieniądze. I wszyscy, tajemniczym zrzędzeniem losu, byli ludźmi łagodnymi, gołębiego serca i spokojnego usposobienia, tkwiącymi silnie pod pantoflem tych okropnych bab. Wyłamały się trochę dopiero moje ciotki, a potem bardzo potężnie ja, ale o tym będzie później.

Anegdot z czasów dzieciństwa mojego ojca nie znam żadnych, nie miał kto o nich opowiadać. Wiem tylko, że jego stryjeczny brat, Stefan właśnie, odznaczał się uległością już może nieco przesadną. Na widok każdej potrawy na stole pytał:

- Mama. czy ja to lubię?

Jeśli ciotka odpowiedziała, że nie. do ust nie wziął, choćby umierał z głodu, a potrawa wyglądała i pachniała najcudowniej w świecie. Jeśli zapewniła go, że tak. zeżarłby nawet mysie bobki. Ciotka musiała chyba miewać zaćmienia umysłu, skoro nie wykorzystwała okazji przyuczenia dziecka do jedzenia wszystkiego bez żadnych grymasów.

Mój ojciec skończył tak zwaną handlówkę, a potem coś jeszcze i zdobył zawód księgowego. Może w jakimś szerszym zakresie, głównie siedział w bankowości. Dwie cechy posiadał dla pracodawców bezcenne, fachowość i uczciwość zgoła nadludzka, pozbawioną nawet rozsądku, bo rozmaitych ludzi później wzbogacił, a siebie wręcz przeciwnie.

Poznał moją matkę przy jakiejś eleganckiej okazji towarzyskiej, zakochał się czym prędzej i kiedy dostawał awans, dumny z tego bardzo, ośmielił się jej oświadczyć. Albo nie miał w ręku bukietu, albo nie było Lucyny, bo oświadczyły mu

wyszły. Jakoś zaraz potem zaproponowano mu stanowisko dyrektora filii KKO na prowincji, ściśle w Grójcu, i ojciec propozycję przyjął, zapewne zachęcony do tego przez narzeczoną.

Moja matka uparcie twierdziła, że wyszła za męża, żeby uciec z domu. Miała dosyć babci. Fakt, babcia była despotyczna, nieco awanturnicza, tyranizowała rodzinę wręcz odruchowo i wszystkie córki jej się bały, różnie reagując. Teresa znosiła tyranie z zaciśniętymi zębami, moja matka ulegała jej bez żadnego oporu, Lucyna buntowała się z całej siły. Oddalenie się od babci mogło przynieść dużą ulgę, a zawsze Grójec to już inne miasto.

W drugiej kolejności wyszła za męża Lucyna. Przez przekorę, jak sędzę, pchała się do przedwojennych partii komunistycznych, narzeczony był komunistą, chodził w rozwianym czerwonym krawacie i babcia powiedziała, że jej włosy na dłoni wyrosną, jeśli Lucyna go poślubi. Lucyna zatem poślubiła, chciała bowiem te włosy na dłoni swojej matki zobaczyć.

Teresa wyszła za Tadeusza już w czasie wojny. Miała go za męża parę miesięcy, potem straciła z oczu, a potem spotkała znów po osiemnastu latach. Ale i tak ona jedna chyba wyszła za męża z własnej i nieprzymuszonej woli, dla faceta, a nie przeciwko babci.

Możliwe, że moja matka chciała także odczepić się od siostry. Lucyna, jako dziecko dość spokojna, teraz zaczęła miewać szatańskie pomysły, z rozgoryczeniem przez moją matkę wspomiane. Na dziesięciolecie niepodległości, na przykład, całe towarzystwo wybrało się oglądać paradę wojskową, wojsko szło od katedry do Belwederu, a tłumy ludzi za nim. Moja matka, pod rękę z narzeczonym, stwierdziła nagle, że jacyś idący przed nią młodzi ludzie oglądają się ustawicznie, gapią się na nią jakoś dziwnie i wręcz niegrzecznie i między sobą czynią podejrzone uwagi. Nie rozumiała zjawiska, poczuła się nieswojo, tłum nie pozwalał się odseparować, już się zdenerwowała, aż nagle poczuła, że obok niej przesuwają się czyjaś ręka. Spojrzała, cóż się okazało! Lucyna szła tuż za nią, przesuwała rękę do przodu i kłuła tych facetów bardzo długą szpilką. Uspokoila się, zgromiona, ale mało jej było rozrywki, na stopniach kościoła Świętego Krzyża zabrała ojcu laskę i zrzuciła ją ludziom kapelusze z głów. Skłonność do tych figli została jej już na całe życie.

Z licznych przyczyn, jak widać, awans ojca i to grójeckie dyrektorstwo były dla mojej matki czystym błogosławieństwem. Z jednej strony oddalała się od rodziny i miała święty spokój, z drugiej wcale nie musiała trawić życia na prowincji, bo

komunikacja istniała, przyjeżdżała do Warszawy, kiedy jej się żywnie podobało. Do gospodarstwa domowego nie była jeszcze zbyt dobrze przystosowana, w rodzinnym domu nie nauczyła się niczego, trochę może z lenistwa, a trochę dlatego, że babcia była pracowita i lubiła robić wszystko po swojemu. Moja matka głównie haftowała, miała do tego i upodobanie, i talent.

Pierwszy obiad, jaki ugotowała mężowi, wypadł dość niezwykle. Miał być rosół, pieczona kaczka, kartofle, kapusta i kompot. Tylko pieczona kaczka wyszła dobrze, ponieważ piekła ją sąsiadka, moja matka miała jakieś kłopoty z piekarnikiem. Co do reszty, to kapusta przypaliła się jej gruntownie, rosółu i kartofli nie posoliła wcale, za to kompot posoliła dwa razy. Ojciec, zadowolony, że w ogóle jest do jedzenia cokolwiek, jednego złego słowa nie powiedział.

W kilka dni później o poranku, ubierając się, zaczął szukać w szafie czystej koszuli. Leżąca jeszcze w łóżku moja matka ujrzała, że wyjmuję te koszule, ogląda i odkłada na jakiś mebel. Zdziwiła się.

- Czego szukasz? - spytała z zaciekawieniem.

- No jak to, uprasowanej koszuli - odparł ojciec nieśmiało.

- Przecież wszystkie są uprasowane!

- Nic podobnego. Mnie się wydaje, że żadna... Okazało się, że matka uprasowała te koszule własną ręką, poczynając od dołu i wszystkie zmarszczki gromadząc na gorsie pod kołnierzykiem. Ojciec pogodził się z sytuacją i usiłował tylko tego dnia jak najmniej pokazywać się ludziom.

Rychło moja matka opanowała te wszystkie sztuki i więcej takich problemów nie było. Gotowała znakomicie, prasować nauczyła się również i kształciła wszystkie kolejne służące, które zyskiwały wysokie kwalifikacje, zanim się zdążyły obejrzeć.

Czując się już teraz wolna, dorosła i zamężna, co w pewnym stopniu zmniejszało lęk przed babcią, mnóstwo czasu spędzała w Warszawie, w rodzicielskim domu. Pieniądze miała, bo ojciec niezłe zarabiał, zakupy robiła dowolne, to popielice, to francuskie pantofle, to perfumy, to paryskie desusy, muszę przyznać, że niezwykle trwale, bo sama nosiłam je jeszcze po wojnie. Ojca obsługiwały wyszkolone służące i było fajnie. Jeśli zaś zbyt długo matka nie pokazywała się w Warszawie, do Grójca przyjeżdżała babcia i z miejsca zaczynała przemeblowywać mieszkanie, bo uważała, że tak będzie lepiej. Matka nie protestowała ani słowem, oburzała się służąca, na co matka mówiła:

- Nic, nic, pani starsza wyjedzie i wtedy przestawimy z powrotem...

W rok po jej ślubie urodziła się Lilka. Była córką jedynej siostry babci, cioteczną siostrą mojej matki i moją cioteczną ciotką. Siostra babci była dla mnie też ciotką, tak samo jak dla starszego pokolenia, i do głowy by mi nie przyszło zwracać się do niej inaczej. Ona to właśnie podążyła za narzeczonym na Sybir, zaprezentowawszy przedtem wszystkie fanaberie dziewiętnastego wieku. Starający się, późniejszy wujek Olek, przychodził z wizytą, ciotka kazała mówić, że jej nie ma w domu, wyśmiewała go i lżyła wszelkimi siłami, ręki odmawiała, po czym, kiedy zabrali go zandarmi, dostała szału i jak prawdziwa Polka-patriotka popędziła za nim. Na tej Syberii wzięli ślub i, śmieszna rzecz, mieli obrączki ze stuprocentowego syberyjskiego złota. No, może to było 99 procent, ale nic mniej, o czym najlepiej wiem ja, bo w wiele lat później załatwiałam przeróbkę jednej z obrączek na współczesne przedmioty dekoracyjne.

Ciotka miała już dwóch synów, Lilka urodziła się po jedenastoletniej przerwie, i będąc przy nadziei, ciotka czyniła mojej matce wyrzuty.

- To nie ja powinnam się wygłupić, tylko ty! - mówiła. - Gdzie twoje dziecko, to ty masz urodzić! Nie będę cię na starość zastępować!

Moja matka uległa widocznie presji i podjęła męską decyzję. W ten sposób obie razem, Lilka i ja, stałyśmy się jedynymi dziećmi w całej dorosłej rodzinie. Gdybyśmy chociaż chowały się razem, ale nawet i to nie, bo ciotka z wujkiem zamieszkali w Cieszynie. Zetknęłyśmy się osobiście dopiero po piętnastu latach.

Ciąża i poród mojej matki od początku do końca były zjawiskiem przerażającym. Ten okres matka przetrwała głównie pod skrzydłami babci, w Warszawie, co może akurat nie było najlepszym pomysłem świata, bo babcia lubiła eksperymenty i omal nie spowodowała tragedii. Złe znoszenie ciąży było dla niej zgoła nie do pojęcia, podejrzewała symulację, a moja matka, za przeproszeniem, rzygała jak szatan nawet wtedy, kiedy nikt normalny żadnych torsji już nie miewa. Każda woń miała na nią wpływ, z reguły negatywny, zdaje się, że nawet róże. Babcia nie mogła w to uwierzyć i przy pierwszej okazji zamiotła matce pod nosem przekrojoną cebulą. Co się potem działo, ludzkie słowo nie opisze, rzewnymi łzami babcia płakała nad swoją rozszarpywaną wymiotami córką, pół dnia to trwało, wrywała sobie włosy z głowy, po lekarza chciała lecieć, ale same były i bała się ją zostawić. Więcej doświadczeń nie robiła.

Pożywiała się ta moja matka dosyć dziwnie, mianowicie jadła codziennie dziesięć deko kiełbasy i dziesięć deko landrynek. Musi to być prawda, bo przez

następne ćwierćwiecze wspominałoby przez całą rodzinę zgodnie i ze zgrozą. Wszystko inne jej śmierdziało i dawało skutki zbliżone do cebuli. Wyprowadziła z równowagi zarówno swoją matkę, jak i siostry, które już całkiem miały dosyć i coraz mniej delikatnie nakłaniały ją do powrotu do męża. Żadne takie, to ojciec przyjeżdżał, matka dotrwała w rodzicielskim domu aż do porodu.

Urodziła wreszcie to cholerne dziecko w szpitalu na Karowej. Poród trwał trzy doby, o co mam do niej pierwszą pretensję. We wczesnym dzieciństwie czułam się winna i pełna skruchy, że omal własnej matki na samym wstępie nie wpędziłam do grobu, później jednakże zrozumiałam, iż winien był całkiem kto inny. Moja matka, pojęcia nie mająca o fizjologii, wstrzymała akcję porodową. Wytrzymała na ból, nie wydała z siebie jęku, a lekarz, nie umiając wytłumaczyć sensu sprawy, domagał się krzyku. Cud zwyczajny, że się dziecko w końcu urodziło, żywe, nie uduszone, i z miejsca zastąpiło położnicę, drąc pysk, aż echo poszło po Wiśle.

Uczucia wzbudziłam z pewnością bardzo mieszane. Moja matka chciała córeczkę, podejrzewam niekiedy, że miałam być chłopcem, i tylko jej zakamieniałe pragnienie przeistoczyło mnie w dziewczynkę. Babcia odwrotnie, sarna nie doczekawszy się syna, marzyła o wnuku. Ojcu było wszystko jedno. Obie siostry natomiast niezadowolone były z pobytu w domu niemowlęcia obojętnej płci.

Szczególnie brzydziła się mnie Lucyna. Odrazy nie kryła i w ogóle nie chciała tego świństwa dotykać. Moja matka po dwóch tygodniach wyszła ze szpitala, odpoczywała po przeżyciach u babci i na razie nie zamierzała się wynosić. Popołudnie to było, kiedy leżała na jednym tapczanie, na drugim zaś spoczywało w poprzek śpiące niemowlę w poduszce, z głową przy ścianie, broń Boże nie na skraju, żeby przypadkiem nie zleciało. W drzwiach pojawiła się wracająca z miasta Lucyna i tak jak stała, w płaszczu, z torebką przewieszoną przez rękę, szybkim krokiem przeszła przez pokój wprost do tapczanu z dzieckiem, po czym tym samym ruchem, bez sekundy wahania, wzięła niemowlę na rękę.

Moja matka przeraziła się śmiertelnie.

- Co ty ro... - zaczęła gwałtownie i nie dokończyła.

Wielki portret dziadka, w grubych ramach, wiszący na ścianie nad tapczanem, zaczął się nagle obsuwać, nieco przekrzywiony, zjechał i rąbnął rogiem ramy dokładnie w to miejsce, gdzie przed chwilą spoczywała główka dziecka.

- Ach, ach! - krzyknęła moja matka. - Wody! Wody...!

I zemdląca. Lucyna stała z niemowlęciem na rękach, mrugając oczami i

wyraźnie nie pojmując, skąd jej się wzięło odrażające brzemie.

- Weźcie to ode mnie - powiedziała ze wstrętem, kiedy do pokoju wpadła zaniepokojona babcia.

Twierdziła później, że nic nie rozumie, nie wie, co zrobiła i dlaczego, a w ogóle pchała ją tajemnicza siła wyższa bez żadnej myśli w głowie. Był to zapewne pierwszy wypadek telepatii, z jakim się zetknęłam. Moją matkę odratowano bez trudu, ale długo jeszcze cała rodzina nie mogła odzyskać równowagi.

Tym sposobem udało mi się pojawić na świecie, chociaż trochę sensacyjnie. Portret dziadka, sam jeden, był zmuszony zastąpić trzęsienie ziemi, grzmoty, pioruny i inne wyładowania atmosferyczne, przyroda bowiem na moje urodziny nie zareagowała.

Pierwsze, co pamiętam, to aaron.

Nie był to zaprzyjaźniony starozakonny, tylko kwiat. Tak się nazywał, aaron, przez dwa „a”. Miał ogromne liście, podobne do kalii, i był silnie trujący.

Nikt nie wierzy, że pamiętam, bo miałam wtedy zaledwie rok z drobnymi groszami. Niewątpliwie całą historię znam z opowiadań, ale mogę przysiąc, że coś z tego zahaczyło mi także o pamięć własną. Zamieszanie potworne i okropne doznania w sobie, to już musiało objawić się we mnie, bo nikt nie mógł wiedzieć, co czuję.

Odbywały się wtedy w domu wielkie porządki, jakieś takie późnowiosenne, możliwe, że wywołane wyłącznie przybyciem babci. Jak to w czasie generalnego sprzątnięcia, panowała Sodom i Gomora, dziecko ktoś trzymał na rękach, zdaje się, że aktualna służąca, dorosła i zameżna, pierwsza z trzech kolejno do nas przychodzących sióstr. Żeby nie darła gęby, dano mi coś do zabawy, a tym czymś był liść rośliny. Rzecz jasna, ugryzłam go natychmiast i piekło wybuchło dantejskie, bo pokazałam, co potrafię. Z rozwartą gębą ryczałam jak trzy syreny okrętowe, a może i lepiej, i miotałam się na tych ludzkich rękach, a rodzina dostała szału, nie pojmując, o co chodzi. To właśnie miejsce pamiętam. Piekło mnie straszliwie, chciałam mleka! Wyłącznie mleka! Ból bólem, głównie darłam się z wściekłości, że głupia rodzina nic nie rozumie, ja chcę mleka, a tego mleka nikt mi nie daje! Lata to wszystko jak z pieprzem i usiłuje mnie uciszać, a mleka jak nie było. tak nie ma! Mleka!!!

Prawdopodobnie dostałam w końcu tego mleka, jest to bowiem produkt, który w zestawieniu z dzieckiem łatwo przychodzi do głowy. Dalszy ciąg znam już tylko z

relacji.

Głowiąc się nad tajemniczą przypadłością, wysunięto wreszcie supozycję, że to może ten kwiatek. Ugryzła go, może niedobry. Babcia poszła na eksperyment, też ugryzła i natychmiast zaczęła ziajać z otwartymi ustami i wywieszonym językiem.

- Jezus Mario Józefie święty! - rzekła ze zgrozą. - Jak to piecze!

- E, pani starsza to chyba udaje - powiedziała podejrzliwie służąca i również ugryzła. Po czym nastąpiło to samo, obie teraz ziajały z wywieszonymi językami.

Moja matka uwierzyła im na słowo i osobistych prób już nie czyniła.

Cały aaron został bezmyślnie wyrzucony na śmietnik, gdzie bawiły się nim dzieci sąsiadów. Na szczęście żadne nie gryzło, ale wszystkie miały potem spuchnięte dłonie z piekącą wysypką.

Kolejnej rozrywki dostarczyła Teresa, mniej więcej w tym samym okresie. Działo się to w Grójcu, w wynajętym mieszkaniu, w domu chyba krawca, ale głowy za to nie dam, w każdym razie dom stał w dużym ogrodzie i hipotetyczny krawiec hodował sobie drób, niezbyt rygorystycznie traktowany. Chodził ten drób, gdzie chciał i robił, co chciał, z upodobaniem niosąc się w gniazdach na strychu. Do pomocy siostrze przyjechała Teresa, która miała wtedy dwadzieścia lat.

Teresa gotowała obiad, a ja się darłam bez racjonalnych przyczyn i nie można mnie było uciszyć. Ogólnie biorąc, byłam wrzaskliwym dzieckiem, co miało swoje uzasadnienie. Dziś wiem, że ciągle ubierano mnie za ciepło, darłam się zatem, ponieważ było mi gorąco. Teresa wytrzymała to dość długo, aż w końcu ręce zaczęły jej się trząść, wpadła w szal, straciwszy zdrowy rozsądek, ni z tego, ni z owego runęła do kuchennych drzwi i z całej siły zabębniła w nie pięściami. Łomot poszedł aż pod dach i ze strasliwym wrzaskiem wszystkie kury frunęły z poddasza na schody. Ludzie powylatywali z pomieszczeń, wyjrzeli nawet dalsi sąsiedzi, nie mogąc pojąć, co się stało, bo brzmiało to tak, jakby dom się walił. Szaleństwo okazało się skuteczne, zamknęłam gębę jak nożem uciał.

Potem upadłam na głowę, o ile wiem, trzykrotnie.

Za pierwszym razem wleciałam do góry nogami pomiędzy stół i kanapę. Było tam tak ciasno, że nie mogłam się przewrócić i tkwiłam w tej pozycji, aż mnie wyciągnięto za te sterczące nogi. Za drugim zjechałam z pięciu kamiennych schodków przed domem, również głową na dół. Za trzecim natomiast rąbnęłam czołem w piec u mojej babci.

Piec był ozdobny, miał jakby rozszerzoną podmurówkę, dość wysoką,

wystającą, wlałam na stołek, stołek się przechylił i z dużym impetem poleciałam, waląc w sam narożnik tej podmurówki. Podobno miałam wgłębienie w czaszce, widoczne przy odrobinie starań jeszcze w wiele lat później. Zdaniem rodziny, te trzy upadki ukształtowały moją umysłowość.

Moja wiedza o sobie z tamtych czasów pochodzi z opowieści rodzinnych. Jedno dziecko tylko dostarczało tematu, gadanie o tym dziecku wypełniło świat, zupełnie jakby nikt nie miał nic innego do roboty. Może i rzeczywiście stanowiłam podstawową rozrywkę, szczególnie że dość wcześnie zaczęłam objawiać charakter.

Pierwszej wizyty w ogrodzie zoologicznym nie pamiętam, zostałam tam zaprowadzona, pokazano mi wszystko, przyprowadzono z powrotem, po czym zadano pytanie:

- No i co tam było, w tym ogrodzie zoologicznym? Co widziałaś?

Zastanowiłam się głęboko i po namyśle odparłam:

- Pijawki...

W wieku dwóch lat z pewnością nie robiłam sobie wyszukanych dowcipów. Musiały te pijawki tam się znajdować, aczkolwiek trzeba przyznać, że nigdy potem już mi w oko nie wpadły.

Duch przekory prawdopodobnie urodził się razem ze mną. Moja matka często i smętnie wspominała swoje zabiegi dyplomatyczne. Rychło poznawszy własne dziecko, udając się ze mną na spacer, z reguły ruszała w stronę przeciwną, niż naprawdę zamierzała podążyć. Dziecko nie zawiodło nigdy, z miejsca zaczynałam ryczeć, wyłaziłam z wózka i energicznie maszerowałam z powrotem.

- Po co ja się miałam z nią kłócić? - mówiła melancholijnie. - Bardzo dobrze, tam właśnie chciałam iść, zawracałam i był spokój.

Ponadto upierałam się jeździć taksówką, upodobanie do samochodów, jak widać, załęgło się we mnie już w bardzo młodym wieku. Wieziona na spacer wózkiem, czas jakiś znosiłam to spokojnie, po czym zaczynałam drzeć pysk, rycząc przeraźliwie: „Siówką!!! Siówką!!!” Ciężko było to wytrzymać, więc przeważnie stawiałam na swoim. Kiedyś znów padło na Teresę. Wracała z tym wózkiem sama, podczas gdy moja matka powiozła mnie taksówką. Przeoczyły jeden drobiazg i Teresy o mało szlag nie trafił, młoda była bardzo i przejmowała się byle czym, w wózku zaś, zamiast dziecka, tkwił ogromny niedźwiedź i wszyscy ludzie się oglądali. Bądź co bądź, dorosła kobieta, wywożąca na spacer w dzieciennym wózku lalkę-niedźwiedzia, to był widok rzadko spotykany. Wściekła wróciła i schetana, bo leciała

z wywieszonym językiem, żeby jak najszybciej skończyć z tą kompromitacją.

Łatwo zgadnąć, że działo się to w Warszawie, bo w Grójcu nie było taksówek. W dodatku mieszkaliśmy na skraju miasta, dookoła rosła sama zieleń i spacerzy nie miały sensu.

Dziadek opowiadał mi bajki i kiedyś się podobno pomylił. Może był śpiący, może coś przepuścił, albo pomieszał. Przerwałam mu.

- Dziaduń! - powiedziałam ze zgorzeniem. -Czyś ty się z choinki urwał, czyś przez most przeskoczył?

Dziadka rozbudziło to radykalnie, ale do dziś nie wiem, co się z czego wzięło. Czy już wcześniej słyszałam te słowa, czy też wymyśliłam je sama, a w każdym razie ironiczne pytanie: „Z choinki, czy przez most...?” zakorzeniło się w rodzinie na zawsze.

Dalej zaczynają mi się już wspomnienia własne, dość urozmaicone i chyba nieco pomieszane chronologicznie. Niejasno pamiętam rozmowę moich rodziców na temat przeprowadzki, z przeraźliwą dokładnością natomiast wyryły się we mnie ostatnie słowa ojca. Może zresztą nie były ostatnie, może mówił coś jeszcze, ale to już do mnie nie dotarło.

Prawdopodobnie miałam wtedy cztery lata. Jakim cudem ta straszliwa cecha mogła się objawić u dziecka w tym wieku, jest nie do pojęcia. Później owszem, wszystko rozumiem, skutki wynikały z określonych przyczyn, ale wówczas...?

Chciałam być sama. Chciałam mieć dla siebie miejsce, gdzie miałabym święty spokój i nikt by się mnie nie czepiał. Spragniona byłam izolacji.

- Dzisiaj tam będzie miała swój kącik - powiedział ojciec do matki.

Usłyszałam to i niebo się przede mną otwarło. Wyobraziłam sobie własny pokój, zachwyty i szczęście było tak silne, że doskonale pamiętam je do dziś. Potem okazało się, że ojciec miał na myśli balkon i potęgę rozczarowania również pamiętam do tej pory.

Kolejne wspomnienie pochodzi już z nowego mieszkania, po przeprowadzce. Kiwałam się lekko na huśtawce w drzwiach pomiędzy sypialnią a tak zwanym stołowym, haki były wkręcone w futrynę, oglądałam się za siebie i widziałam moją matkę w balowej sukni przed lustrem. Suknia była powłóczysta, lejąca się, w kwiaty, w szaro-niebiesko-różowawych kolorach, przewiązana niebieską atlasową szarfą. Widok wydawał mi się zachwycający i zważywszy urodę mojej matki, zapewne istotnie taki był.

Pamiętam także grę w karty. Mam wrażenie, że grać w karty umiałam wcześniej, niż porządnie mówić. Karty były prawdziwe, rozróżniałam je bezbłędnie, gry natomiast dostosowane poziomem do leżącego się dopiero umysłu. W wojnę, na przykład, kładzie się kartę zwyczajnie, twarzą do góry, i większa wygrywa. Albo w cygana. Kładzie się ją odwrotnie, twarzą do dołu, a grzbietem do góry, i mówi, co to jest, przeważnie oszukując, albo nie, partner może kartę odkryć dla sprawdzenia, jeśli jednak trafi na prawdę, przegrywa. Innych gier wczesnego dzieciństwa już sobie nie przypominam, ta w cygana jednakże stanowiła zapewne przygotowanie do pokera.

Gra w karty zawsze odbywała się w kuchni mojej babci, na dużym stole, pokrytym ceratą. Przeważnie siedziałam na tym stole po turecku, a grało co najmniej trzy osoby, ktokolwiek się napatoczył, był angażowany w rozrywkę, zazwyczaj była to rodzina i mętnie mającą mi się różni siostrzeńcy i bratankowie babci, których później w ogóle nie widywałam.

Chodzić i mówić zaczęłam dość wcześnie, jakimś cudem nie stałam się dzieckiem zapóźnionym w rozwoju. Większość własnych wypowiedzi znam z relacji rodzinnych. Kiedyś wyrwałam moją matkę ze snu, tkwiąc w oknie o poranku i mówiąc z zachwytem: „Mama, aka grała!” Zaintrygowana zjawiskiem matka popędziła do okna i okazało się, że istotnie świat okrywa gęsta mgła. Łatwiej powiedzieć „mgła” niż „gmła”, wprawiałam zatem rodzinę bez mała w podziw. „Kolodzie” to były kartofle, ponadto chwilową rozterkę spowodowałam kolącą wodą. Chciałam kolącej wody. Pierwsze podejrzenie padło na wodę kolońską, potem na gorącą, potem wreszcie wyszło na jaw, że miała to być zwyczajna woda sodowa.

Trwałe skojarzenie istnieje we mnie po dziś dzień i objawia się na widok begonii. Przed dworcem autobusowym w Warszawie, w Alejach Jerozolimskich, rosły begonie i z tajemniczych przyczyn obdarzałam je mianem pasalolek. Pasalolki. Oznaczało to parasolki. Dlaczego akurat wydawały mi się podobne do parasolek. Bóg raczy wiedzieć, ale do tej pory na widok begonii pojawia się gdzieś w zakamarkach mojego umysłu słowo „pasalolki”.

Tak samo jak Miyzdro i mfues. Pardon, teraz będzie dygresja, wyłom chronologiczny, skok do przodu. Kto w starym atlasie rodzinnym obok Międzydrojów wypisał litery, które ułożyły się w słowo M-i-y-zdro, nikt nie wiedział i nie wie, dość że na Międzydroje nie mówiło się inaczej. „A na końcu pojedziemy do Miyzdro”, takie słowa padały, „pojechali na urlop do Miyzdra” i tym podobne. Na mfues natomiast patrzyłam przez miesiąc codziennie, z wyjątkiem

niedziel i świąt, kiedy odbywałam praktykę na MDM-ie, właśnie wznoszonym triumfalnie i z pieśnią na ustach. Na którejś ruinie w kierunku zachodnim istniał przed wojną elegancki napis reklamowy MEUBLES. Część liter odpadła i pozostało coś takiego: MFUES. Brakowało dolnej części E i całego BL, zostało mfues.

Wybrakowany napis był wielki, na wypalonej ruinie rzucał się w oczy i zapadł mi w pamięci na zawsze, wielokrotnie później budziłam lekkie zaskoczenie propozycją, żeby obejrzeć mfues, że trzeba kupić nowe mfues, albo że mfues się nieco rozleciały.

Wracając do mnie jako dziecka, wrzeszczałam jeszcze „daj ichę!” Na plaster mi była ta łyżka, skoro jadłam niechętnie? Może chciałam przelewać wodę, względnie przesypywać piasek. Więcej dziwolągów nie pamiętam, nie słyszałam o żadnych, i moja pomysłowość w tamtym okresie wydaje mi się mocno ograniczona.

Natomiast, jak Boga kocham, pamiętam pogrzeb Piłsudskiego. Też nie każdy w to wierzy, pamiętam go nieco oryginalnie i wyrywkowo, ale jednak. Tłumy były upiorne, nie wiem, gdzie podziewała się reszta rodziny, zostałam tylko z babcią. Babcia wynajęła dorożkę i w tej dorożce, oprócz nas i oczywiście dorożkarza, znajdowała się jeszcze jakaś obca facetka.

Ugrzęźliśmy w korku, a może było to upatrzone miejsce postoju, tego nie jestem pewna. Owa facetka stała na koźle przed moim nosem, miała czerwone pantofle na francuskich obcasach, opierała się tylko na zelówkach, a te obcasy wisiały w powietrzu. Babcia, okropnie zdenerwowana, usiłowała ją ostrzec.

- Co pani robi, kobieto, pani spadnie! - powtarzała gwałtownie i chwytiała ją za skraj sukienki.

Facetka nie zwracała na to uwagi-i dodatkowo wspinała się na palce. Miałam wówczas trzy lata. Co za pamięć przedziwna, dziś jeszcze widzę przed sobą te jej czerwone obcasy. Zazdrościłam jej nieco tego miejsca na koźle. Nie wiadomo dlaczego, byłam przekonana, że nie spadnie i babcia niepotrzebnie się czepia.

W mojej pamięci tkwi także wielkie pranie w postaci doskonałej zabawy. Po całej sypialni porozkładane były góry szmat, oddzielnie białe, oddzielnie kolory, oddzielnie bielizna osobista, ręczniki, ścierki i tym podobne, ja zaś uwielbiałam płątać się po tym labiryncie, wynajdując ścieżki pomiędzy stosami gałganów. Ponadto do pomocy przychodziła dodatkowa osoba, była to najstarsza siostra z rodziny naszych kolejnych służących, ta sama, która przy aaronie trzymała mnie na rękach, i przyprowadzała ze sobą córeczkę prawie w moim wieku. Pranie trwało jednym ciągiem niekiedy przez całą noc, owa córeczka zaś nocowała u nas, w tym

samym pokoju co ja, stwarzając możliwość dodatkowej rozrywki. Opowiadałyśmy sobie niestworzone brednie, licytując się, która też wspanialsze widoki i wydarzenia wymyśli i przy okazji kształcąc język. Po wykorzystaniu króla, królowej, królewicza i królowny, kombinowałyśmy ciąg dalszy, wysilając umysł na królewiątka, królewiczówny, królewiczowe i królewiczowiątka. Potem Tomcio Paluch miał całą rodzinę i liczne pochodne. Nikt na nas nie zwracał uwagi i mogłyśmy tak ciągnąć te litanie do późnej nocy. Potem odkryłam siebie.

Zdaje się, że umiałam już czytać. Czytać nauczono mnie w bardzo wczesnym wieku, straciwszy cierpliwość, ponieważ byłam dzieckiem spragnionym lektury nieco może zbyt jednostronnej. Uparcie domagałam się od całej rodziny baśni o Żelaznym Wilku i tę baśń o Żelaznym Wilku wszyscy, ze mną włącznie, umieli na pamięć. Obrzydła im rozpaczliwie, ale kiedy usiłowali bodaj z fragment przepuścić, żeby szybciej dojechać do końca, podnosiłam wrzask i zgłaszałam potężne pretensje, doskonale wiedząc, czego tu brakuje. Mieli nadzieję zacząć od byle którego miejsca w środku, nic z tego, twardo żądałam czytania od końca. Tłumaczono mi, że koniec to jest z tyłu, a z przodu jest początek, powinnam zatem żądać czytania od początku, ale jakoś mi się to słowo nie podobało. „Od początku” nie przemawiało do mnie i ten stosunek do słowa też tkwi we mnie jako osobiste wspomnienie. Pogodziłam się z nim później, nie wiadomo kiedy, ale na razie było „od końca”.

Nie ulega wątpliwości, że Żelazny Wilk nauczył mnie czytać i od tej chwili utworu do ręki nie wzięłam. No. może wzięłam raz. Pojęcia nie mam, o co w tej upiornej baśni chodziło i wiem tylko, że jakąś rolę grała w niej kociuba.

Wychowana dalej na wszelkiego rodzaju innych bajkach, baśniach, na Andersenie, braciach Grimm, śpiących królewnach i królewnach Śnieżkach cudownej urody, szklanych górach i Kopciuszkach, być może utożsamiałam się z wyobrażanymi sobie postaciami. Ten warkocz do ziemi, te złociste kędziory, te korony i powłóczyście szaty wywarły na mnie swój wpływ, po czym przyszła trudna chwila.

Któregoś dnia, w którymś momencie spojrzalam w lustro. Z pewnością nie było to pierwsze spojrzenie, luster w domu znajdowało się więcej niż jedno, a co poniektóre duże, do samej podłogi. Ale wtedy spojrzalam świadomie i nagle przyszło mi do głowy, że widzę siebie. Pamiętam tę chwilę, może w taki właśnie sposób rodzą się kompleksy...

„To ja tak wyglądam?”, zdziwiłam się w duchu i zdaje się, że mocno

rozczarowałam.

Włosy miałam krótkie i gładko uczesane, twarz jak twarz, nie nadzwyczajnego, żadnych koron, żadnych kędziorów, żadnych lśniących uroków. Przeciętność dobijająca. Przyglądałam się sobie długo i z dużym powątpiewaniem, ale żal w sercu był nietrwały i pogodziłam się z własnym wyglądem chyba raczej bezboleśnie.

Rodzinę doprowadzałam do rozpaczki trzema elementami. Przede wszystkim, nie jadłam. Przygnębiający, złośliwy, rozgrymaszony potwór, taką opinię o sobie przyjmowałam długo, ze skrucą i bez oporów, aż wreszcie wyszły na jaw przyczyny, dla których nie jadłam, a za sprawdzian posłużyły moje własne dzieci. Jeśli karmiono mnie tak, jak usiłowano karmić moich synów, nie dziwię się, że nie jadłam. Nieprawdą jest że nie miałam apetytu, bywałam głodna, lubiłam różne produkty, ale nie miałam kiedy ich zapragnąć. Pchano we mnie pożywienie o wszelkich porach dnia i nocy, musiałabym mieć strusi żołądek, żeby to wytrzymać. Karmiła mnie moja matka, gosposia, babcia i ciotki, każda we własnym zakresie i wedle własnych poglądów. Prowadzana byłam do lekarzy, jeden wydał dyspozycję, żeby dać mi spokój, zgłodnieje, to zje, tak powiedział, po pewnym czasie zaś wykrzyknął w panice: „Karmić intensywnie!” Schudłam na szkielet i o mało nie zdechłam. Zaczęto mnie zatem karmić intensywnie.

Moja teściowa, kobieta z charakterem, wykonała kiedyś numer następujący: jej syn, a mój późniejszy mąż, oznajmił przy obiedzie, że nie lubi zupy kalafiorowej i nie będzie jej jadł. Teściowa z niezmaconym spokojem odparła, że człowiek nie je, ponieważ nie jest głodny, a skoro nie jest głodny, nie dostanie nic innego. Zbuntowane dziecko dotrwało do kolacji, po czym na kolację dostało tę samą zupę kalafiorową. Nie lubi, nie będzie jadł! Nie to nie. Nazajutrz rano teściowa specjalnie ugotowała nową zupę kalafiorową i podała mu ją na śniadanie. Zdrowszy był i żerty, wrębał tę zupę, aż się kurzyło, i od tamtego czasu aż do końca życia uwielbiał zupę kalafiorową.

Ze mną ten rodzaj pedagogiki nie wyszedł. Nie znosiłam zup owocowych. Ugotowane owoce z kluskami i ze śmietaną budziły we mnie stanowczy odruch wymiotny, a już zupka jagodowa w szczególności. Babcia, na Sosnowej to było, gdzie chyba więcej przebywałam niż w rodzinnym domu, ugotowała zupę jagodową. Przy nie jedzącym dziecku stosuje się w końcu wszystkie narzędzia tortur, jakie od początku świata wymyślono. Mam jeść, dowiedziałam się, nie wstanę od stołu,

dopóki nie zjem! Nawet spróbowałam, we łzach, jedną łyżkę, chociaż odrzucało mnie już od samej woni, po czym rozpełtało się szaleństwo. Babcia sprzątała mieszkanie, trzymała mnie za głowę, łkała, szlochała, modliła się, na zmianę, ja zaś, jak już ruszyłam, to bez końca. Cud boski, że mi w ogóle po tym jakieś wnętrzności zostały. Nikt nigdy więcej nie usiłował częstować mnie zupą owocową, a kompotów żadnych do dziś dnia nie lubię. Mogę wypić, ale bez przyjemności.

W wieku lat pięciu dostałam rozstroju żołądka wielkiej klasy, czyli, elegancko mówiąc, kosmicznej sraczki. Niczego nie trawiłam, wypisz wymaluj jak w tych dowcipach o lekarzach, „kartofelki zjem, kartofelki wychodzą, marchewkę zjem, marchewka wychodzi”. Moi rodzice biedni nie byli, najlepsi lekarze, najdroższe lekarstwa, kazano mnie w końcu karmić wyłącznie tartymi jabłkami, pierwszy gatunek. Fajnie, jabłuszka zjem, jabłuszka wychodzą. Cokolwiek wychodziło, nie byłam to ja, chodzić przestałam zupełnie, szkielet nie miał siły. Zrozpaczona babcia zabrała mnie na spacer, ze schodów musieli mnie znieść, a spacer odbywał się dorożką. Babcia, w skrajnej desperacji, przeżegnała się i pomyślała: „Albo umrze, albo wyzdrowieje” i kupiła mi po drodze półtora kilo bananów. „Banany uwielbiałam, nie wiem, czy całe półtora kilo zdążyłam zjeść w trakcie spaceru, czy może trochę zostało, w każdym razie dolegliwość przeszła jak ręką odjął. Do domu dojechałam zdrowa. Osłupiały lekarz już wtedy skompromitował medycynę.

- No tak - powiedział. - Banany też są dobre na te rzeczy, ale ja nie wiedziałem, że ona lubi banany...

Kurza twarz...

Banany dokonały przełomu i krótko potem zaczęłam wyglądać jak pączek w maśle, na co istnieje dowód w postaci podobizny.

Z jedzeniem nadal grymasiłam, ale to już było zupełnie co innego. W rezultacie aż do wybuchu wojny chowana byłam na bananach i skutki okazały się zdumiewająco trwałe. Dużo musiało się przytrafić, żeby mnie wreszcie wykończyć.

Incydenty żywieniowe przydarzały się rozmaite. Lubiłam bardzo kluseczki polane masłem z podsmażoną tartą bułką, do nich jajecznicę i pomidoraka. Ówczesna nasza gosposia, niejaka Karolcia, osoba w średnim wieku, nie była przyzwyczajona do tak wyszukanego jadła. Karolcia w ogóle tym się odznaczała, że usiłowała nawiązywać ze mną kontakty towarzyskie. Czytałam już w tym okresie maniacko, książkę za książką, chciałam mieć spokój, Karolcia zaś stawiała mi nad głową, zakładała ręce na brzuchu i wpatrywała się we mnie z ciekawością, co jakiś

czas chichocząc i rzucając życzliwe słowo. Próbowałam udawać, że jej nie widzę i nie reagować, ale doprowadzało mnie to do szaleństwa i dlatego zapewne przy kluseczkach urządziłam historyczną awanturę. Karolcia podała mi potrawę w postaci klusek z wody, jajecznicy obok i suchej tartej bułki na talerzyku. Pomidorka nie było wcale. Zachowałam się przerażająco, jak rzetelnie niegrzeczne dziecko, nie pamiętam, czy tupałam, ale ryczałam rzewnymi łzami, wrzeszcząc i złorzecząc, za co zostałam silnie skarcona przez wszystkie osoby z rodziny, akurat obecne. Nikomu nie przyszło na myśl, że jest to reakcja mniej na żarcie, a bardziej na towarzyskość Karolci, ja zaś nie umiałam tego wyjaśnić.

Kiedyś mój ojciec kupił, a może dostał w prezencie od znajomego dziedzica dwie skrzynki jabłek po dwadzieścia pięć kilo każda, kosztele i malinówki. Czytając, jadłam jabłka, ogryzkami usiane było całe mieszkanie. Gdzieś po tygodniu ojciec przypomniał sobie o owocach, zwrócił się do matki, proponując, że przyniesie może kilka sztuk z piwnicy i wówczas okazało się, że już ich nie ma. Nie uwierzył, poszedł sprawdzić. Rzeczywiście, nie było, w ciągu tygodnia pożarłam prawie pięćdziesiąt kilo jabłek.

Zamykanie przed dziećmi spiżarni na klucz, o którym wielokrotnie czytywałam, było dla mnie zjawiskiem nie do pojęcia. Po tych paru pierwszych latach niejedzenia nikomu nie przyszłoby do głowy odmawiać mi czegokolwiek, mogłam pożreć cały dom i wszystkie zapasy, budząc wyłącznie okrzyki zachwytu. Jedyne co usiłowano mi wpoić, to jakąś racjonalną kolejność potraw i podstawową zasadę: słodczyce są na deser, a nie na pierwsze danie. Nie najlepiej na tej zasadzie wyszłam.

Mieliśmy posiadłość, a w niej młody sad. Posiadłość wzięła się stąd, że moja matka chciała mieć ogródek, więc ojciec kupił jej jedenaście morgów ziemi we wsi Szczęsna, dwa i pół kilometra od Grójca, i tam ówże sad został zasadzony. Jakoś to było prawie w chwili wybuchu wojny. Młode drzewa zaczęły zdumiewająco szybko owocować, a jeszcze szybciej kradła je okoliczna ludność wiejska, delegując do dzieła młode pokolenie. Pilnowałam gruszek, zależało mi na nich najbardziej, i w końcu, w obawie, że wsiowi młodzieńcy zdążą przede mną, zerwałam i zeżarłam wszystkie osiem, jeszcze niezupełnie dojrzałych. Takich boleści nie dostałam nigdy przedtem i nigdy potem. Nieco mniejsze, ale niewiele, były te następne, wynikłe z zasad i rozsądku. Już wtedy powinnam była odgadnąć, że rozsądek przez całe życie będzie mi bokiem wychodził.

Skądś wzięły się ciastka, zapewne ktoś je przyniósł. Miałam na nie wielką

ochotę, ale już byłam wytresowana w kwestii tych słodczy na deser. Najpierw normalny posiłek, ciastka potem. Wcale nie byłam głodna, zjadłabym sobie jedno albo dwa ciasteczka i byłby spokój, to nie, z szacunku dla zasady wbiłam w siebie przemocą jakieś kanapki z kielbasą i ciastka na deser stanowiły już tylko gwóźdź do trumny.

Do posiadłości jeszcze wrócę, bo w końcu ona sprawiła, że umiem odbierać żyto sierpem, wiązać powrósła i kopać kartofle, a krwawnik nieodparcie kojarzy mi się z indykami, ale na razie stoimy na produktach spożywczych.

Istniało takie coś jak uczta. We wszystkich niemal bajkach pojawiała się uczta, „stoliczku, nakryj się”, słudzy sultana, zastawiający stoły ucztą, weselna uczta na królewskim dworze, uczta na uczcie jedzie i ucztą pogania. Wyobrażałam sobie tę ucztę i w moim przekonaniu wyglądała ona następująco: razowy chleb, bardzo grubo posmarowany masłem, do tego wielkie pęto kielbasy i słodki sok wiśniowy. Dlaczego akurat to, pojęcia nie mam, ale przypuszczam, że były to przysmaki rzadko dla mnie dostępne. Karmiono mnie raczej bułeczkami, szyneczką, białym mięsem i może tylko ten sok wiśniowy od czasu do czasu dostawałam. W małych, pękatych, srebrnych kieliszczykach, które szlag trafił, kiedy bomba rąbnęła w mieszkanie mojej babci.

No i wspomnienie najstraszliwsze, bogato zaopatrzone w okoliczności towarzyszące, rozwłócone w czasie i przestrzeni. Był to już okres wojny i miałam pewnie osiem lat. Może dziewięć. Wygłodzenie nie wchodzi w rachubę, z racji posiadania już wówczas dóbr ziemskich, coś do jedzenia mieliśmy zawsze. Zastanawiam się nawet, skąd mi się wziął smak tego gnioł na kartki, określanego mianem chleba, i uraz na tle marmolady z buraków. Do końca życia zapewne nie zdobędę się na nabycie marmolady z bloku, na sam jej widok czuję drapiącą ohydę w ustach, choćby nawet stanowiła nektar i ambrozię razem wzięte. Coś w tym musiało być, nikt się przecież nie znecał nade mną, ukrywając prawdziwe jajka, prawdziwe masło, prawdziwą kielbasę i drób, i nie karmił mnie na siłę kartkowym chlebem z marmoladą z buraków. Buraki owszem, jako jarzyna i ćwikła, a marmolada, do licha ciężkiego, była z jabłek i śliwek z własnego sadu! Niemniej obrzydliwe żarcie, nie dość, że pamiętam, ale wręcz tkwi we mnie.

Musiały jednak istnieć jakieś przyczyny, dla których oko mi zbieleło na widok zastawionego stołu. Pojechaliśmy na imieniny małżonki przyjaciela moich rodziców gdzieś tam na wieś. Ów przyjaciel, zarazem wielbiciel mojej matki, był to człowiek niezmiernie bogaty, posiadający kilometry kwadratowe sadów i siedem córek. Postać

barwna, budząca we mnie żywą sympatię, szalenie podobny do Bolesława Chrobrego wedle Matejki. Lubiłam go. Dziko i namiętnie chciał mieć syna, żona rodziła mu same córki, miał podobno jednego nieślubnego, ale to nie było to samo, a wszystkie córki były prześliczne. Jedna w drugą piękne, zdrowe, dorodne dziewczyny. Najmłodsza w dniu owych imienin miała osiem miesięcy, nie wyrodziła się, urodą dorównała później starszym siostram.

Ostrzegam, że tu znów będzie dygresja, potężny skok do przodu. W wiele lat później, kiedy przy moim boku trwał prokurator, miałam dość obszerną wiedzę o rozmaitych przestępstwach, wykroczeniach i katastrofach. Jedna taka katastrofa przytrafiła się na szosie, miejsca dokładnie już nie pamiętam, w każdym razie na kierunku północnym. Wracający do ojczyzny Szwed leciał prawie nowym volvo na prom do Świnoujścia. Pogoda była piękna, słońeczko świeciło, widoczność doskonała, szosa pusta i nagle, zdawałoby się bez żadnych powodów, wpadł na dwie baby, jadące z przeciwka na motorze. Skutki były potworne. Obie kobiety na miejscu, jedną nogę znaleziono w pewnej odległości luzem, Szwed w szpitalu, a volvo w proszku. No, połowicznie w proszku, poszła karoseria, środek został prawie nietknięty i o mało tego wraka nie kupiłam. Znałam sprawę dzięki prywatnemu prokuratorowi i zaciekawilo mnie, jak on mógł wpaść na te baby, przecież nie był pijany. Twierdził, że ich nie widział, co wydawało się idiotyzmem. Pojechałam na wizję lokalną. Warunki były identyczne, piękna pogoda, słońce, pusta szosa. Siedziałam w samochodzie milicji, a z przeciwka nadjeżdżał funkcjonariusz, imitujący owe nieboszczki na motorze. I ujrzałam zjawisko na własne oczy.

Szosa miała leciutkie wybrzuszenie, zbyt małe, żeby je nazwać wzniesieniem, zasłaniało ten dalszy ciąg może na wysokość dwudziestu centymetrów, a przy tym był tam też nie łuk, bo to za duże słowo, tylko jakby odchylenie rzędu jednego stopnia. Razem wzięwszy, oba elementy zrobiły swoje. Odbijające się w asfalcie słońce chyba się dołożyło, bo w jakiś tajemniczy sposób nadjeżdżający z przeciwka motor nie był widoczny i zobaczyłam go zupełnie nagle, można powiedzieć z zaskoczenia. Wszyscy byli nastawieni, wszyscy wiedzieli, że nadjeżdża, szybkość mieli bez wątpienia mniejszą niż ostro lecący Szwed, a jednak, bez zachowania ostrożności, katastrofę z łatwością można było repetować. Szwed został uniewinniony, przyczyną wypadku uznano warunki atmosferyczne.

Nie w Szwedzie sedno sprawy. Wracałam do Warszawy razem z biegłym sądowym i po drodze opowiadaliśmy sobie rozmaite michałki. Już było wiadomo, że

wrak volva pójdzie na licytację, po cichutku został nawet zakontraktowany, wyraziłam żal, gadaliśmy dalej o samochodach i cenach i biegły sądowy napomknął o jednym swoim przyjacielu, który w prezencie ślubnym dla córki postanowił kupić nowego białego mercedesa. Biegły uważał to za rozszałałą fanaberię.

- Czyś ty zwariował, człowieku, czy ty wiesz, ile kosztuje nowy mercedes? - spytał ze zgrozą przyjaciela.

- No ile?

- Co najmniej czterysta tysięcy!

- Masz sześćset i nie zawracaj głowy. Załatw mi to.

Niezła pensja w owym czasie wynosiła około czterech tysięcy, pół miliona to była suma z bajki. Z szalonym zaciekawieniem spytałam, co on robi, ten facet, i wówczas padło nazwisko.

- Jezus Mario! - krzyknęłam, wstrząśnięta. -Przecież ja go znam od wczesnego dzieciństwa! Która córka...?!

Był to właśnie ów przyjaciel rodziny i wielbiciel mojej matki, który na sekundę przed reformą rolną rozpiisał swoje kilometry sadów na całą rodzinę i znajomych, dzięki czemu pozostał ich faktycznym właścicielem. Za mąż wychodziła właśnie córka najmłodsza, ta, która na przyjęciu imieninowym miała osiem miesięcy.

No i tego przyjęcia imieninowego nie zapomnę, choćbym żyła tysiąc lat. Na stole znajdowało się wszystko. Indyki, borówki, sardynki, szyneczka, drób w galarecie, łososie, dziczyzna, no i najgorsze: deser. Na deser między innymi był tort czekoladowy i trójkątne kruche ciasteczka w czekoladowym kremie. Wyglądały tak apetycznie, że coś się robiło.

Od początku żarłam jak maszyna te indyki i galaretki, łakomie i bezmyślnie, i skutek dało to straszny. Nie zdołałam zjeść więcej niż jeden kawałek czekoladowego tortu i ani kawałka tych kruchych ciasteczek! Przyjęte w siebie pożywienie wychodziło mi dziurkami od nosa i może nawet uszami, łebka od szpilki nie zdołałabym już zmieścić, a te delicje stały przede mną i kusily. Chciałam bezgranicznie, ale, niestety, nie dałam rady zjeść drugiego kawałka i już wtedy omal się nie popłakałam z żalu. Co gorsza, po dwóch godzinach mniej więcej jakaś odrobina miejsca już się we mnie pojawiła, wbiłabym w ten luz zachwycające łakocie, ale sytuacja przy stole zdążyła ulec zmianie. Jako dziecko dobrze wychowane, nie ośmieliłam się upomnieć i żal, śmiertelny, niebotyczny i ssący, pozostał mi po wieki wieków.

O żarciu, ogólnie, mogłabym jeszcze dużo, ale przypomniałam sobie, że w zasadzie opisuję zgryzoty, jakie miała ze mną moja rodzina, a nie garmazeryjne tło egzystencji. Spróbuję wrócić do tematu.

Drugim zatem nieszczęściem były moje choroby. Z wyjątkiem dyfterytu, tyfusu i zapalenia płuc, miałam chyba wszystko. Odrę, wietrzną ospę, szkarlatynę, koklusz, świnkę, a grypy i anginy nie wychodziły z domu. Wedle oceny mojej matki, dwa tygodnie byłam zdrowa, a trzy tygodnie chora. Nie dziwię się. Dziwię się raczej, że nie umarłam co najmniej z pięć razy.

Któraś z tych typowych, odrą albo wietrzna ospa, przeszła ulgowo, bo na samym wstępie dostałam kilowy słoik miodu i ten miód, po odrobinie, ale bez przerwy, pochłonełam jednym ciągiem. Wysypka wystąpiła, zanim przypadłość się wzmogła i rychło wróciłam do zdrowia. Grypy i anginy za to trzymały się mnie kurczowo i od dawna znam przyczyny tego zjawiska.

Ubierana byłam przerażająco. Głównie przyczyniła się do tego babcia, która trwała w mniemaniu, iż dziecko należy ciepło trzymać i pogład zdołała wpoić całej rodzinie. Rajtuzy, swetry, śniegowce, ciepłe majtki, szaliki, futerko, żeby je piorun strzelił, istny bałwan, nie pamiętam co tam jeszcze, ale wiem z całą pewnością, że stanowiło to moją śmiertelną udrekę przez długie lata. Nieruchawość ten strój powodował rozpaczliwą i dzieci się ze mnie natrzęsały, bo nie mogłam biegać. Bieganie w ogóle zostało mi wzbronione, mogłabym się bowiem spocić. A pewnie, każdy by się spocił. Macano mi ręce. Bez wątpienia musiałam mieć złe krążenie, bo ręce i nogi były zawsze zimne, wobec czego nakładano na mnie następną sztukę ciepłej odzieży, w której cud zwyczajny, że się w końcu nie zadusiłam na śmierć. Maniactwo na tym tle pozostało mojej rodzinie do końca i blisko czterdzieści lat miałam, kiedy jeszcze Lucyna zdołała doprowadzić mnie do pasji. Pojechałam z nimi za Sejny, do któregoś z potomków prababci, po owcze skóry na kozuch. Samochód postawiłam na podwórzu, okres był oczywiście późnojesienny, siedzieliśmy przy stole, spożywając kiszkę pasztetową, jakiej od przedwojennych czasów nie jadłam, i coś tam okazało się potrzebne. Należało skoczyć po to do samochodu. Podniosłam się i ruszyłam na podwórze, w drzwiach dopadła mnie Lucyna, usiłując ubrać w kozuszek, bo przez te trzy metry i dziesięć sekund mogłabym się zaziębić, jej było zimno, więc mnie należało ubrać. Zareagowałam dość gwałtownie i zdaje się, że nie byłam ani grzeczna, ani uprzejma.

Do tej pory tkwi we mnie wspomnienie cudownej chwili, kiedy zapomniałam

ubrać się kompletnie. Mieszkanie babci na Sosnowej mieściło się na czwartym piętrze, bez windy. Zima to była, schodziłam po schodach i tak mi się jakoś lekko i przyjemnie szło, prawie skrzydła czułam u stóp. Babcia szła za mną, na drugim piętrze spojrzała.

- Jezus Mario Józefie święty! - krzyknęła ze zgrozą. - Nie włożyłaś śniegowców!

Rzeczywiście. Stąd lekkość. Usiłowałam wyzebrać spacer bez tych cholernych śniegowców, ale nic z tego, babcia była nieubłagana. Musiałam wrócić i przyodziać się stosownie, po czym od razu życie straciło wszelki urok.

Upiorne i uporczywe przegrzewanie powodowało te wszystkie zaziębienia, odbierało mi odporność i do rozpacz przywodziło moją matkę. Odrobiny rozumu nie okazał nikt za co mam do całej rodziny pretensję, o tyle łagodną, że w końcu załatwiłam sprawę we własnym zakresie. Przypadkowo i wcale nie przez rozum, ale za to skutecznie.

Trzecim okropieństwem, trwałym i niezwalczonym, okazał się mój charakter. Geny, jak sądzę. Prababcie, babcie i w ogóle wszystkie przód kinie odezwały się we mnie wielkim głosem i na to już nie było żadnej rady.

Otóż upierałam się być samodzielna. Istnieją na świecie nieszczęśliwe dzieci, pozbawione wszelkiej opieki, i istnieją nieszczęśliwe dzieci, obarczone nadmiarem opieki. Jedno i drugie daje efekty okropne. Nie rozum mną kierował, to pewne, trudno od pięcioletniej jednostki oczekiwać rozumu, musiał to być zatem zdrowy instynkt. Chciałam sama. Wszystko, co tylko się dało, chciałam sama. Podróże Grójec-Warszawa były dla mnie chlebem powszednim i dosyć miałam osób towarzyszących, życzyłam sobie odbywać je solo. Upierałam się przy tym do tego stopnia, awanturowałam się tak energicznie, że w końcu mi na to pozwolono. Rzecz jest o tyle dziwna, że dla mojej matki samodzielność była cechą nie do pojęcia i nie do przyjęcia, troska o dziecko gnioła ją prasą hydrauliczną, chociaż brakowało jej może trochę logiki i konsekwencji, to nieszczęsne „solo” szarpało jej trzewia, a jednak uległa. W porządku, upieram się dziko, niech sobie jadę sama.

Rzecz została starannie ukartowana, o czym, oczywiście, dowiedziałam się znacznie później. W Grójcu rodzice ulokowali mnie w autobusie i, ku mojemu szczęściu, pozostawili własnemu losowi z nadzieją, że nie wpadnie mi do głowy wysiąść gdziekolwiek po drodze. W Warszawie zaangażowany został mój dziadek. Kryjąc się po zakamarkach, skradając i śledząc upiornego bachora, pilnował

bezpieczeństwa. Wsiadłam, obejrzałam begonie i ruszyłam do domu babci, prawidłowo i jak należy przechodząc przez ulicę. Po drodze, na Żelaznej, zatrzymałam się na wiadukcie, postąłam trochę i pooglądałam przejeżdżające pociągi. Czarowna woń dymu z parowozu do dziś jest zapachem mojego dzieciństwa i zapachem, niech pękne, wolności...

Następnie porzuciłam pociągi i bez najmniejszego wahania podążyłam wprost do domu dziadków, nigdzie się już nie zatrzymując i nigdzie nie błędząc. Dziadek był ze mnie bardzo dumny. Trafiłam jak po sznurku i dziwiłam się trochę okrzykom zachwytu i łzom w oczach.

Straszliwa skłonność do samodzielności raz wyzwolona, wybujała, rozkwitła i zatrąła życie mojej matce, mnie zaś pozwoliła istnieć jako mniej więcej normalnej jednostce. Podejrzewam poważnie, że bez tej cechy już dawno nie byłoby mnie wcale i słowa komentarza: „Bez szkody dla zdrowia” proszę wymawiać niewyraźnie i wyłącznie pod nosem.

Dziko, szaleńczo i bezgranicznie zazdrościłam ubogim żydowskim dzieciom. Prawdopodobnie ubogie żydowskie dzieci zazdrościły mnie.

I tu znów uczynię dygresję odmiennej natury. MNIE. Nie MI. Z tym okropnym „mi” spotykam się ostatnio coraz częściej we wszelkim słowie pisanym. Przykład bez mała kliniczny: komu on to powiedział? Mi.

Ludzie, rany boskie, kłębi się we mnie szaleństwo, salwami strzelają poglądy i uczucia! Opamiętajmy się! Syjonizm syjonizmem, antysemityzm antysemityzmem, nie o to chodzi! To jest żydłaczenie!!!

Antysemitką poczułam się od chwili dokładnego przeczytania Biblii, z tym że mój antysemityzm jest chyba dość nietypowy. Kwestię Biblii wyjaśnię gdzieś tam pod koniec. Nie odróżniam Żydów od Polaków, Francuzów, Duńczyków, Arabów, o ile nie żydłaczą. Znam ludzi pochodzenia żydowskiego, którzy od pokoleń są szczerymi Polakami, patriotami, jednostkami w najwyższym stopniu wartościowymi, najinteligentniejszy Duńczyk, jakiego znałam, był pochodzenia żydowskiego, uroczy i sympatyczny, co mnie obchodziło jego pochodzenie! O niebo przerastał kulturą polskiego chama i wstyd mi było przed nim za własnych rodaków.

Ale nie zgadzam się na paskudzenie polskiego języka, obojętne, czy to będzie londyński slang, wypaczony język francuski, „bwana kubwa zjeść mięso”, czy ten przedziwny żydowski żargon. „Mi” jest typowe. Co, do pioruna ciężkiego, robią tłumacze i korektorzy, w co drugiej książce pęta się „mi”! Drwiną z Żydów, obelgą,

jest właśnie żydłaczenie, „uś, proszę pana, mi to zaszkodziło!” Najbardziej charakterystyczny zaimek, kto to robi, dlaczego nikt jeszcze na to nie zareagował?! Mafia żydowska podobno nie pozwala się lżyć, gdzie jest ta mafia, pytam grzecznie, w tym właśnie haniebnym, podwójnie haniebnym błędzie?! Haniebnym dla nas i haniebnym dla nich!!!

Dla uniknięcia nieporozumień zwracam uprzejmie uwagę, że sama, jak widać na załączonym obrazku, używam obu form, wcale nie dyskryminując nieszczęsnego „mi”. Kto zaś nie wierzy, że tak na początku, jak i na końcu zdania nie ma ono racji bytu, niech sobie postudiuje gramatykę polską, której w tym utworze wykładać nie będę. Za to uroczyście oświadczam, że jeśli dalej to „mi” będzie się pętało w druku, poczuję się zmuszona nabyć nową siekiere, bo stare się stępiły, i własną ręką pozabijać tłumaczy i korektorów. Korektorów może nawet będę dziabac kilka razy, bo w przerażającym stopniu narazili mi się już dawno.

Dobrze, nie pożałuję sobie. Komu się nie podoba, może ten fragment przepuścić, niech go potraktuje jak opis przyrody. W jednym MacLeanie jest zdanie prześliczne: „Wyżynali się wzajemnie”. Przeczytawszy to, przez chwilę nie rozumiałam tekstu, doznałam wrażenia, że wyżymali się, jak po praniu. Otóż nie, oni się wyrzynali. Korektor, od chwili puszczenia błędu, powinien ulice zamiatać, bo do pracy umysłowej niezdatny i daj mi Boże, żeby mnie teraz do sądu zaskarżył!

Zanim jednak to szczęście mnie spotka, wrócę do tematu.

Ubogie żydowskie dzieci widywałam z balkonu, jak wybiegały na ulicę, bawiły się, wracały do domu i nikt ich nie pilnował. Namiętnie zazdrościłam im tej wolności i swobody, niedostępnej dla mnie, niczym gwiazdka z nieba. Żeby wyjść z domu, iść na spacer, musiałam błagać i żebrać o pozwolenie, a obwarowane to było tysiącami zastrzeżeń. Niezbędna była osoba towarzysząca, odpowiednia pogoda, należało mnie ubrać ciepło, a potem pilnować, żebym się nie zgrzała. Sama? Wykluczone, mowy nie ma! Później odgadłam, że moja matka po prostu trzymała mnie przy sobie, dla własnego spokoju, żeby się nie musiała denerwować nie wiedząc, co się ze mną dzieje. Usiłowała stosować tę metodę przez całe życie, ale nie bardzo jej wyszło.

Samodzielny spacer pamiętam tylko jeden. W pełni lata zostałam wypuszczona na świeże powietrze i udałam się kawałek za miasto. Dom stał na skraju zabudowań, więc ten kawałek nie był duży, pomaszero wałam aż do ostatnich budynków i zatrzymałam się przed furtką małego domu. Ogródek wydawał mi się

prześliczny, kwitły tam aksamitki, przyglądałam się kwiatkom i odezwała się do mnie obecna w środku właścicielka. Treści krótkiej pogawędki nie pamiętam wcale, ale na zakończenie usiłowała ofiarować mi pięć groszy.

Przeżyłam wstrząs. Gorąco mi się zrobiło, zeszywniałam, honor się we mnie miotnął, poczułam się straszliwie upokorzona. Pięć groszy w prezencie od obcej osoby skojarzyło mi się z żebranią, przyjęcie podarunku byłoby hańbą bezdenną. Podziękowałam i odmówiłam grzecznie, chociaż zdaje się, że dość gwałtownie, bo pani w ogródku była nie tylko zdziwiona, ale wyraźnie urażona. Poszłam sobie stamtąd czym prędzej i na jakiś czas zrezygnowałam z samodzielnych spacerów.

Kontakty z dziećmi miałam wysoce ograniczone, bo moja matka była zdania, że nie stanowią dla mnie odpowiedniego towarzystwa. Możliwe, że miała trochę racji. Dzieci jak dzieci, uważały mnie za dziwoląga i bawiły się we mnie. Raz byłam świadkiem takiej zabawy, zaprezentowano mi ją z wielką dumą. Jakieś dwie sztuki były moimi rodzicami, jakaś jedna mną i ta jedna zachowywała się w sposób, który mnie zgorszył straszliwie. Skakała po stołkach i stołach, tłukła naczynia, była nieposłuszna i niegrzeczna, coś okropnego! Zaprotestowałam energicznie, w życiu takie wybryki nie przyszłyby mi do głowy! Te dzieci pojęcia nie miały o mojej egzystencji, wyobrażały sobie jakieś szaleństwa, ponieważ nikt mnie nigdy nie bił. Moje protesty przyjęły z niedowierzaniem, ograniczenia, będące moim udziałem, nie mieściły im się w głowie.

W dodatku namawiały mnie do złego. Nie wolno mi było biegać, żebym się nie zgrzała, dzieci zatem zachęcały mnie gorąco do łamania zakazu. „Dzidzia, lataj! Dzidzia, lataj!” I w końcu polatałam, bo w gruncie rzeczy samo mnie niosło, normalne dziecko jest zawsze spragnione ruchu. Popędziłam w dół po skarpie, doświadczenia w tej dziedzinie nie miałam żadnego, kadłub mi runął ku przodowi, nogi za nim nie nadążyły i rozwaliłam sobie kolano tak, że na całe życie została blizna. Z rykiem wróciłam do domu, a dzieci się przestraszyły i przestały kusić do złego.

Upiorna Dzidzia, wyznam to publicznie, żeby mnie nikt nie mógł szantażować, wlokła się za mną całe lata. Nienawidziłam tego imienia, z którego nieco później zrobiono Dzidkę, i musiałam ostro protestować, bo w końcu rodzina odczepiła się od wstrętnej nazwy. Naprawdę miałam na imię Irena, Ireny też nie lubiłam. Wymyśliła ją moja matka, bo w czasie ciąży czytała Zarzycką i Panna Irka wzbudziła jej zachwyty, a w dodatku Zarzycką znała osobiście i od niej wiem, że w

końcu panna Irka poślubiła Mietka. Na całe szczęście tych imion mi dołożono, razem wzięwszy od chrztu i bierzmowania posiadam trzy, Irena, Barbara, Joanna. Najbardziej przypadło mi do gustu to ostatnie i przy pierwszej okazji przerzuciłam się na Joannę, nastąpiło to jednak już znacznie później.

Do chorób muszę jeszcze wrócić, bo dostarczały licznych rozrywek dodatkowych. Wynikały, jak łatwo zgadnąć, z uporczywego przegrzewania. Służba zdrowia miała ze mną ciężki krzyż pański, bo już jako niemowlę zaczynałam się drzeć na sam widok osoby w białym fartuchu, obojętne, czy był to lekarz, czy na przykład piekarz albo kucharz. Przy zastrzykach histeryzowałam szaleńczo, czemu obecnie wcale się nie dziwię. Panowała przed wojną koszmarna moda na coś, co się nazywało „colodium”. Może przez dwa „l”, nie jestem pewna. Tym colodium smarowało się po zastrzyku miejsce ukłucia, Bóg raczy wiedzieć po co. Sam zastrzyk to była mięta, panicznie bałam się owego środka ochronnego, ponieważ draństwo ściągało skórę i piekło potwornie. Kiedy zaniechano stosowania świniństwa, z miejsca skończyłam z histerią i nigdy więcej przy żadnych zastrzykach nie sprawiałam nikomu kłopotów.

Wytrwałam za to przy innej dziedzinie. Gardło bez wątpienia oglądano mi około miliona razy, a, jak wiadomo, gardło dziecku lekarz ogląda przy pomocy łyżeczki. Nie ze mną te numery. Dwa lata miałam, kiedy już moja matka nie zawracała sobie głowy łyżeczką, od razu wyjaśniając zdumionemu eskulapowi, że ja to załatwiam bez przyrządów pomocniczych. Nie wierzył, zaglądał, po czym mówił, wręcz wstrząśnięty: „Rzeczywiście, do żołądka można jej zajrzeć”. Nauczyłam się pokazywać to gardło tak porządnie i dokładnie z nienawiści do łyżeczki, bo ciało obce w gardle było dla mnie nie do przyjęcia. Pędzlowania przy anginie spróbowano raz i nigdy więcej. Skutki okazały się katastrofalne, dorównała im tylko owa zupka jagodowa i cebula mojej matki, o mało mnie nie odwróciło na lewą stronę.

Dość łatwo za to znosiłam bańki, może dzięki bajce o Klimku. Opowiadał mija mój dziadek, a potem reszta rodziny, bo nie zawsze przy bańkach dziadek był obecny. Bajka o Klimku była niezbędna, bez niej zapewne kuracja nie mogłaby działać. Raz tylko urządziłam przedstawienie potężne, którego przyczyn nikt nie potrafił zrozumieć.

Przy jakimś porządniejszym bronchicie babcia postanowiła postawić mi bańki także z frontu, na klatce piersiowej. Nie wzięła, niestety, pod uwagę tego, że przedtem opowiadała, nader obrazowo, jak to bańkami z frontu leczyła własną

średnią córkę. Dziecko już prawie zdychało, babcia zdobyła się na czyn rewolucyjny, rąbnęła mu te bańki...

- A ona tylko tak zrobiła: hyyyyyyyy! - mówiła z wielkim przejęciem. - I tak się zachłysnęła, jakby się dusiła, a potem zaraz jej przeszło...

„Zaraz jej przeszło” nie dotarło do mnie, pozostało tylko to przerażające „hyyyyyyyy!” Jezus Mario, babcia mi postawi bańki z frontu i ja też będę musiała zrobić hyyyyyyyy! Za nic!

Przypuszczam, że to coś, co wyprawiałam, przypominało bunt dzikich zwierząt w ogrodzie zoologicznym. Broniałam się pazurami i zębami wśród spazmów, ryków i wyszukanej akrobacji, rodzina nie dała mi rady, zrezygnowano w końcu z tych zabiegów dodatkowych. Korzyść odniosłam z wydarzenia można powiedzieć naukową, wzbogaciło moją wiedzę pedagogiczną. Dorośli ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, co dziecko słyszy, co zapamiętuje i jak odbiera, a potem lęgną się z tego rozmaite nieszczęścia.

Zapomniał wół, jak cielęciami był. Szczęśliwym przypadkiem udało mi się tamtej straszliwości nie zapomnieć.

Najgorszy był koklusz. Na koklusz zapadłam w Warszawie, uciechy przysparzając babci. Dusiałam się, przy kokluszu normalna sprawa, i raz w celu złapania powietrza rzuciłam się do okna. Zaczęłam je gwałtownie otwierać, szarpiąc rozpaczliwie, babcia zaś natychmiast miotnęło skojarzenie: jej własna córka w oknie na czwartym piętrze z nogami na zewnątrz! Rzuciła się za mną, odciągając mnie w panice, usiłowałam się jej wyrwać, straszna scena trwała, aż mi atak przeszedł i odczepiłam się od okna.

Klapsa dostałam raz. Jedno w życiu lanie też raz, ale o wiele później i najzupełniej niesprawiedliwie. Kto najgorzej wyszedł na tym pierwszym klapsie, można by się długo zastanawiać.

Moja matka cierpiała na migrenę. Migreny miewała ustawicznie, całe moje dzieciństwo wypełnione jest jej bólami głowy, których przyczyną były zaburzenia na tle ginekologicznym i można to było załatwić na samym początku. Drugie dziecko albo operacja, na drugie dziecko się nie zdecydowała, czego odżałować nie mogę, na operację owszem, tyle że dopiero po wojnie, albo może pod koniec wojny, kiedy do grójeckiego szpitala przyplątał się doskonały chirurg. Bóle głowy przeszły potem jak ręką odjął, przedtem jednak stanowiły istny dopust boży.

Moja matka zatem leżała w łóżku z kompresem na głowie, a ja znalazłam

sobie rozrywkę. W tym samym pokoju. Opierałam o tapczan jednym końcem deskę do prasowania i zjeżdżałam po niej jak po zjeżdżalni w ogródku jordanowskim. Rzecz jasna, deska zjeżdżała razem ze mną i z hukiem waliła w podłogę, zagłuszając jęk matki. Nie wytrzymała tego w końcu i zwróciła się do ojca z żądaniem, żeby coś zrobił. Ojciec był zdenerwowany, prawdopodobnie można mnie było zabrać do drugiego pokoju i wyjaśnić sprawę, ale nie przyszło mu to do głowy. „Przestań zjeżdżać”, powiedział ze trzy razy, ja zaś zjechałam ponownie, wobec czego zwyczajnie przyłożył mi klapsa.

Doznanie było tak wstrząsające, że podobno na moment zamarłam z otwartymi ustami. Potem wydałam z siebie ryk nieludzki i jednym kangurzym skokiem znalazłam się na głowie mojej matki, dogadzając jej znacznie lepiej niż przy pomocy deski. ; Potem odcierpiał swoje ojciec, bo matce się jego | dzieło nie spodobało.

Ojciec w owym okresie raczej mnie unikał. Niemowlęcia się brzydził, małego dziecka trochę bał, a trochę zapominał, że istnieje. Zauważył córkę dopiero, kiedy już nieco dorosłam i przekroczywszy jedenasty rok życia, zaczęłam przypominać istotę ludzką. Matka miała do niego o to pretensje i żądała współdziałania w opiece, moim prywatnym zdaniem niesłusznie. Wiele do roboty nie miała, służące były zawsze, a do opieki nad dzieckiem rwała się babcia, u której spędzałam pół życia. Do czego tu jeszcze pracujący ojciec?

Niemniej wywarto na niego presję i raz zostałam z nim razem wysłana, kiedy jechał do Warszawy. Pociągiem. Zdaje się, że matka przeżyła wówczas ciężkie chwile.

Przyszedł ktoś znajomy i powiedział, że właśnie wrócił z Warszawy i widział mojego ojca. Pociągi się mijały, ojciec siedział w tym obok, nie dostrzegł go, bo czytał gazetę.

- A dziecko? - spytała moja matka, od razu zaniepokojona.

- Jakie dziecko?

- Jak to jakie, przecież z dzieckiem pojechał, gdzie była moja córka...?!

Znajomy żadnego dziecka obok ojca nie widział. Matka znalazła wyjaśnienie natychmiast, bo zawsze była katastrofistką. Miałam trzy lata, wypadłam z wagonu, już gdzieś tam leżę rozsmazana na torze, a ten wyrodny ojciec nie ma o tym najmniejszego pojęcia i w ogóle go to nie obchodzi!

Nastąpiły sceny straszliwe, ale już nie pamiętam, w jaki sposób rzecz się

wyjaśniła. Telefonów nie mieliśmy, na miejscu mojej matki wsiadłabym w następny pociąg i pojechałabym do Warszawy, pilnie patrząc, czy gdzieś na trasie nie ma zbiegowiska, ona jednakże stosowała inne metody działania. Jakoś to w końcu sprawdzono, okazało się, że jestem żywa i zdrowa, ojciec wprawdzie rzeczywiście zapomniał, że podróżuje z dzieckiem, ale mnie się nic nie stało, łąziłam sobie po całym pociągu, przed Warszawą wróciłam do niego i razem spokojnie wysiedliśmy.

W owym to czasie spotykało mnie kretyństwo, które ogromnie pogorszyło moją opinię o ludziach dorosłych. Bywałam, razem z matką, u ojca w banku, gdzie wszyscy mnie znali i za każdym razem z podziwu godnym uporem zadawali mi dwa idiotyczne pytania: „Co słyhać?” i „Dlaczego sobie nie umyłaś oczu?”

Na pytanie pierwsze odpowiadałam uczciwie i bardzo rozsądnie: „Radio”. Co innego mogło być słyhać? Co do drugiego, oczy miałam rzeczywiście czarne, ale pomyśl, że miałabym je myć, wydawał mi się szczytem głupoty. Kto by pchał mydło do oczu? Czarne były z natury, niezmywalnie, i ci wszyscy ludzie musieli być obrani z rozumu, skoro o tym nie wiedzieli. Na pytanie nie odpowiadałam wcale, bo co będę z półgłówkami rozmawiać.

Od czasu do czasu, jak sądzę, zachowywałam się jak normalne dziecko. Bawiłam się. Po ukończeniu czwartego roku życia najukochańszą moją zabawą była produkcja ozdób na choinkę, w ściśle określonych warunkach. Najlepiej mi wychodziły bombki i łańcuchy, nieco trudniejsze były pękate gwiazdki. Umiałam posługiwać się cyrklem i nożyczkami, uwielbiałam te przyrządy, i nie znosiłam asysty. Miałam swój fotelik, stolik i szafkę, wszystko białe, a wykonał te meble specjalnie dla mnie dziadek, który umiał zrobić wszystko. Zamykałam się starannie w sypialni, spragniona izolacji, siadałam przy stoliku i z dreszczem szczęścia w sercu odwalalam robotę. Zdaje się, że zaczynałam już w lecie.

Izolacji musiałam być chyba trwale spragniona, bo kiedy moja matka kładła się w ciągu dnia i przysypiała, chodziłam na palcach, usiłując nie oddychać, żeby jej, broń Boże, nie obudzić. Doskonale pamiętam, że wcale nie ze względu na nią, tylko ze względu na siebie. Czułam się sama i miałam święty spokój.

A równocześnie przypominam sobie, że urządziłam kiedyś historyczną scenę w celu dokładnie odwrotnym. Matka z ojcem poszli gdzieś na brydża, dochodząca służąca chciała już iść do domu i na krótko miałam zostać sama. Nie był to pierwszy taki wypadek, zostawałam sama od czasu do czasu, tym razem jednak złe we mnie wstąpiło. Nie zostanę sama za nic w świecie!!! Piekło się rozpętało dzikie, przerażona

dziewczyna zadzwoniła chyba po nich, bo już wtedy w domu był telefon, i przylecieli w panice. Co mnie napadło, Bóg raczy wiedzieć, ten gatunek szaleństwa zaprezentowałam tylko jeden raz, a jego przyczyn nie pamiętam. Miałam już wtedy dziewięć lat, możliwe, że po prostu czytałam jakiś przerażający utwór i przejęłam się nim nieco przesadnie.

Nie bawiłam się lalkami. Jako dziewczynka byłam z pewnością trochę nienormalna. Żadnych córeczek, ubierań, żadnej opiekuńczości, żadnych uczuć macierzyńskich. Dobre serce miałam, owszem, raz urządziłam moją matkę, chociaż, uczciwie mówiąc, ona sama się urządziła. Bawiłam się w ogrodzie, lunął deszcz, lalka została na trawniku. Moja matka powiedziała mi wierszyk, który kończył się słowami: „A tam lalki mokną, mokną...” Wyglądałyśmy przez okno, ryknęłam szlochom straszliwym, nie mogłam się uspokoić, bo biedna lalka mokła na dworze, w rezultacie matka poleciała pod ten prysznic i w potokach wody przyniosła cholerną lalkę do domu.

Lalek w ogóle miałam dwie i jednego pieska. Zuzia to była, Koczkodan i Azorek. Zuzia i Azorek podróżowały ze mną wszędzie, bo były małe, Koczkodan był lalką większą, bardzo piękną, którą na samym wstępie uczesałam, dzięki czemu zyskała imię. Ktoś krzyknął: „Boże, a cóż to za koczkodan!” i tak już zostało. Możliwe, że było tych lalek więcej, ale nie miały żadnego znaczenia, nie liczyły się i dość szybko przestano mi je kupować, bo widać było, że wszystko inne jest lepsze.

Miałam klocki, pewnie od urodzenia. Ustawiłam z nich budowlę, która mi runęła. Zanim zdążyłam uderzyć w ryk, moja matka krzyknęła:

- Ach, jaka katastrofa!

Spodobało mi się to, natychmiast ustawiłam następne torobajdło, przewróciłam jednym machnięciem i krzyknęłam z zachwytem:

- Aka tlofa!

Rychło moja matka zaczęła sobie pluć w brodę za pedagogiczną reakcję, bo powtarzałam zabawę do upojenia, a rumor walących się klocków mógł przyprawić o rozstrój nerwowy nawet głuchego.

Miałam poza tym pchełki, chińczyka, kredki, farby, koraliki i książki, książki, książki. Nie miałam nigdy kokardy w pepitkę, ale nad tym brakiem cierpiałam nieco później. W wieku lat pięciu dostałam srebrny zegarek, który dość szybko wykapałam w Bugu. Okazało się, że on tego nie lubił. Miałam łyżwy, zdały mi się jak psu piąta noga, bo ciągle byłam dzieckiem pilnowanym i sama na te łyżwy chodzić nie

mogłam. Nudziłam i żebrałam, żeby ktoś ze mną poszedł na staw, ale matce było zimno, a ojciec, jak by nie było, miał mało czasu. W rezultacie nigdy nie nauczyłam się jeździć, aczkolwiek podłoga w mieszkaniu była rzetelnie porysowana.

Lubiłam haftować. Moja matka haftowała przepięknie i z wielkim upodobaniem. Chciałam również. Dostałam jakiś najdalszy róg wielkiej płachty, zapewne był to obrus, i z zapalem przystąpiłam do dzieła. Moja matka wspominała to zawsze z wielką dumą, szczycąc się talentem dziecka. Haft wykonałam w pełni godny jednostki pięcioletniej, a może nawet czteroletniej. Niewiele miały wspólnego moje ściegi z narysowanym wzorem. Matka z anielską cierpliwością wyjaśniła mi, na czym rzecz polega, mianowicie tam należy haftować, gdzie narysowane i nic dalej, po czym nazajutrz wykazałam się zdolnościami miary wręcz nadludzkiej. Gmatwanina wyszła owszem, przerażająca, ale ani jeden ścieg nie znalazł się poza linią. Nie pamiętam tej nauki haftu, znam za to rezultaty. Najzwyczajniej w świecie umiem haftować.

Bardzo mi się podobało cerowanie dziur. Z wielką przyjemnością przebierałam się w kiecki mojej matki, pozwalala mi na to, i kiedyś, włożywszy jej najnowszą letnią suknię, wycięłam na środku w okolicy kolan wielką dziurę, specjalnie do zacerowania. Była to biało-zielona pepitka, a wydarzenie utkwiło mi w pamięci, bo po informacji, że czyn był naganny, a zacerować się nie da, poczułam ogromne zdziwienie i głęboki żal.

Ustawicznie po domu pętały się rozmaite psy i koty. Jako pierwszą pamiętam Azę. Była to prześliczna młoda wyżlica, która przy zabawie ugryzła mnie w ramię, o co miałam do niej pretensję bardzo krótko i nie nabrałam żadnych urazów. Następny był Misiek. Ojciec przyniósł do domu białą, puchatą kulę, która mnie z miejsca zachwyła bez granic. Odciągnęłam to ku sobie, kiedy się wybierało do kuchni.

- Chodź, Misiu - powiedziałam pouczająco. - Ty będziesz pokojowy piesek.

- Tak, a Aza to jest kuchenny piesek - mruknęła na to moja matka.

Pokojowy piesek wyrósł na bydlę wagi przeszło pięćdziesiąt kilo i było z nim sto pociech, ale zarazem serce mi się kraje, kiedy go wspominam. Łatwego życia to ten pies nie miał. Długie okresy czasu spędzał tak, jak powinien, na dworze, w innych jednakże trzymany był w domu i brakowało mu ruchu. Uciekał wtedy przy każdej okazji, szalał po świecie przez trzy dni, po czym wracał dobrowolnie, nażarty flakami z rzeźni. Nie szły mu na zdrowie, pozbywał się ich w mieszkaniu i ja to musiałam sprzątać, co, zapewniam uroczyście, trudno zapomnieć do siwego włosa.

Zważywszy rasę, owczarek podhalański, interesowała się nim wszelka

żywnina, głównie krowy i owce. Ilekroć szło się z psem za miasto, całe stado bydła podnosiły się i ruszały za nim. Pies miał to w nosie, ale właściciele inwentarza przeciwnie i raz jeden chłop gonił moją matkę z kłonicą, twierdząc, że podstępnie ukradła mu całe stado krów. Faktem jest, że krowy były koło nas, dawno opuściwszy własne pastwisko, ale wszystko czyniły dobrowolnie, przez nikogo nie zachęcane. Głupi chłop nie chciał wierzyć.

Wytresowany nie był w najmniejszym stopniu, Misiak rzecz jasna, nie chłop, ale mądry sam z siebie. Od urodzenia chował się z kotami i nigdy żadnego nie ruszył, szczególnym szacunkiem darząc białe, bo najdłużej, i też od dzieciństwa, chował się z nim Pimpuś. Pimpuś, małe, białe kociątko, po trzech latach przeistoczył się w potwora rozmiarów bez mała prosiaka i kiedy spały razem, trudno było odróżnić, które pies, a które kot. O ile oczywiście pies był akurat wykąpany.

Kąpieli, i w ogóle wody, nienawidził śmiertelnie. Tysięcznych podstępów trzeba było używać, żeby go zawlec do wanny. Ludzkie zamiary przeczuwał bezbłędnie, od rana chował się pod łóżkiem i dopiero wieczorem udawało się go wywabić na spacer. W chwili powrotu ekipa już czekała, był łapany sześciorgiem rąk i przemocą wpychany do wanny. Raz wepchnięty, stał już spokojnie i z rezygnacją czekał zmiłowania pańskiego, potem zaś, biały i prześliczny, wyskakiwał, otrząsał się, pędził do sypialni i nieodmiennie wycierał o łóżko mojej matki.

Raz wpadł do stawu. Żaba skoczyła mu sprzed nosa, skoczył za nią, nie zdając sobie sprawy w ferworze, że to coś zielonego pod łapami to już nie jest grunt stały, tylko woda. Wypłynął, śmiertelnie oburzony, wylazł na brzeg, latał dookoła stawu i szczeakał z wściekłością, szukając tego wroga, który go wepchnął w ohydny żywioł.

Mięso mogło zwisać ze stołu aż do podłogi, siedział, wachał, ślina mu ciekła, ale nie dotknął, bo nie wolno było ruszyć mięsa na stole. Jeśli jednak któryś kot ściągnął je na podłogę, pies pożerał natychmiast, bo co na podłodze, to jego. Raz jeden się złamał i nie o mięso chodziło.

Zostały usmażone racuchy i ogromny ich stos stał na wielkim półmisku na kuchennym kredensie. Wszyscy jakoś wyszli z domu, mnie nie było w ogóle, bo przebywałam u babci, rodzice mieli swobodę, moja matka wróciła przed wieczorem, weszła do kuchni, spojrzała i zdziwiło ją, że z tymi racuchami jest coś nie tak, jak trzeba. Nie ma stosu, istnieje ledwo górka, wsparta o tylną ściankę mebla. Nikogo nie było, cóż to zatem ma znaczyć? Popatrzyła na podłogę, ujrzała cieniutką strużkę cukru, poszła za tą strużką, dotarła do sypialni i zrozumiała. Strużka kończyła się pod

jej łóżkiem.

Misiek zeżał to wszystko i wiedząc, że źle zrobił, schował się pod łóżkiem ukochanej pani. Mojej matce w głowie nie powstało, żeby się go czepiać, w pierwszej kolejności przeraziła się, że ta ilość psu zaszkodzi. Klęczała obok i błagała ze łzami:

- Misiuniu, wyjdź, pieseczku, pójdziemy na dwór, na spacer, dobry piesek, chodź do pani, wyjdź!

Dobry piesek popiskiwał, klepał ogonem w podłogę, kajał się, ale spod łóżka się nie ruszył aż do następnego dnia. Nie zaszkodziło mu, na szczęście, widocznie jakoś te racuchy wyszły lekkostrawnie.

Zaszkodziło mu za to coś innego i nikt nie wiedział, co to było. Ciężko chorego psa zawieziono dorożką do weterynarza, silny chłop musiał go nosić po schodach, weterynarz dał lekarstwo i kazał wlewać psu do pyska po łyżce przez cały dzień co godzinę. Mikstura składała się z zasadniczego medykamentu, filiżanki czarnej kawy i łyżki koniaku i moja matka, w rozpaczy i przez pomyłkę, wlała to w niego na jeden raz. Wypisz wymaluj to samo co w jej dzieciństwie, nic jej nie dało doświadczenie osobiste. Pies się urznął. Nagle okazało się, że nie może wstać, próbuje, łapy mu się rozjeżdżają i pada na pysk. Płakałyśmy nad nim rzewnymi łzami we trzy, moja matka, służąca i ja, oczekując tej ostatniej chwili, pies zaś zasnął martwym bykiem i obudził się zdrowy.

Raz przyczynił ciężkich przeżyć kilku osobom razem. Na parterze pod nami mieszkała Żydówka. Jeżeli jakaś osoba nosi na głowie przekrzywiająca się rudą perukę i co poniektóre wieczory w tygodniu spędza w drewnianej kuczce na podwórzu, nie ma siły, musi być Żydówką. Albo mój ojciec, z racji rozrzutności matki, oszczędzał i mieszkał w tanim domu, albo ta Żydówka była bogata, co też jest możliwe, w każdym razie fakt pozostaje faktem. Żydówka miała dwie znane mi cechy: bardzo inteligentnie dbała o dziecko i była dziko ciekawa.

Dbłość o dziecko, dziewczynkę, przejawiała się tym, że od niemowlęctwa smarowała jej brwi i rzęsy rycyną i miała ta jej córka najpiękniejsze rzęsy na świecie. Na brwi nie zwracałam uwagi, ale rzęsy oglądałam na własne oczy, wtedy jeszcze bez wielkiej zazdrości. Nieco później szczerze żałowałam, że moja matka nie poszła za jej przykładem. Co do ciekawości natomiast, została ona ciężko ukarana, a w charakterze fatum wystąpił pies.

Służąca miała wyjść z psem. Misiek rwał się do wychodzenia, ciągnął jak szaleniec, a siły miał dużo, schody zaś były strome i niewygodne. Służąca dla

ułatwienia sobie życia oznajmiła, że od razu weźmie wiadro z pomyjami i załatwi jedno przy drugim. Moja matka zaprotestowała, ostrzegając, że z psem i wiadrem nie da sobie rady. „E tam” rzekło hoże dziewczę i tak zrobiła, jak zamierzała.

Pies oczywiście szarpnął już na samej górze, w jednej ręce trzymała smycz, a w drugiej wiadro, zabrakło jej trzeciej ręki do uchwycenia poręczy i poleciała. Rumor się zrobił okropny. Żydówka zdążyła usłyszeć hałas, z ciekawości otworzyła drzwi i wyjrzała, i dokładnie w tym momencie cała zawartość wiadra z pomyjami wlała się jej do mieszkania. Zatrzasnęła drzwi, ale już było za późno. Służąca zdarła sobie skórę z twarzy, a pies uciekł.

Zdenerwowana bardzo moja matka przyłożyła jej rozcieńczoną arnikę, dziewczyna jednakże nazajutrz miała wychodne. We własnym zakresie uznała, że intensywniej stosowane lekarstwo także intensywniej zadziała i w tajemnicy przyłożyła sobie arnikę nie rozcieńczoną. Spaloną twarz leczyła potem parę tygodni, pies natomiast, zadowolony z życia, wrócił wieczorem.

Przetrwał w naszej rodzinie blisko osiemnaście lat i umarł, kiedy już byłam matką dzieciom. Inne psy zmieniały się częściej. Aza po pewnym czasie została oddana znajomemu myśliwemu, co z pewnością wyszło jej na dobre. Przez rok mieliśmy wodolaza, zdaje się, że tylko na przechowaniu, a był z nim krzyż pański. Pchał się do każdej kałuży, jaka znalazła się w polu widzenia, taplał po bajorach i wciągał człowieka na smyczy do stawu rybnego. Raz mnie załatwił rowem z wodą. Istniał w domu terrier, który czuł się o tyle źle, że zbyt mało kwiatów w wielkich donicach stało na podłodze. Fikus wystarczył mu na pięć minut, napoczał dracnę i ulubione zajęcie zostało mu odebrane. Trzeba go było przekazać w dobre ręce z ogródkiem.

Pałętały się licznie różne kundły podwórzowe, z których jeden, bardzo głupi, czekał na wszystkim z państwem włącznie i uszkodził mi drugie kolano. Kundły podwórzowe egzystowały głównie w owej posiadłości, która była ogródkiem mojej mamusi. Zaplanowanego domu jeszcze się nie zaczęło budować, wynajmowaliśmy zatem chałupę wiejską, stojącą po drugiej stronie drogi. Pies miał budę na podwórzu, latał na bardzo długim łańcuchu i bałam się go trochę, bo jakoś nie dopuszczał do porozumienia. Udając się do wolno stojącej toalety za domem, zdecydowałam się przeleźć przez parkan, żeby się nie narażać psu, i pojechałam kolanem po zardzewiałym gwoździu. Nic mi nie było, żadne zakażenia się mnie nie imały, ale blizna przetrwała trzydzieści lat.

Pimpuś, ten wielki, biały kot, najbardziej kochał Teresę. Po paru latach okazało się, że kocur w domu jest jednak nieco uciążliwy i sam też nie czuje się najlepiej, odwieziono go zatem do znajomych na wieś, tuż pod Grójcem, a może nawet w granicach metropolii, bo ich dziedzina odległa była o dwieście metrów od miejskiej ulicy. Spodobało mu się tam ogromnie i można powiedzieć, że objął panowanie nad włościami, a głównie zachwyciły go myszy, Teresy jednakże kochać nie przestał. Bywała tam często, kot za każdym razem przewidywał jej wizytę, siedział przed domem i czekał, potem zaś odprowadzał ją aż do ulicy. Tam siadał na poboczu i patrzył za nią, aż znikła mu w oddali. Wówczas dopiero wracał do domu. Honorował w ten sposób wyłącznie Teresę i nikogo innego.

Kajtuś panicznie bał się piórka. Stwierdziłam to przy okazji zabawy w Indian, do czego jeszcze później wrócę. Kajtuś był młodym kotkiem, pręgowanym, zdawałoby się zupełnie normalnym. Miałam na głowie pióropusz z indyjskich piór, kot ujrzał mnie nagle i wpadł w rozszalały popłoch. Zdziwiłam się, nie wiedziałam, o co mu chodzi, zbliżyłam się do niego, wlałam pod stół, on zaś o mało nie oszalał. Zaczęłam dociekać przyczyn tego obłędu, zdjęłam pióropusz, bo mi przeszkadzał, i kot się nagle uspokoił. Włożyłam, Kajtuś zaczął na nowo. Zrozumiałam, że bał się pióropusza i spróbowałam dalszych eksperymentów. Doszło do tego, że pokazałam mu małe kurze piórko, wydłubane z poduszki, i też wpędziło go to w histeryczną panikę. Pokazywałam potem rozmaite piórka innym kotom, ale żaden nie reagował, ten jeden tylko odczuwał śmiertelne przerażenie i do dziś nie rozumiem zjawiska.

Z reguły wszystkie koty, jako też większość psów, przychodziły do mnie i wchodziły na kolana, co ogromnie martwiło moją babcię, która twierdziła z troską, że zostanę starą panną. W owym czasie nie przejmowałam się tym zbytnio.

U babci zwierząt nie było. Pozbywszy się najstarszej córki, z dużą ulgą babcia pozbyła się także kotów. To właśnie moja matka zносиła do domu wszystko, co jej pod rękę wpadło, psiara była i kociara w zakresie o tyle ograniczonym, że dostarczywszy stworzeniu pożywienia i dachu nad głową, o resztę przestawała się troszczyć. Tym sposobem miałam dwa światy, w Grójcu i okolicach w dużym stopniu zwierzęcy, w Warszawie wyłącznie ludzki.

U babci odbywał się precudowny rytuał, mianowicie kąpanie znaczków. Dziadek był filatelistą już w drugim pokoleniu, ktoś wcześniej zbierał, nie jego ojciec, to pewne, bo ojciec gospodarował na wsi, może jakiś stryj, wuj lub inny krewny. Tych znaczków było mnóstwo, część w klaserach na podlepkach, część już

bez tych okropnych podlepek, zatruwających życie współczesnym zbieraczom, przy niektórych nie wolno było prawie oddychać, nie mówiąc o dotykaniu, w odklejaniu masówki jednakże miałam prawo brać udział.

Istniała do tych celów specjalna, ogromna patelnia. Stała pełna wody na małym ogniu, znaczkę w niej pływały i wyjmowało się je, podnosząc widelcem od spodu. Wyjmowałam bez tchu, niezmiernie przejęta, ale za nic nie mogę sobie przypomnieć, jak dziadek je suszył. Pewnie w bibule pod prasą, ale to już tylko wniosek, bo potem, wysuszone, wyglądały doskonale.

Całą kolekcję dziadka diabli wzięli. Trzydziesty dziewiąty rok jakimś cudem przetrzymała, czterdziestego czwartego już nie. W chwili wybuchu powstania dziadek leżał w szpitalu, oczekując operacji żołądka, z bombardowanego mieszkania wybiegała babcia. W nerwach chwyciła, co jej wpadło pod rękę, mianowicie leżący przypadkiem na stole mały, stary klaserek ze śmietkami. Jeżeli w charakterze śmietków występowały tam Kolumby i pierwsza Panama, to co dziadek miał wśród rzeczy cennych? I już nie o to mi idzie, że to wszystko szlag trafił, tylko o to, że nigdy w życiu nie dowiem się, co tam było...

W jadalni babci stała etażerka z czasopismami i na najniższej półce leżały oprawione roczniki czegoś. Wątpię, czy bodaj raz spojrzałam na tytuł periodyków, tygodniki to były chyba z okresu międzywojennego i sprzed pierwszej wojny, nie obchodziło mnie, co to jest. pochłaniałam za to część treści. Tam właśnie szła w odcinkach zachwycająca powieść kryminalna pod tytułem *Trójka trefl*, gdzie czarna postać skradała się po jakimś pociągu, a wszystko razem koniecznie miało wylecieć w powietrze. Ten siedemnasty kilometr, mroczne zarośla, pędzący i sypiący iskrami pociąg przemawiały do mojej wyobraźni, czytałam to z wypiekami na twarzy i nikt mi nie zabraniał, bo babcia traktowała mnie znacznie bardziej ulgowo niż własne córki. Nie bałam się jej wcale, żyłyśmy w idealnej zgodzie i w ogóle nie zwracałam się do niej per „babciu”. Mówiłam „mamusiu”. Od pierwszych chwil władania ludzką mową uparłam się, że skoro one wszystkie, moja matka i ciotki, mówią „mamusiu”, to ja nie jestem gorsza i też będę mówiła „mamusiu”. Tak zostało do końca, wątpię, czy kiedykolwiek przez moje usta przeszło słowo „babciu”, bo drugiej babci nie lubiłam i usiłowałam nie zwracać się do niej wcale.

Wracając do etażerki, w potężnych foliach znajdowały się także inne utwory, ale już ich nie pamiętam, widocznie *Trójka trefl* uczyniła na mnie największe wrażenie. Możliwe, że tam właśnie nadziałam się także na *Krwawą hrabinę*, chociaż

nie jestem pewna, czy hrabina nie płacze się po mnie w wydaniu książkowym.

Dziadek opowiadał mi bajki. Przy lekturze siedziałam zawsze na podłodze obok etażerki, przy bajkach zawsze na kanapie, razem z dziadkiem. Może zresztą była to otomana, oparcie miała i wałki. Podstawę stanowiła bajka o Klimku, nie powinnam jej streszczać, bo każdy może całość obejrzeć w telewizji, ale muszę ze względu na okoliczności dodatkowe. Tu znów będzie dygresja, wybiegająca ostro do przodu.

Nasza TV uznała, że pewnych drastycznych szczegółów należy unikać i zmuszona byłam w scenariuszu zmienić zakończenie. Na ekranie ujrzyć można, jak Klimek wrzuca pani dziedzicze na prześcieradło tak zwane wszy, czyli nasiona dzikiej róży. Tym, co nie wiedzą, wyjaśniam, iż jest to produkt straszliwy, czepiają się, drapią i swędzą nie do zniesienia, wrzucanie sobie wzajemnie tego za kołnierz jest zabawą zgoła morderczą. W prawdziwym Klimku jednakże nie te różane wszy grały rolę, tylko coś całkiem innego.

Otóż, kiedy na samym końcu pan dziedzic polecił Klimkowi rąbnąć prześcieradło spod tyłka pani dziedziczki, Klimek myślał, myślał i wymyślił. Zabrał matce duży garnek, udoił do niego mleka” z pierwszej lepszej krowy, poszedł do sklepiku, kupił drożdży i zmieszał te drożdże z mlekiem. Następnie zakradł się do dworu wypróbowaną metodą, odczekał, aż pani dziedziczka zaśnie i wlał pod nią wyrośniętą już niezłe mieszaninę.

Pani dziedziczka dość szybko poczuła, że jest coś niedobrze, przecknęła się, pomacała i przeraziła śmiertelnie. „Jezus Mario!”, pomyślała, „pewnie wykonałam kupkę!” Tak się to elegancko określało w opowiadaniu. Wyrwała spod siebie prześcieradło, zwinęła w kłęb i pośpiesznie wepchnęła pod łóżko, gdzie zaczajony Klimek tylko na to czekał.

Stąd później wzięła się histeryczna awantura, kiedy państwo siedzieli przy śniadaniu, a Klimek przyszedł z łupem. Pani dziedziczka strasznie krzyczała: „Precz! Precz! Zabrać to! Nie pokazywać!!!” i tak dalej, na co Klimek rzekł pobłażliwie i uspokajająco:

- Ale nie, proszę jaśnie pani, to całkiem nie to, co jaśnie pani myśli, to ino drożdże byli.

Rzecz jasna, całą bajkę w prawidłowej formie opowiadałam własnym dzieciom. Mój starszy syn, w wieku wówczas trzech lat, słuchał dziko przejęty, i oczami jak spodki, po czym oznajmił, że teraz on opowie. Proszę bardzo, niech

opowiada. Odwalił całą bajkę, śpiesząc się jak do pożaru i połykając słowa, dobrnął do końca i przystąpił do sceny przestרחu pani dziedziczki.

- Pani dziedziczka pomacała i przeraziła się okropnie, i pomyślała: Jezus Mario, pewnie wykonałam mózg!

Mózg ogłuszył nas radykalnie, ale pozostał. Nie zliczę, ile razy na pytanie, gdzie jest jakaś osoba, odpowiadało się krótko: wykonuje mózg.

Koniec dygresji, wracamy do bajek. Niektóre z nich dziadek chyba sam wymyślał, bo z zapamiętanymi strzępami treści nie zetknęłam się już nigdy potem.

Jedną bajkę opowiadała mi służąca w Grójcu. Była to bajka o królownie i trzech synach biednej wdowy, z których to synów, normalna sprawa, dwóch było mądrych, a trzeci głupi, królowna zaś grymasiła okropnie w kwestii zamążpójścia. Oznajmiła królowi-tatusiowi, że tego tylko poślubi, kto ją przegada. Król, rzecz jasna, ogłosił konkurs i zewsząd jęli ściągać młodzieńcy, wśród nich zaś dwaj mądrzy bracia. Wszyscy odpadli w przedbiegach, wreszcie pojawił się ten trzeci brat, głupi. Był ostatni, bo szedł piechotą, po drodze z głupoty wlaź w błoto, nalało mu się do butów, poza tym znalazł dwie zdechłe wrony i zabrał ze sobą. Rekwizyty okazały się niezmiernie istotne.

Przybył, wpuszczano każdego, wszedł do komnaty, gdzie królowna na tronie oczekiwała konkurentów, i rozmowa przebiegła następująco:

- Co pani taka cyrwuna? - spytał głupi brat.

- Bo ogień w dupie mom - odpowiedziała królowna.

- A to może by na tem ogniu ptaszka upiec? - zaproponował młodzieniec i wyciągnął z kieszeni owe zdechłe wrony.

Królowna skrzywiła się nieco.

- Kiej sosiku ni mo - skrytykowała.

- Jest i sosik - zapewnił z mocą kandydat na małżonka i wylał błoto z butów.

Tym już królowna poczuła się pogrążona, nie znalazła odpowiedzi i głupi brat dostał ją za żonę.

Nie wiem, ile razy słyszałam tę bajkę, może tylko raz, ale rozmowa z królowną zapadła mi w pamięć na zawsze.

Lektury moich młodych lat w ogóle bywały dość wstrząsające. Pomijam już braci Grimm i potworne baśnie ludowe, pełne bezgłowych upiorów, ale kiedyś znalazłam w szufladzie kuchennego kredensu przepiękną powieść pod tytułem Złowrogi przybysz. Należała do aktualnej służącej i nie miała zakończenia. Opiewała

zjawisko kosmiczne, mianowicie do Ziemi z szaloną szybkością zbliżała się planeta, może gwiazda, nie robiło mi to wielkiej różnicy, która miała rąbnąć rzetelnie i rozpirzyć świat na wszystkie strony. Antidotum wynaleziono, mianowicie ktoś wykonał olbrzymie wklęsłe lustro, ludzkość zaś miała zadziałać siłą woli. Tłumy przybywały, siadały przed lustrem i wpatrywały się w nie, nateżając psychikę, przeciwną nadlatującej planecie. Nagromadziwszy tego dostateczną ilość, miało się odwrócić zwierciadło i siła woli powinna je odepchnąć na bezpieczną odległość. Rzecz jasna, odbywał się wyścig z czasem, co będzie pierwsze, złowrogi przybysz czy też ta siła woli. Tłumy, wciąż nowe, nadbiegały świńskim truchtem i wytrzeszczały oczy, przybysz leciał, no i tu właśnie brakowało ostatnich stron. Zważywszy, iż rodzima nasza planeta istnieje do dziś, utwór musiał się kończyć happy endem.

Skąd wytrzasnęłam *Strasznego garbusa*, pojęcia nie mam, ale opisana we wstępie do książki *Wszyscy jesteście podejrzani* scena jest absolutnie prawdziwa. Siedziałyśmy we trzy przy stole, moja matka, Teresa i ja, one obie układały pasjansa, a ja czytałam. Wieczór już był późny. Treść *Strasznego garbusa* sprawiła, że siedziałam na podwiniętych nogach, chroniąc je przed tajemniczym niebezpieczeństwem, przejęta i wystraszona do obłędu, co niewątpliwie było wyraźnie widoczne. Teresa spojrzała na mnie, puknęła w łokieć moją matkę, popatrzyły obie, po czym Teresa powiedziała spokojnym głosem:

- O, stoi za tobą.

Wrzasnęłam przeraźliwie i zleciałam z krzesła. I naprawdę wejście do ciemnego pokoju stanowiło potem dla mnie problem co najmniej przez trzy dni.

Rzecz oczywista, nie czytałam wyłącznie *Krwawych hrabin*. *Strasznych garbusów* i *Trójek trefl*. Miałam roczniki „Mojego Pisemka”, jeden kompletny i kilka wybrakowanych. Zachwycała mnie bezgranicznie Maria Buyno-Arctowa i do dziś strawić nie mogę dwóch sensacyjnych powieści: *Trzy kamienie* i *Złoty kogut*. Szły w odcinkach, chyba w tych rocznikach wybrakowanych, bo nigdy nie udało mi się przeczytać tych precudownych utworów w całości, razem z zakończeniem. Pamiętam doskonale *Figę* i pojęcia nie mam, czy był to błąd w druku, czy mój, ale kiedy natknęłam się na zdanie: „Ciocia to prawdziwa artystka! - z entuzjazmem zawołała Luscia”, byłam święcie przekonana, iż „entuzjazmem” oznacza jakąś instytucję w rodzaju, na przykład, konserwatorium. Skorygowałam pogląd samodzielnie po dość długim czasie.

Trylogię przeczytałam w wieku lat dziewięciu. *Ogniem i mieczem* wydawało mi się mroczne, znacznie bardziej przypadł mi do gustu *Potop*. Akurat byłam chora, co, jak łatwo zgadnąć, przytrafiało się często, miałam wysoką gorączkę i w malignie zwidywał mi się książę Bogusław Radziwiłł w postaci gnącego się szklanego słupa. Bałam się go śmiertelnie. Na szczęście razem przeszły, gorączka i lęk przed księciem.

Dostępna mi była w pełni cała biblioteka mojej! matki, kilkaset książek, które mogłam czytać dowolnie, z wyjątkiem jednej pozycji. -Moja matka, nie< wtrącająca się do lektur córki, wymogła na mnie. obietnicę, że nie dotknę Zmór Zegadłowicza przed ukończeniem czternastego roku życia. Obietnicy! dotrzymałam uczciwie, przeczytałam te Zmory już I jako jednostka dorosła i do tej pory nie mogę zrozumieć, o co matce chodziło. Wielkie mecyje, nic tam w końcu takiego nie było, chyba że te ekskrementy...

Kiedyś przeczytałam opowiadanie, które musiało być utworem znakomitym, bo osiągnęło swój cel. Nauczycielka przed wakacjami mówiła do dzieci: „Nie o to chodzi, żeby wam było dobrze, tylko o to, żeby innym było dobrze z wami”. Nie jest to cytat, tylko niejako streszczenie. Przemówiło do mnie, wręcz przeszło przeze mnie na wylot, do dziś dnia te słowa pamiętam. Rezultaty były może nieco dziwne, bo zadbałam potem o samopoczucie kotów, którym wynajdywałam w zbożu mysie gniazda. Zdaje się, że myszom ze mną dobrze nie było.

Cała klasyka dziecięca przeszła przez moje ręce, oczy i umysł, a oprócz niej liczne późniejsze lektury szkolne, dzięki czemu nie zdołano mi ich obrzydzić.

I oczywiście, kryminały, które później okazały się wysoce pouczające.

Wciąż usiłuję skończyć z najwcześniejszym dzieciństwem i uporczywie mi to nie wychodzi. Tymczasem, jak dziś stwierdzam, przeżycia z tamtych czasów wywarły straszliwy i potężny wpływ na późniejsze lata. Chociażby mniszek lekarski...

Wywieziona za miasto na byle łąkę, stawałam się dzieckiem wręcz idealnym. Nie zawracałam głowy wcale, szłam w zielsko zbierać kwiatki i był ze mną święty spokój. No i za którymś razem poszłam w białej sukience, bo moją matkę bawiło ubieranie dziecka i kiecki miałam prześliczne, przystąpiłam do zbierania żółtych kwiatków i skutki okazały się rozpaczliwe. Mlecz wydziela z siebie substancję nie do sprania, cały strój miałam w różnorodne plamki. Moja matka nie przejęła się zbytnio, od razu wpadła na pomysł, jak temu zaradzić, i wszystkie plamki zahaftowała. W ten sposób zyskałam białą kieckę w kolorowe kwiatki.

Babcia jednakże miała inny stosunek do dóbr materialnych i żeby uniknąć

takich szkód na przyszłość, w mówiła we mnie, że mlecz jest trujący. Jad okropny, szkodzi nawet dotykaniem, można od niego umrzeć, a co najmniej oślepnąć.

Uwierzyłam w to do tego stopnia, że dopiero po trzydziestu paru latach z oporami przyjął do wiadomości fakt, iż nie jest to trucizna, tylko zioło lecznicze, a sałatkę z młodego mniszka można spożywać nawet na surowo.

Rzecz oczywista, opisana w *Bocznych drogach* historia z panną Edytą też była prawdziwa. Panna Edyta, przyjaciółka Teresy, przyszła z wizytą, obie były młode, zajęły się żurnalami, stały pochylone nad stołem, wypięte, podpierając się łokciami i oglądały nową modę. Mnie się odpiął, albo rozwiązał pantofel. Odpiął chyba, nie umiałam sama zapiąć guziczka, miałam wtedy cztery lata, zażądałam pomocy. Nie zwracały na mnie uwagi, marudziłam przez chwilę, bezskutecznie, ogłuchły może, albo co, zdecydowałam się zatem na czyn energiczny. Zaliczałam się do dzieci dobrze wyrosniętych i nie byłam jeszcze gruba, oparłam nogę na stole samym końcem stopy i z całej siły trzasnęłam ręką w wypięty tyłek panny Edyty. Nie wybierałam jej sobie, po prostu była bliżej. Strzeliło, niczym z dobrze nadmuchanej torby, panna Edyta poderwała się znad stołu, Teresa też, do dziś mam w oczach ich przerażone i osłupiałe twarze. Gromy się na mnie sypnęły, wyłącznie słowne, bo o laniu nie mogło być nawet mowy, ja zaś byłam niezmiernie zdziwiona. Rozżalona także, oburzona i zdezorientowana. Jak to, o co chodzi, przecież nie zwracały na mnie uwagi, a należało zapiąć pantofel!

Wygląda na to, że byłam wychowywana dość idiotycznie i cud boski, że nie miało to katastrofalnych skutków. No owszem, jedno dziecko w rodzinie, stanowiłam pępek świata, opiekuńcze skrzydła nade mną przesłaniały firmament niebieski i bezwzględnie powinnam była wyrosnąć na nieczułego potwora. Kilka czynników jednakże przeciwdziałało zarazie, primo, po mieczu odziedziczyłam dobre serce, secundo, pieniała ze mnie egoizm Lucyna, niekiedy może nawet przesadzając, a tertio, wybuchła wojna i stałam się dla mojej matki jedyną podporą. Od czasu do czasu wprawdzie, ale za to porządnie i bez żadnych ograniczeń.

Lato spędzałam rozmaicie. Pamiętam doskonale pobyt z babcią w Rybieniu nad Bugiem. Mieszkałyśmy w dużej willi w ogrodzie i chodziłyśmy na plażę, ale babcia wolała nie ryzykować. Woda w rzece sięgała do połowy łydek, ciężko się było w niej utopić, niemniej wciąż byłam wywlekana z żywiołu i ostrzegana. Wreszcie zostałam poinformowana z wielką powagą, iż w rzece mieszka wodnik, który wciąga niegrzeczne dzieci. Nawet zresztą nie muszą być bardzo niegrzeczne, wystarczy jeśli

zbyt długo mokną w wodzie. Nie całkiem chyba w tego wodnika uwierzyłam, w pierwszej chwili potraktowałam go sceptycznie, ale wspomógł babcię przypadek. Wlazłam do rzeki, pałętałam się po tej wodzie poniżej kolan i nagle poczułam coś absolutnie straszliwego. Jakieś twarde, cienkie palce obejmowały mnie za nogę nad kostką. Z rykiem niezmiernym wyprysnęłam na brzeg, trzęsłam się i chyba zsiniałam, po czym przez parę dni babcia miała spokój, aczkolwiek przyczyna okropności wyszła na jaw od razu. Jeszcze przy pierwszych dzikich skokach trzymała się mojej nogi rozwidlona gałązka, którą potem ktoś miłosierny podniósł z trawy i pokazał, żeby uspokoić rozhisteryzowane dziecko.

W ogrodzie bawiłam się z dziećmi, bo, na szczęście, miałam tam odpowiednie towarzystwo. Najpiękniejsza okazała się zabawa w małe liski i starą lisicę. Liski siedziały w kącie, w zaroślach przy siatkowym ogrodzeniu, lisica szła zdobywać pożywienie i wtedy zakradał się wilk, a liski wrzeszczały o pomoc i wzywały mamusię. No i zakradł się wilk. Osiągnięcie pięciorga dzieci w zakresie wrzasku przekroczyło wszystko, co można sobie wymarzyć, ludzie wylecieli z willi, na własne oczy widziałam dwóch młodych facetów, przechodzących akurat drogą, jak rzuciło ich do tyłu, skamienieli i jeden krzyknął: „Jezus kochany, a to co...?!” Ogromnie nas to rozbawiło, ale potem dorośli zabronili zabawy w liski.

Byłam w Strzelcach, gdzie mieszkali teściowie Lucyny, ale ten pobyt pamiętam bardzo słabo. A, właśnie, teraz muszę się cofnąć w czasie. Lucyna brała ślub, kiedy miałam dwa lata. Puszczona luzem, usiłowałam przeleźć przez balustradę na stronę ołtarza i prawie mieściłam się pomiędzy tralkami. Lucyna uczestniczyła w istotnej bądź co bądź ceremonii z lekkim roztargnieniem, bo cały czas zajęta była kwestią, przeleżę, czy nie? Jednak nie zdołałam i ten ślub wzięła bez większych zakłóceń.

Co do Strzelec, wiem tylko, że chodziłam na Bąkową Górę, która to Bąkowa Góra była podobno siedzibą rozbójników. Las ją porastał i leżały wielkie kamienie. Bywałam wożona do posiadłości jakichś znajomych ojca, jedna posiadłość nosiła nazwę Modrzewina i rzeczywiście modrzewie rosły tam w wielkiej obfitości, a oprócz nich imponujące łubiny we wszelkich możliwych kolorach.

W wieku lat sześciu spędziłam lato w jakiejś miejscowości nad rzeczką Jeziorka. Ten pobyt zapisał się w mojej pamięci z największą dokładnością z rozmaitych przyczyn, doznania zaś, jakie stały się moim udziałem, były wysoce kontrastowe.

Wynajmowaliśmy mieszkanie w dużym domu. Dom stał w ogrodzie i należał do kierownika tamtejszej szkoły, w jego synu zaś, młodzieńcu czternastoletnim, zakochałam się na śmierć i życie.

Nie była to moja pierwsza miłość. Pierwsza pojawiła się rok wcześniej, kiedy miałam lat pięć. Również na śmierć i życie zakochałam się w Tomciu Paluchu z Teatru Wielkiego. Grany był przez kobietę, ale to mi nie przeszkadzało, dla mnie był postacią prawdziwą. Godzinami marzyłam o spotkaniu bezpośrednim, o cudownej chwili, kiedy Tomcio Paluch ukazuje się na naszym balkonie, wchodzi do wnętrza mieszkania i deklaruje mi uwielbienie nadziemskie i bez granic. Realizm odzywał się we mnie o tyle, że próbowałam się zastanowić, jak on na ten balkon ma wejść. Po drabinie chyba najlepiej...? Dalej w imaginacjach pójść nie umiałam, wystarczała mi scena balkonowa.

Wielka miłość, blednąc stopniowo, trwała rok, po czym Tomcia Palucha zastąpił syn kierownika szkoły. Uczucie, obawiam się, nie zostało odwzajemnione, ale przynajmniej miałam już z obiektem kontakt bezpośredni. Kierownik zrobił sobie schodki betonowe na ganek i syn w czasie tężenia betonu polewał je wodą. Co najmniej przez dwa dni wiedziałam, gdzie go spotkam i najzupełniej przypadkowo płątałam się w okolicy wejścia. Siadywałam na ławeczkach w ogrodzie, bardzo bystrze i przytomnie, tak, żeby idąc po wodę, musiał przejść blisko mnie. Schodki stężały, ale nie szkodzi, syn nie znieruchomiał, natykał się na mnie w rozmaitych miejscach i nawet się czasem do mnie odzywał.

Całym licznym gronem udaliśmy się na odpust w okolicy. W drodze powrotnej ojciec, wzięwszy mnie na ramię, pojechał na rowerze, żeby się dziecko zbyt nie zmęczyło. Z drogi osiemnastej kategorii skręcało się wprost w furtkę ogrodzenia domu kierownika, tyle że ogrodzenie od drogi oddzielał szeroki i głęboki rów, bardzo błotnisty. Nad rowem znajdował się zwykły przejazd z gatunku grobelki. Ojciec skręcił z drogi na przejazd, celując w otwartą furtkę i coś się stało. Pojęcia nie mam co, ale poleciliśmy nagle na prawo, prosto do rowu.

Na wierzchu znalazł się ojciec, pod nim rower, a na samym spodzie ja. Zważywszy błotnistotę, rów był miękki, więc nic mi się nie stało, ale kiedy dotarła do domu moja matka, idąca wraz z całym towarzystwem piechotą, mnie właśnie prano w balii na podwórzu. Błoto było zdumiewająco przylepne, zdaje się, że dopiero po trzech dniach zostałam ostatecznie doczyszczona. Na całe życie pozostał mi uraz na tle wjeżdżania w ciasne miejsca pojazdem jednośladowym i kiedy w dwadzieścia lat

później mój mąż wjeżdżał w bramę na motorze, awanturowałam się wściekle i z dzikim krzykiem zeskakiwałam wcześniej.

Tamże, nad tą Jeziorką, pojawił się któregoś popołudnia lodziarz z wózkiem. Ze względu na uporczywe anginy i inne podobne przypadłości nie wolno mi było jadać lodów, a jeśli już, ta malutko. W przeciwieństwie do mojej matki. Siedziała z jakimiś osobami na werandzie, osoby żarły, a donosicielem byłam ja. Nosiłam te lody i nosiłam, jedną porcję za drugą, dlatego lodziarz tkwił na drodze i nie wszedł do ogrodu, pozostało dla mnie na zawsze tajemnicą, niemniej obsługiwał towarzystwo na odległość, przysparzając mi cierpień. Nie wiem, czy zdołałam ze dwa razy polizać. Moja matka, przy skromnym udziale pozostałych jednostek, pożarła wszystko, co miał, najpierw waniliowe, a potem owocowe, aż mu się wreszcie skończyły i zarazem skończyła się moja udręka.

Wydarzenia przeraźliwe pozostają w pamięci. Wujek Witold wioził mnie na ramie roweru. Było to gdzie indziej i w nieco innym momencie, chociaż zbliżone w czasie do pobytu nad Jeziorką, ale od nikogo z rodziny nie udaje się wydrzeć szczegółów, nawet rodzona córka wujka Witolda nic o tym nie wie. Wujek Witold był jednym z synów mojej prababci. Jechaliśmy przez jakąś wieś i wujek Witold przejechał kurę. Wpadła mu pod przednie koło, poślizgnął się na niej, przewrócił i okropnie rozwalił sobie kolano. Mnie się znów nic nie stało, ale widok kolana wujka Witolda był tak przerażający, że lęk przed kurami zagnieździł się we mnie na wieki. Boję się ich śmiertelnie, bardziej chyba niż dzieci i rowerzystów, bez względu na to, czym jadę. Rzecz jasna, na piechotę nie boję się ich wcale.

Nad Jeziorką także zleciały mi na głowę drzwi od szafy. Trochę ten mebel był zdezelowany, należało o tym pamiętać i ostrożnie go otwierać, drzwi bowiem trzymały się tylko na dolnym zawiasie. Zostałam po coś do tej szafy wysłana, zapomniałam o koniecznej ostrożności, otworzyłam energicznie, drzwi poleciały i rąbnęły mnie w czoło. Śliwę miałam rekordową, przykładano mi noże kuchenne i surowe mięso, pomogło chyba, bo wszelki ślad katastrofy znikł już po trzech tygodniach.

Wielka miłość do syna kierownika szkoły przeszła mi w wyniku działania sił niedokładnie jeszcze zbadanych. Kochałam się w nim nawet po odjeździe stamtąd, ale już krótko, miałam bowiem sen. Też nie sposób czegoś takiego zapomnieć, koszmar to był chyba, w dodatku ze skutkami trwałymi.

Przyśniło mi się, że znajduję się w lesie, w miejscu zresztą znanym i bardzo

pięknym, gdzie chodziło się na spacer i towarzyszył mi upragniony młodzieniec. Nagle wyskoczyli skądś rozbójnicy. Szczegółów ich postępowania nie pamiętam, wiem tylko, że błyskawicznie podjęli decyzję, co teraz będzie.

- Opędzujemy go! - krzyknęli okrutnie i mściwie.

Przeraziłam się śmiertelnie i płacząc rzewnymi łzami, rzuciłam się do ucieczki. Rozbójnicy natychmiast zmienili ton.

- Ciebie nie! Ciebie nie! - zawołali za mną uspokajająco.

Akurat. Będę czekać. Już taka głupia nie byłam. Ukryłam się zapewne w pobliżu, bo widziałam wszystko. Opędzowali chłopaka rzeczywiście, a polegało to na pokryciu go bardzo gęstą, galaretowatą, półprzezroczystą zieloną mazią, która śmierdziała wstrząsająco. Przeraziłam się jeszcze bardziej. Rozbójnicy, dokonawszy dzieła, znikli bez śladu, zostaliśmy sami na tej pięknej leśnej drodze, znów zaczęłam uciekać, a opędzlowany młodzian mnie gonił, błagając, żebym z nim jednak została. Nie mogłam, tej zielonej galarety brzydziłam się niebotycznie, no i śmierdział jak szatan. Skojarzenie zostało mi na całe życie, opędzlować to znaczy pomalować coś na zielono. Niejeden raz później wyrwały mi się z ust głupie słowa, kiedy malowało się coś na zielono, mówiłam, że trzeba to opędzlować. Wielka miłość w każdym razie przeszła mi po tym śnie jak ręką odjął.

Po wakacjach nad Jeziorka poszłam do szkoły.

Bardzo chciałam pójść do szkoły, ale przeżycie to było ciężkie, złagodzone urokiem czarującej nauczycielki. Nic z tej pierwszej klasy nie rozumiem, bo czytać już dawno umiałam, a podpisy pod laurkami i rozmaite życzenia imieninowe, wykonane drukowanymi kulfonami, dostawała ode mnie cała rodzina. Możliwe, że trudność sprawiły mi małe litery. Pamiętam doskonale jedno popołudnie, całe wypełnione stawianiem w zeszytcie ukośnych kresek, zapewne nawet zaokrąglonych u góry. Źle mi to jakoś wychodziło. Należało zapisać nimi całą stronę, tymczasem już po trzech liniijkach w zeszytcie zrobił się istny śmietnik, z kleksami, gryzmołami i w ogóle jakimiś okropnościami. Poszłam spać zabczana, nie odrobiwszy lekcji.

Moja matka akurat była w Warszawie, wróciła późnym wieczorem, przez służącą została powiadomiona o kłęsce córki i bez chwili namysłu odrobiła lekcje za mnie. Nazajutrz znalazłam zeszyt ze stroną zapełnioną do końca pięknymi pałkami, czyściutko i wyraźnie, i obraziłam się śmiertelnie.

Najpierw zrobiłam awanturę w domu, a potem nie chciałam pokazać tego w szkole, w każdym razie przenigdy jako własne dzieło. Moja mamusia to napisała, a

nie ja, i cześć! Rodzaj uczuć, jakie mną kierowały, sprecyzowałam dopiero znacznie później, kiedy już pojęłam, o co mi chodzi. Otóż nie życzę sobie ani cudzych zasług, ani cudzych błędów, wszystkie mają być moje własne. Inaczej byłby to albo rodzaj oszustwa, albo niezasłużona krzywda, a tak jedno, jak i drugie stanowiło obrzydliwość nie do przyjęcia.

Stosunek do kłamstwa i oszustwa został we mnie ugruntowany chyba od urodzenia i przez całe życie prawdomówna byłam do głupoty. Wyrosłam w przekonaniu, iż kłamstwo jest przejawem tchórzostwa, a tchórzostwo to w ogóle ohyda haniebna. Łgać, w niewielkim zakresie, nauczyłam się dopiero pod wpływem ustroju, który na monstrualnym łgarstwie sam się opierał i bez łgarstwa nie zostawiał człowiekowi szans egzystencji. Prywatnie pozostałam przy upodobaniu do prawdy i będzie się to za mną wlokło zapewne aż do grobu.

W tej pierwszej klasie chyba z ogromnym zdziwieniem przyjął informację o dwóch słowach, mianowicie „biały” i „je”. Byłam święcie przekonana, iż pisze się je jakoś obficie, „biały” i „jje”. Szczególnie od tego „jje” przez dwa „j” nie mogłam się odczepić, przez jedno wydawało mi się za krótkie. Zdaje się, że były to moje jedyne problemy, nie mogę sobie bowiem przypomnieć, kiedy wystąpił ksiądz, którego obraziła się strasznie moja matka. W pierwszej klasie czy później? Może i w pierwszej...

Po namyśle stwierdzam, że nie. Nie w pierwszej. Później, kiedy umiejętność czytania stanowiła podstawę odrabiania lekcji. Ksiądz na religii podobno coś zadał i następnego dnia zostałam o to zapytana. Z najczystszy sumieniem, gotowa za to głowę położyć na pniu, oświadczyłam, że ksiądz nic nie zadawał i zrobiła się duża polka, bo inne dzieci miały w tej kwestii poglądy mieszane. Dostałam dwóję, upierałam się przy swoim, do domu wróciłam we łzach. Moja matka spotkała księdza przypadkiem na ulicy, wyraziła zapewne jakieś oburzenie, ksiądz twierdził, że zadawał, ja twierdziłam, że nie, matka była po stronie córki.

- Ona kłamie! - powiedział ksiądz zimno. Moja matka zeszywniała na drewno.

- Nie, proszę księdza - rzekła głosem jak pieprz. - Moja córka nie kłamie!

Nauczyłam się potem tego czegoś i sprawa upadła, a prawda wyglądała tak, że bez wątplenia ksiądz zadawał, może trochę niejasno, ja zaś pozwoliłam sobie na luksus. Zamyśliłam się, straciłam z oczu świat i nie słyszałam ani słowa. Do odgadnięcia, że to coś, o czym ksiądz mówił wcześniej, jest zadaną lekcją, w tym

wieku jeszcze nie byłam zdolna.

Skończyłam pierwszą klasę jak normalne dziecko, na samych piątkach, po czym wybuchła wojna.

Do samej śmierci nie zapomnę wizgu trzech pierwszych bomb, jakie usłyszałam. Wiadomo już było, że jest nalot, ludzie uciekli z domów, kryjąc się „od drzewami. Ojca nie było, tylko matka i ja. Stałyśmy Pod drzewem na tak zwanym Świńskim Targu pod skarpą na dole, matka przyciskała mnie do siebie, wizg narastał, a ona szeptała: „Bomba, bomba...” i przez chwilę byłam pewna, że ta bomba stoczy się nam pod nogi. Trzy spadły, wszystkie wybuchły w pewnym oddaleniu, a mnie ogarnęło nieludzkie przerażenie.

Te trzy pierwsze bomby spadły na Grójec trzeciego września. Wojna rozpoczęła się pierwszego, ale jeszcze jakby do nas nie dotarła i drugiego wieczorem miałam iść do kina ze służącą. Poszłyśmy, owszem, ale nic z tego nie wynikło, bo syreny zawyły na alarm, światło zgasło, ludzie przeczekali pod drzewami parku i wrócili do domu. Seans się nie odbył.

I znów na tym tle obraził mnie później ksiądz, nie miałam chyba fartu do księży. Pod koniec wojny już chyba, a z pewnością w drugiej połowie, spytał w szkole srogo, kto chodzi do kina. Znana sprawa, „tylko świny siedzą w kinie” i tak dalej, patriotyzm wzbraniał tych rozrywek, podniosłam się i dumnie zaczęłam:

- Ostatni raz byłam w kinie...

Chciałam powiedzieć dobitnie, że drugiego września i nigdy więcej, ale ksiądz mi przerwał.

- Siadaj! - ryknął gniewnie. - Nie chcę słuchać takich rzeczy!

I oczywiście nie pozwolił mi dokończyć zdania. Był przekonany, że byłam w kinie na przykład w zeszłym miesiącu. Poczułam się zelżona, zhańbiona i skrzywdzona bez granic, uspokoić się nie mogłam przez trzy dni, obraziłam się na księdza na zawsze.

Ksiądz księdzem, krzywda krzywdą, ale teraz będzie chyba kilka dygresji razem. Do kina i do teatru, ogólnie biorąc, byłam przyzwyczajona. Prowadzano mnie do źródeł kultury wielokrotnie i po wielu latach założyłam się z kimś, osoby nie pamiętani, że w Teatrze Wielkim przed podniesieniem kurtyny grano przed wojną poloneza A-dur. Na tematy muzyczne nie należy się ze mną zakładać, nie mam bowiem kompletnie ani słuchu, ani pamięci muzycznej, nie wspominając już o głosie,

jeśli zatem upieram się przy czymś, musi to być sprawa granitowa. Tamten ktoś przegrał zakład. W czasach współczesnych zaistniało zjawisko podobne. W Danii to było, Alicja i Marzena ni z tego, ni z owego zaczęły się zapierać zadnimi łapami, iż polonez A-dur i As-dur to jest to samo, czym doprowadziły mnie do absolutnego szału. Upadły chyba na głowę i miały zaćmienie umysłu, jedna w ogóle z zawodu muzyczka, harfistka, druga ze świetnym słuchem i wspaniałym wykształceniem muzycznym, coś im chyba akurat zaszkodziło. Marzena sprawdziła, zadzwoniła ze skruczą, że jednak miałam rację, to nie jest to samo, satysfakcję miałam mierną, bo powinny były walić głową w podłogę z butelką szampana w ręku. Może jeszcze doprowadzę kiedyś choćby do tego szampana...

Wracając do tych kin i teatrów, kiedy po wojnie znalazłam się w kinie, ruch na ekranie zrobił na mnie wrażenie wstrząsające. Wzruszenie omal mnie nie zadławiło. Pojęcia nie mam, co to był za film, chyba „Sekretarz Rejkomu”, ale nie ma to wielkiego znaczenia. Stał się symbolem zakończenia koszmaru.

Niech się nikomu nie wydaje, że będę teraz opisywać działania wojenne, łapanki i kolejki po chleb. Nienawidzę wojny i niech ją szlag trafi. Wplątała się w moją biografię i niewątpliwie jakimś echem dźwięknie, ale im mniej, tym lepiej.

Do szkoły od tego września zaczęłam chodzić strasznie dziwnie, chyba kawałkami. Drugiej klasy w ogóle sobie nie przypominam, do trzeciej chodziłam częściowo, potem do czwartej, a potem do szóstej, już w internacie. Pierwsza klasa gimnazjum objawiła się już po wojnie, we wszystkich przerwach zaś uczyła mnie Lucyna. Podobno szło nam to całkiem nieźle.

Ten upiorny trzydziesty dziewiąty rok cud boski, że w ogóle przeżyłam i wcale nie dlatego, żeby do mnie ktoś strzelał. Taki głupi pomysł nawet Niemcom nie wpadł do głowy. Inne przyczyny mogły pozbawić mnie życia.

Ojca nie było, został zmobilizowany, do wojska w ogóle nie dotarł, natomiast zaplątał się gdzieś w błotach pińskich. Razem z jakimś kolegą plątał się tam o głódzie i chłodzie, żywiąc się przez parę tygodni po wsiach wyłącznie jałowym krupnikiem. Kasza w nim była, gotowana na wodzie, i zdaje się, że nic więcej. I kolega stworzył późniejszą anegdotę, mianowicie któregoś wieczoru rzekł przed snem marzącym głosem:

- Wiesz, jak się ta wojna skończy i jak wrócę do domu, ugotuję taki wielki sagan krupniku...

Umilkł na chwilę. Ojciec przeraził się, że facet zwariował.

- I co? - spytał możliwie łagodnie.

- Wyniosę go na schody. I jak kopnę...!!!

Wojna się nie skończyła, ale obaj do domu wrócili. W kwestii sagana krupniku nie mam dalszych informacji. Może i kopnął.

Natomiast moja matka zdecydowała się zabrać Dziecko i uciec na wieś. Posiadłości jeszcze wtedy nie Cięliśmy, Warszawa i rodzina były jej niedostępne, w charakterze podpory duchowej została tylko ostatnia służąca, niech jej Pan Bóg da zdrowie, bój dzięki niej żyję. Energiczna dziewczyna zaopiekowała! się swoją niewydarzoną panią, wyprawiła ją z miasta, s najęła chyba na jakimś zadupiu izbę mieszkalną! i stanowiła nasz kontakt ze światem.

Na tej wsi w pierwszej kolejności zapadłam na jedną z licznych chorób. Bóg raczy wiedzieć, co to było, grypa, szkarlatyna czy inne draństwo, w każdym razie gorączkę miałam taką, że straciłam przytomność. Świat mi się nagle skończył. Ocknęła się na okropny krzyk mojej matki, która waliła głową w łóżko w okolicy moich nóg, przestraszyłam siei i słabym głosem zapytałam, co się stało i dlaczego ona płacze. Moja matka popłakała się jeszcze bardziej ze szczęścia, że jeszcze nie zdechłam, ja zaś od tego momentu zaczęłam wracać do zdrowia w tempie wręcz nadprzyrodzonym.

Na choroby panował tam urodzaj. Dziecko zdrowiało, ale za to matka zapadła na krwawą dezynterię. Pewno napiła się wody ze studni. Lekarstwa dostarczała owa służąca. Ledwo się moja matka z choroby podniosła, padła gospodyni. Moja matka czuła się zobowiązana jakoś ją zastąpić i sześć świń karmiła, nosząc gary z kuchni do chlewa. Kiedy gospodyni wstała, świnię wyglądały jak hamany, moja matka gorzej, ale niech mi nikt nie wmawia, że w obecnych czasach młoda, zdrowa kobieta na wsi nie może wyhodować prosiaczka bez czterech ton koksu. Moja matka nie miała ani grama koksu. Moja babcia nieco później wyhodowała wieprza w piwnicy i problem istniał w tym, jak go z tej piwnicy niezauważalnie wydobyć, bo rzecz była karalna, a wieprz ważył trzysta kilo i sam nie chodził. Przy odrobinie wysiłku człowiek wszystko potrafi.

W wiele lat później, nieco lepiej już znając własną matkę, z ciekawości spytałam, co by się stało, gdyby nie było z nami tej służącej, która wszystko załatwiała. Gdyby została tylko ze mną, bez ojca, bez rodziny, bez żadnej pomocy. Moja matka odparła spokojnie, że zabiłaby najpierw mnie, a potem siebie i była już na tę ewentualność przygotowana. Czym zamierzała nas otłuścić, wołałam już nie

wnikać.

Przed zimą wróciliśmy do domu, a potem pojawił się ojciec i objął z powrotem swoje stanowisko w banku. Nazwisko posiadał niemieckie i powinien był podpisać folkslistę, czego nie miał zamiaru czynić, z niejaką rezygnacją oczekując skutków. I tu nastąpiła przedziwna zupełnie pomyłka. Istniał w Grójcu Żyd o takim samym nazwisku i takiej samej pierwszej literze imienia, tyle że mieszkał oczywiście pod innym adresem. Ojciec dostał nakaz podpisania folkslisty, ale na nakazie umieszczono imię Żyda. Josel. Ojciec skorzystał natychmiast, odpowiedział, nie wiem już, ustnie czy na piśmie, że to pomyłka, ów Josel jest Żydem, mieszka gdzie indziej i nakaz go nie dotyczy. Znał niemiecki, mógł się dogadać. Jakiś szkop przyjął do wiadomości wyjaśnienie i przy nazwisku ojca postawił zygzak. W ten sposób przyszło, odptaszkowanie załatwiło sprawę i nikt się więcej ojca nie czepiał. Prawdopodobnie Niemcy byli przekonani, że dyrektor banku folkslistę podpisał.

O kłopotach finansowych zaczęłam mieć pojęcie w okolicy lat dziewięciu. Dowiedziałam się wówczas, 46 przed wojną ojciec miał sto pięćdziesiąt tysięcy złotych długu, ponieważ żyrował weksle, komu popadło. Jakiś jeden znajomy przyprowadzał swojego drugiego znajomego, ciągnęło się to sznurkiem, ojciec zaś, pełen głębokiego zaufania do ludzi, podpisywał każdemu, nie dopuszczając myśli, że któryś dłużnik mógłby okazać się niesolidny. Niesolidna okazała się większość, przedwojenny dług ojciec spłacił po wojnie, wedle dość ulgowych przeliczeń.

Moja przeraźliwie rozrzutna matka, katastrofistka i z natury, wyplakiwała niepokoje na tym tle na łonie dziewięcioletniej córki i już wtedy zaczęłam się czuć odpowiedzialna za pieniądze. Idiotyzm to był niewątpliwy, mieliśmy już gospodarstwo, w które przekształcił się ów ogródek matki, napoczęty przed wojną, a zrealizowany po jej wybuchu, mieliśmy krowę, a może nawet dwie, konia, świnię, mnóstwo kur, kaczek, gęsi oraz indyków, mieliśmy co jeść, ojciec pracował i był bardzo dobrze widziany przez wroga, który dopiero pod koniec wojny nabrał podejrzeń, że coś tu nie gra. Możliwe, że wszyscy się nieco rozbestwili i z doskonałej pracy dyrektora Bataliony Chłopskie i okoliczne grupy partyzantów zaczęły odnosić korzyść zbyt jaskrawą. Szczegółów nie znam, byłam dzieckiem, a ojciec na ten temat milczał kamiennie aż do chwili aresztowania. Parę słów wybąkał dopiero długo po wojnie.

Przy okazji wygłosił do mnie umoralniające przemówienie.

- Córko moja - rzekł uroczyście - jeśli kiedykolwiek komukolwiek podpiszesz

coś bez mojej wiedzy i zgody, wyrzeknę się ciebie i przestaniesz być moją córką.

Pamiętna wieloletnich kłopotów, potraktowałam te słowa poważnie i miałam z tym potem krzyż pański, bo nie podpisując nikomu, sama też nie mogłam znaleźć dla siebie żyrantów. Elementarna przyzwoitość wzbraniała usług jednostronnych.

Pierwsze wojenne wakacje spędziłam w Zalesiu. Lucyna i Teresa wynajęły tam willę na lato, stała w ogrodzie, blisko toru kolejowego. Osobom pociągi Warszawa-Grójec zatrzymywały się na przystanku o nazwie Zalesinek, pociągi przyśpieszone nie zatrzymywały się wcale. Willa usytuowana była o jakieś dwieście metrów od toru, pomiędzy nim a zadrzewionym ogrodem ciągnęła się wielka, płaska łąka i po wyjściu za ogrodzenie przejeżdżający pociąg było doskonale widać. Moja matka kursowała ustawicznie pomiędzy Grójcem a Warszawą, dostarczając babci i dziadkowi jakichś produktów spożywczych, po drodze zaś wyrzucając z okna wagonu paczki dla nas. Rzecz była uzgodniona, jeden raz Teresa spóźniła się odrobinę, biegła jeszcze przez łąkę, kiedy paczka podskakiwała już na trawie. Jako pierwszy dopadł jej chłopak pasący krowy, chwycił, ale Teresa już nadbiegła.

- Oddawaj to! - wrzasnęła. - Twoje?!

- A twoje?! - odwrzasnął chłopak zuchwale. Jakoś udowodniła mu swoje prawa do paczki, odzyskała ją i w triumfie przyniosła do domu. Przejęłam się tym okropnie i pilnowałam, żeby czatowała na pociąg zawczasu.

Tamże, w tym Zalesiu. Lucyna miała swój upiorny sen. Jej pokój znajdował się na piętrze. Przyśniło jej się, że słyszy kroki, najpierw na dole, potem na schodach, ostrożne, skradające się, następnie kroki podeszły do jej drzwi, zatrzymały się i ujrzała, jak ugina się klamka. Powolutku, delikatnie drzwi zaczęły się uchylać. Obudziła się w tym momencie i zanim zdążyła otworzyć oczy, odruchowym gestem wcisnęła guzik nocnej lampki. Spojrzała i okazało się, że drzwi rzeczywiście uchylają się powolutku i delikatnie.

Zamarła na moment, drzwi znieruchomiały. Zerwała się, chwyciła szlafrok, znalazła ranne pantofle, musiało to potrwać kilka sekund, wypadła do holu, zapalając światło. Nikogo nie zobaczyła, nic nie usłyszała. Pozapalała wszystkie światła, zeszła na dół, obejrzała drzwi i okna, wszystko było pozamykane, wróciła zatem na górę i położyła się spać, uznawszy widok za halucynację. Nazajutrz zaś, przy blasku dnia, wszystkie trzy ujrzałyśmy na grządce ślady dużych stóp, prowadzące do parterowego okna i z powrotem.

Po dziś dzień całość pozostała zagadką, bo to parterowe okno rzeczywiście

było zamknięte. Możliwe, że Lucynie przyśnił się po prostu zamiar złodzieja czy włamywacza, nie zrealizowany z racji trudności technicznych.

Hodowało się w tym Zalesiu kurczaki i kury i przez te kurczaki dziwne, że mojej matki Niemcy nie zastrzelili. Faktem jest, że miała specjalne zezwolenie, wywleczone ze szkopów przez ojca, na przewiezienie piętnastu sztuk drobiu w dowolnie obranym kierunku, ale trzeba trafić, że na stacji kolejowej w Grójcu akurat była spożywcza łapanka. Zabrano wszystkim wszystko, w tym kurczaki mojej matce, ona zaś, wściekła, oburzona i zbrojna w swoje zezwolenie, awanturniczo zaczęła domagać się zwrotu. Wiozła te kurczaki nie na żaden handel, tylko siostrom w Zalesiu, i żądała praworządności. Niemcy chyba zgłupieli, odliczyli piętnaście sztuk drobiu i usiłovali jej to zwrócić, okazało się jednak, że część tego drobiu już zdechła, a część jest w nie odpowiednim wieku. Wpadła w furję i rzucała w nich tymi zdechłymi, oni zaś zbaranieli do reszty i z wielką gorliwością wyszukiwali żywe, dokładnie sześciotygodniowe, nie starsze, nie młodsze, aż zaspokoiłi jej wymagania, zamiast zwyczajnie ją zabić. W dodatku awanturowała się wyłącznie po polsku. Niemieckiego słowa nie wymówiła przez całą wojnę ani razu, zapewne by ją zadławiło.

Kurczaki dojechały na miejsce przeznaczenia i spokojnie sobie rosły razem z kurami, które zaspokajały nasze potrzeby w zakresie jajek.

Lato trwało długo, Teresa i Lucyna postanowiły hodować pieczarki. Skądś zdobyły grzybnię i urządziły pieczarkarnię w piwnicy. Pieczarkarnia nie zdawała egzaminu, torf był, końskie łajno było, grzybnia została rozsiana, a pieczarki nic, ani drgnęły. Zgniewało je to w końcu, cały ten chłam wywlokły z piwnicy i wyrzuciły na śmietnik. Trzeba trafić, że akurat przez trzy dni padał deszcz, czwartego zrobiła się piękna pogoda i już od wczesnego świtu usłyszały kurzy wrzask. Dochodził zza śmietnika. Popędziły tam i okazało się, że cały śmietnik razem z okolicami pokryty jest istnym gąszczem młodych pieczarek. W tej piwnicy prawdopodobnie były za mało podlewane, deszcz im dogodził i wreszcie ruszyły.

Dokładnie w pięćdziesiąt lat później wspomniałam ową chwilę. Mój syn miał pieczarkarnię, wszystko zostało zrobione jak należy, a pieczarki nie rosły. Staliśmy w hali we troje, dziecko, doświadczony pracownik i ja, martwiąc się i rozważając przyczyny klęski, i wówczas przypomniał mi się nagle zapieczarkowany śmietnik w Zalesiu.

- Podlać! - powiedziałam stanowczo. - Co wam zależy? I tak nie rosną, gorzej

nie będzie. Podlać porządnie i zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Naukowo nie potrzeba - powiedział mój syn.

- Nakichaj na naukowo. Podlać!

Popatrzyli na mnie z powątpiewaniem, wzruszyli ramionami i podlali. I pieczarki ruszyły jak szatan!

Ogród w tym Zalesiu wydawał mi się precudowny i całe życie marzyłam, żeby w takim mieszkać. Był duży. W jednym miejscu rosły jodły i panował pod nimi tajemniczy cień, wokół zaś słały się rozmaite gatunki mchu, nad którymi rozmyślałam, jak by tu je utrwalić. Musiałam tam przebywać dość długo, od wiosny do jesieni, bo pamiętam fiołki po kątach, a potem różne inne kwiaty, aż do przekwitających dali. Rosła tam także gipsówka, zwana wówczas kaszką, ogromne krzaki, a ile się później narobiłam, żeby coś takiego wyhodować, ludzkie słowo nie opisze, i nigdy mi się nie udało. Przez kilka dni miałyśmy nawet szparagi. Od czasu do czasu przyjeżdżała rodzina i wszyscy bawili się w chowanego, a głupie zabawy dorosłych ludzi uwielbiałam nad życie.

Nie dotknęła mnie wówczas jeszcze wojna. Poza bombami, które przez jakiś czas leciały na głowy, poza przeraźliwym tłokiem, jaki panował na trasach komunikacyjnych i atmosferą paniki, poza bardzo specyficznym nastrojem warszawskich ulic, odbieranym przez dziecko psim węchem, poza straszliwą chwilą, kiedy razem z dziadkiem weszłam na podwórcę ich przedwojennego domu i ujrzałam to, co pozostało z czwartego piętra oficyny, który to widok ^mroził mi krew w żyłach, poza, krótko mówiąc, drobiazgami, nie zetknęłam się z prawdziwym koszmarem. Miałam gdzie mieszkać, nikogo w moich oczach nie zabito, nie bywałam prawdziwie głodna, mogło mi najwyżej brakować ulubionych smakołyków. A jednak coś w moją psychikę zapadło.

Tam, w tym Zalesiu, w jakimś momencie ujrzałam niemieckiego żołnierza, który zwyczajnie szedł sobie wzdłuż toru. Pamiętam ten widok do dziś. Byłam mała, tor biegł po nasypie, żołnierza widziałam na tle nieba. Żadne dziwo, niemieckich żołnierzy widywałam zatrzęsienie. Patrzyłam na niego długo i nagle poczułam zupełnie niedzielną, straszliwą, z pewnością zbyt wielką dla mnie nienawiść.

Nienawiść do wojny, do Niemców i do tego żołnierza personalnie. Musiałam być chyba dzieckiem podatnym na wpływy, łatwo chłonącym opinie i uczucia dorosłych, ponadto tkwiły już we mnie zapewne te pierwsze lektury, patriotyczne i wzniosłe, Orleńskie Lwowskie i całe gadanie o pierwszej wojnie światowej. Zjawisko

wyduje mi się dziwne, ale uczucia, jakich wówczas doznałam, i przerażający rozmiar nienawiści doskonale pamiętam do tej pory.

Do diabła z tą wojną, wyraźnie mówiłam, że nie będę się w nią wdawać!

Następnego roku po wakacjach w Zalesiu nauczyłam się jeździć na rowerze, co uznałam za wielkie osiągnięcie.

Doświadczenia w dziedzinie nauki jazdy na łyżwach pozbawiły mnie złudzeń, wiedziałam już, że na rodzinę nie ma co liczyć. Jojczałam wprawdzie i domagałam się pomocy przy wsiadaniu oraz trzymania z tyłu za siodełko, ale nikt się nie rwał do latania biegiem po polnej drodze i mogłam tak jojzczyć do uśmiechniętej śmierci. Zaczęłam w końcu wsiadać i ruszać sama. Przewróciłam się mniej więcej trzydzieści razy, po czym wreszcie pojechałam i tym sposobem przekroczyłam zasadniczy próg.

Rowerów było dwa, ojca i matki, oba dorosłe, oba z ramą, jeden na balonach, oba z kierownicą wygiętą ku górze, chociaż można ją było także przekreślić i wówczas była wygięta ku dołowi. Ojciec tak jeździł, mnie było wygodniej mieć ją wysoko. Opuszczono mi siodełko jak najniżej i już dawałam sobie radę. Umiałam założyć spadający łańcuch i napompować koło. Na szosie Warszawa-Grojec uczyłam się skręcać, można sobie wyobrazić, jaki ruch tam panował, skoro uznałam ją za doskonałe, spokojne, odludne miejsce, co zresztą nie przeszkadzało, że w trakcie nauki wylądowałam na słupie telegraficznym i podrapałam sobie ramię. Głównie jednak użytkowałam twardo ubite ścieżki pomiędzy zbożami.

Działo się to oczywiście w tej naszej posiadłości, która wreszcie stała się faktem dokonanym. Korzystając z okazji, usiłowałam także nauczyć się jeździć konno, ale konia nie udawało mi się użytkować w sposób dowolny, tak jak roweru. Koń był zwierzęciem roboczym. Do wozu zaprzęgało się niekiedy dwa, pojęcia nie mam, czy ten drugi też był nasz, czy może wypożyczony, w każdym razie umiałam kierować tym zaprzęgiem. Na koński grzbiet wsadzono mnie parę razy, roboczy koń, nawet dobrze utrzymany, to jednak nie jest rumak ognisty, szedł sobie stępem i nic się wielkiego nie działo. Raz mi go postraszyły wsiowe dzieci, wierzchowiec ruszył ostrym klusem i dojechałam na podwórze wisząc na nim, oczywiście na oklep, zacementowana jedną nogą. Ale nie spałam.

Egzystencja na tej wsi wcale nie wydawała mi się taka łatwa. Obowiązki miałam liczne i nie wszystkie budziły mój zachwyty. Lebioda i pokrzywy dla kaczek, krwawnik dla indyków, do dziś na widok tych roślin stają mi w oczach stada drobiu, znosiłam zielsko całymi pękami. Największe kłopoty miałam z krwawnikiem, na

który koło domu był jakiś nieurodzaj i musiałam po niego daleko latać. Czasem pasłam gęsi, a czasem krowę, krowy trochę się bałam, aczkolwiek stanowiła bez mała zwierzątko domowe, lśniaca, czyszczona i głaskana, rzecz jasna także dojona i bardzo łagodna. Na imię miała Cyganka, bo była czarna.

Rznęłam sieczkę na sieczkarni i to zajęcie bardzo mi się podobało. Obejście, jako takie, było dość osobliwe. Dwumorgowy ogród-sad, ogrodzony porządnie pionowymi żerdziami, w tym ogrodzie altanka na miejscu przyszłego domu i stodoła tuż za ogrodzeniem, kierat przed nią, konia w kieracie poganiałam niekiedy całymi godzinami, dom mieszkalny zaś, wynajęta chłopska chałupa, znajdował się po drugiej stronie drogi. Tamże drugi raz w życiu dostałam lanie.

Odbywały się imieniny moich rodziców, obchodzone równocześnie, bo jedno miało na imię Jan, a drugie Janina, a w dodatku w dniu imienin brali ślub. Przyjęcie, wielce huczne, urządzono na wsi, gości przybyło zatrzęsienie, służba, w postaci jednego parobka, jednej wsiowej baby i naszej miejskiej służącej, miała pełne ręce roboty, a moja matka była wściekła, bo jej się goście urznęli. Nie znosiła pijanych, a tu, w tym całym galimatiasie, nie zdołała dopilnować trzeźwości.

Byłam jedynym dzieckiem w tym towarzystwie i miałam spać na tak zwanej górcie, czyli stryszku, na który wchodziło się z zewnątrz po drabinie. Od dłuższej już chwili byłam zaganiana do owej sypialni, tymczasem mnie się chciało pić. Zakaz picia nie gotowanej wody był kategoryczny, zakodowany we mnie na mur, i umarłabym z pragnienia, a kropli do ust nie wzięła. Ktoś mi musiał dać trochę czegoś odpowiedniego, sama nie umiałam nic znaleźć, żadnej zimnej herbaty, żadnego kompotu, nie napiję się przecież wrzątku prosto z czajnika, w kuchni panowało piekło dantejskie, plątałam się pod nogami i popłakiwałam. Zostałam wypędzona precz, spać mam iść, jazda na górę! Płacząc już teraz rzewnymi łzami, zaczęłam włączyć na drabinę i tu dopadł mnie ojciec. Zmartwił się, że tak płaczę, na pytanie o przyczynę nie uzyskał jasnej odpowiedzi, sam z siebie uznał, że powinnam iść spać, bo już późno, zapomniał, że spać miałam właśnie na stryszku, zwlókł mnie z drabiny i zaciągnął na ganek. Tam akurat wyjrzała rozwścieczona matka.

- Jeszcze tu jesteś?! - krzyknęła z szalonym gniewem i przyłożyła mi smyczą od psa, przypadkiem leżącą pod ręką.

Ryknęłam rzetelnie i gromko, bo dostałam niewinnie. W potokach łez wróciłam na drabinę, ojciec zaś, niezdolny do podniesienia głosu i zrobienia awantury, usiłował na ganku wyjaśnić sprawę, co w tych okolicznościach nie

powiodło mu się w najmniejszym stopniu.

Już nawet nie będę eksponować faktu, że na tym stryszku spała także Teresa na ciężkiej bani, bo tajemnicza klątwa sprawiała, że ilekroć Teresa się urznęła, mnie razem z nią kładziono spać w tym samym pomieszczeniu. Może dzięki temu pozostała w rodzinie jedyną osobą hamującą potępienie, kiedy zdarzyło mi się niekiedy nadużyć alkoholu. Rzecz jasna, nie w dzieciństwie.

Wracając do prac polnych i ogrodniczych, nienawidziłam pielenia. Wpływ na to z pewnością miała aura, lato było piękne, gorąco jak piorun, małe drzewka nie dawały ani odrobiny cienia, a do pielenia byłam twardo zaganiana i zajęcie wydawało mi się okropne. Z dwojga złego wolałam już zbierać zielsko i truskawki, bo w zasadzie zbierać lubiłam wszystko. Zachwycały mnie żniwa. Odbierałam, wiązałam powrósł, ustawiałam mendle, jechałam na wyładowanym wozie do stodoły, zjeżdżałam ze sterty i była to cudownie piękna zabawa. Skakałam z belki na siano i słomę w sąsiedku i podawałam snopki do młócenia, bo młockarnia była. Wialnia też.

Nie mieliśmy za to masielnicy, pojęcia nie mam dlaczego, nie był to bowiem przyrząd ani specjalnie drogi, ani skomplikowany. Uczestniczyłam zatem w potrząsaniu litrową butelką śmietany, żeby ubić masło, nikt tego potrząsania długo nie wytrzymał i butelka przechodziła z rąk do rąk. Za pierwszym razem w ogóle ubił nam się doskonały krem. Kiedy następnym razem moja matka postanowiła zrobić krem, ubiło się masło. Potem już zawsze była loteria, co wyjdzie, masło czy krem, konkurencję wygrało masło.

Przy okazji zachwiała się we mnie wiara w prawa natury. Rozszalała się potworna burza, deszcz lał, pioruny biły, wszyscy siedzieli w chałupie, gapiąc się przez okna. Nie bałam się, bo od pierwszego bombardowania przestałam bać się burzy. W odległości może pięćdziesięciu metrów, akurat na skraju naszego ogrodu, na skrzyżowaniu dróg rosła ogromna grusza, ściśle biorąc ulęgalka. Po drugiej stronie drogi, oddalony od gruszy mniej niż o dziesięć metrów, stał mendel zboża, i w naszych oczach piorun rąbnął w mendel, a nie w gruszę, chociaż każda jełopa wie, że pioruny walą w wysokie drzewa. Mendel się zapalił, ale nawet akcja ratownicza nie była potrzebna, bo deszcz go szybko ugasił. Dla uniknięcia nieporozumień zaznaczam, że mendel nie miał w środku żadnego sterczącego drağa, który by działał jak piorunochron, nic z tych rzeczy, zwykły mendel i samo zboże.

Bawić się też mogłam, oczywiście, nie byłam ostatecznie murzyńskim niewolnikiem, a do roboty zaganiano mnie nie przez złośliwość, tylko z konieczności.

Pracowali wszyscy, przyjeżdżała rodzina, dziadek spędzał u nas urlopy z kosą w ręku, Teresa harowała na równi z parobkiem, ojciec własną ręką sadił cały sad i własną ręką obierał szkodniki z drzew, chociaż nie jestem pewna, czy nie miał tu na uwadze korzyści dodatkowych, bo możliwe, że tego robactwa używał na ryby. Lucyna pchała się głównie do ogrodu. Przyjeżdżali różni goście i przyjechała do mnie przyjaciółka.

Była to jedna z dwóch zasadniczych przyjaciółek mojego wczesnego dzieciństwa, koleżanka z pierwszej klasy szkoły podstawowej, córka dyrektora gimnazjum, zatem sfera w oczach mojej mamusi właściwa. Na imię miała Bożenka, o rok była ode mnie starsza. Namiętnie i bezgranicznie pragnęła mieć czarne włosy i niebieskie oczy, o niebieskie oczy nie musiała się starać, miała je. ale włosy przyczyniały jej zgrzyoty, były jasne. Obie miałyśmy prawie ten sam kolor, moje były bardziej popielate, ale mnie na czarność nie zależało, wolałam zostać blondynką. Opatrzność w zdumiewający sposób spełniła nasze życzenia, jej włosy z wiekiem ściemniały, jako dorosła kobieta doznała szczęścia posiadania czarnych włosów i niebieskich oczu, a poza tym zawsze była bardzo ładna. O jej poziomie umysłowym nie będę się wypowiadać, żyje bowiem nie tylko ona, ale także, co gorsza, jej dzieci, tyle wyznam, że już w wieku dziesięciu lat uważałam ją za kretynekę wysokiej klasy. Przyczyny po temu istniały, twierdziła mianowicie, uparcie i melancholijnie, że nie chce być stara i w podeszłym wieku dwudziestu pięciu lat popełni samobójstwo. Zaniepokojona groźbą, błagałam, żeby posunęła się nieco dalej, do trzydziestu lat na przykład, ale dla niej była to już zgrzybiałość nie do przyjęcia. Gdzieś musiała się we mnie kołatać odrobina zdrowego rozsądku, bo pogląd i zamiary uznałam za idiotyczne.

Ponadto była trochę za dobrze wychowana. Przychodziła z wizytą, człowiek ją czymś częstował, za skarby nie chciała brać. Przyjęcie się odbywało, Kinderbal, imieniny, całe należało poświęcić wysiłkom, żeby cokolwiek wzięła do ust, dziękowała i dziękowała, nie i nie, zwariować można było od tego. Jeśli zaś zrezygnowało się z częstowania i namawiania, obrażała się śmiertelnie. Tyle się z nią namęczyłam w pocie czoła, że mi to w końcu obrzydło i zdaje się, że stratę ponieśli moi późniejsi goście, bo namawiania do jedzenia zaniechałam całkowicie. Zastosowałam hasło: stoi na stole i róbcie, co chcecie!

No i Bożenka przybyła do mnie z wizytą na wieś.

Nie wiem, nigdy przedtem nie była na prawdziwej, głuchej wsi, czy co, w każdym razie życzenia miała potworne, chciała koniecznie iść na spacer. Upał dziki,

nieruchome powietrze pomiędzy ścianami zbóż. żywe słońce wali się z nieba, a ta się pcha na spacer, Jezus Mario! W cieniu posiedzieć, w stodole ostatecznie, pod studnią się chlapać, ale nie spacer! Ruchu to ja tam miałam dość, z czego, rzecz jasna, ona nie zdawała sobie sprawy.

No dobrze, była gościem, poszliśmy na ten cholerny spacer. Nasza posiadłość, szeroka na jakieś sto metrów, ciągnęła się pasem w dal na blisko siedemset i leżała przy drodze. Na końcu, już za naszym gruntem, z boku tej drogi, znajdowały się piaszczyste doły, a nieco dalej rosła samotna, wielka brzoza. Ku tej brzozie ją wiodłam.

Co kilkanaście kroków proponowałam grzecznie, żeby może już wrócić, ale ona twardo nie, dalej i dalej. A pewnie, spacer był atrakcyjny, chabry rosły w życie, można je było zrywać, maki przy drodze, powoje i rozmaite inne kwiecie, po tej lebiodzie, pokrzywach i krwawniku odnosiłam się do zielska mało entuzjastycznie, ona jednakże była zachwycona. Na piaszczystych dołach kwitły dziewanny. Rozpacz mnie już ogarniała i czułam się pólżywa, wpadłam zatem na przerażający pomysł.

- Ja dalej nie idę - oznajmiłam już dobre pięćdziesiąt metrów za brzozą. - I tobie nie radzę. Musimy wracać natychmiast, żeby zdążyć przed dwunastą.

Bożenka się zainteresowała.

- Bo co?

- Bo ta brzoza jest zaczarowana. Mieszka pod nią poczwara i wyłazi równo w południe...

Mówiłam tajemniczo, z niepokojem i bez wątpienia głosem znękanym. Bożenka uwierzyła. Logiki w tym wprawdzie nie było, bo nawet jeśli istotnie poczwara wyłazi w południe, nie siedzi przecież aż do wieczora, można poczekać, aż wlezie z powrotem, albo wracać okrężną drogą, nie przechodząc obok brzozy, ale w tym wieku logika nie stanowi najmocniejszej strony umysłu. Bożenka zawróciła natychmiast, przyśpieszając kroku.

- Zdążymy? - spytała z przestraczem.

- Lepiej lecieć - poradziłam.

W wściekłym skwarze popędziłyśmy biegiem, aż się za nami potężnie zakurzyło. Tuż przy brzozie spojrzełam na zegarek, bo już miałam następny po tamtym srebrnym, wykapanym w Bugu.

- Dwunasta...!!! - wrzasnęłam strasznie, sama nagle niespokojna, zarażona jej strachem.

Zatrzymałyśmy się dopiero przy końcu dołów i ciężko dysząc, obejrzałyśmy za siebie. Pod brzozą nic się nie ruszało. Chciałam jej wyjaśnić, że jeśli nie ma człowieka do złapania, poczwara czai się wśród korzeni i nie pokazuje na wierzchu, i w tym momencie kątem oka dostrzegłam coś dziwnego i raczej okropnego. Krew na żółtym kwiatku...! Gwałtownie odwracając głowę, spojrzałam, zdążyłam stwierdzić, że nie żadna krew, tylko brązowa plamka i usłyszałam straszliwy krzyk przyjaciółki. Runęła w kierunku domu z obłądnym przerażeniem na twarzy. Nie pytałam o przyczyny, śmiertelnie wystraszona runęłam za nią, charakter nam wszedł w piętę, tym razem zatrzymałyśmy się uczone ogrodzenia naszego sadu, prawie naprzeciwko chałupy.

- Co... się... stało...? - wydyszałam niespokojnie.

Odpowiedziała, dopiero odzyskawszy dech, zdławionym głosem.

- Co to było...? Co tam zobaczyłaś...? Dopiero po długiej chwili udało nam się uzgodnić zeznania. Okazało się, że spojrzałam na piaszczyste doły z takim przerażeniem, że ona wołała nie czekać. Rzuciła się do ucieczki, bo na pewno zobaczyłam coś strasznego. Ja zaś rzuciłam się do ucieczki, bo ona krzyknęła i rzuciła się do ucieczki. Komunikat o tym, że wydawało mi się, iż dostrzegłam krew na kwiatku, załatwił ją do reszty, spaceru miałam z głowy i więcej do mnie z wizytą nie przyjechała.

Szatański pomysł z brzozą zemścił się na mnie samej. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że wszystko wymyśliłam, ale jakiś kompletnie irracjonalny niepokój pozostał i lękałam na niewinne drzewo podejrzliwym okiem. Jeździłam w tamtą stronę na rowerze, bo ścieżka obok piaszczystej drogi była twarda, choć wąska, i jechało się po niej doskonale. Nawet specjalnie się tam wybierałam, żeby udowodnić sobie idiotyzm obaw, chociaż zawsze jakoś zawracałam wcześniej. Wreszcie przyszła chwila, kiedy nie zawróciłam. Dojeżdżając do dołów, zuchwale patrzyłam w kierunku brzozy i okazało się, że na środku mojej ścieżki siedzi wiewiórka. Zwolniłam, zuchwałość we mnie nieco skłęsała, nie, to nie była wiewiórka, to był mały piesek. Zwolniłam jeszcze bardziej. Byłam już blisko, kiedy piesek z furkotem uniósł się w powietrze i wtedy zleciałam z roweru. Nie zaczęłam uciekać. Przypomniałam sobie, że na tej brzozie mają gniazdo dwa ptaki, duże, czarno-rude, nigdy nie znałam nazw ptaków i nie wiedziałam, co to jest, ale gniazdo było pewne. Widocznie jeden ptak siedział na ścieżce, w drgającym z gorąca powietrzu wyglądał jak wiewiórka, potem jak piesek...

Ze straceńczą odwagą pojechałam dalej, przemknęłam obok brzozy, dumna z siebie zawróciłam, spojrzałam i o mało trupem nie padłam. Na środku drogi przed brzozą szalało w tumanach kurzu jakieś okropne kłębowisko. Nie uciekłam, zdolność ruchu na dobrą chwilę miałam odjętą, trwałam wpatrzona w koszmar, dzięki czemu kłębowisko zdążyło się wyklarować w moich oczach. Dwa wróble się biły.

Przejechałam obok brzozy chyba z rozpaczy i otumanienia, bo na skutek wstrząsu nie pomyślałam, że mam także drogę okrężną. Nie widziałam innego sposobu powrotu do domu, po dłuższej mobilizacji zatem zdobyłam się na czyn potężny. Zdaje się, że tego lata już wypraw w tym kierunku nie podejmowałam.

Niemca na owej wsi nie widziałam ani razu i w ogóle nie czuło się tam wojny, aczkolwiek echa dobiegały. Przyszła nasza grójecka służąca i powiedziała do naszej wsiowej gospodyni:

- Pani nie idzie aby do miasta, bo wszystkich ludzi ledykimują.

Natychmiast gosposia przyleciała do mojej matki i ostrzegła:

- Ady niech pani nie idzie do miasta, bo wszystkich ludzi deklamują.

Po czym moja matka poszła do grójeckiej służącej i spytała, co, na litość boską, robią Niemcy z ludźmi w mieście?

Koło od kieratu, wciągane po drabinie na stryszek, rozbiło Teresie kolano. Pierwszy raz załatwiła sobie to kolano, kiedy zjeżdżała ze mną na sankach jeszcze przed wojną, ze skarpy na Świński Targ po muldach, drugi raz tym kołem. Potem na trwale zagnieździł jej się w nim reumatyzm.

Ja tylko upuściłam sobie na nogę litrową butelkę z ciemnego szkła, nie wiem po czym, chyba po winie. Butelce nic się nie stało, ale mnie zszedł paznokieć. Wyłam, wkładając nogę do zimnej wody, a Lucyna wymyślała mi od histeryczek. Nie odcięłam sobie palców sieczkarnią, ani nogi sierpem, co można chyba uważać za duży sukces.

Z wizytą był także młodzieniec o dwa lata ode mnie młodszy, syn znajomych, który nieco później oświadczył mi się w sposób niedwuznaczny, ale nie został przyjęty, bo młodszych lekceważyłam. Po Tomciu Paluchu i synu kierownika szkoły byłam już doświadczona uczuciowo. Jeszcze później, już pod koniec wojny, kolejna przyjaciółka, tym razem o dwa lata starsza i bardziej wyrobiona życiowo, nakłoniła mnie do czarnej magii.

Wielkie szczęście miało człowieka spotkać i wszystkie życzenia zostać spełnione, o ile zastosowało się dość skomplikowaną procedurę. Należało wziąć

siedem sztuk różnych rzeczy, głównie produktów roślinnych, z których pamiętam tylko kłaczę perzu, pięć elementów spalić, popiół starannie zgarnąć, dołożyć do niego jajko i kostkę cukru... nie, to miała być łyżeczka cukru, wśród odpowiednich zakłęb zapakować w węzełek z prawdziwego płótna i ukryć na jakiś czas, z tym że znów nie pamiętam na siedem czego, tygodni, miesięcy czy może lat. Dokonałyśmy tych magicznych manipulacji, jajka i cukier musiałam ukraść, bo nikt nie miał prawa o czarach wiedzieć, po czym węzełki zostały ukryte w ceglach. Leżały już wówczas w ogrodzie kręgi na przyszłą studnię i cegły na przyszły dom, który nigdy nie został wybudowany, i cegły wydały nam się kryjówką najstosowniejszą. Przypomniałam sobie o tych węzełkach w jakieś cztery lata później, znalazłam je, cukier skamieniał i wyłamałam sobie na nim ząb, a jajek nie miałam odwagi próbować.

Z tą samą przyjaciółką wybrałam się o północy na cmentarz. Miałam już wówczas dwanaście lat, ona czternaście, i nie była to tak zupełnie północ, bo nie dałabym rady o podobnej porze wykraść się z domu, moja matka miała zbyt lekki sen, uzgodniłyśmy zatem, że północ będzie umowna. Naprawdę była to ósma godzina, dla mnie górna granica pobytu poza domem, ale mżył deszcz, chmury zasłaniały niebo i zrobiło się już prawie ciemno. Cmentarz, rzecz jasna, świecił pustką absolutną, zarośnięty był mocno i wyglądał nieopisanie ponuro. Symulując wielką odwagę, ostrożnie przeszliśmy nieco w głąb, zatrzymałyśmy się przy jakimś nagrobku i niepewnie rozejrzałyśmy dookoła.

Nic się nigdzie nie ruszało, panował spokój. Odwrócone twarzami do siebie mówiłyśmy właśnie, że no proszę, nie ma się czego bać, jakie tam duchy, kiedy tuż za nią, przy ziemi, coś gwałtownie i z hałasem szurnęło. Byłam w tej szczęśliwej sytuacji, że stałam przodem do tego i zanim się zdążyłam przerazić, zobaczyłam uciekającego zająca, ona jednak znajdowała się tyłem i nic nie widziała. Z takim wyrazem obłędnego przerażenia nie spotkałam się nigdy przedtem i nigdy potem, słowa nie wymówiła, dźwięku z siebie nie wydała, otworzyła usta i z tymi otwartymi ustami przysiadła, a oczy jej prawie wyszły z głowy. Dostałam ataku śmiechu, którego mi nie zdołała przebaczyć i pewnie dlatego nie szukałyśmy już wspólnie magicznych węzełków. Przyjaźń się skończyła, znikła na zawsze z mojego życiorysu i za nic nie mogę sobie przypomnieć, jak miała na imię.

W tym samym mniej więcej czasie bawiłam się w Indian na Dzikich Polach. Zestawienie może oryginalne, ale tak nam pasowało. Dzikie Pola rozciągały się zaraz za grójeckim domem, w zabawach zaś uczestniczyła Bożenka, ta od poczwary pod

brzozą, i druga przyjaciółka, Wiśka. Z leszczyny zrobiłam sobie łuk, a przy produkcji strzał wetknęłam Bożence patyk w oko. Nie specjalnie, broń Boże, najzupełniej przypadkowo, ale o mało nie oszalałam z przerażenia, że wyrządziłam jej ciężką krzywdę i zebrałam na wszystko, żeby nie płakała. Zniosła katastrofę dzielnie, pottrzymała się za oko, uszkodzenia wzroku, na szczęście, nie doznała żadnego, ale do zabawy w Indian chyba trochę straciła serce. Z łuku strzelałam, strzały niosły na całe trzy metry i doskonale zaczepiały się o firankę. Pióropusze robiłam z indyjskich piór i wtedy właśnie ten strachliwy kot miał ciężkie życie. Na śladach również znałam się pierwszorzędnie, racice krowy od stóp człowieka odróżniałam bez najmniejszego wahania.

W Warszawie miałam załóżek przyjaciółki, Elę, sąsiadkę Lucyny. Ela posiadała lepszą huśtawkę niż ja, właściwie był to trapez i robiłyśmy na nim rozmaite ćwiczenia gimnastyczne. Potem dostawałyśmy konfitury z wiśni, produkowane przez gosposię Lucyny, najlepsze, jakie jadłam kiedykolwiek w życiu. Potem wybuchło powstanie i straciłam Elę z oczu, ale przedtem zleciałam ze schodów.

Razem z Lucyną wychodziłyśmy z domu. Coś niosłam, nie pamiętam co, ale wiem z pewnością, że pod pachą ściszałam jakąś książkę. Znajdowałam się o pół piętra wyżej i podróż w dół zaczęłam już na pierwszym stopniu. Zjeżdżałam na tyłku, nie mogąc się powstrzymać, bo tę książkę przyciskałam do siebie kurczowo i miałam ograniczone ruchy. Nie wiem, która z nas była bardziej przerażona, Lucyna nie straciła z przedstawienia najmniejszego szczegółu, akurat kiedy ruszyłam, odwróciła się ku mnie i w panice absolutnej oglądała całą katastrofę. Była święcie przekonana, że na dół dojadę martwa, ale nic na to nie mogła poradzić. Dojechałam żywa, chociaż nieco oszołomiona, i chyba mi potem zlatywanie ze schodów w lekki nałóg weszło.

A propos przedstawień, jedno, nieco wcześniej, wykonał Tadeusz, mąż Teresy. Zanim znikł z Polski w tajemniczych okolicznościach, których szczegółów nie udało mi się nigdy poznać dokładnie, zdążył się zaprezentować jako osobnik o pogodnym usposobieniu. Oboje z Teresą krótko po ślubie znaleźli się u nas w Grójcu. Z jakich powodów i na kogo byłam śmiertelnie obrażona. Bóg raczy wiedzieć, w każdym razie siedziałam nadęta, pełna ciężkiej urazy, zajęta sobą i własną krzywdą, nie zwracałam uwagi na poczynania rodziny i dlatego nie dotarły do mnie początki spektaklu. Zdaje się, że Tadeusz postanowił moją matkę i Teresę rozweselić i zaprosił je do kabaretu, przy czym cały kabaret działał w naszej jadalni. Najpierw wystąpił w charakterze kelnera i przynosił im rozmaite potrawy, dostrzegłam wreszcie, co się

dzieje, kiedy przyniósł surowe kartofle, pokrojone w kostkę i ozdobione jakimś świństwem, wąpnię, czy jadalnym. One obie siedziały na tapczanie i już wyły. Zainteresowałam się ukradkiem, bo w stanie śmiertelnej obrazy nie wypadało mi interesować się jawnie. Dostarczane potrawy stanowiły imitację prawdziwych, gorąco je zachęcał do spróbowania, każda była niespodzianką i każda jadalna w nader nikłym stopniu. Skończył wreszcie z kelnerstwem i przerzucił się na rolę bajadery. Znikł w sypialni, wrócił po paru chwilach, ubrany w kieckę mojej matki, za krótką na niego, z wypchanym biustem i tyłkiem, w pantoflach na wysokich obcasach, z jakimś ustrojstwem na głowie, i zaczął tańczyć.

Wtedy już wyraźnie poczułam, że albo pęknę, albo umrę. Służąca stała w drzwiach kuchni, twarz miała w kolorze buraka, kiwała się w przód i w tył i wydawała z siebie rodzaj grzmotów. Teresa i moja matka leżały na tapczanie, piejąc i płacząc, ja zaś siedziałam przy stole, uparcie usiłując zachować pełną odrazy powagę. Nie było siły, zламаłam się, zrezygnowałam z urażonej godności, o ile sobie przypominam, nie utrzymałam się na krześle, kwiczałam pod stołem.

Mnóstwo wydarzeń, wątków, jako też moich cech charakteru wylęgło się w tym samym mniej więcej okresie, pomiędzy dziewiątym a dwunastym rokiem życia. Między innymi osiągnęłam sukces jako medium.

Jak powszechnie wiadomo, w czasie okupacji panowała szalona moda na seanse spirytystyczne. Przywiozła ją do Grójca Lucyna, spędziła do kupy rodzinę i przyjaciół i zaczęła się polka. Od pierwszego kopa nastąpiła scena wstrząsająca, którą dziś potrafię wytłumaczyć bez trudu, ale w tamtej chwili zakrawała na cud.

Siedziało przy stoliku kilka niezmiernie przejętych, chociaż trochę podejrzliwie nastawionych osób, wśród nich zaś jedna ze znajomych Teresy, niejaka panna Jadwiga. Panna Jadwiga miała brata imieniem Felek, a z całą rodziną byliśmy połączeni dość kontrastowymi węzłami. Primo, Felek grawitował ku Teresie, bo bardzo mu się podobała, secundo u nich właśnie znalazł szczęście kot Pimpuś, tertio, ja sama Felka upamiętniłam gruntownie.

Tu znów muszę uczynić dygresję, parę kroków do tyłu. Od tych dygresji można zwariować, ale nic na to nie poradzę, nad skokami własnego umysłu nie panowałam nigdy.

Miałam wtedy dwa lata. Przyleciałam nagle do matki, zemocjonowana i w wypiekach, i krzyknęłam:

- Mama, włóż mi prędko czerwoną sukienkę, bo pan Felek idzie!

Czerwoną sukienkę dostałam, po czym zadano mi pytanie:

- Dlaczego chcesz czerwoną sukienkę?

- Bo pan Felek idzie - powtórzyłam, zapewne w przekonaniu, że nie dosłyszeli.

- Pan Felek tak ci się podoba?

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo ma duży nos.

Ostatnia odpowiedź padła bez wahania, była prawdziwa i wzbudziła w rodzinie szaloną wesołość.

Seans spirytystyczny odbywał się w osiem albo dziesięć lat później. Jak już zostało powiedziane, przejęte i mocno wystraszone grono siedziało przy okrągłym stoliku i tylko jedna Lucyna była obeznana z tematem. Duch się objawił, porcelanowy talerzyk ze strzałką ruszył i pojechał po wypisanym dookoła alfabecie. Ze wskazywanych liter wyszło pierwsze zdanie:

NIECH SIĘ FELEK STRZEŻE.

Zapanowała konsternacja, a przestрах wzrósł, panna Jadwiga się zdenerwowała. Zapytano, czego ma się ten Felek strzec, na co duch bardzo porządnie i ortograficznie, kolejnymi literami, sprecyzował nazwisko:

BRAJTSZWANC.

Oczywiście nie był to żaden Brajtszwanc, nie pamiętam, jak się facet naprawdę nazywał, ale jakoś bardzo podobnie, więc przyjmijmy chwilowo, że Brajtszwanc. Panna Jadwiga strasznie zbladła i cóż się okazało. Ówże Brajtszwanc był to jakiś szkop, albo może folksdojcz. który symulował wielką przyjaźń i życzliwość dla Felka i proponował rozmaite wspólne interesy. A tu duch wyjawia, że strzec się go należy, więc pewnie fałszywa świnią.

Po odzyskaniu równowagi zastanowili się wszyscy i uwierzyli w moc sił nadprzyrodzonych, bo inaczej sprawa była niepojęta. Nikt by się nie ośmielił talerzyka popychać, jedna może Lucyna, otrząskana z głosem z zaświatów. Fajnie, ale Lucyna nie знаła nazwiska Brajtszwanc i w życiu o nim nie słyszała, nie mogła zatem go podać. Wyrocznie uszanowano, Felek został ostrzeżony, po czym okazało się, że Brajtszwanc rzeczywiście robił mu koło nogi.

Dziś, kiedy naukowo udowodniono istnienie telepatii i bioprądów, jestem zdania, że komuś z tego całego towarzystwa tkwił w podświadomości niepokój o

Felka i stąd wyszło ostrzeżenie, a gdyby nawet Lucyna zrobiła sobie dowcip, nie szkodzi. Przerazona panna Jadwiga, głowiąca się, w czym dzieło, wytypowała Brajtszwanca i bezwiednie rzuciła go na żer sił nadziemskich, przypadkiem słusznie.

Po Brajtszwanca jednakże szal zapanował kompletny i o mało od tego ducha nie wyzionęłam, bo okazałam się doskonałym medium i chwili spokoju mi nie dawali. Raz się zbuntowałam, poszłam sobie i przylecieli po mnie po minucie, bo nastąpiło coś okropnego.

O JAK CIĘŻKO - rzekła porcelana i zatrzymała się. Nie było siły, przywlekli mnie przemocą, z czego nawet byłam dosyć dumna. Słowo honoru, że nie popychałam nigdy!

Młodzieniec, o którym już była mowa, przybywszy z wizytą, tym razem w mieście, a nie na wsi, zaproponował prywatny, dwuosobowy seans. Osoby dorosłe wywoływały duchy w jednym pokoju, a my w drugim. Znałam się już na tym doskonale, miałam doświadczenie, jako gospodyni byłam grzeczna, chce wywoływać, proszę bardzo. Skombinowałam przyrządy, zakochany we mnie młodzian popychać zaczął bezzwłocznie. Kazał mi zadawać pytania, przede wszystkim poinformować się u ducha, czy w życiu czeka mnie szczęście.

- Czy będę szczęśliwa? - spytałam posłusznie i z rezygnacją, bo doskonale wiedziałam, że on popycha.

- TAK - odpowiedział duch bez wahania.

- Czy ze mną? - spytał na to konkurent z wielkim naciskiem, patrząc na mnie znacząco.

Duch, rzecz jasna, potwierdził jeszcze szybciej. Zakłopotalam się nieco, bo wciąż czułam się gospodynią, która dla gościa powinna być uprzejma. Dwa lata był ode mnie młodszy, poślubienie gówniarza nie wchodziło w rachubę, odmówić brutalnie nie wypadało. Wybąknęłam coś z siebie, ogromnie zmieszana, młody człowiek wypiął dumnie pierś, wzięwszy zmieszanie za skromność dziewczycą, a trzeba zauważyć, że czytać również umiał już dawno i wzory z lektur zdążyły się w nim zagnieździć. Unikałam go potem z całej siły, czego rodzice zrozumieć nie mogli, bo chłopiec był grzeczny i z dobrego domu.

Duchy duchami, dla mnie osobiście istotne stały się dwa inne elementy. Jakoś razem wystąpiły twórczość pisarska i pieniądze. Na jedno i drugie mniejszy czy większy wpływ wywarta Lucyna.

Głupia to ona nie była z całą pewnością, ale niewątpliwie lekkomyślna, tak

samo jak cała rodzina. Mówiła, co jej wpadło do głowy, nie bacząc na skutki. Słowa krytyki zgłaszała prawie od chwili, kiedy zaczęłam czytać i tępiła mnie bez miłosierdzia, zapewne w celach pedagogicznych, z tym że udało jej się chyba nieco przesadzić. Z naciskiem przekonywała wszystkich wielkim głosem tak, żebym słyszała, iż z pewnością jestem niedorozwinięta umysłowo. Czytam i czytam bez przerwy i co mi z tego przychodzi? Nic, zero kompletne, szkoda dla mnie tych książek. Gdybym chociaż pisała bajki...!

Później zaś wielokrotnie twierdziła, że człowiek ma prawo być samodzielny i sam o sobie decydować dopiero wtedy, kiedy na siebie zarabia i umie się sam utrzymać. Słuszność tej opinii uznałam w pełni, uparcie chciałam zyskać samodzielność, zaczęłam się pchać do pieniędzy z siłą trąby powietrznej. Dopchałam się w pewnym stopniu w wieku lat jedenastu.

Przedsiębiorcze osoby, które wojna wygnała z warszawskich mieszkań i które ulokowały się w naszym domu, założyły na parterze fabrykę proszku do pieczenia „Alma”. Produkcja polegała na dozowaniu sody, możliwe, że z czymś mieszaną, i paczkowaniu preparatu w małych torebkach. Zostałam zatrudniona przy klejeniu torebek i kiedy usłyszałam, że zarobię sto złotych dziennie, niebo się przede mną otwarło. Po choinkowych ozdobach klejenie czegośkolwiek przychodziło mi bez trudu, odwalałam te torebki z zapalem, nie gorzej niż osoby dorosłe, i rzeczywiście zarabiałam sto złotych dziennie, z tym że krótko. Coś fabryczkę wykończyło, pojęcia nie mam co.

Twórczość pisarska pozostała mi na dłużej. Bajek próbowałam, ale jakoś mi nie szły, przystąpiłam do powieści. W banku u ojca pozwolono mi pisać na maszynie, spodobało mi się to zajęcie nadzwyczajnie i rozpoczęłam pierwszy utwór. Pamiętam, że oprócz bohaterki występował w nim samochód, który stał ukryty za krzakami i wystawał mu albo przód, albo tył, w każdym razie wystawanie było elementem istotnym. Więcej na ten temat nie wiem, a powieść nie tylko nigdy nie została ukończona, ale zdaje się, że w ogóle nie wyszła poza wstęp. Rzecz jasna, wszystkie te próby literackie utrzymywałam w najgłębszej tajemnicy.

Z czwartej klasy szkoły podstawowej pamiętam tyle, że zostałam śmiertelnie obrażona. W grę wchodził język polski. Coś nam zadano do domu, było krótkie, zajmowało zaledwie trzy czwarte strony. Napisałam to w pośpiechu, trzeba przyznać, że niezbyt starannie, i beztrząsło zaniósłam do szkoły. Nauczyciel wezwał mnie do katedry.

- Kto ci to napisał? - spytał z naganą.

W pierwszej chwili tylko się zdziwiłam.

- Nikt. Ja sama napisałam.

- Niemożliwe. Przyznaj się od razu, bo wezwę rodziców. Kto to napisał?

Teraz już oburzyłam się, wstrząśnięta podwójnie. Primo, posądza mnie o głupie oszustwo, secundo, zarzuca mi kłamstwo. Nie pamiętam, czy się rozplakałam, ale zaprotestowałam przeciwko insynuacjom pazurami i zębami. W namiętnej awanturze dopytywałam się z furją, dlaczego miałby to pisać ktokolwiek inny, a nie ja, nikt za mnie niczego nie pisze, skąd mu się wziął taki dziki pomysł?! Niech sobie wzywa całą rodzinę, proszę bardzo, ale niech ja się dowiem, z jakiej racji jestem szkalowana?! Dowiedziałam się.

- Niemożliwe, żebyś to napisała - rzekł z przekonaniem nauczyciel - bo nabazgrane jest okropnie, a nie ma w tym ani jednego błędu ortograficznego! Uspokoilałam się od razu i dumnie wyjaśniłam mu, że błędów ortograficznych już dawno nie robię, powinien był to zauważyć. Chyba przypomniał sobie ten fakt, bo odczepił się i nikogo nie wzywał. Błędów ortograficznych rzeczywiście nie robiłam, prawdopodobnie dzięki pamięci wzrokowej. Przy tej ilości lektur musiałam zapamiętać, jak się co pisze.

W dwadzieścia lat później błędy ortograficzne przyniósł ze szkoły mój starszy syn. Zgniewał mnie.

- Nie, kochane dzieciątko - powiedziała stanowczo. - Czego jak czego, ale błędów ortograficznych robił nie będziesz, nie pozwolę, żebyś mi przynosił taki wstyd i taką hańbę. Jazda, od dziś odwalamy dyktanda i potrwa to tak długo, aż się nauczysz pisać.

Dyktanda trwały trzy popołudnia. Usiłowałam wynajdywać najtrudniejsze słowa, nie bacząc na treść. Kiedy obydwójce uświadomiliśmy sobie, że napisał właśnie zdanie: „Na jarzębinie siedziały wspólnie krówka z jastrzębiem, żerując protokołarnie poprzez instruktorzowe okulary”, dostaliśmy takiego ataku śmiechu, że niemożliwe było dalej prowadzić szkolenie. Zdołałam mu jeszcze tylko wyjaśnić różnicę pomiędzy instruktorem a instruktorem, po czym moje dziecko, jak nożem uciął, przestało robić błędy. Nie miał problemów aż do matury. Po egzaminie maturalnym wyznał, że przeżył straszne chwile, przy pracy z polskiego doznał nagle zaćmienia umysłu i zapomniał, jak się pisze „także”. Nie mógł sobie przypomnieć za skarby świata, sztuki zatem czynił stylistyczne, żeby ominąć słowo, zastępując je przez

„również”, „też” i w ogóle zmieniając szyk zdań. Na parę godzin „także” zatruło mu życie, a co gorsza w pamięci tkwiły mu podobno te krówki i jarzabki na drzewie.

Zdaje się, że znów udało mi się popełnić dygresję, ale już wracam do chronologii. Chociaż może niezupełnie, bo odrobinę powinnam się cofnąć.

Kontakt z rodziną mojego ojca był zdecydowanie rzadszy i luźniejszy. Swojej teściowej moja matka nie znosiła z pełną wzajemnością, brat ojca, stryjek Jurek, ożenił się właśnie i zajęty był żoną i dzieckiem, i właściwie rodzinne stosunki utrzymywało się głównie z cicią Jadzią. Stryjenka z moją matką również nie przypadły sobie do gustu.

Kiedy miałam dziewięć lat, przybyła do nas na wieś tamta część rodziny. Najpierw babcia, która nieszczęśliwym trafem wpadła do piwnicy i złamała dwa zębra, suponując później, że synowa zastawiła na nią pułapkę. Uczucia negatywne pogłębiły się nieco i babcia odjechała, po czym przyjechała stryjenka z dzieckiem. W końcu był to okres okupacji, lubią się czy nie, niechże sobie ta kobieta pobędzie trochę w spokojnym miejscu, na świeżym powietrzu, w obfitości tego żarcia, którego brakowało w Warszawie. Też się to skończyło nie najlepiej, bo stryjenka z jakichś tajemniczych przyczyn była przeciwna światu i odmawiała spożywania posiłków przy stole, zasłaniając się dzieckiem. O co w rezultacie poszło, pojęcia nie mam, zapamiętałam tylko przeżycia własne.

Kazano mi trzymać za rękę moją dziesięciomiesięczną stryjeczną siostrę i robić przyjemny wyraz do fotografii. Moja stryjeczna siostra już chodziła, chociaż jeszcze słabo, i z dzikim rykiem rwała się do malutkich żółciutkich kurcząt, ja zaś trzymałam ją kurczowo, z morderstwem w duszy, bo te kurczątko chciała łapać w rączki i ugniatać. Żadne z tego nie wyszłoby żywe. Zdecydowana byłam raczej udusić kochaną siostrzyczkę, niż dopuścić ją do drobiu, a rodzina wrzeszczała:

- Puść ją trochę! Trzymaj porządnie! Uśmiechnij się!

Zdjęcie dokumentuje sytuację. Miotający się, zaryczany bachor i trzymająca go za rączkę dziewięcioletnia dziewczynka o wyrazie twarzy zbrodniarki. Na pierwszym planie kurczątko.

Ponownie moją stryjeczną siostrę zobaczyłam po czterdziestu dziewięciu latach. Przypuszczam, że obie zmieniłyśmy się trochę.

Kiedy już miałam jedenaście lat, Lucyna zamieszkała w ursynowskim pałacu. Nie przeistoczyła się z nagłą w hrabinę, tylko jej mąż objął posadę w tamtejszym wzorcowym gospodarstwie rolnym. Wzorcowe ono było rzeczywiście, wręcz do

obrzydliwości, miałam jakieś pojęcie o wsi i z oburzeniem stwierdziłam brak bodaj jednego chabra w ich zbożu. Za to łan poziomek wzbudził mój szacunek, był bardziej czerwony niż zielony. Pracownicy gospodarstwa dostali mieszkania gdzie się dało, częściowo w oficynach, a częściowo w pałacu, i na Lucynę padł pałac. Miała do dyspozycji jeden czy dwa pokoje, różne hole, korytarze, coś w rodzaju kuchni i wielką łazienkę, wszystko na parterze.

Częściowo spędzałam tam wakacje. Lucyna udzielała lekcji, przychodziła do niej jakaś młodzież którą słabo pamiętam, bo w czasie roku szkoły, mnie tam nie było. Ponadto hodowała króliki i króliki pamiętam już lepiej. Jeden wygryzł ogromną dziurę w kanapie, sypiał tam z upodobaniem i przybywający goście omal na serce nie padali na krzyk straszliwy; „Nie siadaj!!!” Usiłowali bowiem siadać na niewidocznym króliku. Mlecz zbierałam i znosiłam, w pełni godny krwawnika i lebiody, oraz ganiałam zwierzątka po ogrodzie, żeby je do snu zapędzić.

Ursynów stanowi całą epopeję. W historyczne dywagacje nie będę się wdawać, poza jedną. O lochach i piwnicach pałacowych krążyły rozmaite opowieści i legendy, a główną w nich postacią był niejaki Fuńcio. Paż miał to być, czy może błazen którejś hrabiny, miał złośliwy charakter i oczy w różnych kolorach, jedno brązowe, a drugie niebieskie. Lubił wodzić ludzi na manowce. Z wielkim przejęciem opowiadano historię jakiegoś faceta, który parę lat temu poszedł do piwnicy i znikł z ludzkich oczu na trzy doby. Po trzech dobach pojawił się, cokolwiek jakby obłąkany i mocno wycieńczony, najpierw długo milczał, a potem zwierzył się komuś w wielkiej tajemnicy, że dowiedział się o złocie.

Jak ostatnim razem był w tej piwnicy, spotkał jakiegoś obcego. Gość to był dziwacznie ubrany i oczy też miał dziwne, w różnych kolorach, powiadomił go, że gdzieś tu blisko leży bezpieczeństwa złoto. Może mu pokazać z dobrego serca. Połakomił się, poszedł za nim, facet pokazał przez kratę, fakt, leżało w kącie i błyszczało. Z chciwości zaczął się tam pchać, namęczył się jak dziki osioł, zanim tę kratę wyłamał, dopadł kąta i wtedy okazało się, że to nie żadne złoto, tylko próchno świeci. Tamten jakiś zmył się już na początku, a on sam, nieszczęsny, połapał się nagle, że nie wie, gdzie jest. Trzy dni wyjścia tych cholernych podziemi szukał i łaska boska, że jednak w końcu znalazł!

W zabłąkanie się w piwnicach mogłam uwierzyć bez trudu. Chodziłam tam po węgiel, jedna piwnica należała do Lucyny, a przechodziło się do niej przez pomieszczenie z maglem i całe szczęście, że ten magiel tam stał. Poszłam po węgiel,

bezmyślnie pozamykałam za sobą wszystkie drzwi, których było dużo, wyszłam z wiaderkiem i nagle uświadomiłam sobie, że gdyby nie magiel, nie odgadłabym, które drzwi są właściwe. Wszystkie wyglądały jednakowo, a brak okna powodował, że traciło się poczucie kierunku.

Owe lochy ursynowskie miały podobno ciągnąć się bardzo daleko, pod całą Warszawą, aż do Starego Miasta. Zainteresowały mnie ogromnie i możliwe, że nawet znalazłam wejście do nich. Pałac stał nad skarpą, skarpa, niegdyś uporządkowana, a później mocno zarośnięta, miała jakby trzy piętra. Na jednym z nich, środkowym, o ile sobie przypominam, znajdowały się sklepione wejścia do jakichś korytarzy w głąb. Miałam jeszcze tyle rozumu, żeby się tam nie zapuszczać bez żadnych pomocy technicznych, bo nie dysponowałam nawet latarką. Owszem, mity greckie były już za mną, w pełni opanowane, myśl o sznurku błysnęła mi od razu, sznurek mogłam zdobyć, ale tak naprawdę powstrzymało mnie coś innego. Wejścia na samym, można powiedzieć, progu użytkowane były nader silnie w celach niebadawczych, elegancko to określając, zapaskudzone nieziemsko, śmierdziało potwornie, a węch miałam wtedy doskonały i nie dałam temu rady. Cofnęło mnie trzykrotnie i w końcu zrezygnowałam z wyprawy.

Towarzystwo miałam w postaci jednego młode szaleńca. Jędrak mu było na imię, miał czternaście lat i rozpierał go nadmiar wigoru. Sam już nie wiedział, jak go wyładować, a możliwe też, że trochę pokazywał, co potrafi, na moje konto. Jeździł na rowerze jak wariat, czyniąc cyrkowe sztuki, w czym później usiłowałam naśladować i dziw, że się nie zabiłam. Oczywiście zakochałam się w nim, ale wzajemnością zostałam obdarzona, jak już było późno.

Lucyna postanowiła kiedyś zabawić młodzież. U jego matki upiekła kruche ciastka, bo u siebie w domu nie miała piekarnika, pokazała wielki talerz specjału i kazała poczekać. Schowała talerz, a my go sobie poszukamy, kto znajdzie, ten zeżre, ile zechce. Oczekaliśmy ucziwie we troje, bo w rozrywce brał udział młodszy braciszek Jędrka, ośmioletni upiór, po czym runęliśmy na poszukiwania jak rozszalały tabun bizonów, zupełnie jakby te ciastka stanowiły jedyne pożywienie od miesiąca. Razem wdarliśmy się do pustego, nie używanego salonu, gdzie jedynym meblem był ogromny piec z potężnym ozdobnym gzymsem. Równocześnie wpadło nam do głowy, że te ciastka są na piecu. Myśl była o tyle kretyńska, że Lucyna musiałyby włączyć na drabinę, żeby tam dosięgnąć, ale na rozwagę brakowało czasu. Jędrak zadziałał najszybciej, odbił się z rozbiegu, skoczył w górę i uchwycił gzymśsu.

Widok z tego wyszedł wstrząsający. Stałam jak wryta i zamarłam na środku salonu. Przez chwilę miałam wrażenie, że wali się cały piec, a była to machina rzeczywiście imponująca, ale nie, poleciał tylko gzyms, razem, rzecz jasna, z uwieszonym na nim chłopakiem. Runęły ozdobne kafle, cegły, kawałki gliny czy też innego spoiwa, jedno rumowisko, które częściowo pokryło młodszego braciszka. Młodszy braciszek zdążył szarpnąć starszego za nogę, a teraz uderzył w dziki ryk. Przerazona Lucyna w galopie wpadła do salonu, Jędrrek, żywy i zdrowy, wygrzebywał się spod gruzów. Sprzątania mieliśmy potem na długo, a ciastka znalazły się w worku z grochem w komórce przy kuchni.

Głupia byłam w tamtym okresie tak nieziemsko, że słów brak na oddanie zjawiska. Możliwe, że na stan umysłu rzutował nieco stan uczuć, ale jest to słaba pociecha. Samodzielność jednakże udało mi się już zyskać do tego stopnia, że podróże Warszawa-Ursynów i odwrotnie odbywałam bez żadnej opieki, przy czym akurat niespecjalnie mi się to podobało. Z dworca południowego, ze Służewa, trzeba było lecieć te trzy i pół kilometra na piechotę, chyba że się miało ślepy fart i przypadkiem trafiło na ursynowską resorówkę. Leciałam tak wielokrotnie, ulica Nowoursynowska była wtedy zwykłą drogą brukowaną kocimi łbami, następnego roku zaś przeleciałam się tuż przed Wielkanocą. Wiał wściekły wicher i padał deszcz ze śniegiem, dotarłam do pałacu sina i zlodowaciała. Lucyna, znająca przypadłości zdrowotne siostrzenicy, przeraziła się śmiertelnie i nie bacząc na nic, wlała we mnie grzanekę na spirytusie, z miodem i masłem. Filizankę tego wy-trąbiłam, poszłam spać i nawet kataru nie miałam.

Następne wakacje, w czterdziestym czwartym roku, spędziłam u Lucyny tylko w połowie, z jakichś przyczyn odjechałam pod koniec lipca, pierwszego sierpnia zaś wiadomo, co nastąpiło. Niewykluczone,, że to Lucyna mnie wypchnęła, o sytuacji bowiem miała pojęcie, i to, zdaje się, dwustronne.

O tym, że jej mąż twardo siedział w konspiracji, mówiło się wtedy półgębkiem, a całą gębą dopiero po wojnie. Lucyna była używana do nielegalnych celów tylko od czasu do czasu. W ursynowskim pałacu na piętrze rezydowały niemieckie władze, później był to sztab wojskowy, i do tej pory nikt nie wie, dlaczego nie wyrzucono od razu polskiej ludności cywilnej. Nie wyrzucono jednak, dziwne, ale prawdziwe.

Znajdował się tam niemiecki lekarz, bardzo dobrze mówiący po polsku. Zaczepił Lucynę trzydziestego pierwszego lipca.

- Gdzie jest pani mąż? - spytał.
- W Warszawie - odparła spokojnie Lucyna. - Pojechał do miasta.
- To niech go pani znajdzie w tym mieście i nakłoni do powrotu.
- Dlaczego? - spytała Lucyna natychmiast, nieufnie i wrogo.
- Dlatego, że więcej go pani na oczy nie zobaczy. Jutro w Warszawie

wybuchnie powstanie.

Lucyna udawała sceptycyzm, aczkolwiek o terminie wybuchu powstania wiedziała doskonale. Zdenerwowała się. Oznajmiła, że nigdzie nie będzie jechała, nie wie, gdzie jest jej mąż, a w żadne powstania nie wierzy. Słowa lekarza sprawdziły się w pełni, powstanie wybuchło, a swojego męża więcej na oczy nie zobaczyła.

Pod koniec sierpnia dostała informację, że na Sadybie leży jej stryjeczny brat, ranny w nogę. Był to Zbyszek, jeden z wnuków mojej prababci, akurat rok wcześniej byłam razem z dziadkiem na jego weselu i zachwycała mnie panna młoda. Ze Zbyszkiem nie jest dobrze, ale może uda się coś zrobić. Działania wojenne były w pełnym rozkwicie, a Lucyna miała teraz jakoś przedostać się na Sadybę i zorganizować transport, albo przynajmniej zawiadomić, dokąd można go przenieść. Wpadła na rozpaczliwy pomysł. Ubrała się w strój przedwojenny, białą suknię w czerwone grochy, na to czerwony jedwabny płaszczyk w białe grochy, na głowę nasadziła białą panamę z czerwonymi kwiatami, na nogi francuskie czerwone pantofelki, na ręce długie, białe, koronkowe rękawiczki, torebkę też miała dopasowaną, i w tym odzieniu udała się wierzchem, spokojnym krokiem, na spacer w kierunku Sadyby. Nie wiem dokładnie, którą szła, ale pies z kulawą nogą jej nie zaczepił, aczkolwiek licznie obecni Niemcy gapili się na nią z szalonym zainteresowaniem. Dorośli byli, może przypomniawszy im przedwojenne widoki. Załatwiła, co trzeba, wróciła bez problemów, nocą zaś przyniesiono Zbyszka i ułożono w jej pokoju.

Rzeczywiście było z nim źle, temperaturę miał wysoką, a noga się paskudziła. Lucyna popadła w rozpacz, gnębił ją kompletny brak środków medycznych, nic nie mogła zrobić, chociaż miała za sobą kursy pielęgniarstwa i chyba nawet jako pielęgniarka jakiś czas po wybuchu wojny pracowała. Późnym popołudniem siedziała na ławeczce pod pałacem w towarzystwie sąsiadów i martwiła się, kiedy nagle podszedł ów niemiecki lekarz.

- Czy pani lubi czekoladki? - spytał grzecznie i bez wstępów.
- Lubię - odparła bez namysłu Lucyna, bo co jej szkodziło się przyznać.

Na to lekarz wetknął jej w ręce kilowe pudełko czekoladek Wedla. Nie dość że wetknął, to jeszcze obie jej ręce na tym pudełku ułożył, dwustronnie, tak żeby już je porządnie obejmowały.

- To niech pani weźmie - rzekł z wielkim naciskiem. - Niech pani to zabierze do domu i sobie zje.

Sąsiedzi skamienieli na tę komitywę ze szkopem i popatrzyli dziwnym wzrokiem, Lucyna też nic zdrętwiała, ale ją tknęło.

- Dziękuję bardzo - powiedziała. Podniosła i nie patrząc na ludzi, weszła do budynku.

W mieszkaniu rozpakowała pudełko i okazało się, że wewnątrz znajdują się pięknie upchane środki opatrunkowe, rozmaite lekarstwa, strzykawki, ampułki i inne podobne utensylia.

Zbyszek wyżył, wyzdrowiał, uniknął niewoli t tylko już potem zawsze trochę kulał.

Już pod sam koniec powstania i krótko przed usunięciem niepożądanego polskiego elementu osoby obecne w pałacu na parterze przeżyły chwile niej zwykłe. Późnym wieczorem z góry, gdzie rezydował właśnie ten sztab niemiecki, zaczęły dobiegać jakieś przeraźliwe dźwięki. Natężyły się, był to ryk potężny, coś jakby szloch i łkania, dzikie wycie, nieartykułowane charkoty i tym podobne odgłosy, przy czym ryk i wycie, takie na „yyyyyy” zaznaczały się najwyraźniej. Śmiertelnie zaskoczeni i przerażeni ludzie podkradli się na pierwsze piętro i posłuchali. Rejwach dochodził zza drzwi salonu. Ktoś najodważniejszy uchylił w końcu te drzwi, zajrzeli do środka i scenę zobaczyli niezapomnianą.

W ogromnym salonie stał na środku katafalk przykryty jakąś czarną szmatą, dookoła paliło się sześć gromnic w wysokich świecznikach, do szmaty zaś przypięty był papier z napisem: *Der Krieg kaput*. Pod ścianami siedział cały sztab, straszliwie pijany, i płakał rzewnymi łzami.

Ogólnie biorąc, nasze prywatne kontakty z wrogiem były nieliczne, ale za to dość osobliwe. Przez jakiś czas wojska niemieckie stacjonowały w Grójcu na Świńskim Targu, tuż pod skarpą, na której stał nasz dom, i żołnierze kręcili się wszędzie. Któregoś dnia przerażona służąca przyleciała do mojej matki.

- Proszę pani, szkop tu wlaź i ukradł nam garnek! - doniosła w popłochu.

- Jak to, ukradł? - zdenerwowała się matka.

- A ja nie wiem. Przyleciał, poszwargotał, palcem pokazywał, potem złapał

ten czerwony i uciekł.

- No to trudno. Przepadło. Niech się udławi.

W parę godzin później szkop z garnkiem wrócił. Garnek był pełen grochówki, którą z eleganckim ukłonem wręczył naszej Staśce, co przeraziło ją jeszcze bardziej. Moja matka w pierwszym odruchu chciała grochówkę wylać, ale zainteresował się nią pies. No dobrze, psu można dać. Służąca z ciekawości postanowiła spróbować, co też ci Niemcy żrą, za jej przykładem poszłam ja. W rezultacie cały gar grochówki został spożyty przez trzy jednostki, moja matka nie tknęła potrawy, bo jedną kroplą mogłaby się otruć, ja zaś muszę stwierdzić, że nigdy w życiu tak znakomitej grochówki nie jadłam. Błagałam potem przez całe lata, żeby ugotować taką samą, moja matka, ambicją tknięta, czyniła różne próby i starania, ale sukcesu nie osiągnęła. Być może na smak zupki wpłynął gatunek niemieckich konserw, bo chyba ona była na konserwach.

Nazajutrz przyleciał ten sam żołnierz, znów złapał garnek i zwrócił go z krupnikiem. Krupniku nie znosiłam, ale spróbowałam i musiałam uznać, że też był niezły. Pies wyszedł na tym interesie najlepiej, krupnik smakował mu jeszcze bardziej niż grochówka, natomiast moja matka zdenerwowała się okropnie. Nie zniesie tego, żeby ją Niemcy dokarmiali, jak jakąś żebraczkę, i w ogóle co sobie to bydło myśli! Kazała służącej natychmiast odnaleźć tego żołnierza i zanieść mu cały gar duszonego schabu z kopytkami. Służąca nie latała za szkopem, przytomnie poczekała do następnego dnia i przy okazji kolejnego pożyczania garnka obdarowała go potrawą. Wziął, podziękował, po czym więcej już nam zupek nie przynosił, więc widocznie aluzju poniał. Krótco potem wojsko przeniosło się gdzie indziej, być może cofnęło się na z góry upatrzone pozycje i stosunki wrogo-towarzysko-spożywcze uległy zakończeniu.

Odległa od konspiracji moja matka narażała się we własnym zakresie. Już pomijam te zdechłe kurczaki, którymi rzucała w nieprzyjaciela na grójeckim dworcu kolejowym, ale raz wdarł się do mieszkania jakiś niemiecki oficer. Wlazł bez pukania jak świnia do chlewa i oczywiście pies się na niego rzucił. Szkop wyrwał spluwę, ale na miejscu już była moja matka, jednym gestem miotnęła tego psa za drzwi, a ważyło bydlę pięćdziesiąt pięć kilogramów, i z rozcapierzonymi szponami wystartowała do Niemca. Poderwał kopyto, wściekły, palec miał na spuście i jednak nie przycisnął. Byłam przy tym, wciśnięta za skórzaną fotel, który wszystkim kotom służył do ostrzenia pazurów, zamarłam, oniemiałam i omal trupem nie padłam. Szkop się

jeszcze trochę z moją matką pokłócił, on mówił po niemiecku, ona po polsku, zły jak diabli schował spluwę i wyszedł. Po co przylazł, nie stało się wiadome.

Raz mnie jakaś szarża na ulicy usiłowała poczęstować cukierkami. Matka trzymała mnie za rękę, nie zniżyła się do popatrzenia na owego oficera, z zimnym spojrzeniem utkwionym w dal warknęła do mnie: „Nie bierz!”

- *Warum?* - zdziwił się szkop. - *Laszego?*

Nie udzieliła odpowiedzi, mnie zaś od ujęcia w dłoń takiego cukierka z pewnością odpadłaby cała kończyzna. Nie czepiał się, dał spokój, a przyczyną grzeczności bez wątpienia była uroda mojej matki.

Raz odbyła podróż na zabitej świni, bo w końcu u siebie, na wsi, mieliśmy żywinę, świnia jechała chyba do domu, bo przypominam sobie babcię, szalejącą nad zwłokami wieprza. Doskonale umiała robić salcesony, kiszki i kielbasy. Za nielegalne ubicie świni groziła, jak wiadomo, kara śmierci, że ona była ubita nielegalnie, za to głowę dając, ale kontrola akurat w tym momencie, to już byłby pech i przeznaczenie.

Kiedy miałam dziesięć lat, potężnym przeżyciem natury już raczej pokojowej stało się dla mnie zgubienie teczki. Była to duża i piękna teczka ze świńskiej skóry, z nietypowym zameczkiem, złożonym z dwóch prztyków, które w celu otwarcia należało ścisnąć razem, dostałam ją już w pierwszej klasie i byłam z niej bardzo dumna. W klasie czwartej, a może w kawałku trzeciej, nauczycielka rysunków zażądała przyniesienia na lekcję żywego modelu. Nie miała to być fauna, tylko flora, dzieci zostały zobowiązane do przyniesienia kwiatów, co nie stwarzało najmniejszych trudności. Zaraz za naszym domem, w ogromnym łąnie koniczyny, rosły maki, przy czym najwięcej ich było w najdalszym narożniku. Przyszła któraś koleżanka, razem miałyśmy pójść do szkoły, przedtem zaś narwać tych maków. Godzina nie była zbyt wczesna, zdaje się, że lekcje zaczynały się o dziesiątej.

Wypadłyśmy z domu i popędziłyśmy na łąkę. Pojedyncze kwiaty nie zaspokajały naszych potrzeb, kusił nas ten najdalszy kąt, cały jaskrawoczerwony. Moja wspiana teczka była ciężka jak piorun, sama skóra ważyła nieźle, nie mówiąc już o zawartości, przeszkadzał mi ten balast, a do maków urządziliśmy sobie wyścigi, bez namysłu zatem wzięłam zamach i cisnęłam pomoce naukowe w koniczynę, nie patrząc, gdzie padły. Narwałyśmy kwiecica, po czym zaczęłam szukać teczki.

Koniec pieśni. Po pół godzinie wylazłam z koniczyny, zapłakana i przerażona, nieszczęśliwa doraźnie głównie z tego powodu, że wściekło mi się rysowanie maków, a bardzo się na tę lekcję cieszyłam. Teczka przepadła, w wysokiej ponad kolana

roślinności nie sposób było ją znaleźć. Nie pamiętam, czy w ogóle tego dnia byłam w szkole, zapewne nie, bo razem z opakowaniem przypadły mi zeszyły, książki, piórniki i rozmaite inne skarby.

W sprawę wdał się ojciec, z góry wypłacił chłopu odszkodowanie za zdeptaną koniczynę i uzyskał zezwolenie deptania dalej, po czym ogłosił, że znalazcę przedmiotu czeka nagroda. Na marginesie muszę stwierdzić, że koniczyna wytrzymała zdumiewająco dużo.

Po trzech dniach siedziałam sama w domu, jeszcze to były godziny pracy, czyli dzień biały, ale czytałam jakiś niezmiernie emocjonujący utwór. Taki więc straszny. Dojechałam do miejsca, gdzie w mrożącej krew w żyłach atmosferze rozległ się dźwięk upiorny, mianowicie pukanie do drzwi, takie okropne stuk... stuk... stuk...

I dokładnie w tym momencie od drzwi naszego mieszkania rozległo się identyczne stuk... stuk... stuk...

Trupem na miejscu nie padłam, ale tchu mi zabrakło. Nie zaczęłam krzyczeć, nie przyszło mi to do głowy. Z włosem dęba stojącym, z bijącym sercem oraz z jakąś straceńczą determinacją, krokiem odrobinę może niepewnym, udałam się do drzwi i bez pytania „kto tam?” otworzyłam je. Co mną kierowało, Bóg raczy wiedzieć, mam wrażenie, że samej sobie postanowiłam udowodnić, iż nie ma się czego bać.

Za drzwiami stał wielki, ponury chłop, pierwszorzędny do roli zbója Madeja. W rękach trzymał moją teczkę.

Wszelkie lęki minęły mi jak ręką odjął, wydarłam mu ją radośnie, zapewniłam, że tak, oczywiście, wszystko się zgadza, jest nagroda, wypłaci ją mój ojciec, niech idzie do niego zaraz, do banku, on tam siedzi. Zdaje się, że chłop zaniepokoił się bardziej niż ja, niepewny, czy go ta nagroda nie ominie, wcale nie chciał mi tej teczki zostawić, ale odbierać musiałby przemocą, bo nie zaświtało mi nawet, że mógłby nie uwierzyć w zapewnienia. Poszedł, pełen wahań, dla mnie problem był już rozwikłany szczęśliwie, dla niego po pół godzinie też, bo ojciec wypłacił nagrodę na słowo. Spytał, czy rzeczywiście mam teczkę, dopiero po powrocie do domu. Bardzo byłam zdziwiona, że wszyscy się dziwili oddaniu mi znaleziska tak bez niczego.

Doświadczenie przydało mi się na zawsze. Nigdy więcej nie rzuciłam, ani nie położyłam niczego bez dokładnego obejrzenia i zapamiętania miejsca...

Dla uniknięcia nieporozumień wyjaśniam, że psa też nie było. Znajdował się

wtedy w wiejskiej posiadłości.

W czterdziestym trzecim roku oddano mnie do internatu u sióstr zmartwychwstanek na Żoliborzu. Pchałam się tam z siłą trąby powietrznej, niewątpliwie pod wpływem przedwojennych lektur, aż w końcu postawiłam na swoim. Dodatkowy argument stanowiła histeryczna potrzeba usunięcia mnie z ulic miasta, byłam dużą dziewczynką i możliwe, że wyglądałam na czternaście lat, a takie w łapankach już brano. Coś z tą grójecką szkołą było nie tak, alternatywę stanowiła szkoła w Warszawie, no a tu, przy płątaniu się po ulicach, mogło mi się przytrafić najgorsze.

Pchać się, pchałam i łaknęłam tego internatu jak kania dżdżu, ale to w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało, że jadąc tam dorożką w celu pozostania, byłam w stanie paniki. Emocje mnie dusiły. Pierwszy raz wreszcie miałam zostać sama, bez żadnej rodziny, w obcym otoczeniu, chciałam bez granic i bałam się panicznie. Jednakże chcenie przemogło i nie zawahałam się ani na chwilę.

Spodobało mi się w internacie i przystosowałam się błyskawicznie, szczególnie że na pierwszą kolację podano jedną z moich ulubionych potraw. Kluski kartoflane, nie w postaci kopytek, tylko okrągłe, polane maselkiem z tartą bułeczką. Obyczaje poznałam i przyjęłam natychmiast.

Książek do nauki było mało i dziewczynki w ogóle nie mogły ich posiadać przy sobie, bo przedmiotów udzielano zakazanych. Polski język, literatura, historia i tym podobne. Szczególnie historia mogła mieć ciężkie konsekwencje, o czym wiedziały nawet małe dzieci, i codziennie cały ten naukowy chłam był odnoszony do klauzury. Odnosiły wyznaczone dyżurne, zawsze dwie, też bywałam wyznaczana i każde wejście do tej zamkniętej części, sanktuarium sióstr, wydawało mi się prawie świętokradztwem.

W internacie właśnie po raz pierwszy dała mi do wiwatu moja upiorna wyobraźnia, bo tamtej poprzedniej historii z księdzem nie liczę, mogłam wtedy po prostu nic nie myśleć. Teraz wyszło wyraźnie i jakiegokolwiek wątpliwości nie znalazły miejsca dla siebie.

Zważywszy braki w podręcznikach i niebezpieczeństwo pozostawiania ich w rękach uczennic, nauka odbywała się w ten sposób, że siostra miała wykład, którego należało uważnie słuchać, możliwie mało notować, a potem utwalić go sobie w pamięci. Na następnej lekcji powtarzano treść poprzedniej i jechano dalej. Za którymś razem padło na mnie i okazało się, że krewa, nie pamiętam ani jednego słowa i w

ogóle nie mam zielonego pojęcia o treści tej poprzedniej lekcji. Zrobiła się lekka draka, bo w końcu nie byłam złą uczennicą, debilizm ze mnie żadną stroną nie wyłaził, cóż się zatem stało? Może jestem chora...?

- Dziecko - mówiła do mnie siostrzyczka niemal z przerażeniem. - Przecież uważałaś! Słuchałaś, co mówię, cały czas patrzyłaś na mnie! Widziałam to na własne oczy!

Możliwe, że patrzyłam na nią i ona mnie widziała, ja jej natomiast z całą pewnością nie. Mogła jej zniecka wyrosnąć ruda broda i czarne wąsy, nie dostrzegłabym tego. Z przeraźliwą wyrazistością widziałam na jej miejscu wymaginowany świat i wymaginowane sceny, jakąś historię, która rozgrywała się przede mną, a której źródłem mogło być byle jakie pierwsze zdanie. Sama pojąć nie umiałam, jakim cudem umknęło mi całe godzinne gadanie, przecież naprawdę nie zajmowałam się niczym i szczerze wydawało mi się, że słucham wykładu.

Ze skruchą i we łzach wyznałam w końcu, że musiałam się chyba zamyślić. Nic kompletnie nie pamiętam. Siostrzyczka przyjęła wyjaśnienie, zganiła mnie łagodnie, sytuacja powtórzyła się jeszcze parę razy i rezultat był okropny. Mianowicie dostałam dwóję z gramatyki polskiej.

Tu już wystąpiła siostra przełożona. Mowę do mnie trzymała krótką, ale treściwą.

- Dziecko - rzekła tonem straszliwego potępienia. - Dwója z języka polskiego...?! W czasie okupacji...?! Teraz, kiedy mamy Niemców...?!

Wstrząsnęła mną do tego stopnia, że prawidła gramatyki polskiej doskonale pamiętam do dziś. Nie mają dla mnie tajemnic imiesłowy czynne i bierne, stopniowanie przysłówków, wszelkie formy czasowników i rozbiór logiczny zdania. Dwóję zamieniłam na piątkę w ciągu sześciu tygodni, patriotyzm zadziałał bezbłędnie.

W tymże internacie i przy powyższej okazji dowiedziałam się, że nie istnieje w polskim języku słowo „żeśmy”. Nie ma: „żeśmy poszli”, jest: „poszliśmy”. Utkwiło to we mnie na mur i niekiedy miewam nawet kłopoty ze sformułowaniem zdania, które w mowie potocznej bez tego „żeśmy” nabiera jakiejś sztuczności. „Mówiłam, że przeszukaliśmy to wszystko!”, albo „mówiłam, żeśmy to wszystko przeszukali!” Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent ludzi użyje tej drugiej formy i możliwe, że ja niekiedy też, ale bardzo rzadko, bo mi w zębach zgrzyta. Nie napiszę zaś tego nawet pod gilotyną.

Awantura wybuchła niezmiernie pewnego pięknego wiosennego dnia, w czasie rekreacji. Dziewczynki zażywały świeżego powietrza w ogrodzie, bawiąc się w sposób dowolny. Wszystkie byłyśmy posłuszne, zdyscyplinowane i teoretycznie wychowane nieskazitelnie, ale pełne normalnego w tym wieku wigoru. Słońce grzało, zrobiło się gorąco, ciepła odzież przeszkadzała, nikt by jej jednak nie zdjął bez pozwolenia. W oknie na drugim piętrze tkwiła bacząca na wychowanki siostra. Jedna z moich koleżanek spojrzała w górę, uczyniła ruch zdejmowania płaszczyka z ramion i wrzasnęła:

- Proszę siostry! Czy można się roztentegować?!

Jezus Mario, co się działo! Siostra o mało nie wyleciała z okna, rozruch się zrobił w całym klasztorze, gromy runęły z pogodnego nieba. Co najmniej przez tydzień internat, budowla i w ogóle świat wypełnione były wyłącznie gwałtownym i namiętym tępieniem wulgaryzmów, a dziewczynka od roztentegowania została ukarana personalnie.

Grzeczne jednakże byłyśmy zgoła do obłąkaństwa, co się jaskrawo ujawniało w czasie pobytów w domach rodzinnych. Przez pierwsze dni wszystkie, jak jedna, wprawiałyśmy rodziców w osłupienie. potem nam ta grzeczność nieco przechodziła, natomiast trudności w porozumiewaniu się z otoczeniem trwały dłużej. Jedna dziewczynka zwróciła się do własnego ojca słowami:

- Proszę siostry, nie, proszę pana, nie, proszę księdza...

„Proszę siostry” rwało nam się na usta bez opamiętania. Siła przyzwyczajenia słabła dopiero po kilku tygodniach i zaczynałyśmy mieścić się w normie.

W internacie rychło przywykało się do sprzątanego po sobie, nawet ja, rozpaczliwie nieporządna. Łazienka musiała pozostać w stanie idealnie suchym, odzież złożona nieskazitelnie. W drugim roku mojego pobytu w klasztorze, to był już czterdziesty czwarty, zapanowały obyczaje dodatkowe, mianowicie z halki należało robić wieczorem węzełek, do węzła pchać wszystko i wieszać to pod ręką na oparciu krzesła, żeby w razie potrzeby chwycić jednym gestem. Potrzeba pojawiała się prawie co noc, samoloty nadlatywały i rzucały bomby, trzeba było zrywać się i lecieć do schronu. Owszem, przez pierwsze dni spełniałyśmy obowiązek, zaspane i przerażone leciałyśmy do schronu, ale, ostatecznie, do wszystkiego można się w końcu przyzwycząć. Przyszła chwila, kiedy zrozpaczone siostry budziły i usiłowały wywlec z łóżek wychowanki, wychowanki zaś, słysząc wybuchy bomb, machały ręką, opędzały się, przewracały na drugi bok i spały dalej.

Siostry były dobre, łagodne, kulturalne, sympatyczne i po większej części wykształcone. Nie pamiętam ani jednej nie lubianej, a niektóre się wręcz wielbiło i ubóstwiała. Tylko siostra przełożona darzona była głównie trwożnym szacunkiem, który mało zostawiał miejsca na uczucia lżejszego autoramentu.

Nie pamiętam, która z siostr zabrała mi zeszyt, ganiać mnie przy tym z lekkim niesmakiem i zgorszeniem. W zeszycie widniał tytuł: STROJE WIESI SZTEMPKE. Treść poniżej w pełni tytułowi odpowiadała.

Wiesia Sztempke to była wychowanka przychodnia, nie mieszkała w internacie. Codziennie przychodziła do szkoły i codziennie była inaczej ubrana, aż mnie to w końcu zainteresowało. Odzienie było eleganckie, starannie obmyślane, z odpowiednimi dodatkami, między innymi miała te kokardy w pepitkę, których jej smętnie zazdrościłam. Też miałam kokardy, do licha, w różnych kolorach, dlaczego nie kupiono mi nigdy akurat takiej w pepitkę...? Możliwe, że właśnie kokardy w pepitkę pchnęły mnie do sporządzenia rejestru, w każdym razie pod starannie wykaligrafowanym tytułem, porządnie, w punktach, miałam wpisane jej kolejne toalety, wysmakowane także kolorystycznie, co już wtedy umiałam docenić. Siostra to zainteresowanie strojami uznała za naganne, zabrała mi zeszyt i rejestru nigdy nie udało mi się dokończyć.

W jednym klasztorным korytarzu straszło. Opowieści o tym krążyły wysoce niejasne, powtarzane na ucho najcichszym szeptem, umarła tam jakaś zakonnica, została zamordowana, popełniła samobójstwo, czy może rzuciła klątwę. Korytarz był szeroki i potwornie długi i raz się przytrafiło, że musiałam przejść cały, sama jedna i wieczorem. Przypadek to był najzupełniejszy.

Przy całej mojej ówczesnej przeraźliwej głupocie, gdzieś musiało mi tkwić ziarno rozumu. Bałam się śmiertelnie, ale wiedziałam, że jeśli poddam się lękowi i ruszę szybciej, nie opanuję hysterii, runę przed siebie na oślep, zabiję o byle przeszkodę, albo zacznę wrzeszczeć, okrywając się hańbą niezmywalną. Szłam powoli, chociaż lustrzana posadzka popychała mnie w podeszwy i pilnowałam tylko, żeby się broń Boże nie odwrócić i nie spojrzeć za siebie. Korytarz był dość mroczny. Dotarłam prawie do końca z zaciśniętymi zębami, zostało mi najwyżej dwa metry, na tych ostatnich dwóch metrach dałam sobie folgę i o mało nie wyrwałam drzwi z zawiasów.

O nasze rozrywki dbano starannie. Pamiętam przedstawienie, była to Żona modna w wykonaniu starszych, tych już siedemnasto- i osiemnastoletnich. Wyszło

doskonale, widowia omal nie umarła ze śmiechu, dziewczyny grały świetnie w konwencji czysto komediowej. W ogrodzie zorganizowałyśmy sobie we własnym zakresie ćwiczenia gimnastyczne, konkursy to były prawie, skakałyśmy w dal i wzwyż, odległości mierząc sznurkiem z supłami. Nie pamiętam, do czego doszłam wzwyż, ale w dal, nie chwaląc się, miałam rekord, cztery metry dziesięć. Lubiłam ten internat, podobało mi się tam, pozostały mi po nim same przyjemne wspomnienia.

Pobyt w nim zakończyłam wydarzeniem wielce bulwersującym. Przyjechał po mnie ojciec, który nareszcie zauważył, że ma córkę. Nie sprawiałam kłopotu, można się było ze mną porozumieć, ojciec zaczął być nagle ze mnie dumny. Co prawda, już wcześniej uważał mnie za przesadnie grzeczną dziewczynkę...

No oczywiście, znów muszę cofnąć się w czasie. Rzeczywiście byłam grzeczną dziewczynką, a potężniejszy wyłom z tej greczności przytrafił mi w jakimś kawałku trzeciej klasy, kiedy miałam lat dziewięć. Zdenerwował mnie chłopak. Obyczaje panowały normalne, chłopcy podstawiali dziewczynkom nogę, ciągnęli je za warkocz, zastawiali drzwi klasy i nie wypuszczali na zewnątrz, i tym podobne czynili dowcipy, a im która głośniej ryczała, tym było piękniej. Jakoś mi to nie przypadło do gustu i za którymś razem, kiedy dwóch chłopaków nie pozwoliło nam wyjść, mnie i jeszcze jednej koleżance, straciłam równowagę. Siedziałam na pulpicie ławki, wściekła szaleńczo, bo to był przymus, a przymusu nie trawiłam, i jeden z chłopaków szarpnął mnie nagle za teczkę. Wściekłość we mnie eksplodowała, nie pomyślałam nic, wpadł mi w oko kałamarz pełen atramentu, taki staroświecki, wpuszczany w otwór w ławce. Wyrwałam ten kałamarz i cisnęłam w chłopaka.

Trafiłam go w ramię. Rozbryzg poszedł mu na twarz, część zdążyła wylać mi się na rękę. Chłopak zbaraniał i skamieniał, sama się przestraszyłam, ale przestraszona udało mi się ukryć, zaczęłam się głupio śmiać, zeskoczyłam z ławki i uciekłam, nie napotykając przeszkód. Kumpel poszkodowanego przezornie odsunął się na bezpieczną odległość. Do domu przyleciałam we łzach, z tą czarną ręką wyciągniętą przed siebie, i natychmiast przyznałam się do przestępstwa. Nic się nie stało, działałam w obronie własnej, moja matka dała matce chłopaka cytrynę do sprania plam, chłopak zaś dostał w domu ciężkie wały za zniszczenie odzieży. Omijał mnie potem szerokim łukiem i nie tylko on, żaden więcej się nie czepiał.

W czwartej klasie ktoś stłukł jakąś szybę i znalazłam się w kręgu podejrzeń. Wtedy to właśnie mój ojciec powiedział, że gdyby jego córka stłukła szybę, dałby jej za to pięćdziesiąt złotych, bo jest za gruczna. Zapamiętałam te słowa. W pół roku

później wzięłam przypadkowy udział w tłuczeniu szyby w szkole i czym prędzej przyleciałam po te pięćdziesiąt złotych, niezależnie od zwrotu kosztów. Ojciec słowa dotrzymał i forszę dostałam.

No i opuszczając internat, spędziłam z ojcem rozrywkowe popołudnie. Najpierw poszliśmy do fotografa, potem do fryzjera, bo obcięcie moich włosów miało być głównym punktem programu. Przedtem nosiłam warkocze. Następnie zaś ojciec zabrał mnie na obiad do restauracji. Pierwszy raz w życiu znalazłam się w restauracji i przejęta tym byłam tak straszliwie, że z całego menu przypominam sobie wyłącznie młode kartofelki z zieloną pietruszką.

Jednego drobiazgu nie jestem w stanie pojąć i nikt mi już tego nie zdoła wyjaśnić. Ostrzegam, że poniżej będą same dygresje oraz melanz chronologiczny.

Niemożliwą jest rzeczą, żeby w internacie nie nauczono nas jeść elegancko. Żadnych scysji na tym tle nie pamiętam, więc chyba dałam się wytresować bez trudu, a jednak później miałam z tym kłopoty. Wcześniej również. Na nie jedzące dziecko nie wywiera się żadnych nacisków, niech je jak chce, byle jadło, nie zmuszano mnie do normalnego posługiwania się nożem i widelcem, spożywałam zatem potrawy po amerykańsku. Wszystko pokrojone na kawałki i pożerane widelcem, trzymanym w prawej ręce. Mowy nie mogło być o czymś takim w klasztorze! A mimo to nauczyłam się jeść jak człowiek dopiero po wojnie, kiedy padły na mnie obiady w łowcę u ojca w pracy. Głupio mi było i wstyd, przystąpiłam do ćwiczeń, sztukę opanowałam w tempie godnym podziwu, możliwe zatem, że odezwał klasztorny trening. Tam mnie wykształcono jak należy, a potem wróciłam do wygodnych obyczajów dzieciństwa, z lenistwa i głupoty. Dopiero ta stołówka, gdzie znalazłam się między ludźmi, zrobiła swoje.

A propos stołówki, moja wieloletnia przyjaciółka, Janka, o której jeszcze nie było, ale będzie, też po wojnie jadała w jakiejś stołówce. Na obiad podano serdelki, a ona była głodna nieziemsko. Próbowała elegancko posłużyć się sztućcami, zachłannie wpatrzona w potrawę dziubała widelcem, nabity w sobie serdelek wyslizgiwał się i umykał po talerzu; z głodu wpadła w furję, zamierzyła się i dziabnęła z całej siły. Serdelek przeleciał przez cały stół i wylądował daleko na podłodze. Jance zrobiło się ciemno w oczach, z dziką determinacją wstała z krzesła, podniosła serdelek i pożarła go, posługując się palcami.

Wracając do owego popołudnia z ojcem i obiadu w restauracji, wyraźnie widzę, że znów będę musiała cofać się w czasie. Ojciec już wtedy był na indeksie,

ukrywał się i posługiwał fałszywymi dokumentami, pętanie się z córką po mieście stanowiło prawdopodobnie lekkomyślność, która, na szczęście, nie miała złych skutków. Kołomyja zaczęła się wcześniej. Najpierw nastąpiło okradzenie banku. Znam je tylko z opowiadań, musiałam zatem przebywać wówczas w Warszawie. Moi rodzice z jednym znajomym grali w remi-brydża, wieczór był jeszcze niezbyt późny, ktoś zadzwonił do drzwi i wdarło się kilku brutalnych bandytów. Gdzie, na litość boską, był wtedy pies...? A, może zamknięty w sypialni, albo na wsi, z Teresą... Bandyci, nie czyniąc nikomu żadnej krzywdy, kazali obecnym położyć się na brzuchu na podłodze, po czym doprowadzili jeszcze jedną ofiarę. Obok nas mieszkał w owym czasie folksdojcz, reichsdojcz, czy inna zaraza, nazwiskiem chyba Marckwardt, albo coś w tym rodzaju, moja matka uparcie obdarzała go mianem Warcharta, więc nazwisko się myliło, został wpędzony do pokoju i również spoczął pod naszą biblioteką. Dziwny to był dom, na parterze dla odmiany zamieszkał po Żydówce szewc-alkoholik...

Do chwili przyłączenia Warcharta wszyscy byli posłuszni bandytom, ale teraz moja matka wprowadziła w tę sielankę dysonans. Oznajmiła, że nie życzy sobie leżeć obok wroga i zażądała zezwolenia na pozycję siedzącą na krześle. Zgodzono się na to, podetknięto jej krzesło, z tym że musiała siedzieć twarzą do biblioteki, dzięki czemu w szybie widziała wszystko za plecami. Ojca poproszono stanowczo o klucze od banku i kasy, ojciec podporządkował się gorliwie, zwracając przy tym uwagę, że jego klucze nie wystarczą, drugą połowę ma kasjer. Bandyci uprzejmie na to odparli, że nic nie szkodzi, do kasjera też trafią. Jeden został na straży, reszta się oddaliła, na kasjera, jak się okazało, był napad podobny, kasa została dokładnie opróżniona z pieniędzy, a ówże Warchart zaświadczył, że ojciec został sterroryzowany.

Znacznie później dowiedziałam się, że ojcu nie udawało się już skreślić forszy z zachowaniem wszelkich pozorów legalności i napady stały się niezbędne. Drugiego dokonano w biały dzień, bezpośrednio na bank. Znowu wdarli się straszni bandyci, zdumiewająco w ostatecznym rezultacie nieszkodliwi, wybrali chwilę, kiedy prawie nie było klientów, cały personel zamknęli w oszklonej klatce kasy, zabrali pieniądze i znikli. Bank pozostał zamknięty, ludzie nie dobijali się, bo w końcu mógł być zamknięty z rozmaitych przyczyn, i nie wiadomo, jak siedzieliby w tym kojcu, gdyby nie to, że z wizytą do ojca wybrały się moja matka z Teresą. One wiedziały, że zamknięcie jest nienaturalne, bo bank powinien być otwarty, i zaczęły zaglądać przez zakratowane okna. Oszklone ścianki klatki kasjera stanowiły tylko przepierzenie, nie

sięgały do sufitu, zamknięci w środku ludzie, wślazszy na krzesło, mogli górą wystawiać głowę i machać rękami, co też czynili gwałtownie i intensywnie. Moja matka i Teresa dostrzegły te ruchy, zdenerwowały się okropnie, bo o akcji nie miały pojęcia, Teresa, nie wiadomo po co, wytlukła szybę pomiędzy kratami, zrobiło się zamieszanie i wreszcie uwolniono ich przy pomocy policji. Zdaje się, że wtedy wreszcie Niemcy nabrali podejrzeń, bo interesowali się ojcem poważniej.

Przy tym już byłam obecna. Wydarzenie musiało mieć miejsce w okresie zimowym, bo pamiętam, straszliwym problemem stały się dla mnie pończochy. Prawie gotowa do snu. ubrana tylko częściowo, siedziałam w sypialni, zapewne czytałam i nie zwracałam uwagi na to, co się dzieje w całej reszcie mieszkania. Rozlegały się jakieś hałasy, ktoś tam był, trwało zamieszanie, dotarło do mnie w końcu, że coś jest nie w porządku, zaniepokoiłam się, słuchałam, ale wszystko ucichło. Zdecydowałam sprawdzić, o co chodzi, wyszłam z sypialni i okazało się, że dom jest pusty, nikogo nie ma, za to wszędzie” panuje jakiś dziwaczny bałagan. Po całym pokoju rozsypane były proszki od bólu głowy, takie z kogutkiem, a moja matka miała ich w zapasie co najmniej ze trzysta. Nagle uświadomiłam sobie, że słyszałam przecież niemiecki język i spadło na mnie śmiertelne przerażenie. Rodziców zabrali, zostałam sama, Jezus Mario, co ja mam zrobić?! Lecieć na dół do sąsiadów, nie do tego pijanego szewca, tylko do tych obok, normalnych ludzi, pytać, domagać się pomocy...? Tak, ale byłam boso, bez pończoch, nie wolno mi wyjść boso na takie zimno, ubierać się, wkładać pończochy...? Zgłupiałam doszczętnie, te pończochy omal mnie nie dobiły, miotałam się pomiędzy sypialnią a drzwiami, wyglądałam na schody, wracałam do pończoch, żeby je szlag trafił, półprzytomna i bliska obłędu. W końcu rozpacz przemogła, wyleciałam boso, w połowie schodów usłyszałam na dole głos matki i ulgi doznałam niebotycznej .

Zabrali tylko ojca. Rewizję zrobili pobieżną, nielegalnej bibuły ukrytej w książkach nie usiłowali nawet znaleźć, a proszki od bólu głowy rozsypali przez zwyczajną złośliwość. Rzecz jasna, chodziło o te napady.

Ojciec został uwięziony w Caritasie. Budowla to była prawie zabytkowa, usytuowana na skraju miasta, niegdyś więzienie, potem instytucja społeczna, a potem znów więzienie. Ojciec siedział tam nieco dziwnie. W głowę rąbnięto go tylko raz i chyba przez pomyłkę, później zaś cackano się z nim jak ze śmierdzącym jajkiem, ponieważ był jedynym człowiekiem, który mógł zrobić w banku bilans. Nie wiał głównego księgowego, albo może był to księgowy byle jaki, w każdym razie bilanse

ojciec zawsze robił osobiście, a Niemcy kochali *ordnung*. Na noc prowadzono go do podziemnych kazamatów, na dzień natomiast na drugie piętro, gdzie miał odwalać bankową robotę. Odwalał, dlaczego nie. Wyznał później, że nigdy w życiu nie robił niczego tak ślamazarnie, głupio i z taką ilością błędów. Popełniał te błędy starannie, szukał ich następnie i poprawiał, po czym popełniał nowe, w pełni świadom, że koniec bilansu będzie także i jego końcem.

Chyba nawet do połowy nie dojechał, kiedy nastąpił z kolei napad na Caritas. Ojciec siedział nie sam, miał liczne towarzystwo i nie o niego chodziło, skorzystał przy okazji. Jakaś grupa partyzancka miała dwojaki cel. uwolnić swojego człowieka i załatwić prowokatora, albo może zdrajcę. Wykonano to konkursowo, wygarnięto wszystkich, eks-więźniowie, z moim ojcem włącznie, zostali wywiezieni do najbliższego lasu. tam zaś powiedziano im, że mogą robić, co chcą i niech każdy pryska na własną rękę. W ciemnościach niewiele było widać, ale ojciec dostrzegł, że jeden został z nimi, drugiego natomiast odprowadzono na bok w zarośla, padł strzał i cześć. Towarzystwo rozproszyło się pośpiesznie, ojciec przedostał się do Warszawy, zdołał uzyskać lewe papiery i stał się nagle właścicielem sklepiku na Starym Mieście. Nazywał się od tej chwili Kamiński i wszystko wskazuje na to, że jako Kamiński prowadził swoją córkę do fryzjera i restauracji.

Od razu mogę się przyznać, że nie potrafię porządnie ulokować tego wszystkiego w czasie. Kiedy nastąpiło aresztowanie ojca, miałam jedenaście lat A zatem święta Bożego Narodzenia, uświetnione moją świnką i katastrofą ojca, musiały minąć wcześniej, bo wtedy miałam lat dziesięć. Widzi mi się, że powinnam do nich wrócić.

Święta Bożego Narodzenia stanowią w ogóle całą historię, ciągnącą się przez lata aż do czasów obecnych, i wcale nie wiem, co z nimi zrobić. Ominąć ich nie sposób, a do dzieciństwa należą zaledwie częściowo. Odbywały się rozmaicie, od błęgiego spokoju poczynając, a na wydarzeniach straszliwych kończąc, i jeżeli już coś okropnego musiało się przytrafić, przeważnie wybierało sobie okres świąt.

Rządziło tą imprezą kilka żelaznych zasad. Choinka oczywiście musiała być, ubrana obficie, z reguły niejadalnie. Jabłka tylko na niej wisały, a w najdawniejszych czasach także cukierki w srebrnych i złotych papierkach. Przy okazji cukierków obraziła mnie dla odmiany aktualna służąca. Ukradkiem zeżerała z cukierków zawartość, pozostawiając opakowanie, po czym usiłowała zwalić winę na mnie. Nikt jej nie uwierzył, bo nie było żadnego powodu, dla którego nie mogłabym wrębac

całego wystroju drzewka jawnie, ja zaś potraktowałam sprawę wzgardliwie, nie niżając się nawet do zaprzeczeń.

Choinka zatem służyła do patrzenia, a nie do żarcia. Zapalała się od świeczek co roku, wszyscy byli na to nastawieni i gasiło się ją szybko bez większych szkód. Ze świętym Mikołajem nikt się nie wygłupiał, załatwiało się go ulgowo. Ktoś dzwonił do drzwi, zazwyczaj poproszony wcześniej byle który sąsiad, ojciec leciał otwierać, po czym wkraczał z workiem i oznajmiał, że święty Mikołaj bardzo przeprasza, ale śpieszył się i musiał lecieć dalej, więc tylko prezenty zostawił. Anonimowość prezentów była starannie kultywowana, wszystkie pochodziły od świętego Mikołaja i zdarzały się święta, kiedy rzeczywiście nikt nie wiedział, co od kogo dostał.

Jedne święta zostały mi w pamięci jako szczęście absolutne. Siedziałam pod choinką, czytałam *Złotą Elżunię* i pożerałam tabliczkę czekolady. Całą. Długie lata później marzyłam, żeby dostać dla siebie samej całą tabliczkę czekolady, ale to już był okres wojny i takie dobro na człowieka nie spadało. Teresa marzyła, żeby dostać dla siebie samej całą pomarańczę. Babcia marzyła, żeby jeszcze raz w życiu zjeść prawdziwą kajzerkę ze śmietankowym masłem. Babci się nie spełniło, kajzerki po wojnie były już inne i znacznie gorsze, Teresa dostała dowolną ilość pomarańcz dopiero po wyjeździe do Kanady, mnie czekolada uciekła, wcześniej bowiem zaczęłam się odchudzać, niż stała mi się dostępna.

Pożywienie wigilijne było ustabilizowane raz na zawsze. Zupa grzybowa z łazankami, pierogi z kapustą i kluski z makiem. Zmieniały się ryby, których było raz więcej, raz mniej, śledzie, karpie, sandacze we wszelkich postaciach, oraz desery, traktowane nieco po macoszemu. Bywał kompot, albo nie, ciasta przytrafiały się różne, o pierniki i orzechy nikt się nie zabijał. Trzy zasadnicze potrawy musiały pojawiać się na stole, bo bez nich w ogóle nie byłoby świąt.

W owe święta, kiedy miałam lat dziesięć, obydwójce z ojcem wyglądaliśmy jak bałwany. Mnie trafiła świnka, z łóżka już się podniosłam, ale z twarzy wciąż jeszcze bardziej przypominałam dynię niż człowieka i owiązana byłam dookoła, żeby trzymać ciepło, ojciec zaś odpracował katastrofę samochodową. Wracał z Warszawy z kimś znajomym, była mgła, na coś wpadli, głową zniszczył przednią szybę i miał siedemnaście ran ciętych twarzy, w tym uszkodzoną tętnicę nad okiem. Dostał chyba szoku, bo wylazł z pojazdu i ruszył w dalszą drogę piechotą, a miał do przejścia jeszcze sześć kilometrów. Uratowali go Niemcy. Prawdopodobnie widok krwawego upiora, wędrującego szosą we mgle i ciemnościach, uczynił na nich wrażenie

wstrząsające, bo zatrzymali samochód, zabrali ojca i w parę minut dowieźli do grójeckiego szpitala. Była to ostatnia chwila, ojciec stracił maksymalną ilość krwi, jakiej człowiek może się pozbyć i jeszcze wyżyć, krew miał nie tylko w butach, ale nawet na plecach. Poza tym mankamentem nic mu nie było, twarz pozszywali, blizny zostały niewielkie, sól fizjologiczną zastosowano od razu. potem transfuzję i w święta Bożego Narodzenia ozdobiony był już tylko licznymi plastrami i bandażami.

Przeważnie wigilia odbywała się w domu moich rodziców, po wojnie weszło to już nam w nałóg całkowicie, i schodziła się, albo zjeżdżała cała rodzina. Ciocia Jadzia z tamtą babcią przebywała Wisłę, zabierały ze sobą niekiedy siostrę babci, ciotkę Stachę, gromadziło się u stołu niekiedy do siedemnastu osób. Zdania na temat, czy ilość biesiadników powinna być parzysta, czy nieparzysta, były podzielone i co roku nam wypadało inaczej.

Jakoś krótko po wojnie rozrywki dostarczyła Lucyna. Tak naprawdę dostała w prezencie czterdzieści dwa lata życia. Od młodych lat miała komplikacje sercowe, komplikacje z przewodem pokarmowym i do tego zafundowała sobie martwą ciążę. Ta martwa ciąża wypadła jej świetnie, akurat w czasie okupacji. Zdaje się, że jedną nogę wtykała już do grobu, kiedy ktoś jej naraił lekarza, zielarza, który w prywatnych zasobach posiadał resztki ziół tybetańskich, przed wojną zgromadzonych. Ziołami ją wyciągnął z dna i zaraz potem zostałam obrzydliwie oszukana.

Lucyna wróciła do zdrowia, przestała wyglądać jak zmora, a do tego jeszcze wypiękniały jej włosy. Zaplatała sobie dwa krótkie warkoczyki, grube jak ręka, lśniące, zdrowe i wmawiała we mnie, że to od szczotkowania. Uwierzyłam, nieszczęsna, i szczotkowałam sobie włosy, aż mi ręce drętwiały, bez żadnego skutku. Znacznie później dowiedziałam się, że te wysiłki nie miały żadnego sensu, bo nie w szczotkowaniu leżało sedno sprawy.

Dolegliwości sercowe jednakże zostały, wielokrotnie nam siniała, mdlała i robiła inne podobne sztuki. Na jedną, najrzetelniejszą, wybrała sobie akurat pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia i możliwe, że udałoby jej się nawet umrzeć, gdyby obok moich rodziców nie mieszkał jakiś tajemniczy dostojnik, może partyjny, a może z MSZ-tu, który, z racji świąt, był na niezłej bani. Telefonu u nas nie było, Lucyna z uporem usiłowała opuścić ten padół, moja przytomna babcia pogoniła mnie, żeby zadzwonić po pogotowie od niego. Dostojnik życzliwość okazał szaloną, przejął się ogromnie, zabrał mi słuchawkę i sam zadzwonił do profesora, a może to był jeszcze wtedy docent. Jakże się ten cudowny człowiek nazywał, Laube...? Jakoś podobnie.

Ze wstydem wyznaję, że nie pamiętam, aczkolwiek wdzięczna mu jestem bez granic po dziś dzień. Oderwany od świątecznego stołu przemocą, przyjechał wściekły, zobaczył chorego człowieka, wściekłość mu z miejsca przeszła, wyciągnął Lucynę z zapaści i kategorycznie odmówił przyjęcia honorarium. Jasne, że później Lucyna poleciała do niego z kwiatami, ale z pewnością nie nadzieją na ozdobny bukiet kazała mu w godzinach nadliczbowych ratować pacjenta.

Zaraz następnego roku tajemniczego ataku dostała babcia. Też się ją udało odratować, ale kolejnych świąt zaczęliśmy oczekiwać z lekkim niepokojem. Drobiazgi w postaci braku wody akurat w sam poranek wigilijny albo zwykłej grypy nie robiły już na nas wrażenia, ale po kilku latach jedne święta dały nam do wiwatu tak, że chyba odpracowały normę na długo do przodu.

Zdarzyło się to oczywiście znacznie później, dawno byłam po studiach i miałam za sobą lata pracy oraz stosowne doświadczenie zawodowe. Już na trzy tygodnie przed świętami pojawiły się jakieś problemy z: kanalizacją. Coś się podobno gdzieś zatkało, od trzech tygodni rura na parterze, w holu, była odkuta, podobno na górze coś robili i wleciał do niej gruz, nikt dokładnie nie wiedział, o co chodzi, ja zaś mieszkalam już wówczas gdzie indziej i nie miałam z tym do czynienia na co dzień. Informowano mnie, że roboty trwają. Na ile zdołałam się zorientować, roboty polegały na odkuciu i pozostawieniu odłogiem, znając zatem życie i naszą świąteczną klątwę, oczekiwałam najgorszego.

Wigilia przeszła mniej więcej normalnie, ale w pierwszy dzień świąt przed południem przyleciała z rozwianym włosiem i we łzach sąsiadka z dołu. dzikim i rozpaczliwym krzykiem żądając od mojej matki niespuszczenia wody w wychodku, bo jej się małe kotki potopiły. Nie zrozumiałam informacji, kotki mnie zaniepokoiły, poszłam z nią razem.

Okazało się, że już od wczoraj, od wczesnego poranka, wszystko, co spływa od piątego piętra, wylewa się u niej, dając efekty imponujące. Została w domu sama, bo mąż w szpitalu, udała się do niego z wizytą i po powrocie zastała w mieszkaniu powódź, a na domiar złego kotka się właśnie okociła i ciecz z kanalizacji dopłynęła aż do kociąt. Uratowała zwierzątka, teraz zaś. wspólnie z cieciem, zajęta jest wyłącznie usuwaniem gnojówki, przy czym nadażyć nie mogą. Rzeczywiście, o wejściu do łazienki nie było mowy, przelewało się przez próg, wychodek prezentował się jeszcze gorzej, sąsiadka i cieć ze ścierkami w rękach i obłędem w oczach czcili święta. Zdenerwowało mnie to, uznałam, że coś trzeba zrobić.

Zaczęłam od pogotowia wodociągów i kanalizacji. U tej sąsiadki był telefon, tam sobie założyłam biuro operacyjne. Pogotowie powiadomiło mnie, że są święta, ludzi brak i mogą przyjechać pojutrze. Zaszantażowałam ich milicją, nie przejęli się wcale, wobec czego rzeczywiście zadzwoniłam do milicji. Wspinałam się coraz wyżej, bo się zacięłam, aż w końcu osiągnęłam skutek, cholerne pogotowie przyjechało.

Z hydraulików trzeźwy nie był żaden. Nie szkodziło mi to, znałam już klasę robotniczą. Rozważyliśmy sytuację wspólnymi siłami i wyszło nam, że zapchało się w kolanku na parterze, tam, gdzie ta rura już od trzech tygodni jest odkryta i można ją ręką macać do upojenia. Zapchał niewątpliwie gruz z piątego piętra, możliwe, że dopomogły jakieś obierki od kartofli albo inny podobny produkt, w każdym razie podstawę nieszczęścia stanowił ten parterowy odcinek.

Parterowy odcinek mieścił się w przedsionku, przy drzwiach wejściowych na aleję Niepodległości. Pięć schodków prowadziło w dół, z drugiej strony oszklona ścianka i takież drzwi odgradzały hol, dalej za holem było wyjście na tyły. Gapiliśmy się na odkutą rurę kanalizacyjną w przedsionku i dla wszystkich było jasne, że przeszkoda tkwi w kolanku i tuż poniżej, całą kondygnację rury trzeba wymieniać. Pogotowie hydrauliczne nie było na to przygotowane.

- Wie pan co - powiedziałam w zadumie do kierownika ekipy. - A jakby pan tak spróbował szlakborkiem puk puk w to kolanko? Tak trochę wyżej?

Hydraulik spojrzał na mnie wzrokiem pełnym uczuć. I zgroza w tym była, i potępienie, i zdumienie, i niesmak głęboki.

- Czy pani sobie zdaje sprawę z tego, co pani do mnie mówi? - spytał z naganą.

- Zdaję sobie sprawę doskonale - odparłam beztróska.

- Przecie to całe gówna pójdzie na ulicę!

- Toteż właśnie. SANEPID się natychmiast zainteresuje, nie? I już oni całą resztę załatwią. Innego wyjścia nie ma.

Hydraulik popatrzył teraz na mnie z wyraźnym zainteresowaniem. Możliwe, że inaczej potraktowałby mój rewelacyjny pomysł, gdyby był trzeźwy, na szczęście jednak był pijany. Zaciekawilo go to. Przywleczono skądś stół, włożył na ten stół i zrealizował propozycję, wykonał puk puk w kolanko.

Orientowałam się mniej więcej, co z tego wyniknie. W przeciwieństwie do niego byłam nieskalanie trzeźwa i miałam dość rozumu, żeby się zabezpieczyć.

Oglądałam imprezę, ukryta za oszklonymi drzwiami do holu, widziałam wszystko, a na nic nie byłam narażona. Z wykutego otworu, pod ciśnieniem pięciu pięter, z siłą bez mała Niagary, chlusnął strumień brązowej cieczy, wesolutko ciurkając popłynął po schodach w dół, rozbryzg poszedł po ścianach, zachlapując szybę przed moją twarzą. Dokładnie w tym momencie jakiś człowiek otworzył zewnętrzne drzwi od ulicy, dostał tym prysznicem, cofnął się nieco i spojrzął w górę.

- To z centralnego pan tę wodę bierze? - spytał niepewnie.

- Taa, z centralnego - potwierdził zgodnie hydraulik, tępo zagapiony w rezultaty popukania. Facet zawahał się, zrezygnował z wejścia tędy i poszedł dookoła, przez podwórze. Strumień z rury walił i już zaczynał wypływać na ulicę, a smród potworny wzniosł się w górę klatką schodową aż po dach i wabił ludzi z mieszkań. Sąsiadka z pierwszego piętra wpadła do nas i płacząc ze szczęścia, rzuciła mi na szyję. Całe to, zbierane wraz z cieciami, płynne gnojowisko nagle zniknęło im spod rąk i z gulgotem spłynęło w dół. Pogotowie hydrauliczne zwinęło manatki i oddaliło się w pośpiechu.

Wymiany parterowego odcinka rury dokonano pierwszego dnia po świętach w ciągu ośmiu godzin. Utwierdziło mnie to w poglądzie, iż najwłaściwsze w naszej rzeczywistości są metody nietypowe i radykalne.

O niespodzianki wigilijne starały się nie tylko siły wyższe, ale także cała rodzina. Prym w tej dziedzinie wiodła Lucyna, z reguły pełna pomysłów, przyzwyczajona przez całe dorosłe życie do organizowania rozrywek, bo na tym w dużym stopniu polegała jej praca w kulturze i sztuce. Napisała nawet kilka książek, stanowiących zbiór gier, zabaw i rozmaitych atrakcji towarzyskich, książek tych już w ogóle nie ma, a szkoda. Gdyby to kogoś zainteresowało, wydała je pod nazwiskiem Lucyna Szczegodzińska.

Wracając do wigilii, robiło się różne rzeczy. Któregoś roku obowiązkiem wszystkich ofiarodawców, pardon, chciałam powiedzieć świętego Mikołaja, było opakowanie wszystkich prezentów w tak potworną ilość papieru, żeby nikt nie zdołał odgadnąć, co znajduje się w środku wielkiej paki i żeby odwijanie trwało w nieskończoność. Przeżyłam wtedy wstrząsającą chwilę? i już wyraźnie widzę, że nie zdołam odczepić się od dygresji.

Miałam wtedy czternaście albo piętnaście lat. Wiek wskazuje, że musiałam być wcześniej wyjątkowo tępą kretynką, świadczy także o stopniu otumanienia przez żeńską część rodziny, dla której nie mam w tej chwili żadnego miłosierdzia i której

bez wyrzutów sumienia dokopię zaraz poniższym nietaktem. A Teresa niech się wypcha, chociaż Bogiem a prawdą, ona jedna w tej dziedzinie prezentowała uczucia i elementarną przyzwoitość.

Dostaliśmy zatem te prezenty w osobliwej postaci, papiery usłały mieszkanie, ojciec odpakował wielką rurę, w której znajdowała się mała cygarniczka, taka zwyczajna, do papierosów, i nagle zorientowałam się, że dostał tylko ten jeden jedyny prezent. I w dodatku sam go sobie kupił...

Na długą chwilę odjęło mi mowę. Wstrząs był potężny, bo tkwiło we mnie to dobre serce. Równie nagle, w tak zwanym olśnieniu, oceniłam sytuację, istniejącą w mojej rodzinie przez całe lata. i zbuntowałam się straszliwie, co miało skutki długofalowe i spowodowało później różne wydarzenia.

Rzecz oczywista, prawidłowa ocena sytuacji nastąpiła dopiero po latach. Byłam już całkiem dorosła, kiedy wreszcie zastanowiłam się porządnie nad różnymi zjawiskami i pojęłam, skąd się brały moje własne, wysoce nieprzyjemne doznania. Ojciec był w rodzinie lekceważony nie tylko jako on sam, ale także jako przedstawiciel płci męskiej w ogóle, wszelkie bowiem pozytywne uczucia dla płci męskiej zasługiwały wyłącznie na wzgardę, potępienie i śmieszność. Zakochać się w mężczyźnie, cha, cha, jakież idiotyzm! Palmę pierwszeństwa w tej konkurencji twardo dzierżyła Lucyna i wołałabym skonać w torturach, niż przyznać się do najmniejszego drgnięcia w sercu. Dla mojej matki mężczyźni stanowili głównie przedmioty użytkowe, upuściwszy rękawiczkę pomiędzy lamparty, zażądałaby przyniesienia nie dla jakichś tam prób, tylko zwyczajnie, potrzebna, co ją obchodzi lamparty, ruchomy przedmiot ma spełnić zadanie i cześć. Dla babci godzien szacunku mężczyzna musiał być wielki i potężny, ojciec nie zaspokajał tego wymogu, a w dodatku sam się podkładał, pozwalał sobą pomiatać i ciosać kołki na głowie, bo kochał spokój i miał łagodne usposobienie.

Ów samotny, dla siebie nabyty, prezent stanowił chyba jakiś punkt szczytowy, nie ja jedna to zauważyłam, głupio zrobiło się także innym osobom, bo nigdy więcej taki skandal się nie przytrafił. Ja zaś, wiedziona duchem przekory, zaczęłam się odwarkiwać, aczkolwiek przez całe życie pilnowałam starannie, żeby przypadkiem nie ujawnić miotających mną uczuć do chłopca. Za nic! A już w żadnym razie nie przed moją rodziną! W rezultacie wyszłam na tym jak Zabłocki na mydle, bo mój duch przekory poszedł za daleko i z pewnością byłam dla tych chłopów za dobra. Za dobra, nie za dobra, poglądy mojej rodziny po kądzieli na długie lata pozbawiły mnie

poczucia umiaru, ale ojciec na tym zdecydowanie zyskał.

Co do wigilii, nie tej jednej, tylko licznych, uświetniały je także wróżby i konkursy w rozmaitej postaci, wszystko organizowała Lucyna, niewyczerpana w pomysłach. Nazarta specjalami rodzina poddawała się z przyjemnością i brała w zabawie żywy udział, co, chwalić Boga, dobrze o nich świadczy.

Prezenty z reguły lokowane były w wielkim worze pod biurkiem, bo pod choinką się nie mieściły. Od chwili kiedy nauczyłam się czytać, przypadło mi w udziale odczytywanie napisów na nich i czytałam je, rozdzielając po adresatach, aż do czasów obecnych, kiedy wreszcie obowiązek przejęła moja starsza wnuczka. Kiedyś wszystko musiało być wierszem i rodzina dostosowała się bez najmniejszego oporu, z zapalem tworząc poezje. Kiedyś, w okresie rozmaitych trudności Lucyna, wywiesiła na całej ścianie wielki napis: ŚWIĘTEMU MIKOŁAJOWI NIE ZAGLĄDA SIĘ W ZĘBY!!! Kiedyś moja matka dostała do ręki koniec sznurka z poleceniem: IDŹ ZA!!! Ruszyła w drogę, rzecz jasna cała rodzina leciała za nią chichocząc, przy czym tylko cztery osoby wiedziały, co będzie na końcu. Przewleczona została przez całe mieszkanie, wszystkie przedpokoje, kuchnię, służbówkę, pętląc oczywiście, po czym wreszcie dotarła do łazienki, gdzie stała nowa automatyczna pralka, uprzednio starannie ukrywana i wreszcie odsłonięta. We właściwym okresie dziejowym ciocia Jadzia również dostała sznurek, na którym było napisane: CIĄGNIJ!!! Zaczęła ciągnąć z pewnym wysiłkiem i wywlokła spod tapczanu całą ryżę papieru toaletowego, stanowiącego w owym okresie skarb absolutnie bezcenny.

Z dużym wysiłkiem spróbuję wrócić do chronologii, która, bądź co bądź, stanowi zasadniczy element każdej biografii. Boże Narodzenie sprowadziło mnie na manowce. Dygresje, w razie potrzeby, będę czynić do tyłu.

W połowie wakacji wybuchło powstanie.

Milczące grupy ludzi stały wieczorami i nocą, patrząc na lunę nad Warszawą. Widoczna była na odległość prawie pięćdziesięciu kilometrów. Atmosfera grozy obejmowała wszystko i nie ma co się nad tym rozwodzić.

W Grójcu znajdowała się wtedy moja matka, Teresa i ja. Reszta rodziny, ojciec, dziadkowie, Lucyna z mężem, druga babcia, rodzeństwo ojca, wszyscy utkwili w Warszawie i nic o nich nie było wiadomo. Ja zaś, ni z tego, ni z owego, doznałam wówczas jasnovidzenia.

Brzmi to trochę dziwnie, trochę niewiarygodnie, a trochę przerażająco, ale jest świętą prawdą. Siedziałam przy biurku, możliwe, że próbowałam się uczyć, bo na

ogół lubiłam się uczyć, bałam się panicznie, lęk i bezustanne zdenerwowanie trwały we mnie, niemal dławiąc i powodując wzmożone bicie serca. I nagle, w jednym ułamku sekundy, nastąpiło dziwaczne zjawisko. Skądś spłynęło na mnie, może nawet nie spłynęło, spadło jak grom z jasnego nieba, najgłębsze, granitowe przekonanie, że nie mam się czego bać. Pewność to była absolutna, nic mi się nie stanie i nikt z naszej rodziny w czasie tej wojny nie zginie, bez względu na wydarzenia. Ulga, jakiej doznałam, była zgoła nie do opisanego, odetchnęłam, uwolniona od nieznośnego ciężaru, uspokoiłam się w mgnieniu oka, wszelkie lęki przeszły mi jak ręką odjął, po czym z miejsca przeistoczyłam się w balsam dla pozostałych osób.

Możliwe, że była to przełomowa chwila w moim życiu, bo roli balsamu nie zdołałam się pozbyć do dzisiejszego dnia, żeby to piorun trafił, między nami mówiąc. Kto nie rozumie, co mówię, niech sam spróbuje. Wyglupiłam się wtedy od razu, powiadomiłam o przecuciu moją matkę i Teresę i uczyniłam to z taką mocą, że uwierzyły. Nie było dnia, żeby nie zadawały mi pytań na ten temat, ja zaś ani razu nie zachwiałam się w swojej niebiańskiej pewności. Bać się, owszem, dlaczego nie, bałam się jeszcze ładne parę razy, ale to już nie było to.

Co się stało z powstaniem, wszyscy wiedzą i też nie będę się nad tym rozwodzić.

Jako pierwsza przybyła z Warszawy babcia. Do dziś nie wiem, jak się wydostała, ale zawsze była przedsiębiorcza i miała swoje doświadczenia. Przyszła piechotą, włożyła nogi do miednicy z wodą i powiedziała:

- Janek nie żyje.

Janek to był mój ojciec. Babcia powiedziała to z tak niezachwianą pewnością, jakby na własne oczy oglądała jego zwłoki. Moja matka nie odezwała się ani słowem, poszła płakać do sypialni, udałam się za nią i ze wzdorczym oburzeniem zaprzeczyłam słowom babci. Sama nie przejęłam się wcale, wiedziałam lepiej, ojciec żyje i wróci, a babcia wygaduje brednie. Po paru chwilach okazało się, że babcia ojca zwłok nie widziała, wydedukowała sobie tylko, że musi nie żyć, ponieważ został na Starym Mieście. Został, istotnie, wyszedł kanałami.

Krótko po babci nadciągnęła z Ursynowa Lucyna, jej było najłatwiej. Gdyby nie mój upór, na dziadku położono by krzyżyk, bo powstanie zastało go w szpitalu, gdzie czekał operacji żołądka. Babcia zdążyła odpłakać jego śmierć w czasie drogi. Tymczasem dziadek przyszedł w dwa albo trzy tygodnie później, sama otworzyłam mu drzwi i prawie go w pierwszej chwili nie poznałam. Wychudł straszliwie i

osiwiał, ale niepojętym cudem trzymał się na nogach. Okazało się, że w szpital trafiły pociski, możliwe, że i bomby, wszystko się zawaliło, a nad dziadkiem wyłożyła się szafa. Nie przygniotła go, przeciwnie, ocaliła mu życie, wsparła się bowiem górną na zrujnowanej ścianie i wytworzyła pod sobą pustą przestrzeń, z której dziadek zdołał się wygrzebać.

O ojcu ciągle nie było wieści i tylko moje uporczywe, zakamieniałe, wręcz znudzone pytaniami przekonanie poprawiało rodzinie samopoczucie. Wreszcie, późną jesienią, przyjechał z Błędowa znajomy dziedzic i tajemniczym szeptem zawiadomił, że ojciec przebywa u niego. Bał się wrócić do domu, ukrywał się ciągle na wszelki wypadek, chociaż Niemcy zapewne nie mieli już do niego głowy. Obie z Teresą tańczyliśmy polkę po całym mieszkaniu, a moja matka w pośpiechu wsiadła na bryczkę i pojechała do Błędowa. Potem już cała rodzina składała wizyty w błędowskim dworze, gdzie przy okazji znaleziono dla mnie narzeczonego. Był to syn państwa domu, którego w ogóle sobie nie przypominam. Nie zapaliłam się do pomysłu, możliwe, że mi się nie podobał, za to nadzwyczajnie zachwyciła mnie jego matka. Jak ta kobieta musiała wyglądać, skoro mnie, dwunastoletniej dziewczynce, dla której dwadzieścia pięć lat było wiekiem podeszłym, wydała się osiemnastoletnią dziewczyną! Do dziś pamiętam ten widok, przepiękną, dorodną, młodą pannę, wspartą o futrynę w drzwiach salonu, która to panna okazała się matką czternastoletniego młodzieńca. Oczu od niej nie mogłam oderwać i prawie byłam gotowa poślubić jej syna, żeby mieć ją za teściową.

O drugiej części rodziny, tej ze strony ojca, dostaliśmy wiadomości dopiero po wyzwoleniu, ale i tak było wiadomo, że znajdowali się po tamtej stronie Wisły, więc powinni przetrzymać.

Rodzina zatem odnalazła się żywa i prawie zdrowa, a mnie natychmiast zaczęto pytać, kiedy się wojna skończy. W tej kwestii jasnowidzeń żadnych nie miałam. Brakowało jeszcze mężów Teresy i Lucyny, ale mąż Teresy, Tadeusz, nadesłał już informacje o sobie z Anglii, o mężu Lucyny zaś wypowiedział się duch. Seanse spirytystyczne wciąż były w modzie, zapytano ducha, gdzie się podziewa Stanisław. Duch na to odparł:

- W STRZELCACH.

- A cóż on tam robi? - spytała odruchowo zdumiona Lucyna.

- JE PIEROGI - odpisała siłą nadprzyrodzona. Przez pewien czas prawie wierzyliśmy, że mąż Lucyny przedostał się jakoś do Strzelc, do swojej matki, potem

jednakże okazało się, iż wieść była złudna. Jakiś człowiek, obcy kompletnie, przyniósł kartkę znaną w pobliżu toru kolejowego, na kartce zaś z jednej strony widniał adres moich rodziców, a z drugiej krótka informacja: „Wiozą nas w niewiadomym kierunku”. Lucyna rozpoznała pismo swego męża i na tym był koniec. Nigdy nie udało się dowiedzieć, jaki to był tor kolejowy i w ogóle jakie miejsce, bo kartka, zanim do nas dotarła, przechodziła przez wiele rąk.

Konkurencją dla mocy astralnych stanowiła moja matka, która miała proroczy sen. Przytrafił się jej wcześniej, prawie na początku wojny, i od momentu obudzenia rozpowszechniała go z przejęciem tyle razy, że cała rodzina nauczyła się na pamięć każdego słowa.

Przyśnił jej się mianowicie marszałek Piłsudski w trumnie, na katafalku, w nawie kościelnej. Moja matka, gorąca wielbicielka marszałka, złożyła ręce i zaczęła błagać:

- Dziadku, ratuj nas! Niemcy na nas napadli!

Na co Piłsudski usiadł w trumnie i rzekł:

- Czy pani słyszała, żeby, jak historia historią, potęgę Niemiec ktoś zwalczył?

Ale przyjdzie taki major, który poprzestawia pionki na szachownicy i kaprala zwycięży.

Więcej nie powiedział, ułożył się z powrotem w trumnie, a moja matka obudziła się zdumiona, dezorientowana i wstrząśnięta.

Do opowieści o śnie przystąpiła od razu, cytując słowa marszałka i dopytując się, co też mogły znaczyć. Dopiero znacznie później dowiedziała się, że w randze majora występował Churchill, a Hitler poza kaprala nie wyszedł. Utwierdziła się w wierze o prawdziwości przepowiedni, Stalina lekceważąc całkowicie.

Na okres dłuższy niż rok straciłam wtedy z oczu Bożenkę, tę moją przyjaciółkę od poczwary pod brzozą. Pojawiła się dopiero po powstaniu. Przedtem wywieziono ją do jakiejś rodziny w Ożarowie i teraz ze zrozumiałych względów wróciła. Melanż tematyczny wychodzi tu chyba potężny, ale nic na to nie poradzę, że koniec wojny obfitował w wydarzenia nie tylko dziejowe, a skala ich ważności inaczej prezentuje się oczom dwunastoletnim, a inaczej takim nieco starszym.

Bożenka wstrząsnęła mną niezmiernie. Odpracowałyśmy radosne powitanie, scena miała miejsce, nie wiem dlaczego, w naszej kuchni, po czym zapatrzyła się gdzieś w siną dal i westchnęła.

- Ja jestem zepsuta - powiadomiła mnie tajemniczo, a w oczach miała przy

tym smętną zgrozę, podklejoną upojeniem.

Odniosłam się do tej informacji sceptycznie, aczkolwiek z ogromnym zainteresowaniem. Zaczęłam wypytywać. Nie chciała nic wyznać, świństwem byłoby oczywiście pozwolić jej na milczenie, nalegałam zatem, jako osoba dobrze wychowana i świadoma pewnych reguł, aż wreszcie dowiedziałam się, w czym rzecz. Otóż nastąpiło coś znacznie poważniejszego niż wszystkie wojny świata. Jeden chłopak ją pocałował.

Jakoś nam się wydawało, że dziecka z tego nie będzie, chociaż żadna z nas głowy by nie dała. Po namyśle spróbowałam ją pocieszyć, suponując, iż zepsucie nie jest najwyższej miary i jakieś życie jeszcze przed nią istnieje, ale był to błąd. Swój upadek życzyła sobie widzieć jako nieodwracalny, a im głębiej, tym lepiej, otchłań powinna być wręcz godna szacunku. Możliwe, że wykazałam zbyt wiele optymizmu, bo pożegnała mnie chłodno. Zaraz potem zbliżył się front. Też zrobiło się fajnie. Chwile, kiedy ze strachu czekałam na kartoflach w piwnicy, minęły bezpowrotnie, bo, jak już pozwoliłam sobie zauważyć, do wszystkiego można się przyzwyczaić, nawet do rozbrzęczanych szyb w oknach, trzęsącego się domu i narastających wybuchów. Obok naszego domu Niemcy ustawili trzy działa, strzelające gdzieś w dal, niewykluczone, że z dali strzelano do tych dział i mogliśmy tylko mieć nadzieję, że celownicemu ręka nie drgnie. Łomotało potężnie, laikowi ciężko było odróżnić bomby od pocisków armatnich, mimo przeczuć i jasnowidzeń miałam poważne obawy w kwestii przeniesienia się z tego padołu na lepszy świat i za wszelką cenę chciałam przed śmiercią skończyć książkę, którą właśnie czytałam. Odmówiłam zejścia do piwnicy, usiadłam pod zawieszoną na ścianie karbidówką, zatkałam sobie uszy i czując bezustanne drgawki budynku, czytałam zachłannie, w szalonym pośpiechu. Doczytałam do końca i dalej byłam żywa. Do piwnicy jednak w końcu zesłam. Była to straszliwa noc, ruskie wojska zdobywały Grójec. Przysypiałam trochę na tych kartoflach aż do chwili, kiedy zbiegł na dół sąsiad, wówczas jeszcze młody człowiek, z którym zaprzyjaźniłam się w dwadzieścia lat później, i radośnie oznajmił, że szrapnele się nad nami rwą. Po kwadransie doniósł, że już są ruskie czołgi, właśnie przejechały, i sam słyszał ruską mowę. Nikt już w piwnicy nie wytrzymał, wszyscy wylecieli na górę. Owego Warcharta, który mieszkał obok nas, nie było już dawno, sąsiedzi się pozmieniali, całe towarzystwo miotało się w pionie, jednak piwnica wydawała się w jakimś stopniu azylem i pchano się do niej z dobytkiem.

Oczywiście też wyszłam, żeby zobaczyć te szrapnele. Stałam akurat u podnóża schodów, kiedy ujrzałam nagle, że z góry leje się potężny strumień wody. Przysięgam na kolanach, nim za tą wodą zleciało wiaderko, zdążyłam pomyśleć, co następuje: Niemcy rzucają takie wodne granaty, żeby nas zatopić. Dom stoi na górze, nad skarpą, obok jest wielki dół, zatapianie trochę potrwa. W razie czego, tuż blisko rosną wysokie topole...

Na topolach mi się urwało, bo w tym właśnie momencie za wodą podążyło wiadro i okazało się, że ktoś zepchnął pierzyną kubel z pomyjami. Pierzyna również schodziła do piwnicy. Chwilę pamiętam dokładnie, ponieważ w kilka miesięcy później opisałam ją w wypracowaniu szkolnym pod tytułem „Moje przeżycia wojenne” i dostałam obniżony stopień za niepoważne potraktowanie tematu, co zostało wyraźnie stwierdzone czerwonym ołówkiem.

Nazajutrz nastąpił exodus. Ruskie czołgi wjechały na ulice miasta, ale dla mojej babci nie stanowiło to wielkiej odmiany na lepsze. Znała kiedyś osobiście Dzierżyńskiego i nie wypowiadała się o nim inaczej, jak tylko „krwawy zbir”. Poglądami na bolszewików zaraziła i mnie, co przyszło jej z łatwością, we mnie bowiem tkwiły sceny z Ogniem i mieczem, i oczyma duszy uparcie widziałam dzicz z upodobaniem, okręcającą sobie szyje dymiącymi ludzkimi flakami. Reszta rodziny poddała się hysterii i podjęła decyzję ucieczki. Najlepiej na wieś. Spakowani byliśmy od dawna, każdy miał swoją walizkę, o poranku chwycono bagaże i ruszono w pole, dokładnie pod włos. Dużo latało, możliwe, że też uciekali, nikt jednakże w tę stronę co my, wszyscy odwrotnie. Zapewne mieli rację, bo kiedy znaleźliśmy się na zamarznętej grudzie, pociski zaczęły padać dookoła. Cholera. Wybuchło to z prawej, to z lewej, my zaś lecieliśmy przed siebie ostatnim tchem.

Przekonanie, że moja matka jest chora, trwało we mnie od urodzenia i przejmowałam się tym do nieprzytomności. Potykała się teraz o pecyny na tym ornym polu, z walizką w rękę, a wiedziałam przecież, że do takich ćwiczeń fizycznych jest niezdolna i z pewnością jej zaszkodzi. Zabrałam od niej walizkę, niosłam już dwie, i jakąś torbę i prulałam przez te wybuchy uskrzydłona paniką, oglądając się wyłącznie na matkę, chociaż z moim dziadkiem było na pewno gorzej. Do naszego domu nie dotarliśmy, znajdował się dalej, dopadliśmy najbliższej znajomej chałupy i tam nas zastopowało. Mimo tych dwóch walizek i torby, byłam pierwsza, wypuściłam bagaże z rąk i chciałam zapukać do drzwi. Okazało się, że nie mogę, nie byłam w stanie unieść dłoni. Poddałam się, usiadłam na świńskim korycie i poczekałam na rodzinę.

Mojego dziadka położono zaraz do łóżka i zaczęło się czekanie na rozwój wydarzeń. Teresa i Lucyna gdzieś mi znikły, może poszły do naszej posiadłości, a może wróciły do Grójca, tego już nie pamiętam. Pamiętam za to chwilę, która nadeszła odrobinę później i wspominam ją ze szczerym niesmakiem.

Panował ciemny wieczór zimowy, w chałupie zgromadzone były dwie rodziny, nasza i gospodarzy, dziadek leżał w łóżku, paliła się naftowa lampa. Gadanie trwało na jedyny interesujący temat, front się przewalał, przełom następował, ruskie wojska wygrywały wojnę. Opowiadano sobie straszne rzeczy o niedobitkach Niemców, z których jedni błakali się po okolicy i szukali kogoś, komu mogliby się poddać, drudzy zaś z obłędem w oczach mordowali Polaków, wdzierali się do domów i podpalali budynki. Wśród tych czarownych opowieści ktoś nagle załomotał do drzwi.

Całe towarzystwo zamarło. Łomot był typowy, kolbami, wciąż dobiegał zza drzwi, a razem z nim głośne niemieckie słowa. Jezus Mario, szkopy, te zbrodnicze niedobitki, koniec z nami...!

Nie pamiętam, kto w końcu otworzył te drzwi, pamiętam natomiast, że zrobiło mi się słabo. Stresy skracają życie. Do środka wdarło się trzech ruskich żołnierzy, rżących radosnym śmiechem, bo oto, okazało się, zrobili sobie przedni dowcip. Jeden z nich, adwokat z cywilnego zawodu, znał doskonale niemiecki i tak sobie, dla draki, postraszyli wyzwoloną ludność. Cha, cha. Matko Boska...

Potem rozkręcił się upojny wieczór. Jeden z nich grał na harmonii, przynieśli wódkę, była także miejscowa, wszystkich zmuszali do picia, głównie mężczyzn, mój dziadek chory, no to go nektar uzdrowi, babcia poszła na poświęcenie, oznajmiła, że ona będzie piła za męża, a należy zauważyć, że ruskim językiem władała jak własnym, przekonała ich. Dwaj pozostali tańczyli z gospodynią, a wszyscy śpiewali chórem, nie dam głowy czy zgodnym, w każdym razie głośnym. Do ludzkich flaków się nie rwali i prawie ich pokochałam za samo to, że nie byli Niemcami.

Wyzwolenie wreszcie nastąpiło i wróciliśmy do grójeckiego domu. Moja matka ruskich pochwaliła.

- Jak tu stacjonowali Niemcy - rzekła z mściwą satysfakcją, bo Niemców nienawidziła do szaleństwa - i nadlatywały samoloty, wszyscy chowali się, gdzie mogli, pod samochody włączili i po rowach się kładli. A ci, proszę, samoloty bombardują, a oni wyłażą i zadzierają głowy do góry, nie widziałam, żeby chociaż jeden się schował. Odważny naród.

Bomby rzeczywiście jeszcze leciały, musiały to być jakieś ostatnie podrygi niezwykłej armii niemieckiej, bo ktoś by inny je rzucał. Małe, podobno pięćdziesięciokilowe. O jedną się potknęłam, idąc w niedzielę do kościoła, nie wybuchła, niewypał, leżała sobie na chodniku, zamyśliłam się, nie patrzyłam pod nogi i prawie na nią weszłam. Stwierdziwszy rodzaj przeszkody, ominęłam ją szerokim łukiem, bo już doskonale wiedziałam, co to jest niewypał, ale i tak groźniejsza wydawała mi się koza. Koza, najprawdziwsza w świecie, czatowała na przechodniów na skrzyżowaniu ulic i rzucała się z nastawionymi rogami, a mojej drugiej przyjaciółce, Wiśce, podarła palto. W sto niewypałów bym weszła, żeby ominąć kozę. Podobno bywała uwiązana na podwórzu właściciela, albo zamykana w komórce, ale zawsze udawało jej się wyrwać podstępem i uprawiać ulubione zajęcie na rogu ulicy. Od razu mogę się przyznać, że posłużyła mi za wzór w utworze pod tytułem Zbieg okoliczności,

Co do niewypału, to zajęły się nim dzieci i powlokły go na sznurku aż pod nasz dom od strony skarpy. Potem zakłopotwały się osoby dorosłe, nikt nie wiedział, co z tym świństwem zrobić, aż w końcu wrzucono go do stawu za domem niejakich państwa Pętkowskich. Przypuszczam, że leży tam do dziś.

Front przeszedł, dla nas cholerna wojna nareszcie się skończyła, ojciec mógł wrócić do domu. Uroczysty capstrzyk, urządony na grójeckim rynku i w parku miejskim, mnie osobiście wyszedł bokiem. Miałam zezwolenie na udział w patriotycznej rozrywce, ale na dziewiątą kazano mi wrócić do domu. Capstrzyk trwał dłużej, straciłam największe atrakcje, a i biegiem leciałam z powrotem, no i spóźniłam się piętnaście minut. Cierpliwość nie zaliczała się do cnót mojej matki, piętnaście minut to było dla niej piętnaście lat, albo zgoła wieków. Nie odzywała się do mnie przez trzy dni, co uznałam za karę sadzoną, a owe trzy dni, jako dziecko uczuciowe, przepłakałam.

Miałam wtedy już dwie podstawowe przyjaciółki. Bożenkę i Wişkę. Z Wišką zbliżyłam się w czasie nieobecności Bożenki i przez nią chyba wyszłam za mąż.

Istnieje ludowy pogląd, że jeśli kogoś w dzieciństwie pies ugryzie, wcześniej za mąż wyjdzie. Rzecz jasna nie pies, tylko osoba ugryziona. Wiška o to zadbała, podobno bezwiednie.

Bywałyśmy u jej cioci Pętkowskiej, właścicielki stawu z niewypałem, ponieważ stała tam stodoła, stwarzająca liczne atrakcyjne możliwości. Można było skakać z belki na siano, można było siedzieć w sąsięku na różnych wysokościach i

bawić się dowolnie, można było grać w karty. Po podwórzu biegał pies, kundel średniej wielkości, agresywny, ale bez przesady. Za którąś kolejną wizytą weszliśmy przez bramę, Wiśka pierwsza, ja za nią, pies wybiegł ze stodoły, Wiśka zaś dla żartu powiedziała:

- No, bierz ją!

Pies potraktował sprawę poważnie, podbiegł do mnie w sposób nieco mylący, mordą warczał, a ogonem machał, stałam nieruchomo, bo wiedziałam, że uciekać nie należy, zachować się spokojnie i pies nie ugryzie, tymczasem okazało się, że on był niedouczony i nie znał reguł. Przyleciał i ugryzł.

Kundel był nieduży, ale pysk miał jak krokodyl. Złapał mnie za nogę tuż poniżej łydki i trzymał bardzo porządnie, wciąż prezentując sprzeczne uczucia, tu warczał, a tu machał, warczał może trochę niewyraźnie, bo moja noga mu przeszkadzała, miał jej pełen pysk, musiał też chyba odczuwać jakieś niezdecydowanie, bo nie próbował szarpać. Ja też nie. Do dziś zdumiewa mnie rozsądek i opanowanie, jakie wówczas wykazałam, nie ruszyłam się, nie drgnęłam, gdybym usiłowała się szamotać, cały ten kawał nogi zmieniłby właściciela, a tak staliśmy sobie spokojnie, pies i ja, zespoleni, ale bez dalszej szkody dla zdrowia.

Na podwórzu zapanowało piekło dzikie, wyleciała cała rodzina Wiśki, miotali się dookoła bez żadnego sensu, krzycząc i lamentując. Ciągle byłam jedyną osobą, zachowującą zdrowy rozsądek, ale ta rola zaczynała mnie już nużyć.

- Weźcie, do diabła, tego psa! - powiedziałam z gniewem, przekrzykując towarzystwo, gdzieś w samej głębi duszy nieswoja z racji użycia przekleństwa, z drugiej jednak strony pewna, że sytuacja mnie usprawiedliwia. Bardzo to było skomplikowane i pamiętne przeżycie.

Życzenie musiałam ogłosić gromko, bo rodzina Wiśki nagle odzyskała rozum. Zrobili, co należało, rozwarli psu pysk, przynieśli miednicę z wodą, zatamowali krew. Zapłakana Wiśka przeproszała mnie, tłumacząc, że to był żart, to poszczucie, nie sądziła, że pies potraktuje polecenie poważnie. Nawet nie miałam do niej wielkich pretensji, do psa też nie, cały rezultat negatywnych doznań skupił się na owej latającej dookoła i krzyczącej bezproduktywnie rodzinie.

Paskudziło mi się to ugryzienie dwa miesiące, co podobno było rekordem in plus, bo ugryzienia psa goją się trudno, wakacje miałam w pewnym stopniu zatrute, a ubytek w nodze został mi na zawsze. Do dziś mnie intryguje, czy tę moją brakującą część pies zeżarł, czy wypluł.

Zrozumiała w tych warunkach lekka nieruchawość spowodowała, że intensywniej grałyśmy w tej stodole w karty. W tysiąca licytowanego. Oszukiwałam z całej siły, karty należały do mnie i były znaczone ze zwyczajnej starości, pomazane po grzbietach, sama je nawet mazałam i oczywiście rozpoznawałam doskonale. Oszukiwanie zresztą polegało głównie na wiedzy, co tam idzie w tych dobieranych, rozdawałam mniej więcej uczciwie, więc zdarzało mi się czasem przegrywać.

W całym owym okresie końca wojny i początku wolności przytrafiło się tyle najrozmaitszych drobnych wydarzeń i pozornie tylko drobnych przeżyć, że w porządku chronologicznym gubię się kompletnie. We trzy z Bożenką i Wiśką bawiłyśmy się w Indian na Dzikich Polach, ale już krótko, bo na takie głupstwa zaczynałyśmy być zbyt dorosłe, szczególnie one obie. Ja byłam najmłodsza, jeden rok w tym wieku stanowi ogromną różnicę, a dwa lata to już świat. Co nie przeszkadzało nam wpaść do strumienia po kolana, kiedy się pod nami lód załamał. Skoro lód, nie mógł to być czas letni.

Pojęcia nie mam, kiedy Lucyna zaczęła prowadzić mnie do dentystki, która zniszczyła mi ząb, ale Pan Bóg ją skarał, Lucynę mam na myśli, bo odcierpiała swoje. Raz zemdlałam przy borowaniu, przez co omal nie dostała ataku serca, a drugi raz trzymałam ją za rękę i do końca nie dało się mnie nakłonić, żebym puściła. Lucyna na tej ręce miała obrączkę, werznąłam jej złoto w palec i o mało nie złamałam kości, trudno ocenić, kto był potem blebszy, Lucyna czy ja. Ząb wyrwano mi ostatecznie, kiedy już byłam pełnoletnia.

O, właśnie! Najwyższy czas na dygresję, bo skoro już wprowadzam pewien melanz, niechże on będzie konsekwentny. Różne osoby bywały ze mną u lekarzy, tylko nie moja matka. Kontakt lekarz-moja matka-ja istniał wyłącznie wtedy, kiedy lekarz przychodził do domu. U lekarza, poza domem, moja matka złożyła ze mną wizytę jeden raz, a i to wyłącznie dlatego, że była na bani.

Pojęcia nie mam, co się odbywało, czyjeś imieniny, rocznica ślubu czy zgoła wesele, w każdym razie moja matka opuściła uroczystość, żeby udać się z dzieckiem do doktora. Widocznie nikt inny nie chciał. Zdawała sobie sprawę ze swojego stanu, który był zresztą lekki, i miała szalone obawy, iż eskulap poczuje od niej niestosowną woń. Usiadła po drugiej stronie doktorskiego biurka i od razu odsunęła nieco krzesło do tyłu. Co drugie zdanie mniej więcej odsuwała to krzesło nieznacznie i delikatnie, po czym nagle połapała się, że siedzi na środku pomieszczenia, a lekarz przygląda się jej z wyraźnym zainteresowaniem. Zdaje się, że zniechęciło ją to do tych wizyt

ostatecznie.

Za nic w świecie nie zdołam sobie przypomnieć, z kim byłam znacznie później, pi razy oko w okresie zębów, w przychodni lekarskiej, może również z Lucyną, a może z Teresą, nie wiem także, po co mnie tam zawleczono, bo na nic chora akurat nie byłam, ale korzyść z tej wizyty odniosłam ogromną. Nie zdrowotną.

Otóż na drutach umiałam robić od najwcześniejszego dzieciństwa. Szydełkiem jeszcze wcześniej. Wojenne i powojenne braki spowodowały, że co tylko się dało, wykonywało się w domu we własnym zakresie do tego stopnia, że kupny blezer stanowił dla mnie wieloletnie marzenie ściętej głowy. No i w tej przychodni, czekając na wizytę u lekarza, stałam w drzwiach oparta o futrynę i dostrzegłam niewidomą dziewczynkę. Była nieco starsza ode mnie, mogła mieć trzynaście albo czternaście lat, siedziała na krześle i robiła rękawiczki na pięciu drutach w takim tempie, że oczami nie mogłam nadążyć za ruchami jej palców. Poczułam się wstrząśnięta, Jezus Mario, przecież ona była niewidoma! Oprócz bezgranicznego podziwu obudziła się we mnie chęć dorównania jej, zaraz potem zaczęłam czynić próby. Robiłam na drutach z zamkniętymi oczami, uparłam się i wreszcie doszło do tego, że dziś robię na drutach czytając książkę. Rzecz jasna, proste wzory, jakiś tam podwójny ryż i tym podobne. Przy wzorach skomplikowanych, kiedy trzeba liczyć oczka, sztuka nie bardzo wychodzi, bo albo się człowiek myli w liczeniu, albo nie rozumie czytanego tekstu.

Nie mogę sobie także przypomnieć, w jaki sposób i kiedy poznałam moją późniejszą wieloletnią przyjaciółkę, Jankę. Musiało to być po powstaniu i nastąpiło w szkole. Wywieźli jej rodzinę z Warszawy, jakoś udało im się z tej wywózki wydostać, po czym ugrzęźli w Grójcu, gdzie znajdowali się krewni. Mam nawet wrażenie, że ci krewni mieszkali blisko owych naszych znajomych, u których przebywał kot Pimpuś i których potomkiem był Felek od Brajtszwanca. W każdym razie zaczęłyśmy się przyjaźnić i nawet nam wtedy do głowy nie przyszło, ile lat ta przyjaźń przetrwa.

Pomiędzy Wiśkę, Bożenkę i mnie niejaki dysonans wprowadził zaraz po wyzwoleniu tak zwany Rudzielec. Był to chłopak niewątpliwie interesujący, płomiennie rudy, starszy nieco, bo już siedemnastoletni, przez jakiś czas niezdolny do podjęcia decyzji, którą z nas wyróżnia. W końcu, w pewnym stopniu, opowiedział się przy Wiśce, co zniosłam lekko, primo dlatego, że nie kochałam się w nim w sposób wyraźny, kochałam się w zasadzie w Zdichu, następcy Jędrka z Ursynowa, a secundo, ponieważ zamierzał zostać księdzem. Było to ustalone w jego rodzinie od

dawien dawna i zdaje się, że tym księdzem rzeczywiście został. Zaplanowany przyszedł zawód trochę mnie zbijał z pantałyku.

Ale miał prawdziwą broń. Pokazywał nam ten mały pistolet przed mszą za kościołem...

À propos. Kościół w Grójcu stał tyłem do miasta. Zjawisko niespotykane, a biorące się stąd, że kiedyś był pożar, który strawił miasto, znajdujące się na właściwym miejscu. Później odbudowano je z drugiej strony, kościoła natomiast nie odwracano. Za to znajduje się w nim chrzcielnica, autentyczna, z trzynastego wieku.

Rudzielec zatem pokazywał nam pistolet i wszystkie dostałyśmy wypieków. Poza tym był hufcowym w harcerstwie, komendantem obu drużyn, męskiej i żeńskiej. Harcerstwo zorganizowało się błyskawicznie i oczywiście szybko zaczęłam do niego należeć, a wyrzucono mnie jeszcze szybciej za awanturnictwo. Nie miałam łagodnego charakteru i przeciwko temu, co mi się nie podobało, protestowałam gwałtownie, nie kryjąc poglądów. Nie podobało mi się mnóstwo. Zważywszy, iż ciągle byłam przeraźliwie głupia, niczego nie umiałam załatwić dyplomatycznie. Czepiałam się na przykład marszowego kroku. Chłopcy szli normalnie, krokiem długim, wygodnym, rzeczywiście marszowym, dziewczynki zaś dreptały kretyńsko, kroczkiem krótkim i przyśpieszonym, miaucząc przy tym piskliwie, co miało oznaczać śpiew. Umiałam chodzić, dość się nalatałam piechotą na wieś i ze Służewa na Ursynów, i to dreptanie było dla mnie haniebnie nie do przyjęcia. Usiłowałam wprowadzić zmianę, ale wszyscy byli przeciwko mnie. Wychowana na lekturach o przedwojennym harcerstwie, uparcie domagałam się jakichś działań, a nie samego gadania, zmiany ustrojowe zaś nie docierały do mnie w najmniejszym stopniu. No to co mieli ze mną zrobić, wyrzucili mnie w końcu i mieli spokój.

Rudzielec niechętnie ukomplementował mnie w sposób niebotyczny. Kiedy już zaczęła się szkoła, zadano im temat wypracowania: charakterystyka dowolnie wybranej osoby. Rudzielec wybrał sobie mnie i kiedy tę pracę później przeczytałam, zdumiały mnie moje zalety, w życiu bym się nie podejrzewała o taką szlachetność charakteru. W dodatku, nie dość, że zostałam rozpoznana przez nauczycielkę, to jeszcze dostał piątkę. Wzruszyło mnie to potężnie i dumna byłam z siebie przez ładne parę lat.

W szkole okazało się nagle, że jestem w pierwszej klasie gimnazjalnej. Najciężej przeżyła tę moją pierwszą klasę Teresa, która została wysłana na którąś wywiadówkę. Poszła spokojnie, nawet zadowolona, nastawiona na wysłuchiwanie

pochwał, bo wiadomo było, że jestem dobrą uczennicą i miewam same piątki. Wróciła sina i rozwścieczona. Dwójka z historii spadła na nią jak grom z jasnego nieba, a dwóję z historii rzeczywiście dostałam. Na miejscu nauczyciela postawiłabym sobie nie jedną dwóję, a co najmniej pięć.

Numery, które mu zrobiłam, przekraczają wszystko, a najlepiej pamiętam Solona.

- Solon zniósł demokrację - powiedział z wysiłkiem wywołany do odpowiedzi chłopak.

Spacerujący po klasie nauczyciel odwrócił się, jakby go co ugryzło.

- Co...?!

Chłopak milczał. Jak wiadomo, Solon wprowadził coś w rodzaju demokracji, a zniósł w pewnym stopniu ustrój arystokratyczny, ponadto umorzył jakieś szkodliwe długi, więc wypowiedź zabrzmiała jakby odwrotnie. Nauczyciel był jednakże pełen dobrej woli i zachęcił ofiarę.

- No dobrze, dobrze, on coś zniósł. Tylko co on zniósł?

Cisza.

- No co on zniósł?!

Nie wytrzymałam, bo przecież aż się prosiło. Siedziałam tuż za tym chłopakiem.

- Jajko! - podpowiedziałam przenikliwym szeptem.

Klasie dużo nie było potrzeba, wszyscy ryknęli. Nauczycielowi śmiać się nie wypadało, więc tylko bardzo szczerwieni na twarzy, zgromił mnie i chłopaka chyba też. Po jeszcze paru kolejnych występach ostatnim gwoździem do trumny stała się sprawa liktorów. Przerabialiśmy, jak widać, historię starożytną. Zostałam wywołana do odpowiedzi i nauczyciel spytał, ilu tych liktorów było. Akurat tego nie pamiętałam.

- Jedenastu - odparłam beztrąsko.

- Nie - zaprzeczył sucho nauczyciel.

- Nie? - zdziwiłam się. - Jedenastu, panie profesorze, naprawdę!

De facto po okresie, kiedy koło tyranów latał ich tuzin, w okresie republiki pozostało dwóch. Jedenastu nauczyciel nie wytrzymał i łupnął mi dwóję na okres. Teresę ta dwójka rąbnęła znacznie bardziej niż mnie, kompromitując ją na wieki. Zrobiła mi potworną awanturę, domagając się poprawienia stopnia. Nauczyciel natomiast, spotkawszy moją matkę na ulicy, wyznał jej, że tę dwóję musiał mi

postawić, bo wyglupiałam się już przesadnie i należało mnie nieco utemperować. W gruncie rzeczy sam wie, że historię starożytną umiem. Miał rację, pouczyłam się odrobinę i bez wielkiego trudu dwóję przeistoczyłam w piątkę.

Uczynię tę dygresję, bo sama się pcha. Jak wiadomo, wszyscy rodzice wmawiają w swoje dzieci, że uczyli się doskonale i stawiają się im za przykład. Nie wpadło mi to do głowy, może miałam za mało czasu, ale zastąpiła mnie moja matka. Z naganą powiadomiła moich synów, że ich kochana mamunia uczyła się doskonale i miała same piątki, przytomne dzieci nie uwierzyły, na co matka wyciągnęła moje świadectwa. Dzieci osłupiały, same piątki widniały tam rzeczywiście, uwierzyć musieli, ale wątpię, czy nabrali dla mnie wielkiego szacunku. Znacznie większe wrażenie uczyniła na nich później umiejętność strzelania...

Wracając do tematu, za polatuchy nie zrobiono mi nic złego. Ten sam chłopak, a cierpiał przez to, że siedział tuż przede mną, miał odpowiedzieć, jaką szczególną właściwością odznaczają się polatuchy. Milczał jak głaz, nudne to było, więc znów mu podpowiedziałam. „Jajka składają”, szepnęłam cicho i ten cymbał to powtórzył. Powinien był już być uczulony na jajka.

Sam z siebie za to wrąbał się w język niemiecki. Uczył się niemieckiego od dzieciństwa, tak jak mnie Lucyna uczyła francuskiego. Mieliśmy wtedy w tej pierwszej klasie właśnie język niemiecki, nauczyciel zadał wypracowanie, wyrwał chłopaka do odpowiedzi, nieszczęsny wstał i zaczął czytać z zeszytu, powoli i jękając się bardzo, ale nawet nieźle pod każdym innym względem. Nauczyciel nabrał podejrzeń, zajrzał w ten zeszyt i okazało się, że nic tam nie ma. Chłopak tworzył tekst na poczekaniu.

- Za znajomość języka powinienem postawić ci piątkę - powiedział nauczyciel
- natomiast za nieodrobienie lekcji dwóję. Zastanowię się, co zrobię.

Był przyzwoitym człowiekiem i jednak postawił mu piątkę.

Z wycieczką szkolną byliśmy w magnackiej rezydencji, chyba w Starej Wsi, chociaż za nazwę głowy nie dam. Pamiętam z niej trzy elementy. Przepiękny zbiór motyli, nie tknięty wojną, ogromny i oszołamiający kolorystycznie, nieskończenie długie szpalery strzyżonych żywoptów i Cyganek.

Cyganek wróżyła nam z ręki. Doszło do mnie, popatrzyła i oznajmiła, że nie będzie mi wróżyć. Oburzyłam się, poczułam rozczarowanie i ciekawość, dopytywałam się dlaczego, nie chciała powiedzieć. Wróciłam do niej już po wszystkich dziewczynach, chłopcy się nie pchali, upierałam się przy swoim i w końcu

chyba uległa, bo skąd bym inaczej wiedziała, o co jej chodziło. Otóż wyszło na jaw, że młodo umrę. Dożyję jakichś dwudziestu pięciu lat i do widzenia, na rękę mam to wypisane. Nie przejęłam się przesadnie, bo w tym wieku śmierć jest czystą abstrakcją, przeciwnie, poczułam się wręcz dumna z zagrożenia, ona zaś, zapewne z litości, pogawędziła ze mną dłużej i pokazała mi, jak się stawia kabałę. Nauczyła znaczenia kart oraz interpretacji układów, zapamiętałam mnóstwo, a później podbudowałam wiedzę jakimiś dziełami na temat czarnej magii.

Co do śmiertelnego zejścia, pamiętałam oczywiście, iż ma rychło nastąpić, ale mając lat dwadzieścia pięć, byłam tak przeraźliwie zajęta, że chyba bym go nawet nie zauważyła. Poza tym linia życia z wiekiem jakoś mi się wydłużyła, nikt więcej nie prorokował mi wczesnego grobu i w końcu sama sobie wywróżyłam nieskończenie podeszłe lata, siedemdziesiąt albo coś w tym rodzaju. Pewne jest w każdym razie, że żyję do tej pory, chyba że mi się tylko wydaje.

Chodził w owym okresie po Grójcu niejaki Franio. Jakim cudem Niemcy go nie wykończyli, trudno zrozumieć, bo od przedwojennych czasów był nienormalny. Fioł ujawniał się w tym, że wszystkim zapraszał na wesele.

- Chodź panęka na wesele - zachęcał mnie przy każdym spotkaniu. -
Zapraszam panękę na wesele, chodź panęka.

Chwytał za rękę i ciągnął. Bałam się go śmiertelnie, chociaż, poza pewnym natręctwem, był nieszkodliwy, nikt jednakże nie wiedział, co by było, gdyby któraś zaproszona osoba poszła z nim na to wesele. Zachowywałam przytomność umysłu na tyle, że nie pozwalałam chwytać się za rękę, odmawiałam grzecznie z daleka. Raz mnie złapał i wtedy wybroniłam się kaszą, którą niosłam ze sklepu.

- Dobrze, Franiu - zgodziłam się łagodnie. -Pójdę z tobą na to wesele, tylko najpierw zaniosę do domu kaszę. Tu, widzisz, mam pół kilo kaszy, muszę ją zanieść.

Franio zrozumiał, obejrzał kaszę i powtórzył swoje, ale już z mniejszym naciskiem.

- Chodź panęka na wesele...

- Dobrze, pójdę, tylko kaszę zaniosę... Zastanowił się, puścił mnie, pozwolił najpierw załatwić sprawę z kaszą i dopiero potem iść na wesele Unikałam go po owym incydencie jak morowej zarazy.

O przyczynach jego obłądzenia krążyły dwie wersje. Jedna: że podobno tuż przed wojną jechał autobusem, wysiadł, ciemno było, drzwi przytrzasnęły mu płaszcz i autobus ciągnął go za sobą bardzo długo głową po bruku. Druga: że miał narzeczoną,

narzeczona znalazła sobie innego amanta, Franio nakrył ich na randce, wystąpił z pretensjami, amant zaś sprzął go laską po głowie i pomieszał mu rozum. Zważywszy upór w kwestii wesela, bardziej prawdopodobna wydaje mi się ta druga wersja.

Jeszcze jedno miałam wtedy niezapomniane przeżycie, może śmieszne, a może tragiczne. Dla nas wojna się już skończyła, front przeszedł, na zachód jechało wojsko, nie tylko ruskie, także nasze, wszystko pchało się pod Berlin. Stałyśmy we dwie z Bożeną na skraju chodnika, machałyśmy rękami, odpowiadałyśmy radośnie na żarty żołnierzy, jedna ciężarówka zwolniła, zatrzymała się na moment, ruszyła i w tym ułamku sekundy spoza kolegów wychylił się jeden żołnierz. Przypadkiem spojrzał na mnie. Równie dobrze mógł do mnie strzelić, albo walnąć mnie siekierą w ciemię, przeleciało po mnie krótkie spięcie, czy może koniec świata. Nigdy w życiu, ani przedtem, ani potem aż do dzisiejszego dnia, nie widziałam równie pięknych oczu. Spojrzały na mnie dwie jasnobłękitne gwiazdy, lśniące własnym światłem, zapłonęły jak reflektory, przyćmiły wiosenne słońce, szafiry gwiazdziste, lub też brylanty, świecące nawet w nocy, roześmiane w dodatku i radosne. Stałam na tym krawężniku jak przymurowana i gapiłam się w dal, chociaż przejechało już ze dwadzieścia ciężarówek. Nie wiem, czy ten żołnierz zginął, czy też udało mu się wyjść z piekła, ale tego spojrzenia zapomnieć nie mogę.

Wszystkie te wydarzenia, przeżycia i wstrząsy kotłowały się po mnie mniej więcej przez rok, po czym sytuacja uległa radykalnej zmianie. Wynieśliśmy się wreszcie z Grójca.

Warszawa w owym czasie wyglądała przerażająco, szczególnie wieczorem. Nieliczne latarnie w oceanie ruin tworzyły krajobraz upiorny, od którego ścisnęło się wszystko. Rodzina nie miała gdzie wracać, wszystkie domy leżały w gruzach, a nikomu nie przyszło do głowy, że można się zagnieździć w jakimś cudzym miejscu. Może jedna babcia umiałaby coś zorganizować, ale babcia była unieruchomiona przez dziadka, który leżał ciężko chory i już się z tej choroby nie podniósł.

Lucyna pierwsza nie wytrzymała, jeszcze w czterdziestym piątym roku wyjechała na Śląsk i zajęła się kulturą. Mojemu ojcu nieco później również zaproponowano Śląsk, organizował księgowość w odbudowywanych zakładach cukierniczych, coś tam powstawało w Bytomiu, był potrzebny, zgodził się jechać.

Przenieśliśmy się do Bytomia, z góry wiadomo było, że nie na zawsze, bo moja matka upierała się wrócić do Warszawy, więc tylko na jakiś czas. Tam skończyłam drugą klasę i uratowałam własne zdrowie.

Zaczął się od wydarzeń potężnych. Zmieniłam szkołę w drugim półroczu i w tej nowej, bytomskiej, zrobiono mi egzamin wewnętrzny, to znaczy zwykle odpowiedzi przy tablicy. Zanim doszło do geografii, już wiedziałam, że nauczyciel geografii jest potworem, który niezłomnie twierdzi, jakoby na piątkę umiał wszystko wyłącznie Pan Bóg, na czwórkę on sam, młodzież szkolna zaś w najlepszym wypadku może osiągnąć tróję. Trzęsłam się ze zdenerwowania, kiedy się ten egzamin rozpoczął.

Nauczyciel zadał mi dwa pytania.

- Gdzie się w Polsce znajduje nafta? - padło pierwsze.

- Od Limanowej na wschód - odparłam bez namysłu.

Padło drugie.

- Gdzie leży Limanowa? Pokaż na mapie.

Mój ojciec przez całe życie uwielbiał mapy, pewnie miał nie zrealizowane ciągoty podróżnicze, i zaraził mnie tym upodobaniem. Razem oglądaliśmy ich mnóstwo całe miliony razy, a miałam pamięć wzrokową. Podeszłam teraz, półprzytomna, ciągle śmiertelnie przerażona, chwiejnym krokiem zbliżyłam się do mapy z wyciągniętą już zawnazszą ręką i palcem tknęłam prosto w Limanową. Nauczyciel przyjrzał mi się i długą chwilę pomilczał.

- Dostałaś ode mnie piątkę - rzekł w końcu uroczyście, z namaszczeniem i wielkim naciskiem.

Szum poszedł po klasie. Wydarzenie było zgoła wiekopomne, pierwszy raz nastąpiło coś podobnego, blask na mnie spłynął nadprzyrodzony. Chodziłam w glorii i chwale i nie tylko ja, ale w ogóle cała klasa. Pół szkoły przyleciało mnie obejrzyć, jako curiosum, które dostało piątkę od smoka wawelskiego. Nie pojmowałam przyczyn sukcesu, później dopiero zorientowałam się, że nieszczęsny człowiek był uczulony na czytanie map, szczególnym trafem nadziewał się na młodzież, która nie miała o nich pojęcia i ciężkiej nerwicy od tego dostawał, a może mu się nawet wątroba przewracała. Po wielkiej mapie Polski wszystko to jeździło nosem, nie odróżniając Karpat od morskiego wybrzeża, sama widziałam i patrzyłam ze zdumieniem. Trudno uwierzyć w aż taką dezorientację, ale może po prostu okres okupacji nie obfitował w szanse geograficzne. Ja miałam do dyspozycji liczne mapy i atlasy, bo mój ojciec to lubił, i w rezultacie zdaje się, że sprawiłam belfrowi nieopisaną ulgę.

Tenże nauczyciel geografii urządził wycieczkę krajoznawczą dla dwustu

dziewuch i tej wycieczki nie zapomnę do samej śmierci, zwłaszcza niektórych jej fragmentów.

W zamyśle miała być tania. I była. Kosztowała dwieście złotych na stare pieniądze. Nie istniał tak ubogi człowiek, żeby nie było go na to stać, po wymianie oznaczało to złotych sześć. Wzięła w niej udział głównie młodzież biedna, ściśle biorąc, same dziewczyny, bo szkoła była żeńska, większość ze śląskiej prowincji, większość nigdy w życiu nigdzie nie wyjeżdżała i nic nie widziała, gdzie zresztą miały jeździć w czasie wojny, która trwała prawie sześć lat. To miało być dla nich pierwsze otwarcie drzwi na świat.

Wzięłam w tym udział z wielkim zapalem, nie zdając sobie sprawy, co czynię. Chryste Panie mój...

Razem wzięwszy, grupa wycieczkowa wyglądała następująco: dwieście dziewczyn w wieku od dziesięciu do siedemnastu lat, pięciu chłopaków-autochtonów do noszenia ciężkich bagaży i rozmaitych kotłów i jeden nauczyciel. Sam jeden na całą tę watahę, odważny człowiek, a może lekkomyślny szaleniec. Za nic nie mogę sobie przypomnieć, kto gotował, chyba te chłopaki pod kontrolą pedagoga, nie było to skomplikowane, bo posiłki odznaczały się idealną prostotą. Dostaliśmy od kolei bydłące wagony, chociaż może one były nie całkiem bydłące, może towarowe, bo przy dłuższych ścianach znajdowały się ławki, bardzo twarde i bardzo wąskie. Na dwa tygodnie te wagony stały się naszym domem, zmiłuj się. Panie, śledzie w beczce i sardynki w puszcze powinny czuć się podobnie, z tym że rybki po śmierci, a my za życia. Młodzież w tym wieku dużo zniesie, a wycieczka była piękna. Obejmowała Wieliczkę, Oświęcim, Kraków i Zakopane. Tak, widziałam wtedy Oświęcim, byłam tam, zdawałam sobie sprawę, na co patrzę i nie chciałam patrzeć już nigdy więcej. Takiego czegoś też się nie zapomina.

Traktowane byłyśmy raczej dość brutalnie. W Wieliczkę schodziłyśmy na dół po schodach, kręconych, w dół i w dół, i w dół, nie miało to końca i już w połowie drogi przestałyśmy wierzyć w jakiegokolwiek dno. Kopalni opisywać nie zamierzam, wyglądała częściowo jak pałac z bajki, a częściowo jak jakieś upiorne kazamaty, zachwyciła nas i przerażyła. Do góry, na szczęście, wywieziono nas windą.

Już pod Krakowem nasze wagony stały na jakiejś boczniczy. Ustawicznie rezydowałyśmy na rozmaitych bocznicach i trudno mi już teraz ustalić, co było na której. Gdzieś tam, może pod Krakowem, a może pod Zakopanem, największy problem stanowiła woda. Wagony tkwiły daleko od dworca, gdyby chciało się

chodzić po tę wodę drogą legalną, dookoła pociągów, wynosiłoby to co najmniej dwa kilometry w jedną stronę, jasne zatem, że szłyśmy wprost, przełaząc pod wagonami. Nauczyciel był surowy, ryczał na nas jak ranny bizon, wzbraniając tych praktyk, ale miał rozum w głowie i wiedział, że w istniejących warunkach niewiele osiągnie.

- Zabraniam przełazić pod wagonami! - wrzeszczał. - Zabraniam!!! Niech którą złapię, nogi z tyłka powyrywam!!! A jakby pociąg ruszył, kłaść się wzdłuż szyn i leżeć!!! Leżeć!!! To sobie wbijcie w te zakute pały!!! Kłaść się wzdłuż szyn i leżeć, niech która idiotka spróbuje uciekać, nie daruję...!!!

Podróże pod wagonami tam i z powrotem odbywały się z menażkami, butelkami, garnkami i czym popadło w rękach. W tamtą stronę to jeszcze pół biedy, naczynia były puste, ale z powrotem niosło się wodę i robiło się trudniej. Każda z nas podejrzliwie spoglądała na sznury towarowych wagonów, czy przypadkiem nie ruszą w niestosownej chwili, i najprzyjemniejszym widokiem był brak parowozu. Jakoś nie ruszył żaden, nie było nam przeznaczone, a możliwe, że znacznie bardziej niepokoił nas odjazd pociągu osobowego, przez który przełaziło się górą.

Nauczyciela wszystkie bałyśmy się śmiertelnie, dzięki czemu zdołał zaprowadzić całkiem niezłą dyscyplinę, szczególnie w dziedzinie ochrony przyrody. Skądś wróciłam, prawdopodobnie z wycieczki po wodę, i już z daleka dobiegały mnie odgłosy przerażającej awantury. Ryki się rozlegały potężne, łkania rozpaczliwe i szloch, dziewczyny łamały ręce i rwały włosy z głowy. „On ją zabije...!”, wykrzykiwały desperacko. W środku spłoszonego kręgu nauczyciel szarpał jedną, trząśł ją za ramiona, omal łba nie odrywając, i ryczał dziko, wyzywając ofiarę od zbrodniarek, niszczycieli, wandali i barbarzyńców. Okazało się, że w pobliskim plenerze urwała z krzaka gałązkę z kwiatkami.

Miał kota na tle przyrody, to fakt, ale z drugiej strony trafnie przewidział późniejsze zjawisko. W chwili spokoju i opanowania rzekł do nas normalnym głosem:

- Jest was dwieście sztuk. Jeżeli w każdym miejscu każda zerwie tylko jedną gałązkę, to co zostanie z takiego krzaka? Raz na zawsze zapowiadam: tępadło, które nie rozumie, co mówię, za jeden zniszczony listek z miejsca zostanie odesłane do domu!

Zważywszy, iż spałyśmy w ciasnocie na przeraźliwie twardej podłodze bydlęcego wagonu, marznąc przy tym, bo maj w górach gorących nocy nie dostarcza, zważywszy, iż ganiano nas do upadłego, a warunki odpoczynku mocno odbiegały od

luksusowych, zważywszy, iż same musiałyśmy po sobie zmywać i ewentualnie prać, co przy permanentnym braku wody stwarzało niejake trudności, zważywszy pewną monotonię pożywienia, w kółko chleb z kiełbasą i gulasz z makaronem, odesłanie do domu powinno być szczęściem upragnionym. Tymczasem nic podobnego, była to groźba straszliwa, od której włos się jeżył na głowie i do końca wycieczki żadna z nas nie ośmieliła się zerwać najmniejszej trawki.

Do Kuźnic pogonił nas na piechotę, z plecakami i całym w nich dobytkiem, w tym suchym prowiantem na cały tydzień, bo każda musiała sama nieść własny przydział. Na Kasprowy pojechaliśmy kolejką, a potem całą tę watahę sprowadził na halę Gąsienicową do starego schroniska.

Zejście stanowiło epopeję. Jak wspomniałam, był maj, na zboczach leżały wielkie płachty śniegu. Jedna okazała się szczególnie przydatna. Na całe szczęście szłam w przedzie i byłam już poniżej, kiedy zaczęła się polka. Oglądałam ją z dołu, nie biorąc w przedstawieniu osobistego udziału i dziękując Bogu, że mnie przypadkiem ominęło.

Przykład dał sam nauczyciel, bo miewał takie szatańskie pomysły. Usiadł na owej płachcie na samej górze i zjechał w dół na tyłku, a miał porządne spodnie narciarskie, i zrobił to jakoś fachowo. Złazenie było uciążliwe i trwało długo, zjazd wręcz przeciwnie, dziewczyny z miejsca poszły za nim. Zaczęły zjeżdżać z piskiem i kwikiem, nie wszystkie były w spodniach, w owym czasie nosiło się kiecki, śnieg miały wszędzie, z wrzaskiem rezygnowały w połowie drogi, albo dojeżdżały w charakterze bałwanów. Jedna udała się po rozum do głowy, pożyczyła od drugiej plastikową pelerynę od deszczu, takie peleryny już istniały, chociaż stanowiły rarytas, owinęła się nią i ruszyła. Szwungu nabrała straszliwego, a płachta śniegu kończyła się złomowiskiem wielkich głazów. Nauczyciel stał na dole, łzy mu ciekły z oczu i darł się przeraźliwie:

- Co robisz, kretynko, zabijesz się, hamuj!!! Hamuj, cholero głupia, ty oślico, stój, psiakrew, łeb sobie rozbijesz!!! Stój, ty krowo!!! Trzymajcie tę jełopę!!!

Dziewczyna w foliowej płachcie pruć ze świstem, wrzeszcząc. O samodzielnym zatrzymaniu się nie było mowy. Pięciu chłopaków od noszenia kotłów rzuciło bagaż i skoczyło na pomoc, bo byli najbliżej. Nie mogli jej utrzymać, wszyscy razem w malowniczej grupie zjeżdżali na rumowisko kamieni. Tchu nam prawie zabrakło, ale jednak zwolnili ten rozpęd, zapierając się butami w śniegu, wyhamowali w ostatniej chwili. Cudem uratowana, podniosła się, odwinęła z siebie folie i

wówczas okazało się, że płaszcz od deszczu ma z tyłu olbrzymią dziurę. Nieść niósł, ale podróży nie wytrzymał.

Rzecz nie do pojęcia w obliczu takich wydarzeń, ale faktem jest, że w czasie tej całej wycieczki żadnej z nas nic się absolutnie nie stało. Nie tylko żadna nic sobie nie złamała, ale nie było także żadnych skaleczeń, zadrapań i chorób. Opatrzność musiała czuwać nad szaleńcem i jego podopiecznymi z wyjątkową intensywnością.

W schronisku na hali Gąsienicowej były prycze, wykonane ciekawie i dość oszczędnościowo. Długie legowisko pod ścianą składało się z dwóch żerdzi wzdłuż, licznych żerdzi poprzecznych, odgradzających niejako miejsca do spania, i desek, rzadko ułożonych pomiędzy tymi żerdziami. Na deskach teoretycznie leżała słoma, w praktyce cała słoma spadała na podłogę pod te nary, bo przerwy między deskami były trochę za duże. W rezultacie spałyśmy na gołym drewnie, w dodatku z dziurami. Ciasno było i zimno jak piorun, ten spoczynek nocny był tak wygodny, że wstawałam o piątej rano i szłam się myć do potoku. Ręce drętwiały, a zęby cierpły, lodowata woda mroziła szpik w kościach. W podziw wprawia nasze zamiłowanie do higieny, bo myły się w tym wszystkie dziewczyny. Chyba jednak wojna hartuje...

Pan profesor pogonił nas jeszcze na Zawrat, ale poza tym miałyśmy kilka dni relaksu. Następnie zeszłyśmy w dół przez Jaszczurówkę i znalazłyśmy się w Zakopanem, gdzie na dworcu stały normalne pociągi. Prawdopodobnie trochę nam warunki egzystencji dojadły, bo nocleg na zwykłej, kolejowej ludzkiej ławce, na kolejowym kocu, w cieple i bez tłoku wydawał nam się absolutnym szczytem luksusu. Żebrałyśmy ze łzami w oczach u konduktora, żeby pozwolił nam się przespać w tym rajku chociaż jedną noc i on by się nawet zgodził, bo litość go wzięła, ale niestety, komfortowy pociąg ruszał w trasę o drugiej w nocy. Nie mógł narażać obsługi na wywlekanie o tej porze tabunu rozespanych dziewczuch. Nie było siły, dotrwałyśmy do końca, po czym złożyłam sobie uroczystą przysięgę, że nie pojedę do Zakopanego inaczej, jak tylko w charakterze milionerki, wożonej dorożką i tarzającej się po najdroższych hotelach.

Przysięgi prawie dotrzymałam i nawet miliony mi do tego niepotrzebne. Nie jeżdżę do Zakopanego.

Po powrocie z tej wycieczki załatwiłam sprawę własnego zdrowia in plus, podczas gdy moja matka załatwiła sobie to samo in minus.

W moim wypadku dopomogły wiosenne upały. W końcu Bytom to Śląsk. Górny. Przemysłowy. Wracałam ze szkoły zgrzana, spocona i cała w czarne kropki,

kreski i smugi, jasne jest zatem, że natychmiast włąziłam do wanny. Nie chciało mi się lać wody na kąpiel, myłam się pod prysznicem, na ciepło zmywałam z siebie tłustą czerń, potem zaś, dla ochłody, oblewałam się zimną wodą. Przyjemnie było, wieczorem robiłam to samo. Zanim skończyły się upały, oblewanie zimną wodą weszło mi w nałóg do tego stopnia, że bez niego wydawało mi się, iż wcale nie jestem spłukana i mam mydło na sobie. Ślask się skończył, ale zimna woda została, oblewałam się nią dzień w dzień, latem i zimą, przez przeszło pięć lat, całkowicie dobrowolnie i nawet mi do głowy nie przyszło, że w ten sposób niweczę wszystkie wychowawcze idiotyzmy z dzieciństwa. Od tamtego czasu do dziś byłam chora może ze trzy razy, a wszelkie grypy, anginy i katary omijają mnie szerokim łukiem. Zdarzały się chwile, że prawie umierałam z zimna, a skutku to nie miało żadnego.

Moja matka natomiast postąpiła odwrotnie i przez całe lata nie mogłam jej tego darować. Jak już powinno być wiadome, lubiła lody i mogła ich pożreć nieograniczoną ilość. Znalazła się w kawiarni z Lucyną i jednym znajomym, zażądała lodów i Lucyna zaczęła swojej siostrze stawiać. Po kilku tam porcjach zbuntowała się, powiedziała, że dosyć tego, nie zamierza zbankrutować i więcej nie zamawia. Wobec tego zaczął stawiać ten znajomy. Wszyscy przy owym stoliku musieli zgłupieć doszczętnie, dorośli ludzie zdawałoby się, a zaćmienie umysłowe spadło na nich gruntowne i rzetelne, głównie zaciekawieni byli, ile też moja matka zdoła tych lodów wrębać. Zeżarła przeszło dwadzieścia porcji, po czym uspokoiła się wreszcie, ponieważ poczuła okropny ból powyżej podniebienia. Teraz już wiadomo, że rąbnęło ją w zatoki i osiągnięty sukces powlókł się za nią przez całe życie. Nigdy już więcej nie mogła jeść lodów, a z zatokami miała wieczne nieznośne kłopoty. Bywałam jeszcze później na Śląsku, chociaż mieszkaliśmy już w Warszawie, i zatrzymywałam się w Katowicach, u Lucyny. Lucyna, wszedłszy w czterdziestym piątym roku w kulturę i sztukę, już w niej utkwiała i z upodobaniem zajmowała się działalnością społeczno-artystyczną. utalentowaną młodzieżą, domami kultury, pracowała też w prasie i w Polskim Radiu.

Początki Polskiego Radia, jak wiadomo, były dość prymitywne. Nie nagrywano wszystkiego, rozmaite rzeczy szły na żywo, głównie uroczystości państwowe, a skutki tego wypadały czasem nie-zwykłe. Szczególnie jeden, w który trudno uwierzyć, ale gotowa jestem przysięgać na co kto chce, że to, co poniżej, jest świętą prawdą.

Odbywały się pierwsze marsze jesienne. Dostojnik wszedł na trybunę i

odezwał się w następujące słowa: - Towarzyse i towarzyski! Łobywatele i łobywatelki! Wy idzieta w te marsze jesinne na pamiątkie Tadeusa Kościuszki, któren przy boku Armii Radzieckiej pobił hitlerowskiego gada pod Grunwaldem! Za ścisłość cytatu ręczę. Obecni zapisali to sobie natychmiast, w tym Lucyna, od niej dostałam tekst na piśmie i powtarzałam go tyle razy, że utkwiał mi w pamięci.

Inne wydarzenia były już może mniej barwne, ale przy którymś tam przemówieniu w plenerze mówca rzekł:

- A teraz wznoszę okrzyk...

I w tym momencie w mikrofon poszło potężne, chrapliwe:

- Beeeee! Beeeee...!

A zaraz za tym głos ludzki:

- A pódziesz, cholero! A pódziesz!

Łatwo zgadnąć, że obok pasły się barany. Raz szedł pochód, nie wiem, pierwszomajowy czy na dwudziestego drugiego lipca, na czele pochodu zaś leciało wielkie stado gęsi, których nie dało się spędzić z racji żywego muru, ustawionego wzdłuż trasy. Wiadomo, co potrafią gęsi, nic nie było słyhać, nawet orkiestry, gęsi widocznie przypominały sobie Rzym i zrobiły, ile mogły.

W Wojewódzkim Domu Kultury miała się odbyć jakaś uroczystość, na rozmaite uroczystości był wtedy urodzaj, po części oficjalnej zaś zaplanowana była, jak zwykle, część artystyczna. Przewidziano między innymi wariacje na temat któregoś utworu Beethovena. Kierownik domu kultury skreślił pozycję, mówiąc surowo:

- Wojewódzki Dom Kultury to jest poważna instytucja i nijakich wariacji tu nie będzie.

Lucynie wszystko to sprawiało żywą uciechę i za nic w świecie nie zrezygnowałaby z rozwijania kultury.

Była partyjna. Z grzeczności i pod wpływem elementarnego poczucia taktu nigdy nie dociekałam wnikliwie, dlaczego zapisała się do tej partii. W tamtym czasie nie obchodziło mnie to wcale, później zaś przyjąłam do wiadomości fakt, że bez pewnych obrzydliwych posunięć człowiek nie mógłby uprawiać swojego zawodu. Możliwe też, że na Lucynę podziałały przedwojenne ciągoty komunistyczne i ten czerwony rozwiany krawat jej męża. W każdym razie siedziała w polityce, po większej części kulturalnej, ale jednak.

Znała rozmaitych dostojników, niektórych uważała nawet za przyzwoitych

ludzi, i raz jednego takiego zaprosiła do nas na obiad. Przed jego wizytą błagała na kłęczkach swoją siostrę, żeby się z niczym nie wychylała, moja matka bowiem była przeciwna zarówno ustrojowi, jak i władzom. Władzom szczególnie, zdaje się, że krótko przedtem odbyły się jakieś wybory i podobizny elektów zdobiły mury miasta oraz prasę, moja mamusia zaś ostro ten wybór krytykowała. Obiecała powściągliwość, dostojnik przyszedł, obiad przeleciał ulgowo, przy deserze jednakże konwersacja wybuchła. Niepomna obietnicy, moja matka wdała się w dyskusję polityczną. Symulująca jakieś podawanie do stołu Lucyna stała za plecami faceta, sina i zielona na twarzy, i dawała jej znaki. Chwytała się za głowę, groziła pięścią i czyniła inne jednoznaczne gesty. Przyglądałam się temu z wielkim zaciekawieniem, a moja matka na siostrę nie zwracała żadnej uwagi, bo była nieco wzburzona.

- No dobrze - rzekł zdenerwowany i odrobinę już zirytowany gość. - Ale właściwie dlaczego? Co pani ma przeciwko tym ludziom? Dlaczego pani ich tak potępia?

- Wie pan co? - odparła na to moja mamusia. - Bo mi się ich mordy nie podobają!

Lucyna omal trupem nie padła, pewna, że swoją pracę, karierę i w ogóle siebie ma z głowy. Gość najpierw skamieniał, potem wybuchnął gromkim śmiechem, a potem co roku przysyłał mojej matce kwiaty na imieniny z bilecikiem treści: „Najserdeczniejsze życzenia dla pani hrabiny”.

To właśnie w Bytomiu nastąpiło wówczas wydarzenie, które wcale nie jest anegdotą, tylko faktem przeraźliwie autentycznym. Z okazji tychże wyborów, a może późniejszej uroczystości państwowej, wszystko było udekorowane, sklepy też, i na wystawie jednej drogerii wisiały trzy portrety, Gomułki, Cyrankiewicza i Osóbki-Morawskiego. Pod nimi zaś widniał napis: ŚWIEŻE PIJAWKI. Pół miasta leciało to oglądać i ja też, z tym że nie każdy zdążył całość zobaczyć, bo zaraz zamknięto sklep i właściciela. Ten nieszczęsny człowiek nie robił sobie żadnych dowcipów, tam naprawdę stał słój z pijawkami, tylko nie było go widać, został przesunięty w głąb, jako niedostatecznie ozdobny.

Drugim elementem do oglądania, mniej ryzykownym politycznie, był brylant, przez jakiś czas prezentowany na wystawie u jubilera. Też go widziałam, leżał na czarnym aksamicie, pojęcia nie mam, ile miał karatów, średnicę jednego centymetra, a może nawet trochę więcej, i kosztował pół miliona. Nie wiadomo, co bardziej podziwiano, klejnot czy zawrotną cenę.

W politykę też się wdawać nie zamierzam, pomijam już zatem takie drobnostki jak cała szkoła, zgromadzona na ulicy z okazji chyba ciągle tych wyborów i skandująca wielkim krzykiem: „Mi-ko-łaj-czyk, Mi-ko-łaj-czyk”, od czego dyrektorka dostała apopleksji. Dużo mnie obchodził Mikołajczyk, osobiście miałam większe zmartwienia.

Troska o pieniądze, których ustawicznie brakowało, zakodowała się we mnie, poza tym od czasów proszku „Alma” chciałam mieć własne, żeby sobą rządzić. Robiłam, co mogłam, jeszcze przed końcem wojny dawałam korepetycje, wprawdzie przez krótki czas, ale zdążyłam dokładnie zrozumieć przekleństwo: „Bodaj byś cudze dzieci uczył!” W Bytomiu przepisywałam nuty, niezbędne dla działalności artystycznej domu kultury, a roboty dostarczała mi Lucyna.

Ogólnie biorąc, miałam w tym Bytomiu warunki prawie wymarzone, nareszcie pokój dla siebie, chociaż w pewnym stopniu do spółki ze mną użytkowała go Lucyna, często przyjeżdżająca z Katowic, ale lepiej do spółki niż wcale. Miałam pianino, na którym natychmiast zaczęłam grać. Nie znaczy to, że spłynęło na mnie nagle muzyczne objawienie, albo wystrzelił nadprzyrodzony talent, nic z tych rzeczy, słuch nadal mieliśmy jednakowy, pierwszy lepszy pień i ja, ale zadziałała pamięć wzrokowa i poczucie rytmu. Pani nauczycielka, u której jełam pobierać lekcje, sprawdzwszy moje ucho, z wielkim powątpiewaniem przystąpiła do syzyfowej, w jej przekonaniu, pracy, po czym ze zdumieniem i podejrzliwie dopytywała się, dlaczego ukrywam, że już w dzieciństwie uczyłam się muzyki. Do końca chyba nie uwierzyła, że owszem, zetknęłam się z klawiaturą w wieku jednego roku. łąząc kopytami po fortepianie cioci Jadzi, i nic poza tym. Że mnie zachwyciło produkowanie tym sposobem rozmaitych dźwięków, to rozumiem, ale rodzinie trochę się dziwię. Co do pianina, z miejsca opanowałam nuty, skojarzyłam je z klawiszami, zapamiętanie oczami, w co trzeba puknąć, nie przedstawiało dla mnie problemu, a rytm wychodził sam z siebie. Tym osobliwym sposobem w trzy miesiące odwaliłam rok nauki i byłam szczęśliwa, ale na kontynuowanie edukacji muzycznej nigdy potem nie miałam już szans.

Za to po raz pierwszy w życiu znalazłam się w operze i pamiętam doskonale, że była to *Traviata*. Przed wojną mnie do opery nie prowadzano. Przypominam też sobie, jak potężne wrażenie uczyniło na mnie prawdziwe, eleganckie kino. wcale nie zrujnowane, w doskonałym stanie, oświetlone zgoła olśniewająco, należało do jakiegoś innego świata, o którym w czasie wojny zapomniałam, że istnieje.

Dotrwałam w Bytomiu do końca roku szkolnego, nuty dla domów kultury przepisywałam z coraz większą łatwością, po czym na wakacje wyjechałam do Grójca. Rodzice zostali jeszcze na Śląsku i miałam tam wrócić, do tej samej szkoły, ale wyszło inaczej.

W Grójcu Teresa, mieszkająca razem z babcią, bo dziadek już nie żył, podjęła pracę w instytucji państwowej, miało to coś wspólnego z drogami publicznymi, i zaniedbała nieco stanowisko parobka na wsi. Nie umiała się rozdzielić. Ja natomiast, od samego początku wakacji, z wielkim zapałem wystąpiłam w charakterze ekspedientki.

Grójec, poczynając od chwili wyzwolenia, służył rozmaitymi atrakcjami. Jeszcze przed moim wyjazdem do Bytomia zamordowano trzech ludzi, w tym naszego nauczyciela gimnastyki, obdarzanego przez żeńską część szkoły wielkimi uczuciami, a zamordowały ich podobno tajemnicze bandy. Pomniejsze wydarzenia umknęły mojej uwadze, ale zapamiętałam nieco późniejszą, nader sensacyjną historię.

Otóż w jednym z grójeckich wychodków znaleziono ludzką nogę. Robiła świeże wrażenie i sama w sobie wystarczyła, żeby się zrobił szum. Zaraz potem znaleziono ludzką rękę w podobnym stanie, po czym poszukiwania ruszyły ostrzej i uwieńczyło je znalezienie ludzkiej głowy.

Do jednego takiego, który chyba pracował razem z Teresą i stąd moja wiedza o fakcie, o godzinie drugiej w nocy załomotano do drzwi. Człowiek w gaciach wstał i spytał, kto tam, na co usłyszał:

- UB! Otwierać!

No to otworzył. Za drzwiami istotnie stali funkcjonariusze służb wewnętrznych, dosyć zmartwieni i mało agresywni, którzy bez żadnych wstępów zaprezentowali mu ludzką głowę na gazecie.

- Nie wiecie czasem, kto to jest? - spytali. -Przyjrzyjcie się dobrze!

Ogłuszony nieco wszystkimi elementami sytuacji facet posłusznie spełnił polecenie, chociaż przyszło mu to z pewnym wysiłkiem. Przyjrzał się dobrze.

- Widzi mi się, że to chyba Kwiatkowski - rzekł niepewnie.

Służbom to wystarczyło, nie zostawili mu tej głowy w domu, zabrali ze sobą i udali się do Kwiatkowskiego. Znów załomotali do drzwi, ale tu już nie poszło im tak łatwo, bo z wnętrza odpowiedział głos żony Kwiatkowskiego.

- Wynocha, moczymordo! - wrzeszczała. - Nie otworzę, won, ty pijusie, gdzieś się uchłał, tam se śpij! Za próg nie puszczę, ty świnię pijana!

I różne inne perły rzucała im pod stopy. Próżno tłumaczyli gromkim głosem, iż wcale nie są jej pijanym mężem, nie słuchała, z uporem wykrzykiwała swoje. Stracili w końcu cierpliwość, wyważyli drzwi i znaleźli w kuchni Kwiatkowskiej zakrwawioną siekierę oraz balię do góry dnem, pod którą spoczywał pozbawiony kończyn kadłub.

Sprawa wyjaśniła się całkowicie, Kwiatkowską zabrano i osadzono w Caritasie. Z jakichś powodów ulokowana została w pomieszczeniu na drugim piętrze, stała w oknie, przyodziana w czarne szaty i wdowi welon, i kłaniała się z godnością, a przyglądało się temu pół miasta, w dni targowe zaś także okoliczne wsie. Nie jestem pewna, czy tłumy jej występów nie oklaskiwały.

Rozwiązywanie konfliktów rodzinno-towarzyskich przy pomocy siekier i noża występowało wówczas w tych rejonach nagminnie. Osobistego udziału w owych barwnych rozrywkach nie brałam, miałam inne.

Od powstania pojawiło się dużo nowych ludzi, a sąsiedzi w naszym domu byli przedsiębiorczy. Fabryka proszku „Alma” wprawdzie upadła, ale za to zaraz po wojnie sąsiadka założyła sobie sklep i w tym sklepie właśnie zostałam zatrudniona.

Sklep był spożywczy, wielobranżowy.- Między innymi sprzedawano w nim lody własnej produkcji. Do kręcenia maszynką, bo udogodnień cywilizacyjnych jeszcze wtedy nie było, wynajęto silnego chłopaka. Kręciło się długo, w maszynie oprócz zawartości spożywczej znajdowały się lód i sól, po ukręceniu zaś turlało się ją, żeby wyjąć wnętrze. Jakies takie to było dwuczęściowe, w środku bania z lodami, dookoła ten lód z solą, a wierzch stanowiła stalowa obudowa z korbą i kręcącym mechanizmem. Chyba to wszystko razem lodowaciało porządnie i stąd brała się trudność wyjmowania. Kiedyś turlaliśmy to po chodniku długo, z zapalem i możliwe, że niezręcznie, bo po wyjęciu właściwego zasobnika okazało się, iż warstwa mroząca wlała się do środka. Poziomkowe lody na śmietanie z solą przeistoczyły się w produkt niejadalny, trzeba było w pośpiechu ukręcić nowe, te zaś spożywaliśmy we dwoje z chłopakiem od kręcenia, usunawszy wierzchnią warstwę. Do samego środka sól nie dotarła i można było ocenić, ile klienci stracili.

W owym sklepie uczyłam się życia. W dni targowe serwowałam wódkę spod lady, można ją było wypić na miejscu, bo znajdował się tam jeden kawiarniany stolik. Kiedyś trzech facetów załatwiało ze sobą jakiś interes, obciagnęli pół litra, zakąsili kiełbasą i ogórkiem, po czym jeden powiedział do mnie:

- No, panienko. Było nie było.

Gapiałam się na niego baranym wzrokiem, nie pojmując, czego chce. Drugi się połapał.

- E, ta panienka młoda i nie rozumie. Płacić chcieliśmy.

Przez miesiąc zarobiłam dostateczną sumę, żeby zrealizować jedno z marzeń swego życia. Organizowany był obóz nad morzem, podwójny, żeglarsko-wypoczynkowy, i po znajomości mogłam nań pojechać. Pieniądze miałam. Moja matka znajdowała się ciągle w Bytomiu, zezwolenie załatwiłam z nią dyplomatycznie, mianowicie wysłałam depeszę, że wyjeżdżam, i nie czekałam na odpowiedź. Gdybym dała jej szansę, zabroniłaby mi z całą pewnością. Teresa nie zgłaszała sprzeciwów, bo osobiście знаła wyjeżdżającą starszą młodzież i dorosłym dziewczynom powierzyła opiekę nade mną.

Przytomnie wybrałam sobie obóz wypoczynkowy, bo na żeglarskim dzień zaczynał się o szóstej rano. Z lekkim żalem i dużą satysfakcją przyglądałam się potem ćwiczeniom na *Generale Zaruskim*, oni, ci żeglarze, męczyli się jak potępieńcy, ja nie musiałam. Byłam tam w ogóle najmłodsza, bo w zasadzie na obóz pojechała młodzież studencka. Te znajome dorosłe dziewczyny studiowały medycynę, bardzo szczęśliwie dla mnie, bo z wielkim przejęciem i skutecznie zlikwidowały mi okropnego czyraka na twarzy.

Czasy to były jeszcze dość skomplikowane i stało się na warcie przed budynkiem, aczkolwiek budynek był młodzieżowym hotelem turystycznym, czy też domem wczasowym, a nie siedzibą na przykład Rady Państwa. Z karabinem się stało, a warta trwała cztery godziny. Karabin był prawdziwy i zawierał w sobie ostre naboje. Stałam osłem godzin, żeby się zasłużyć i móc raz wystrzelić, bo koniecznie chciałam spróbować, jak to jest. Cel osiągnęłam, pozwolono mi, rzecz jasna po kumotersku. Strzeliłam w niebo w lesie i od razu zrozumiałam, co to znaczy, że kopie. Kopnęło istotnie, bez szkody dla zdrowia, bo zostałam z góry uprzedzona i przyciskałam kolbę do ramienia z całej siły.

Innych rozrywek w zasadzie nie było, ale nie zależało mi na nich. Morze mnie zachwyciło i najzupełniej wystarczyło do szczęścia, potem pchałam się na wybrzeże już prawie co roku. Nie zaziębiłam się, nawet kataru nie miałam, nie utopiłam, nie przypaliłam na słońcu i w ogóle byłam tak rozsądna, że obrzydzenie bierze.

Po dwóch tygodniach wróciłam w doskonałym stanie, po czym, pod sam koniec wakacji, napatoczył mi się Darek, stały amant Bożeny, zdaje się, że akurat z nią skłócony. Na zmianę kłócili się, godzili, rozstawali, kochali nad życie, dwie

kolejne informacje, jakie o nich uzyskałam znacznie później, brzmiały dość sprzecznie: przestali ze sobą rozmawiać na zawsze i wzięli ślub. W tamtym okresie byli w fazie rozchodzenia się na wieki, Darek zatem ze zdenerwowania nauczył mnie prowadzić motor, co również powitałam z zachwytem.

Po tych wakacjach wróciliśmy nareszcie do Warszawy.

Do wiercenia dziury w brzuchu moja matka miała talent szczególny. Nie znosiła Śląska, nie podobało jej się tam, chciała wrócić i znęcała się nad ojcem od początku pobytu. W głębi duszy popierałam ją całkowicie. Ojciec tego nie wytrzymał, stanął na głowie, wykończył bytomską księgowość i uzyskał przeniesienie do stolicy.

Sytuacji mieszkaniowej owych lat powojennych opisywać nie muszę, wszyscy wiedzą, co się działo. Ulitowała się nad nami kuzynka, też jedna z wnuczek mojej prababci, odstąpiła nam swój pokój, a sama przeniosła się do mieszkania matki i siostry, piętro niżej, w tym samym domu.

Dom stał na Wierzbnie, Puławska 140, a budynek był w ogóle przedwojennym szpitalem. Zajęliśmy separatkę o powierzchni dokładnie siedmiu i pół metra kwadratowego. Wchodziło się do niej wprost z bardzo szerokiego korytarza, normalnie, jak w szpitalu, a umeblowana była komfortowo. Stał tam szeroki tapczan, małe biurko, nocna szafka, krzesło, nieduża szafa odzieżowa i tak zwana koza, czyli piecyk z rurą, wystającą przez okno na zewnątrz. Spałam z matką na tapczanie, a ojciec rozkładał sobie turystyczne łóżko pod drzwiami, nogi miał już w tym piecyku i całkowicie blokował wejście. Żaden złoczyńca nie mógłby się do nas wedrzeć w nocy. Kran z wodą i umywalka też musiały się znajdować w tym pokoju, bo nie przypominam sobie, żebym chodziła z wiaderkiem po wodę.

Ostrzegałam, że będę czyniła dygresje do tyłu! Z wiaderkiem po wodę chodziłam w Grójcu. Studnia znajdowała się na podwórzu, taka z korbą, i trudności pojawiały się tylko w okresie zimowym, kiedy robiła się cała oblodzona. Utrzymanie się na nogach na śliskich zwałach i operowanie przy tym korbą i wiaderkiem stanowiło prawdziwą sztukę. Niekiedy, już po wojnie, nosiłam wodę po skarpie, ze źródelka, znajdującego się poniżej, bo ta źródłana woda była lepsza.

Od razu przypomina mi się własne skretynienie wielkiej klasy, które z noszeniem wody nie ma nic wspólnego, a w dodatku pochodzi z okresu jeszcze wcześniejszego, więc nasuwa jej chyba tylko oglądany oczyma duszy obraz miejsca. Aż się waham... Chociaż nie, już lepiej przyznać się samej, niż gdyby kto inny miał

mi zagrozić ujawnieniem.

Radio grało. W domu byli jacyś goście. Dopadłam zamkniętych drzwi kuchennych i kwiczałam histerycznie:

- Oj, ciota! Prędko! Prędezej, bo nie wytrzymam!

Słyszę i widzę tego rozszalałego stwora pod kuchennymi drzwiami i niemal dławii mnie dreszcz wstrętu. Nic dziwnego, że Lucyna tępiła we mnie histerię. W kuchni znajdowała się Teresa, która nie powiem, co robiła, bo i tak mi pewnie łeb ukreści. Słyszac wrzaski i szamotaninę za drzwiami, przeraziła się, że coś mi się stało, brzuch mnie boli, albo co, czym prędzej zakończyła czynności i otworzyła. Wówczas okazało się, że radio gra walca i ja koniecznie chcę z nią zatańczyć.

Nie zabiła mnie. Dziwię się trochę. Dziwię się nawet bardzo.

Wracając do chronologii, po zamieszkaniu w szpitalu moja matka podjęła pracę zarobkową. Zatrudniła się jako sekretarka w jakiejś instytucji i wytrzymała trzy miesiące, zapewne był to tak zwany okres próbny, po którym rzuciła robotę, oświadczając stanowczo, że nie będzie jej byle kto poleceń wydawał. Byle kim był dyrektor instytucji. Nie podejmowała dalszych prób i z lekkim sercem zrezygnowała z osobistej walki o byt.

Te trzy miesiące jednakże wystarczyły, żebym zdążyła doprowadzić do rozpaczyc nauczycielkę francuskiego. Kazała nam opisać, ustnie, swój dzień, taki zwyczajny, od rana do wieczora. Proszę bardzo, zaczęłam opisywać.

Oznajmiłam, że budzę się rano, moi rodzice wstają i podają mi śniadanie do łóżka. Zgorszyła się straszliwie, bo nie wyjaśniłam, że kiedy rodzice wstają, dla mnie nie ma już miejsca na podłodze. Śniadanie jedli na nocnej szafeczce tuż nad moją głową, korzystałam zatem i też jadłam, ale te szczegóły zlekceważyłam i pominęłam. Pełna niesmaku i potępienia, wysłuchała dalej, że idę do szkoły, wracam do domu, rozpalam ogień w piecyku, grzeję wodę i zmywam. Kazała mi to powtórzyć kilka razy, bo nie do pojęcia było, żeby rozwydrzona dziewczucha, której podają śniadanie do łóżka, zajmowała się potem taką czarną robotą. Zlitowałam się w końcu i wyjawiałam jej metraż apartamentu, ale i tak przez jakiś czas patrzyła na mnie podejrzliwie.

Zima nastala precudna. Centralne ogrzewanie jeszcze nie dzialalo, kanalizacja zatem zamarzla. Szpitalne toalety przedstawialy soba obraz nedzy i rozpaczyc, albo nawet jeszcze gorzej, usilowalam ograniczyc sie do uzytkowania urzadzzen sanitarnych w szkole, ale nie zawsze sie to udawalo. Chodzilaam niekiedy do budki tramwajarzy, bo akurat naprzeciwko naszego domu byla petla, ta budka

jednakże prezentowała się niewiele lepiej. W czasie odwilży to wszystko odmarzało i, za przeproszeniem, śmierdziało nieziemsko, z tym że woń natury trochę była zagłuszana chemikaliami. Na parterze, a może w szpitalnej suterenie, mieściła się jakaś fabryczka, z której buchały rozmaite aromaty, co jeden to gorszy. Rozpoznawałam tylko siarkowodór, reszta była mi obca, a co dzień śmierdziało inaczej, aż mnie w końcu zaczęło interesować, co też nowego poczuje, wracając do domu.

Separatka mieściła się w szczycie, jej okno wychodziło na ślepy mur budynku za prześwitem, i prawie dostałam urazu na tle widoku z okien. Nawet nie prawie, całkowicie. Napisałam, sobie i dla siebie, cały elaborat na ten temat, stanowił niewątpliwy dowód na kształtowanie świadomości przez byt, ale, niestety, gdzieś mi zginął. Dobrze chociaż, że na wyglądanie przez okno miałam za mało czasu. Charakter mi się ustabilizował akurat odwrotnie niż mojej matce i poszukiwanie pracy zarobkowej już mi w nałóg weszło. Wiecznie słysząc narzekania na brak pieniędzy, usiłowałam temu zaradzić już nie tylko ze względu na samodzielność, ale także ze zwyczajnej konieczności. Pomogła mi ciocia Jadzia, pracująca wtedy w kaletnictwie, oczywiście w księgowości, i posiadająca liczne kontakty z inicjatywą prywatną. Rysować umiałam już dawno, dostałam do roboty szyldy reklamowe, płacono mi tanio, ale płacono. Zajęcie polegało głównie na próśzeniu, bo taka była moda, rzadką farbą, przeważnie akwarelą, przez sitko za pomocą szczotki do zębów. Zaproszone było wszystko z sufitem włącznie, ojciec pracował po godzinach, matka uciekała do rodziny na dole i wracali dopiero wieczorem, zostawiając mi warsztat pracy na całe popołudnie. Potem zlecenia się skończyły i zaczęłam szukać innych źródeł zarobku.

Jak łatwo zgadnąć, od początku roku szkolnego poszłam do szkoły. Drugą klasę gimnazjum skończyłam w Bytomiu, więc to musiała być trzecia. W ostatnich dniach wakacji spotkałam na ulicy Jankę.

Do tej samej klasy chodziłyśmy w Grójcu i zaprzyjaźniłyśmy się połowicznie. Teraz okazało się, że znów jesteśmy zapisane do tej samej szkoły i do tej samej klasy i ucieszyłam się z tego nadzwyczajnie. Pasowała mi, odbijała pozytywnie od tego całego grójeckiego towarzystwa, nie miała w sobie nic z prowincji, w końcu dzieciństwo spędziła w Warszawie, i chciałam ją mieć za przyjaciółkę. A do tego jeszcze posiadała przepiękne włosy, które mnie zachwyciły, a wrażenia estetyczne zawsze wywierały na mnie wielki wpływ.

Kiedy ją spotkałam, przypadkiem szłam z ojcem, który oczywiście również ją znał. Janka była zmartwiona, zakłopotana, pełna wahań i niepewności. Obawiała się, że nie może sobie pozwolić na pójście do gimnazjum, rozważała, czy nie właściwsza byłaby szkoła zawodowa i szybsze podjęcie pracy. Zwracam uprzejmie uwagę, że lata wojny liczą się podwójnie, byliśmy starsze, niż wskazywałby na to nasz wiek, myślałyśmy doroślej, co nie przeszkadzało, że równocześnie tkwiła w nas normalna głupota. Jedno drugiego nie wyklucza.

Ojciec nie zastanawiał się ani chwili, z miejsca rozstrzygnął jej wątpliwości.

- Tylko gimnazjum i matura - powiedział stanowczo. - W razie czego ja ci pomogę i możesz na mnie liczyć. Będiesz jakby moją drugą córką. Gdybyś miała jakieś trudności, pamiętaj, masz z tym przyjść do mnie!

Zawsze byłam zdania, że mój ojciec jest przyzwoitym człowiekiem i nie zapomniałam mu tych słów. Trudności obie miałyśmy niezliczoną ilość, ale nigdy nie zaszła potrzeba szczególnej interwencji. Nie chcę wybiegać przesadnie do przodu, niemniej od razu powiem, że Janka skończyła nie tylko liceum, ale także uniwersytet, historię. Darować jej nie mogłam, że się uczepliła XIX wieku, a nie na przykład średniowiecza, które zawsze wydawało mi się zachwycająco tajemnicze. Na moje wyrzuty pukała się w głowę i oznajmiała, że jej siły duchowe mają swoje granice, a XIX wiek jest łatwiejszy, zważywszy ilość materiałów.

Średniowieczem, Boże drogi, ta chronologia chyba mnie nie lubi, załatwiłam kiedyś lekcję historii, ku żywej radości całej klasy. Wiedzy o nim nie było skąd zdobyć. Uczepliłam się naszej historyczki, Gebertowej, domagając się od niej informacji o Ludwiku XI, XIII i o Wilhelmie Zdobywcy. Przygnębiła mnie beznadziejnie komunikatem, że materiały na ten temat mogę znaleźć we Francji i na pewno nie będą pisane po polsku.

Wracając do tematu, obie zaczęłyśmy chodzić do gimnazjum Królowej Jadwigi, mieszczącego się w dawnym gimnazjum Giżyckiego na Wierzbnie, bo budynek przedwojennej Królowej Jadwigi przy placu Trzech Krzyży leżał w kompletnej ruinie. Gimnazjum Giżyckiego znajdowało się dokładnie naprzeciwko naszego domu i pętli tramwajowej, tyle że dalej ku skarpie. Rudera to była okropna, dwupiętrowa, z piecami w klasach, dziś na jej miejscu stoją mieszkalne wysokościowce. Ale za to miała przedwojenne ciało pedagogiczne i nauczycielki po większej części znakomite.

Janka mieszkała kawałek dalej, tam, gdzie obecnie przebiega ulica

Domaniewska, i do szkoły miała półtora przystanku tramwajowego, co usiłowała starannie ukrywać. Spóźniała się regularnie i tłumaczyła, że nie mogła się dostać do tramwaju, co dla każdego było zrozumiałe. Rzecz jasna, wcale nie jeździła tramwajem, chodziła piechotą, musiałyby upaść na głowę, żeby codziennie brać udział w bitwie pod Grunwaldem na ten mały odcinek drogi.

Jeździło się tymi tramwajami w sposób przedziwny, nie zliczę, ile razy wisiałam na stopniu, zaczepiona jedną nogą, trzymając się jedną ręką czegośkolwiek w środku. Przeważnie człowieka. Jazdy na dachu i na tak zwanym cycku jakoś udało mi się uniknąć.

Poza tym i tak byłam w tej szczęśliwej sytuacji, że najpierw miałam szkołę pod nosem, potem zaś, po przeprowadzce, jeździłam w odwrotną stronę. Ludzie pracy pchali się z peryferii do śródmieścia, ja natomiast przeciwnie, z Mokotowa na Wierzbno, dzięki czemu udawało mi się wsiąść przy Puławskiej. Ścisłe biorąc, wskoczyć. Drogę do szkoły miałam już wówczas opracowaną dokładnie, leciałam ulicą Madalińskiego jak z pieprzem i zwalniałam dopiero przy drugiej latarni, licząc od Puławskiej, wiedziałam bowiem, że jeśli teraz ukaże się tramwaj, zawsze zdążę wskoczyć do ostatniego wagonu. Oczekiwanie na przystanku nie przytrafiło mi się ani razu. Od tamtych czasów ulicą Madalińskiego na piechotę nie chodzę, żywiąc do tego spaceru szczerą niechęć. Atrakcje w owym okresie istniały rozmaite, dziś już nikomu niedostępne. Komunikacja miejska musiała chyba trochę szwankować, bo na imieniny cioci Jadzi lecieliśmy na Pragę piechotą. Ciocia Jadzia z tamtą drugą babcią mieszkała w swoim przedwojennym apartamencie, w ich domu bowiem rozleciały się tylko dwa ostatnie piętra, piąte i czwarte. Trzecie pozostało nie tknięte, poza ogromnym stalowym podciągami, który popłynął, wygiął się w dół i wisiał w połowie holu przy klatce schodowej, robiąc okropne wrażenie. Mieszkanie ocalało, zostało tylko okradzione, zdaje się, że wyniesiono z niego wszystko z wyjątkiem fortepianu. Ciocia Jadzia zaradziła brakom, gromadząc meble i wszelki sprzęt gospodarski, skąd się dało i wyglądało tam prawie jak przed wojną. Pieszne spacerowanie z Mokotowa na Pragę i odwrotnie odbywaliśmy ładnie parę razy.

Lata czterdzieste to były czasy odgruzowywania. Brały w tym udział także szkoły. Została nam przydzielona któraś ulica, prostopadła do Puławskiej, nie pamiętam która, bo nie bardzo można je było wtedy rozróżnić. Odwalało się robotę ręcznie, oddzielnie gruz, oddzielnie całe cegły, cegły leciały sztafetą podawane z rąk do rąk, a na końcu układało się je w stosy. Po pierwszych kilkunastu sztukach

włożyłam rękawiczki, bo już było widać, że własna skóra długo nie wytrzyma. W warstwie ochronnej pracowało się doskonale. Trzeba nieszczęścia, że przyleciała dyrektorka, zobaczyła moje rękawiczki i wpadła w szal. Miałam na rękach przeżytek burżuazyjny, kompromitowałam całą szkołę oraz ją osobiście, narażałam ciało pedagogiczne co najmniej na Sybir! Natychmiast miałam to zdjąć!!!

Nie do wiary, ale naprawdę takie kretyństwo nastąpiło. Zdjęłam rękawiczki i po kwadransie zaniechałam pracy, poszłam na punkt opatrunkowy, specjalnie i demonstracyjnie ociekając krwią. Cegły z gruzowiska były nierówne, obrośnięte zaprawą, zdzierały skórę jak raszpla. Sensu w poleceniu nie widziałam za grosz, w rękawiczkach mogłam pracować jeszcze bardzo długo, a bez rękawiczek wcale, więc w końcu o co chodzi? Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że idiotyzm był typowy.

Niezwykły rodzaj rozrywki stanowiło kino. Wyprawa do kina to była duża rzecz i do samej śmierci nie zapomnę, jak dostałyśmy się na *Zakazane piosenki*. Film szedł w „Palladium”, które wyglądało wówczas nieco inaczej niż teraz. Teoretycznie, żeby pójść do kina, należało zacząć o parę godzin wcześniej, stanąć w ogonku i czekać, praktycznie można było kotłować się w tym ogonku do uśmiechniętej śmierci bez pożądanego rezultatu. Skuteczną technikę opanowałyśmy błyskawicznie.

Ogon na *Zakazane piosenki* był poczwórny i kończył się daleko na Marszałkowskiej. Zajęłyśmy w nim miejsce, odczekałyśmy trochę, po czym poszłyśmy do przodu penetrować sytuację. Bałagan, ogólnie biorąc, panował potężny, oprócz legalnego ogona stał tam także tłum nie zorganizowany, ustawicznie o ten ogon zahaczający. Ugrzęźłyśmy jakoś na granicy, po czym okazało się, że stoimy już znacznie bliżej, nie na Marszałkowskiej, tylko na Złotej. Jeszcze nam było za daleko, po odpowiednio długim czasie znów ruszyłyśmy do przodu.

W tym właśnie momencie otworzyli drzwi do przedsionka i zaczęła się burza nad Azją. Tak ogon, jak i ten nielegalny tłum runęły ku wejściu. Tuż obok nas przedarł się przez tłuszczę milicjant, bez sekundy namysłu zaczęłyśmy pchać się za nim, protestując w niebogłosy przeciwko skandalicznemu chaosowi. Milicjant bezwiednie torował nam drogę, wśród wyrazów oburzenia i różnych złorzeczeń doholował nas aż do miejsca, gdzie ogon zakręcał w głąb przedsionka. Tam zaczął robić porządek, który polegał na oddzieleniu stojących od niestojących, legalnych od nielegalnych i w tym całym zamieszaniu uznał nas widocznie za stojące i legalne, bo siłą wbił nas w ogon na samym narożniku. Ogon akurat ruszył i wkotłował się prawie pod drzwi. W drzwiach stał bileter o posturze byka i wpuszczał partiami.

Trzymałyśmy się już tego doskonałego miejsca pazurami i zębami, bileter walczył w wejściu, trochę to potrwało, a utrzymanie się na pozycjach wymagało niezłego samozaparcia. Janka przewałkowała się aż do ściany, ja znajdowałam się po zewnętrznej, bileter znów zaczął wpuszczać.

Ulokowana byłam tak szczęśliwie, że facet obok mnie miał do wyboru, wepchnąć mnie w te drzwi i pozbyć się balastu, albo pogodzić się ze złamaniem ręki. Wybrał to pierwsze. W chwili, kiedy siłą przepychał mnie do przodu, ujrzałam moją przyjaciółkę nad głowami ludzi. Pod ścianą stała długa ławka, Janka weszła na nią, już była blisko drzwi. z rozwianym włosiem, w rozmemłanym płaszczu bez guzików, półprzytomna, złożyła ręce jak do skoku do wody, zamknęła oczy i runęła na ludzkie głowy. Wnieśli ją w pozycji poziomej i dopiero w środku stanęła na nogach.

Potem pozostała nam jeszcze kotłowanina przy kasie, ale to już była drobnostka. Dostałyśmy się na *Zakazane piosenki* za pierwszym podejściem.

Wchodziłyśmy potem do różnych kin na rozmaite inne filmy, za każdym razem inaczej, chociaż zasada była podobna. Niekiedy chodziła z nami moja matka, przybywająca, rzecz jasna, później i na gotowe, co nie przeszkodziło jej uczestniczyć w wywalaniu bramy do kina „Polonia”. Zdobywałyśmy wtedy miejsce metodą nieco odmienną.

Janka została na końcu ogona, a ja poszłam do przodu. Wypatrzyłam kilku chłopaków w odpowiednim wieku, dopchnęłam się do nich i szeptem spytałam jednego:

- Mogę udawać, że stoję przed panem?

- Już. Wcisnąć się! - odparł bez namysłu. Wepchnęłam się przed niego. Brama jeszcze była zamknięta i nie zaczęli wpuszczać, więc ogon stał mniej więcej spokojnie. Zostałam zauważona, z tyłu nadleciał jakiś facet z krzykiem: „Ta pani tu nie stała!” Na to odezwał się młodzieniec, stojący o jakieś trzy osoby za mną:

- Panie, odczep się pan. To moja narzeczona. Od rana tu stoi.

Już byłam zatem bliżej wejścia. Kłopot miałam z zawiadomieniem Janki, bo miejsca w ten sposób zdobytego nie należało opuszczać, ale ona, na szczęście, zgadła, że coś załatwiłam, na wszelki wypadek zaklepała kolejkę i przyszła. Wepchnęła się obok mnie w momencie, kiedy znieczepliwiony tłum ruszył. Zamieszanie, jak zwykle, zrobili ci nielegalni, legalni zdenerwowali się, że zostaną wyrolowani, wszystko to razem runęło na bramę i brama nie wytrzymała. Wpadłyśmy na dziedziniec biegiem, moją matkę zaś, która właśnie przybyła i próbowała wycofać się

z tłoku, wniesiono tyłem.

Przed każdym kinem rozgrywały się sceny dantejskie. Na *Baryleczce* omal nie uduszono na śmierć Teresy, już charczała, kiedy przemocą wciągnęłam ją do wnętrza, kompletnie zsiniałą. Nie pamiętam już dziś wszystkich filmów i wszystkich przypadłości, istotne było to, że dostawałyśmy się do kina zawsze. Pamiętam za to, że na *Komediantów* poszłam w kapeluszu mojej matki, żeby wydawać się starsza, bo żądali osiemnastu lat.

Była już zima, kiedy obie z Janka wybrałyśmy się w pierwszą wspólną podróż. Udawałyśmy się do Grójca, gdzie ona miała jakąś krewną, mieszkającą pod miastem, chyba właśnie tę, która przytuliła rodzinę po powstaniu. Krewna miała krowę. Ja też miałam w Grójcu rodzinę, bo babcia i Teresa zostały w naszym dawnym mieszkaniu. Dziadek, niestety, zmarł w półtora roku po wojnie, bo ta nie przeprowadzona operacja była jednak niezbędna, a potem było już na nią za późno.

Być może już w tamtych czasach przewidywałam napisanie autobiografii, bo ową podróż uwieczniłam. Uwieczniłam także następne, znalazłam te elaboraty i stąd obecna znajomość szczegółów. Jako jednostka z natury prawdomówna, niczego tam nie zełgałam.

Przyszłam do niej około czwartej. Pociąg miałyśmy o szesnastej czterdzieści, a do dworca dziesięć minut drogi. Weszłam do sieni i ze zgrozą ujrzałam swoją przyjaciółkę, walczącą z wielkim worem, który usiłowała nałożyć na równie wielki kosz z obierkami od kartofli.

- Co ty robisz, na litość boską?-- spytałam z przerażeniem.

- Chwała Bogu, że przyszedłaś! - odparła na to z wielką ulgą. - Pomóż mi, prędko! Musimy zabrać obierki!

Obierki, jako bagaż podróżny, wprawiły mnie w osłupienie, bo nie wiedziałam o krowie ciotki. Spróbowałam zaprotestować.

- Oszalałaś? Na co ci obierki?

- Dla krowy.

- Wiem, że nie dla ciebie. Dla jakiej krowy? Gdzie ty masz krowę?

- Krowa, no, nie rozumiesz, co to jest? Ciotka ma krowę i daje nam mleko, więc ja jej muszę zawieźć obierki. Trzymaj to!

Uspokoiliłam się, że nie dostała pomieszania zmysłów, przytrzymałam wór, ona zaś bez opamiętania zaczęła wpychać do niego obierki z kosza. Patrzyłam na to krytycznie, w końcu nie wytrzymałam.

- Przestań, co robisz? Przecież tego koń nie udźwignie!

Zatrzymała się w rozpędzie, spojrzała przytomniej, wyjęła część obierek i wrzuciła z powrotem do kosza. Potem zastanowiła się i trochę tego znów przerzuciła do wora. Zażądałam, żeby wreszcie podjęła jakąś decyzję, bo się spóźnimy na pociąg.

Wyszliśmy wreszcie z całym bagażem. Składały się nań dwie mufki z zepsutymi zamkami, dwie bardzo wypchane teczki, z których jedna nie dawała się zapiąć, no i ten straszliwy wór. Z mufek przy najmniejszej nieostrożności wylatywała cała zawartość.

Pojawił się problem, jak to wszystko nieść. Janka zgłosiła propozycję.

- Daj mi ten worek na plecy i weź wszystkie drobiazgi. Potem się zamienimy.

Zadałam jej wór fachowo, bo miałam w tym wprawę, ona zaś stęknęła i popędziła do przodu, twierdząc, że ciężar ją pcha i nie pozwala ustać w miejscu. Pozbierałam drobiazgi. Wszystko musiałam trzymać w objęciach, ręce mi marzły i ustawicznie coś gubiłam. Było to tak nieznośne, że zażądałam zamiany.

Właściwie odbywałyśmy tę drogę podwójnie, bo ciągle trzeba było wracać po pogubione rzeczy. Przeklęłam wór i krowę. Niosłyśmy tego potwora na plecach, wlokłyśmy za sobą, próbowałyśmy nieść we dwie, cudem chyba dotarłszy w końcu do drzwi dworca, zawlokłyśmy go od razu w głąb, ku wyjściu na peron. Tam okazało się, że na peron jeszcze nie puszczają.

Dlaczego na kwadrans przed odejściem pociągu nie wypuszczano ludzi na perony, jest nie pojęcia. Wówczas się nad tym zjawiskiem nie zastanawiałam, dziś oceniam je jako jedno z licznych kretyństw minionego ustroju. W poczekalni było przeraźliwie ciasno, nasz wór tarasował przejście, ustawicznie ktoś na niego wpadał i ktoś się o niego potykał, zaczęła się rozkręcać awantura, ale zdechła w zarodku, bo wreszcie zaczęli wypuszczać.

Wataha runęła na peron. Zostawiłam Jankę z worem i popędziłam zająć miejsce. Zająłam je, obroniłam przed zachłannością społeczeństwa i zaczęłam mieć problem. Jak mam równocześnie iść po nią i pilnować tutaj...?

Spojrzałam z troską w kierunku wejścia do wagonu i dostałam ataku śmiechu. Janka lazła pomiędzy ławkami, zrozpaczona, wściekła, zdeterminowana i purpurowa, rozczochrana nieziemsko, wlokąc za sobą wór po ludzkich nogach, z furią wyszarpując nim spod ławek pakunki i toboły, zaczepiając o wszystko. Dobiła wreszcie- do mnie.

- Idiotka - powiedziała ze złością. - Zamiast się śmiać, mogłabyś mi pomóc. W

ogóle głupia jesteś!

Nie byłam w stanie przestać. Popatrzyła na mnie ze wstrętem, popukała się w głowę, usiadła i też zaczęła się śmiać. Chichotałyśmy całą drogę.

W Grójcu było łatwiej, bo wór udało się usunąć z wagonu jednym potężnym kopem. W dalszym transporcie pomogła nam Teresa.

Wracając w trzy dni później do Warszawy, wiozłyśmy pięciolitrową banię z mlekiem i pełną teczkę jajek. Na jajkach ktoś usiadł, ale stłukły się tylko dwa. Poza tym miałyśmy pełny komfort i luz, bo w ostatniej chwili doczepiono pusty wagon, do którego zdążyłyśmy się przenieść.

W dwa lata później pojechaliśmy do Wrocławia na Wystawę Ziemi Odzyskanych. Przełom w mojej egzystencji już nastąpił, zaczynałam być samodzielna i wydarłam z mojej matki zezwolenie na ten wjazd. Podróż to była trochę skomplikowana, a zachęcił nas do niej darmowy powrót. Jeśli jechało się na wystawę, bilet do Wrocławia wystarczył, należało go tylko potem podstemplować przy wyjeździe. Informacje o tym stemplowaniu wisiały na wszystkich murach i słupach, także na dworcu, no i co z tego, do nas nie dotarły. Niezrozumiałym sposobem udało nam się je przeoczyć, w pociągu pojawił się kontroler i PKP przyłapało nas karę w wysokości dwóch tysięcy sześciuset złotych od głowy. Suma to była potworna, w chwili powrotu miałyśmy razem złotych dwanaście. Nie zapłaciłyśmy tej kary, uwzględniono naszą prośbę o umorzenie, uczennice o nienagannej opinii, głupie, bo głupie, ale w końcu na tej wystawie były i darmowy powrót im się należał. Władze kolejowe podeszły do sprawy pobłażliwie.

Kiedy wyjeżdżałyśmy z Warszawy, było gorąco i roztopiło nam się masło w słóczkach, bo oczywiście miałyśmy ze sobą prowiant na całe trzy dni. Pół drogi spędziłyśmy trzymając te słoiki za oknem, stałyśmy na zmianę, i rzeczywiście, pomogło. We Wrocławiu mieszkaliśmy u jakiejś antypatycznej i skąpej baby na Sępolnie, skierowane tam przez kogoś z rodziny, chyba ciocię Jadzię, niekoniecznie luksusowo, ale za to darmo. Jedynym mankamentem było dojście przez cmentarz, cieszący się sławą wyjątkowo niebezpiecznego. Napady przytrafiały się zgoła nagminnie. Oczywiście już drugiego dnia pobytu wracałyśmy do domu w ciemnościach, w ulewnym deszczu, śmiertelnie wystraszone, niepewne, gdzie dokładnie jesteśmy, bo nie znałyśmy miasta. Cmentarz przebyłyśmy w połowie galopem, w połowie zaś krokiem wolniejszym, bo wszystko razem zaczęło nas straszliwie śmieszyć. Błoto pryskające spod nóg, potoki wody z góry, ciemności i

pustka kompletna, brak pieniędzy na taksówkę, która by nas dowiozła bezpiecznie, zestawienie tych okropnych w sumie elementów odebrałyśmy w końcu jako znakomitą rozrywkę. I słusznie, jak widać, bo nic nam się nie stało.

Brak pieniędzy dostarczył nam przyjemności dodatkowej. Nie byłby tak dotkliwy, gdyby nie nagłe postanowienie dokonania dopłaty na pośpieszny, bo osobowy odchodził zbyt późno, po pierwszej w nocy. Dopłata nas zniszczyła. Płatałyśmy się po wystawie, wypatrując znajomych osób, jakaś pożyczka majaczyła nam na horyzoncie, aż wreszcie spotkałyśmy koleżankę szkolną, z innej klasy, ale za to z matką. Matka przejęła się nami i pożyczyła pięćset złotych. Wówczas to właśnie przeżyłyśmy -chwilę nieskalanego szczęścia.

Wszystkie razem stałyśmy blisko budek z lodami.

- Mamo - powiedziała koleżanka. - Kup mi loda.

- Wykluczone! - sprzeciwiła się matka energicznie. - Jadłaś już dzisiaj, a zresztą jest za zimno.

Żadna z nas nie zmieniła uprzejmego i pełnego wdzięczności wyrazu twarzy, ale ledwo owa matka odwróciła się i odeszła, zgodnie i bez sekundy namysłu ruszyłyśmy w kierunku lodziarza. Mogłyśmy zjeść lody. Mogłyśmy robić, co nam się podobało. Całe nasze jestestwo wypełniło precudowne poczucie nieograniczonej wolności!

Ostatni dzień był trochę trudny. Zostało nam te dwanaście złotych i suchy prowiant w postaci czterech cienkich kromek chleba na osobę, z plasterkami kielbasy grubości papierka i wspomnieniem po maśle. Miałyśmy własną herbatę i śliwki od skąpej baby, z jej ogródka, wszystkie robaczywe, ale po usunięciu robaków dały się zjeść. Deszcz ciągle padał, zwiedzanie miasta przestało sprawiać przyjemność, w rezultacie pół dnia spędziłyśmy w domu towarowym, pełne pretensji, że nie ma on co najmniej trzech pięter. Zarazem fakt, że byłyśmy same i nikt nam nie wydawał żadnych rozkazów, ani niczego nie zabraniał, uparcie napelniał nas błogością nadziemską.

Wybryki, na jakie sobie pozwalałyśmy, polegały głównie na doborze pożywienia, były to mianowicie prawie wyłącznie lody i ciemne piwo.

Potem już tylko w straszliwie zatłoczonym pociągu, oprócz śmiertelnego głodu, przygniotła nas ta kontrola. Ostatecznie finansowe sprawy rozwikłały się szczęśliwie, a jasne dla nas było, że w razie czego karę musiałybyśmy zapłacić same, bez udziału, a nawet wiedzy rodziców. Nie puściliby nas przecież nigdy więcej...!

Zaczawszy te podróże Grójcem, poprzez Polskę i Europę, skończyłyśmy je na Algierii, ale o tym będzie znacznie później.

Wracając do chwili właściwej, szkołę zaczęłam efektownie. Nie całkiem na początku roku, trochę później, na religii wystrzeliłam z torby. Byłyśmy ostatnią klasą, która szła starym kursem, i religia wchodziła w skład normalnych lekcji. Skąd się wzięła olbrzymia torba papierowa, pojęcia nie mam, ktoś ją przyniósł, dostałam ją do ręki, nadełam porządnie i rąbnęłam w dwie sekundy po wejściu księdza do klasy. Ujrzałam wtedy człowieka, który autentycznie oniemiał.

Ruszający w kierunku katedry katecheta odwrócił się jak gromem rażony, otworzył usta i stał tak z tymi otwartymi ustami, a głos mu z nich nie wychodził. Ogólnie biorąc, ksiądz katecheta był dobry i łagodny, ale teraz się chyba zdenerwował.

- Która to zrobiła? - spytał groźnie, przemógłszy niemoc. - Ta, która to zrobiła, niech się przyzna, bo inaczej wszystkim w tym rządzie dwóje postawię!

Podniosłam się i przyznałam bez chwili namysłu, mniej może ze szlachetności, a więcej z zaciekawienia, co też ksiądz teraz robi. Ksiądz na moment zaniemiał ponownie, po czym odcharknął, zebrał myśli i rzekł surowo, uroczyście i niemal ze zgrozą:

- Dostaniesz na okres czwórkę!

Czwórka z religii i czwórka ze sprawowania to były stopnie krew w żyłach mrozące. Lepiej już było dostać pałę z każdego innego przedmiotu. Do końca okresu ksiądz złagodniał i postawił mi jednak piątkę, motywując umorzenie kary faktem, że się przyznałam dobrowolnie. Okazuje się, że istotnie jest to okoliczność łagodząca.

Uczyłyśmy się obie z Janka razem, zazwyczaj u mnie, wspólnie odrabiając lekcje. Ojciec w pracy, matka w gościach u rodziny, miałyśmy święty spokój, poza tym mieszkaliśmy naprzeciwko szkoły, co było bardzo wygodne. Nie przypominam sobie, żebyśmy przy tym cokolwiek jadły, chyba życie było wtedy mocno spartańskie. A jednak, przeniósłszy się z trzech bytomskich pokoiów i komfortowej łazienki do separatu szpitalnej z zamrożoną kanalizacją, czułam się szczęśliwa, bo znów byłam w Warszawie. Tak naprawdę swój stosunek uczuciowy do tego miasta pojęłam i sprecyzowałam w czasie powstania, kiedy z daleka patrzyliśmy na łuny.

Co do pożywienia, weszło nam w paradę jeden raz. Janka już wychodziła, włożyła płaszcz, ale zatrzymała się jeszcze, bo pokłóciłyśmy się o dekorację klasy. Przyłożono nam ten obowiązek i nieporozumienie nastąpiło na tle glansowanego

papieru i kolorowej bibuły. Każda upierała się przy swoim, machałyśmy rękami, Janka włożyła nagle rękę do kieszeni i wydała z siebie coś pomiędzy rykiem a wyciem. Odgłos był straszny, zamilkłam, ona z tą ręką w kieszeni szcerwieniła i zaczęła rozpaczliwie krzyczeć:

- Garnuszka! Garnuszka! Daj mi prędko garnuszka!!!

Przeraziłam się do tego stopnia, że usiłowałam podetknąć jej nocnik. Odrzuciła go z oburzeniem, znalazłam w końcu mały garnek, wciąż nie pojmując, co się stało, chwyciła garnek i zaczęła wywlekać z kieszeni jakieś ohydne gluty.

Wyszło na jaw, że rozgniotła sobie w kieszeni zwyczajne jajko. Miała zrobić zakupy, dwa jajka, nabyła je i włożyła do kieszeni płaszcza luzem, rękami machałyśmy z zapałem i jajko nie wytrzymało. Zabrała je chyba do domu razem z tym garnuszkiem. W czterdziestym siódmym roku ojciec sprzedał posiadłość pod Grójcem, zaczęły bowiem działać jakieś ograniczające przepisy. Musiał mieszkać albo na wsi, albo w mieście, a nie razem, tam i tu. Ponadto protestowała Teresa, na którą spadała cała wsiowa robota, a miała już normalną posadę w Grójcu. Byłam tam w owym czasie, odwiedziłam posiadłość, okazało się, że korzystając z naszej nieobecności okoliczna ludność ukradła wszystko ze stodołą włącznie. Po ogrodzeniu i altance nie pozostało nawet śladu, za to sad się rozrósł. Tego sadu było nam trochę szkoda, ale trzecie wyjście nie istniało, sprzedaż nastąpiła i ojciec spłacił przedwojenne długi.

Kupił także mieszkanie, mniej więcej normalne. Nazywało się, że przejął je od czapnika z Pruszkowa za zwrot kosztów remontu. Koszty remontu wynosiły czterdzieści tysięcy, ojciec zapłacił dwieście i chyba nie była to najkorzystniejsza transakcja w jego życiu. Mieszkanie po pierwsze było dzielone, po drugie, pomalowane na kolor silnej ultramaryny, od której zęby bolały, a po trzecie, czyhał na nie mieszkający w tym samym domu adwokat.

Tu muszę wrócić do sceny poniekąd politycznej. Mój ojciec, w przeciwieństwie do matki, pozytywnie nastawiony do panującego ustroju, zapisał się do PPS. Matce się to nie podobało. Któregoś wieczoru, jeszcze w tej separacie szpitalnej, wlaź do nas nagle jakiś typ. Dżentelmen to nie był z całą pewnością. - Matka leżała już w łóżku, ściśle biorąc na tapczanie, i czytała książkę, ojciec kręcił się koło drzwi, ja tkwiłam przy biurku. Cham o antypatycznym wyglądzie wszedł bez pukania i nie mówiąc „dobry wieczór”, ani na przykład „przepraszam”, zwrócił się do ojca gburowatym tonem: - Dlaczegoście nie byli na zebraniu? Ojciec otworzył usta,

żeby coś odpowiedzieć, ale spojrzał na matkę. Ja też na nią spojrzałam i ujrzałam widok piękny. Już siadała i razem z tym ruchem czyniła drugi, zamierzała się książką. Obydwoje z ojcem znaleźliśmy ten gest doskonale.

Nie próbując już się odezwać, ojciec odwrócił faceta tyłem do przodu i błyskawicznie wypchnął go na korytarz. Zamknął drzwi. Moja mamusia odczekała chwilę, po czym opadła na poduszki bez słowa. Awantura wybuchła potem, kiedy ojciec wrócił.

Przez całe życie moja matka rzucała przedmiotami. Pamiętam straszną scenę, jeszcze w Grójcu, kiedy siedziała przy stole, a my z ojcem w szaleńczym pośpiechu usuwaliśmy wszystko, co się tłucze, mówiąc do siebie szeptem:

- To nie, zostaw, to żelazne... Odziedziczyłam po niej tę cechę. W końcu, nie mając przykładu w domu, nie cisnęłabym w chłopaka kałamarzem. Nie ulegało wątpliwości, że jeszcze sekunda, a ten salonowiec partyjny zostałby uszczęśliwiony lekturą w twardej oprawie.

Dygresja była niezbędna. Przenieśliśmy się na aleje Niepodległości jakoś chyba w okresie zimowym, bo wcześniej robiło się ciemno. Nie poszłam do szkoły, lokalu bowiem należało pilnować, z braku mebli siedziałam na parapecie okiennym, dopiero po południu, po pracy, przyjechały jakieś rzeczy i nadciągnęła rodzina. Miała się odbyć inauguracyjna kolacja, Janka też była zaproszona i nie pamiętam, kto jeszcze, ale kilka osób znajdowało się tam z pewnością. Moja matka rozpakowywała właśnie pod oknem wielkie pudło, zawierające trzydzieści ciastek, kiedy wdarł się nagle ów czyhający adwokat.

Czyhał, ponieważ chciał sobie w tym lokalu urządzić gabinet. Wdarł się z awanturą. Wymyślał ojcu w pokoju przy drzwiach od rozmaitego autoramentu przestępców, główny nacisk kładąc na fakt, że wprowadzamy się w ciemnościach, a zatem podstępnie i podejrzenie. Moja matka zdjęła papier z pudła ciastek, adwokat się pieklił i nagle ujrzałam, że ona znów czyni ten jednoznaczny gest, już obniża dłoń, na której spoczywa nasz deser, zdążyłam pożałować ciastek i w tym momencie obejrzał się ojciec. Wystarczył mu jeden rzut oka, zastosował metodę wypróbowaną, obrócił adwokata i wypchnął do przedpokoju. Ciastka ocalały, a mecenas zrezygnował z pretensji.

Remont po czapniku należało nieco uzupełnić, wanna służyła jako skład drewna, woda z kranu nie chciała lecieć, drzwi wewnętrzne były pozabijane dyktą, okna miały tylko połowę szyb, no i piękny kolor mieszkania śnił się po nocach. To

już była jednakże sama przyjemność, bo w porównaniu z separatką szpitalną rozmiar apartamentu wydawał się zgoła imponujący.

Zaraz potem znów nie poszłam do szkoły, ponieważ ojciec pojechał do Białobrzegów po kartofle ciężarówką z miejsca pracy, miały to być kartofle dla całej instytucji, i razem z tą ciężarówką przepadli na trzy dni. Moja matka dostała szału i kazała mi go szukać. Gdzie, na litość boską, miałam go szukać? Beznadziejnie pętałam się po mieście, odwiedzając jego biuro i nie mając pojęcia, co dalej robić. Osobiście byłam zdania, że należy po prostu poczekać, nie sam pojechał, inni też przepadli, a ciężarówka przedmiot duży, ale dyskusja z moją matką nie wchodziła w rachubę. Po tych trzech dniach wrócili szczęśliwie, okazało się, że najzwyczajniej w świecie nawalił im pojazd i gdzieś tam musieli to pudło naprawiać. Kartofle przywieźli.

Za cud boski uważam to, że mi się tę szkołę w ogóle udało skończyć.

Uczyłam się dobrze do tego stopnia i tak bardzo nauka była moją osobistą sprawą, że rodzina całkowicie przestała widzieć w tym zaletę. Problem po prostu nie istniał. Sama się o to postarałam, bo w wieku mniej więcej dwunastu lat spytałam moją matkę, czy mogę iść na spacer, ona zaś odpowiedziała pytaniem, czy odrobiłam lekcje. Obraziłam się śmiertelnie.

- Jak ty w ogóle możesz o to pytać? - powiedziałam z urazą i oburzeniem. - Czy ktoś ma jakiś kłopot z moimi lekcjami? To jest moja sprawa i ja o to dbam, i nikt inny nie musi się wtrącać!

Zważywszy rezultaty, miałam chyba rację. Moja matka zgodziła się ze mną chętnie, okazała skruczę i nigdy więcej nie zadała mi takiego głupiego pytania. Za to niewątpliwie wywarło to wpływ na wszystkie późniejsze sytuacje i tym sposobem sama zrobiłam sobie koło nogi.

Nie było dnia, żeby udało mi się odrobić lekcje jednym ciągiem. Byłam ganią, a zaczynało się od chleba.

- Wyjdź z psem - mówiła moja matka. - A przy okazji zobacz, czy już chleb przywieźli.

- Nie przywieźli - odpowiadałam, ale z psem wychodziłam.

Sklep z pieczywem znajdował się na tyłach naszego domu. Przywozili świeży chleb gdzieś między trzecią a czwartą po południu i rozkupywany był błyskawicznie, no, może niezupełnie błyskawicznie, w ciągu, powiedzmy, godziny czy półtorej. O drugiej nie było go jeszcze z pewnością, ale mojej matce brakowało

cierpliwości.

Wracalam, siadalam do lekcji. Po kwadransie mowila:

- Idz po chleb, bo juz na pewno przywiezli.

- Nie przywiezli! - warczalam, ale szlam. Wracalam, znów siadalam do lekcji.

Po następnym kwadransie moja matka mowila:

- Zapomniałam kupić śmietanę, idź po śmietanę. I przy okazji zobacz, czy już chleb przywiezli.

Szlam po śmietanę. Wracalam, siadalam do lekcji. Przerwa mogła trwać najwyżej dwadzieścia minut. Moja matka zaglądała do pokoju i mowila:

- Nie ma jajek, musisz iść kupić jajka. I od razu kup ten chleb.

Zgrzytając zębami, szlam po jajka.

Potem już tylko musiałam kupić wreszcie ten chleb, a potem okazywało się, że jeszcze jakiegoś drobiazgu brakuje, soli, na przykład, albo koperku, albo może proszku do prania. Nie, w tamtych czasach używało się raczej płatków mydlanych. Nie było wypadku, żeby kazała mi kupić kilka rzeczy razem, z reguły po każdą chodziłam oddzielnie. Kiedy z furią domagałam się informacji, czego jeszcze brakuje, twierdziła stanowczo, że niczego.

Rozpuszczona była jak dziadowski bicz i sama miałam w tym udział. Kiedyś kazała mi iść po donicę do fikusa. Donice sprzedawali w sklepie blisko Rakowieckiej, należało kupić dużą i dostałam na nią sto pięćdziesiąt złotych. Nie potrafię sobie przypomnieć, dlaczego nie miałam akurat w owej chwili żadnych własnych pieniędzy, ale musiałam ich nie mieć, bo przecież wzięłabym ze sobą.

- A może ona kosztuje sto pięćdziesiąt pięć złotych? - powiedziałam podejrzliwie.

- Nie. Kosztuje sto pięćdziesiąt. Rozzłościłam się.

- Żebyś wiedziała, jeśli kosztuje sto pięćdziesiąt pięć złotych, drugi raz nie idę!

- Kosztuje sto pięćdziesiąt i idź już wreszcie! Donica, żeby to piorun spalił, kosztowała sto pięćdziesiąt pięć złotych. Nie miałam żadnych jasnowidzeń, prawdopodobnie wpadła mi w oko wypisana na niej cena, kiedy przechodziłam aleją Niepodległości. Wróciłam do domu.

- Donica kosztuje sto pięćdziesiąt pięć złotych - powiedziałam z wściekłym naciskiem. - Drugi raz nie idę!

- Nie idziesz? - powiedziała moja mamusia. Chwyła fikusa w zbyt małej

donicy i pirzgnęła w okno.

Złapałam go w locie i nie dlatego, że mógłby kogoś na ulicy trafić, taka szlachetna to ja już nie byłam, tylko pożałowałam kwiatka. Wzięłam sto pięćdziesiąt pięć złotych i poszłam drugi raz. Wątpię, czy ktokolwiek na świecie, poza moją upiorną matką, mógłby mnie do tego skłonić.

Przy okazji mogę załatwić wszystkie kompleksy, urazy i inne przyjemności, które stały się moim udziałem dzięki własnej matce. W wieku lat czternastu i piętnastu byłam niesłychanie egzaltowaną dziewczynką. Matkę wielbiłam histerycznie i w najmniejszym stopniu nie przeszkadzały temu jej wszystkie wysoki. Złościłam się i buntowałam, kiedy w niedzielę kazała mi pilnować obiadu, sama zaś jechała na cmentarz, zazwyczaj w towarzystwie Teresy, która przyjeżdżała na pół soboty i niedzielę. Uniemożliwiała mi tym bywanie na koncertach w „Romie”, a niedzielne koncerty o dwunastej w południe były dla mnie bezcenne, ponieważ nie chodziło się na nie w wieczorowych kieckach, można było ubrać się byle jak. Wytwornych strojów nie posiadałam i z tej zasadniczej przyczyny odpadły mi te piątkowe, wieczorne. Koniecznie chciałam się ukulturalnić i cholerny obiad do pilnowania stanowił kłode, rzucaną mi pod nogi.

Nie szkodzi, uwielbiałam ją w dalszym ciągu i wpadałam w rozpacz na tle jej zdrowia. Zważywszy, iż, jak dotąd, przeżyła osiemdziesiąt cztery lata i właśnie ostatnio rzuciła w pielęgniarkę kryształową karafką ze spirytusem bursztynowym, to zdrowie szwankowało mniej, niż sobie wyobrażałam. Owszem, bóle głowy miewała, ale po operacji przeszły jak ręką odjął. Za to nawalała jej wątroba oraz nerwy, tymi nerwami szantażowała całe otoczenie. Nie wolno było jej denerwować. Niecierpliwości nawet nie próbowała opanowywać i nie wiem jak rodzinie, ale mnie ta cecha stanęła kością w gardle.

Od szukania przez moją matkę rozmaitych rzeczy dostałam trwałego urazu. Kiedy przy wyjściu z domu poszukiwała rękawiczek albo kluczy, rozgrywały się straszne sceny. Atmosfera od tego wytwarzała się taka, że cały dom w obłędzie latał i szukał, ja też, przeważnie we łzach. Do dziś nie wytrzymuję, kiedy w mojej obecności ktoś czegoś szuka, zgrzytając zębami pytam: „Czego, do wszystkich diabłów, szukasz?!”, po czym zaczynam mu pomagać wbrew sobie.

Znaleźć samodzielnie udawało jej się niezmiernie rzadko. Kiedyś, jeszcze w Grójcu, zgubiła pierścionek zaręczynowy, z brylantem. Ojca nie było, we trzy ze służącą przeszukałyśmy cały dom, bez skutku, kamień w wodę. Nazajutrz wieczorem

wrócił ojciec, dowiedział się o nieszczęściu, nie rozpoczynał poszukiwań o północy, za to następnego dnia rano otworzył bieliźniarkę, popatrzył i powiedział:

- Co ty mówiłaś o zgubieniu pierścionka? Przecież tutaj leży?

Matka z niedowierzaniem zerwała się z łóżka, ojciec schylił się i podniósł pierścionek. Okazało się, że leżał na skraju dolnej półki. Gdyby nie to, że o zgubie nie mógł wiedzieć wcześniej, matka podejrzewałaby go o przywiezienie drugiego, identycznego. Moja babcia określała to prostymi słowami: „Szuka, a prosi Pana Boga, żeby nie znaleźć”.

Nie umiała szukać cierpliwie i na nic nie umiała czekać. W chwilach spóźnień osób wracających do domu reszta rodziny przeżywała katusze, moja matka bowiem, z twarzą jak Piotrowin, wymyślała wszelkie możliwe katastrofy i żądała przeciwdziałań. Przeważnie padało na mnie, bo znajdowałam się pod ręką, już po dziesięciu minutach musiałam lecieć i szukać zaginionej osoby, protestowałam bezskutecznie, w końcu, z dwojga złego, wołałam już wyjść z domu i sterczeć na ulicy, niż wysłuchiwać jej prognoz. Z drugiej znów strony charakter nie pozwalał mi na bezczynność, usiłowałam zastanowić się, gdzie osoba, zazwyczaj ojciec, może obecnie przebywać, czym przyjedzie, albo z której strony nadejdzie. Obłądu można było dostać. Spóźnienia z reguły miały charakter naturalny, po pierwsze, ojciec pracował, po drugie, załatwiał różne sprawy, po trzecie, jeździł komunikacją miejską i już te trzy czynniki wystarczały, żeby nie opanować drobnych wahań w czasie. Moja matka nie pracowała zawodowo, nie załatwiała niczego i nie jeździła komunikacją miejską w godzinach szczytu, nie dawało się zatem przekonać jej, że nic się nie dzieje.

Zasadnicze rozmowy z nią były gorsze od walenia głową w ścianę i tłuczenia kamieni na szosie z bardzo prostego powodu. Jeżeli jej się coś nie podobało, nie przyjmowała tego do wiadomości i zwyczajnie przestawała słuchać. Niecierpliwie czekała na pierwszą chwilę przerwy, żeby natychmiast podjąć jakikolwiek inny temat, przyciśnięta zaś do muru, zaczynała płakać i twierdziła, że nikt jej nie kocha. Gdyby nie udawało mi się czasem od niej odpocząć, zwariowałabym z całą pewnością, bo przejmowałam się tym wszystkim szaleńczo.

A równocześnie była czarująca i miała mnóstwo wdzięku. Namiętnie pragnęłam ją uszczęśliwić, ale udało mi się to jeden raz, po czterdziestu trzech latach, kiedy załatwiłam jej w dniu imienin wyjazd do Kanady. Przedtem zadanie było niewykonalne, bo nigdy z niczego nie była naprawdę zadowolona i melancholijnie

wynajdywała mankamenty. Bez wątpienia pomiedzy tymi atakami charakteru zachowywała się normalnie, ale jasną jest rzeczą, że uciążliwości i dramaty bardziej zapadały w pamięć. Twierdziła zawsze, że wyszła za mąż, ponieważ chciała uciec z domu. Nie wytrzymała z babcią. Zaczęłam się zastanawiać, czy by nie wyjść za mąż, żeby uciec z domu i w końcu generalnie ucieczka z domu stała się moim marzeniem. W owych dosyć trudnych czasach nie zdołałam jej sobie zorganizować,

Z całą pewnością byłam wówczas kretynką wyjątkowa, rozhisteryzowaną z racji wieku, zbuntowaną przez wszystko, zdenerwowaną sobą i pełną pretensji do świata. Ratowała mnie surowa rzeczywistość, nie było siły, w tych warunkach egzystencji jakiś umiar w histerii należało zachować. Ponadto, przy całej głupocie, istniał we mnie chyba nikły cień inteligencji i, chwała Panu na wysokościach, miałam poczucie humoru.

Wychować mnie usiłowała Lucyna, tępiąc bez miłosierdzia. Cele miała słuszne, ale udało jej się trochę przesadzić. Żeby wypłenić ze mnie zarozumiałość, naigrywała się z mojej powierzchowności.

- Gdybym miała taką twarz, to bym ha niej siedziała - mówiła. - Tylko rączkę przyprawić i będzie świetna patelnia. A ruchy to ona ma, jakby była z drewna.

Od pierwszego spojrzenia w lustro nie uważałam się za piękność, niemniej ten rodzaj krytyki nawet bardzo odporną dziewczynkę w tym wieku mógł wpędzić w trwałe kompleksy. Teresa dogadywała mniej i raczej okazjonalnie, babcia za to dbała o moją pracowitość.

- Przestań się guzdrać - mówiła niecierpliwie. - Robota powinna iść sama, szast prast, trzeba zrobić jedno, bo już drugie czeka!

O Jezu. W tej sytuacji złota zasada „co masz zrobić dziś, lepiej zrób jutro” wydawała mi się idiotycznym dowcipem, godnym wyłącznie potępienia. Moja matka nie protestowała przeciwko powyższym zabiegom wychowawczym, zdaje się, że w ogóle nie zwracała na nie uwagi, za to chętnie przyjmowała najczarniejsze przepowiednie, bo pozwalało jej to mieć zmartwienia. Uwielbiała zmartwienia i bez nich źle się czuła.

Z przyczyn całkowicie niepojętych prorokowano mi trudności w szkole i znów celowała w tym Lucyna. „Do tej pory było ci łatwo, ale dopiero teraz zobaczysz”, mówiła grobowo na początku każdego roku szkolnego. W panice oczekiwałam tych tajemniczych okropności i starałam się z całej siły, dzięki czemu niechęć wyrabiałam sobie dobrą opinię i potem było mi jeszcze łatwiej. Jeśli ten rodzaj

dopingu miała na myśli, powiodło jej się w pełni.

Egoizm wmawiała we mnie cała rodzina zgodnie i trudno im się dziwić. Pogląd, iż jedynaczka musi być egoistką i egocentryczką, jest tak rozpowszechniony, że cały splot okoliczności umknął ich uwadze. Najpierw wojna, a potem to cudowne życie powojenne, niezaradna i fanaberyjna matka, ciągle eksponowany przez nią brak pieniędzy, no i to uporczywe gadanie: „Nie jesteś pępkiem świata”, wywarły na mnie swój wpływ i egoizm, chciał nie chciał, musiałam tłumić.

Kiedyś, kiedy byłam już dorosła i moje dzieci chodziły do szkoły, znenacka rzuciła się na mnie Lucyna z zarzutem, jakoby agresywnie domagała się od rodziców świadczeń materialnych.

- Nowych sukienek żądałaś! Zrobiłaś swojej matce awanturę, bo ośmieliła się kupić sobie kapelusz, a nie tobie kieckę!

Zbaraniałam doszczętnie.

- Kiedy to było, na litość boską? - spytałam w osłupieniu. - Nic takiego nie pamiętam! Ile miałam wtedy lat?!

Okazało się, że dwa. Zdaje się, że pokiwałam tylko głową i Lucyna jakoś spuściła z tonu.

Szlachetny charakter chciałam mieć koniecznie i uparcie czyniłam w tym kierunku nieudolne usiłowania. Niemiłosiernie zapisywałam swoje negatywne cechy z nadzieją, że niektóre będę mogła stopniowo wykreślać. Zginął mi ten spis bardzo dawno temu i może dobrze się stało, bo obawiam się, że nadal byłby aktualny. Przełamywanie egoizmu wychodziło mi nie najlepiej, dopiero w znacznie późniejszych latach nauczyłam się patrzeć z cudzego punktu widzenia. Wejść w uczucia drugiej osoby. Żyj sam, ale, na litość boską, pozwól także żyć innym!

Z drugiej znów strony drapieżność mojej matki zmusiła mnie do jakiejś obrony siebie. Gdybym jej uległa, w ogóle przestałabym istnieć. Nie kryła, że urodziła córkę sobie, stanowiłam zatem jej własność, przedmiot użytkowy, który powinien znajdować się pod ręką i zaspokajać jej potrzeby. Przy całym podobieństwie rozmaitych cech, zarazem miałam całkowicie odmienny charakter i nie godziłam się na tę rolę, poza tym ona sama, niekonsekwentnie, domagała się ode mnie przedsiębiorczości, umiejętności załatwiania spraw na zewnątrz, później pieniędzy, a do tego jeszcze wykształcenia. Musiałabym istnieć w dwóch osobach, jedna idzie na studia i do pracy, a druga siedzi w domu i obmyśla dla niej rozrywkę, równocześnie ją obsługując.

Moja matka lubiła kłaść się wcześniej i już w łóżku czytać książkę, rozwiązywać krzyżówki, układać pasjansa, a także pić herbatę. Nie było wypadku, żeby położyła się, zabierając ze sobą którąkolwiek z potrzebnych rzeczy. Oboje z ojcem lataliśmy po mieszkaniu, donosząc jej lekturę, karty, deskę, ołówek, herbatę, cytrynę i w ogóle co popadło, na delikatne napomknienie zaś, że coś z tego mogła przecież wziąć sama po drodze, obrażała się śmiertelnie.

Gospodarstwem domowym zajmowała się, oczywiście. Gotowała doskonale, sprzątała mieszkanie, szyła kiecki Lucynie, mnie i sobie, robiła wielkie pranie, od którego skóra cierpła, bo w tym domu nie było suszarni i cały lokal zawieszony był potem mokrymi płachtami, urządziła święta i imieniny. Tyle że co trudniejsze zakupy musiał robić kto inny, ojciec albo ja, no i mowy nie było, żeby załatwiła cokolwiek poza domem.

Pamiętam doskonale, że byłam w owym czasie nie do zniesienia gadatliwa. W stanie zdenerwowania byłam gadatliwa podwójnie, odrobinę milczeć nauczyłam się dopiero w wieku dojrzałym. Prezentowałam chyba pewne kontrasty, albo z przyjemnością separowałam się i byłam sama, i wówczas oczywiście milczałam kompletnie, albo znajdowałam się między ludźmi i z miejsca wybuchałam gadatliwością. Dziwię się, że nikt mnie nigdy nie zakneblował i wcale się nie dziwię osobom, które nie mogły ze mną wytrzymać.

Ostatecznie i na zawsze moja matka wykończyła mnie wakacjami w Cieszynie.

Miałam wtedy piętnaście lat. Pojechałyśmy do Cieszyna obie z matką, ojciec miał tam dobić na krócej, w czasie swojego urlopu. Po czternastu latach spotkałam się z Lilką, jedyną kuzynką w moim wieku.

Przypadłyśmy sobie do gustu od pierwszego wejrzenia i nawet udało nam się zaprzyjaźnić wbrew przeszkodom, stwarzanym przez moją mamusię.

Samodzielne byłyśmy obie. Bożeż ty mój, pętałam się po całej Warszawie, biorąc udział w bitwach na każdym przystanku tramwajowym, jeździłam zatłoczonym pociągiem do Grójca, zarabiałam pieniądze, załatwiałam co popadło, opieka była mi potrzebna jak dziura w moście. Lilka, wychowywana normalnie, od dzieciństwa chodziła po górach, wyjeżdżała na kolonie i obozy, obie w dużym stopniu musiałyśmy dbać o siebie i swoje rzeczy i jakoś nam to wychodziło. W dodatku byłyśmy dziewczynkami wciąż jeszcze w głupim wieku i miałyśmy swoje sprawy, swoje doznania, swoje potrzeby, swoje upodobania, wcale nie naganne, ale

za to obce ludziom dorosłym. I ani przez jedną sekundę nie mogliśmy być same.

Moja matka, wówczas trzydziestoosmioletnia, młoda kobieta, wbrew rzekomo słabemu zdrowiu miała mnóstwo siły i wigoru, spragniona była rozrywek, a góry jej się spodobały. Spragniona była także towarzystwa, ale tym towarzystwem byliśmy wyłącznie my obie. Wszystkie absolutnie wycieczki, wszystkie spacer, wszystkie wyjścia z domu, wszystkie kąpiele w Olzie musiały odbywać się z nią. Była akurat na etapie koleżeństwa, bredziła, że chce być koleżanką swojej córki, a mnie od tego dławilo i dreszcze latały po kręgosłupie, bo takiej koleżanki nie tolerowałabym za skarby świata. Koleżankę, która chce iść na lewo, kiedy ja bym wołała na prawo, i nie wolno się jej sprzeciwiać, której nie można powiedzieć „głupia jesteś i rób, co chcesz!”, która sama nic nie załatwi, nawet biletów na pociąg nie kupi, i wszystko trzeba za nią odwalać, taką koleżankę to przepraszam, ale najlepiej pod tramwaj podłożyć. Koleżanek miałam zatrzęsienie, matkę jedną i stanowczo wołałam mieć matkę. Przynajmniej nie oczekuje się od niej, że wlezie pod wodospad, przeskoczy suchą nogą po kamieniach na czeską stronę, albo zgodzi się tańczyć w poczekalni dworcowej po zejściu z gór.

Niektóre głupoty owszem, moja matka popełniała razem z nami, ale to chyba tylko dlatego, że nie miała rozeznania w sytuacji. Nie zeszłyby z Równicy telefoniczną drogą, gdyby wiedziała, jak ta droga wygląda. W potokach ulewnego deszczu zjeżdżaliśmy na zbity pysk po kamieniach i błocie, chwytając po drodze w objęcia co popadło, pnie drzew i słupy. Schodziłyśmy sześć minut, fakt, że szybciej, ale cud, że szczęśliwie.

Po górach moja mamusia pruć jak maszyna, w dodatku dbała o zaopatrzenie i zawsze miała kanapki i herbatę, więc pod tym względem była wysoce użyteczna i nie sprawiała kłopotu. Zrobiła z nami wszystkie trasy, z wyjątkiem Babiej. Potem jednakże była nieco zmęczona, więc musiałyśmy odczekać w domu, aż odpocznie. Samodzielnie wypuszczone zostałyśmy jeden raz, bo trzeba było iść po bieliznę do pralni i mojej mamusi akurat się nie chciało. Wyszędłszy radośnie, same już nie wiedziałyśmy, co zrobić, żeby maksymalnie wykorzystać tę cudowną chwilę wolności. Urwałyśmy ucho od kosza z bielizną i włożyłyśmy na słup telegraficzny, po czym moja matka zawyrokowała, że nie można nas puszczać bez opieki, bo zaraz popełniamy jakiś idiotyzm.

W drugiej połowie wakacji wrócił do domu brat Lilki, Heniek, człowiek poniekąd dorosły, bo starszy od nas o przeszło dziesięć lat. Studiował w Gliwicach i

w lipcu odwaliał praktykę. Pierwsze chwile po jego przyjeździe spędziłyśmy przerażająco pracowicie, bo z tajemniczych powodów nie miał kąpielówek, a w sklepach takiego towaru oczywiście nie było. W szaleńczym pośpiechu robiłyśmy mu te kąpielówki z wełny na drutach, każda jedną połowę, żeby mógł nazajutrz się kąpać i nauczyć nas pływać.

Zdążyłyśmy, kąpaliśmy się wszyscy w Olzie pod jazem, Lilkę pływać nauczył, mnie nie. byłam i pozostałam na ten rodzaj sprawności odporna. Utrzymywać się na wodzie na wznak umiałam już dawno, w dzieciństwie nauczyła mnie tego Teresa...

A, to wtedy wystraszyłam śmiertelnie stado krów! Miałam dziewięć albo dziesięć lat, razem z Teresą byłyśmy gdzieś, gdzie płynęła rzeczka i rosły malownicze zarośla. W zaroślach, wśród drzew, znajdowała się jakby maleńka polanka, przyczepiony tam został hamak i na tym hamaku czytałam sobie książkę. Słyszałam szelesty i rozmaite odgłosy, coś przedzierało się przez zieleń i zbliżało ku mnie, nie zwracałam na to uwagi, aż nagle ucichło i wtedy podniosłam wzrok znad lektury. I zamarłam.

Ze wszystkich stron wystawały z roślinności rogate krowie łby i wszystkie patrzyły na mnie. Krowa żadne dziwo, miałam z krowami do czynienia, ale jednak w owym momencie zrobiło to na mnie potężne wrażenie. Jakoś tak te krowy patrzyły nieubłaganie, nawet nie ruszały mordami, w dodatku znajdowały się dookoła i poczułam się nieswojo. Długą chwilę wszystko trwało w kamiennym bezruchu, gapiąc się na siebie wzajemnie, po czym zniemacka za moją głowę urwał się hamak. Rąbnęłam z grzmotem do góry nogami, dobrze, że było nisko, w krowy zaś jakby piorun strzelił. Z potwornym łomotem i trzaskiem zawróciły błyskawicznie i tętniąc kopytami, uciekały w dzikim popłochu, znacznie bardziej przerażone niż ja.

W rzece zaś, właśnie tam, w jedynym głębszym miejscu, Teresa nauczyła mnie leżeć na wodzie na wznak i nie tonąć. Ta umiejętność mi pozostała, z innymi raczej nie wyszło. Usiłowania Heńka tyle dały, że w oczach mojej matki zaczęłam się topić, wyciągnął mnie oczywiście, zde gustowany moim antytalentem. Chodziłam potem ze szkołą do YMCA na basen, nauczyłam się skakać na głowę i nawet bardzo to lubiłam, umiałam potem przepłynąć dziesięć metrów, ale na jedenastym szłam pod wodę bez odwołania. Nie umiałam w wodzie oddychać i nie zdołałam opanować tej sztuki, mogłam zatem płynąć, dopóki mi starczyło tchu.

Krótko potem Lilka pojechała na obóz i do wycieczek został nam Heniek.

Moja matka nie lubiła kuzyna, bo w dzieciństwie był podobno ohydny bachorem, zaczęłam zatem troszeczkę wymykać się jej z rąk. Nie zdobyła się na uczestnictwo w jeździe rozklekotaną ciężarówką do Lilki na obóz, nie poszła w towarzystwie Heńka na dwudziestokilometrowy spacer po łąkach i ugorach do niejakiego Emila, za to omal nas nie zabiła na Malinowskiej Skale.

Heniek miał swojego szmergla, upodobanie do matematyki z jednej strony, a silny charakter z uczuć wyzuty z drugiej. Matematyka była prawdą, co do charakteru natomiast, uparcie usiłował realizować własne pobożne życzenie. Widziałam, jak wyglądał, kiedy mu Lilka zemdlała w objęciach w czasie jakiejś wycieczki i w kwestii braku uczuć ten widok mi wystarczył. Górską sprawność fizyczną posiadał w wysokim zakresie, nieco partyzanckiej przeszłości miał za sobą, zakochałam się w nim na śmierć i życie, gnana zatem zarówno emocjami, jak i ambicją, wszelkimi siłami starałam się zasłużyć na jego pochwały. Skąpy był w tym bardziej niż Harpagon, ale czasem udawało mi się osiągnąć cień sukcesu. Wyprawa do Emila miała cel praktyczny, Heniek chciał pożyczyć od niego motor, żeby tę Lilkę odwiedzać swobodniej. W jedną stronę było to dziesięć kilometrów. Od początku wziął dobre tempo i oznajmił, że czekać na mnie nie będzie. Postarałam się rzetelnie. Po pięciu kilometrach zrobił dziesięć minut przerwy, po czym znów ruszyliśmy po miedzach, ścieżkach i nieużytkach i w rezultacie przeszliśmy tę trasę w półtorej godziny. Dumna byłam z siebie do obłąkaństwa, ale tylko w głębi duszy.

Na miejscu okazało się, że z motoru nici, bo coś się w nim rozleciało i jest właśnie u kowala, wracać zatem będziemy tym samym sposobem, na piechotę. Obaj młodzi panowie zasiedli do posiłku, złożonego z pączków i spirytusu, który pili szklankami, wspominając partyzancką przeszłość i śpiewając przynależne do niej pieśni. Ze swej strony ograniczyłam się do pączków z rodzaju tych, co jak rzucił w ścianę, to się ściana rozpekła. Szczęśliwa czułam się bez granic i nieco niespokojna, wiadomo było bowiem, że nasz powrót do domu mocno się opóźni, a tam wszak czekała moja mamusia. Trudno się dziwić, że jednym z moich najpiękniejszych doznań w późniejszym życiu była świadomość, że nikt na mnie nie czeka i mogę wrócić, kiedy mi się spodoba.

Ciemno było, kiedy wyruszyliśmy. Cały ten spirytus, który Heniek wlał w siebie, objawił jednym rozluźnieniem moralnym w postaci komplementu dla mnie.

- Nieźle chodzisz - przyznał łaskawie. - Bałem się, że będzie gorzej.

Musiał być strasznie pijany, skoro rzekł takie słowa, ale wcale po nim tego nie

było widać. Do domu dotarliśmy około pierwszej w nocy i zapewne moja matka nie rozmawiałaby ze mną tydzień, gdyby nie ciotka, matka Lilki, łagodząca sytuację i wyśmiewająca jej obawy. Zostaliśmy usprawiedliwieni, bo motor u kowala to była siła wyższa, a Heniek zełgał, że czekaliśmy, aż zostanie naprawiony.

Emil, jako taki, miał swój dalszy ciąg. Podobno bardzo mu się podobałam, on mnie nie, ponieważ miał czarną brodę. Co nam wpadło do głowy i jaka była tego przyczyna, pojęcia nie mam, ale w kilka miesięcy później postanowiłyśmy w klasie napisać do niego list miłosny. Nie ja oczywiście, moje pismo było znane, korespondowałam z rodziną, do pisania przystąpiła Janka.

- Kooochaany Paaniee - powiedziała, pisząc równocześnie, i zdążyłam ją powstrzymać, kiedy już miała „Kochany P”.

- Zwariowałaś, jakie panie, to jest list miłosny!

- No to co mam pisać? Już napisałam „p”!

- Bardzo dobrze. Pisz! Przenajdroższy! Kochany Przenaj droższy!

Napisała „Przenajdroższy” i zrobiła potężny kleks. Wobec tego bez namysłu dyktowałam dalej:

- Ten kleks to ze wzruszenia, bo serce mi drży, kiedy piszę te słowa, a piszę krwią serdeczną. To nic, że innego koloru. Z miłości do Ciebie zgranatowiała.

Dalszego ciągu dokładnie nie pamiętam. Dziewczyny wyły, pół klasy się popłakało, dokładały tekstu i uzupełniały wyznania. Wysłałyśmy ten list, wrzucając po prostu do skrzynki i nie fatygując się formalnościami.

Po jakimś czasie dostałam podejrzliwy list od Heńka, w którym informował mnie, że Emil otrzymał jakiś list bez znaczka, za skarby świata nie chce go nikomu pokazać, ale gwałtownie dopytywał się o mnie. Czy przypadkiem nie miałam w tej korespondencji swojego udziału?

Dyplomatycznie i z czystym sumieniem odpowiedziałam, że do Emila nigdy nie napisałam ani jednej litery. I była to święta prawda, wszystkie litery odpracowała Janka.

Heniek pokazał nam wtedy źródółko Janosika i groty na Malinowskiej Skale. Ze źródółka Janosika kazał mi napić się wody, miał rację, takiej wody nie piłam nigdy przedtem i nigdy potem. Istniała jakaś legenda, jakoby od źródółka należało zaczynać poszukiwanie drogi do ukrytych skarbów Janosika, których nikt do tej pory nie znalazł, przy czym już na samo źródółko też nie było łatwo trafić.

Groty na Malinowskiej Skale, które pozwoiliłam sobie opisać w *Całym zdaniu*

nieboszczyka, również nie leżały na środku drogi. Właściwie wcale ich nie było widać. Był to zwyczajny płaski kamień, wrosnięty w łagodnie nachylone zbocze, tyle że w środku kamienia widniała wąska dziura. Można się było przez nią przecisnąć i zleźć w dół.

Zeszliśmy w dół niewielki kawałek pionowym kominem, nierównym, pełnym wystających głazów, które umożliwiały schodzenie. Widocznie były na nich szczątki drabin, podobno takich drabin było tam dwadzieścia, na dnie znajdował się długi korytarz, a za nim podziemne jezioro. Podobno wpuszczono tam kiedyś psa, który wyszedł na świat pod Klimczokiem. Prawdziwości tych informacji nie sprawdzałam, chociaż miałam na to wielką ochotę, sprzedaję, jak kupiłam.

Penetracji grot zaniechaliśmy dość szybko nie tylko z braku oprzyrządowania, ale także dlatego, że zaczęły nam lecieć na głowę kamienie. Dostyc duże, prawie jak pięść. Przytuleni do ścian szybu, patrzyliśmy w górę, gdzie jeszcze było widno, i staraliśmy się we właściwym momencie odchylić głowy, nie pojmując zjawiska, bo z natury nic się tam nie sypało. W przerwach między jednym pociskiem a drugim gorączkowo wspinaliśmy się z powrotem, wyszliśmy żywi i nie uszkodzeni, po czym okazało się, że moja matka, której znudziło się na nas czekać, wrzucała kamienie do środka z nadzieją, że tą subtelną aluzją skłoni nas do szybszego wynurzenia się z czeluści. No rzeczywiście, skłoniła.

Po wakacjach, z natury rzeczy, wróciłam do szkoły.

W szkole spadł na mnie dodatkowy obowiązek, któremu poddałam się z prawdziwą przyjemnością. Podręczników brakowało straszliwie, na dwadzieścia pięć dziewczuch w klasie istniała jedna książka do łaciny i ta książka należała do mnie. Zostałam zatem obarczona pięknym zadaniem, mianowicie koniecznością przepisywania tekstów dla wszystkich, a przepisywałam na maszynie u ojca w pracy. Okazano mi tam zrozumienie i współczucie, jedną maszynę przeznaczono już specjalnie dla mnie, a ułatwieniem dodatkowym był fakt, że do tamtejszej stołówki chodziłam na obiady. Od dzieciństwa bardzo lubiłam pisać na maszynie. Krótko po tym obiedzie kończył się już czas pracy i w biurze znajdowałam się ja oraz czasem jeszcze ktoś odwalający nadgodziny. Pisałam w ośmiu egzemplarzach naraz, przepisywałam zatem każdy tekst trzy razy, dla dwudziestu czterech uczennic, i niczego nie musiałam się już potem uczyć. Opanowałam sztukę pisania po łacinie do tego stopnia, że chcąc napisać po polsku „ale”, odruchowo uderzałam „que”. Próbkę tekstu znalazłam po latach i brzmi ona następująco:

II

„Iam satis tenis niuis atque dirae

Grandtnis misit pater et rubente

A co dalej, to niech wam Żermena powie, bo mogła baba od razu dalej pokazać, to bym przepisała. A ta krowa, Biernacka, też jest głupia jak stołowe nogi, bo mi nie dała się Żermeny spytać, tylko gębę darła, że ona wie. G... wie! Jakbym zobaczyła, że tego jest tak mało, to bym zaraz spytała, co będzie dalej i byście miały. A tak to g... macie. Podziękujcie Biernackiej, bo mnie już dziś od rana szlag trafia!

Czego i wam życzę

kochająca koleżanka

I.B.”

Jak łatwo zgadnąć, Żermena to była łacinniczka, a Biernacka jedna z koleżanek. Łacińskiego tekstu bez wątpienia było więcej niż dwie linijki, pewnie cała strona, ale dla mnie za mało. Skoro już siadałam przy tej maszynie, lubiłam mieć coś do roboty, najlepiej nawet na zapas, żeby nie wisiał nade mną bez przerwy ten dalszy ciąg.

Żermena, nazwana tak od nazwiska, pani Germain, łacinniczka zresztą świetna, odznaczała się tym, że miała krótki wzrok. Bezlitosne dziewczyny przez ten drobny mankament traciły dla niej cały szacunek, szczególnie że kompromitowała się własnymi siłami. Pomacała kiedyś wełniany sweter jednej z nas i powiedziała:

- Jaki piękny aksamit!

Cisza, jaka po tych słowach zapanowała, zdarzała się w klasie rzadko. Pukania się palcem w czoło Żermena oczywiście nie dojrzała. Nie zorientowała się także, że osobiście odpowiadałam za jedną z koleżanek, przesiadłszy się na jej ławkę, bo z góry było wiadomo, że ma zostać wyrwana, a ja to, z czego dostała dwóję, akurat przypadkiem umiałam. Poprawiłam jej stopień na czwórkę.

Kłeską straszliwą, która omal nie doprowadziła nieszczęsnej Żermeny do szaleństwa, stał się jeden wers łaciński, a mianowicie słowa: *Quod et Hermogenes ego canto*. Akcentowane miało być jak poniżej:

Quod et HERmogeNES ego canto.

Dwa silne akcenty w jednym zdaniu, wielkie rzeczy. Przy kompletnym braku słuchu miałam poczucie rytmu i cały ten Hermogenes nie nastreczał mi żadnych

trudności. Do głowy by mi nie przyszło, że można tego nie umieć powiedzieć.

Jak jest w tym wersie sylab dziesięć, tak otumanione dziewczyny kładły akcent na wszystkich. Co się stało, pojęcia nie mam, zaraza im padła na umysł. Co piątą mniej więcej Żermena wyrywała mnie i prosiła, żebym to powiedziała prawidłowo. Bez zastanowienia wstawałam, mówiłam: *Quod et HERmogeNES ego canto* i siadałam, a ona jechała po następnych z rezultatem przerażającym.

Siedząca obok mnie Janka zdenerwowała się okropnie.

- Czy one zgłupiały, czy co? - szeptała z irytacją. - Co w tym trudnego? *Quod et HERmogeNES ego canto*, krowa to potrafi powiedzieć!

W tym momencie została wyrwana. Wstała i rzekła:

- *Quod ET HermoGE...*

Urwała, szczerwieniła i usiadła dobrowolnie, nie czekając na reakcję nauczycielki.

- O Boże! - powiedziała z rozpaczą. - Co w tym jest...?!

Ósmy raz powtórzyłam tego Hermogenesa prawidłowo, bo epidemia w klasie nie miała na mnie wpływu, też usiadłam i grzecznie spytałam ją, czy zgłupiała? Co jej się stało? Przecież przed chwilą powiedziała to, jak należy, bez żadnych zahamowań!

Przez dwie kolejne lekcje szalał po nas Hermogenes i do dziś pojąć nie mogę, skąd się wzięło to straszliwe ogłupienie. Dziewczyny starały się naprawdę, bo już miały dosyć, inne łacińskie wiersze mówiły dobrze, tańczyć umiały, wiedziały, co to jest rytm, jeden Hermogenes dokonał rzezi i załatwił klasę na perlowo. Zdaje się, że wyłącznie dzięki niemu miałam przez jakiś czas piątkę z łaciny, bo, uczciwie mówiąc, na piątkę zasługiwała Janka, a nie ja. Leżała jej ta łacina i prawie mogłaby rozmawiać jak renesansowa szlachta, czego nigdy osiągnąć nie zdołałam.

Na końcu zaś hecy Żermena powiedziała, że z pewnością mam doskonały słuch i zdenerwowała się ostatecznie, ponieważ cała klasa dostała ataku śmiechu. Próbowałam wyjaśnić jej sprawę, bez skutku, nie uwierzyła.

Wychowawczynią już od trzeciej klasy była matematyczka. Uczyła matematyki w niższych klasach, wedle starego kursu w gimnazjum. Ostatnie dwie klasy licealne przejmowała jej siostra, też matematyczka, może i wyżej ukształcona, ale na moje oko nieco gorsza. Tamta wykładała matematykę tak, że pień by zrozumiał, do siostry potrzebny był jednak ludzki umysł.

Nie lubiła nas. Wychowawczynię mam na myśli oraz Jankę i mnie. Trzymałyśmy się razem uporczywie, co z przyczyn wówczas dla nas niepojętych

doprowadzało ją do pasji. Teraz myślę, że podejrzewała nas o zboczenie, wtedy mi to do głowy nie przyszło. Usiłowała nas rozdzielić podstępnie, ale młodzież jest lepsza, jeszcze żadnemu nauczycielowi takie podstępny nie wyszły. Sumienie miałyśmy czyste i mogłyśmy sobie pozwalać nawet na otwartą wojnę, więc rezultatu żadnego nie osiągnęła.

Pojawił się jakiś projekt pieszej wycieczki do Jabłonnej i poleciła mi spenetrować trasę oraz dowiedzieć się, czy nie można popłynąć statkiem. Stałam w ławce, westchnęłam ciężko i uczyniłam ku siedzącej obok Jance gest unoszenia do góry.

- No dobrze, to chodź! - powiedziałam smętnie.

Janka podniosła się, niekoniecznie ochoczo. Wychowawczynie wpadła w szal.

- No oczywiście! - wrzasnęła. - Znów obie! Jak jedna, to i druga! Zabraniam!

Milczałyśmy. Mogła sobie zabraniać, innych ochotniczek nie było, sama wiedziała doskonale, że nawet gdyby wyznaczyła całą klasę, i tak pójdziemy obie. Zrezygnowała z awantury, pomamrotała pod nosem i pogodziła się z losem.

Poszłyśmy obie. Była wiosna, ale akurat tej niedzieli padał deszcz ze śniegiem. Mimo aury, na Pragę poszłyśmy piechotą przez most, wycieczka wszak miała być piesza. Znalazłyśmy jakiś ogrodzony barak, może to była prymitywna przystań, a może straż przybrzeżna, śnieg ciągle padał, żywego ducha nie widać, gdzie, u diabła, miałyśmy się czegoś dowiadywać? Przelazłyśmy przez ogrodzenie, po czym o-kazało się, że dwadzieścia metrów dalej znajduje się otwarta furtka. Następnie dostrzegłyśmy w śnieżnej zamieci człowieka, który szedł ku Wiśle. Przelazłyśmy właśnie przez ogrodzenie z drugiej strony. - Prędeż! - ponagliła niespokojnie Janka. - Może on się idzie utopić!

Też się zdenerwowałam, że po utopieniu nic nam nie powie. Udzieliwszy informacji, mógł już sobie realizować cele samobójcze. Dopadłyśmy go, dowiedziałyśmy się, że żadne statki na razie jeszcze nigdzie nie chodzą, po czym zdaje się, że w ostatecznym rezultacie tę wycieczkę odbyłyśmy same. Może nie całą, może pół albo ćwierć.

Ciężkiego zmartwienia przyczyniała mi polonistka. Znów podobna sytuacja, w młodszych klasach polonistka była znakomita, w starszych wręcz przeciwnie. Bez wątplenia była to osoba wykształcona, z ogromną erudycją, pełna wiedzy, ale zarazem nerwowa, rozkojarzona, przerażająco niedbała, sypiąca słowami jak popadnie z tysiącem błędów. Potrafiła powiedzieć do uczennicy:

- No dobrze, to powiedz o Wenusie.

Miało to być coś o Wenus. Rany boskie. Po internacie, po tej tresurze i gramatyce polskiej byłam na ta takie rzeczy uczulona i jęki się ze mnie wrywały. Ale nie próbowałam z nią walczyć, pozostałyśmy w dobrych stosunkach i zdaje się, że uratowała mnie na maturze, za co cześć niech jej będzie i chwała.

Najgenialniejsza i najstraszliwsza była historyczka, Gizella Gebertowa. nauczycielka fenomenalna. Od razu się przyznam, że stanowi pierwowzór Sarenki ze Zwyczajnego życia i opisane tam perypetie pochodzą z czasów mojej wczesnej młodości.

Gebertowa doprowadzała dziewczyny do hysterii i obłędu, bałyśmy się jej panicznie, ale za to, kiedy wykładała, dźwięk dzwonka wywoływał jęk rozpacz. Jej wykładu mogliśmy słuchać w nieskończoność, w dodatku zapadał w pamięć i braki w naszej wiedzy historycznej brały się chyba wyłącznie ze strachu. Co gorsza, wymagała prawidłowego polskiego języka i od niej poszło to potworne „więc”.

Wywołana do odpowiedzi ofiara wstawała i mówiła:

- Więc...

- Nie zaczyna się zdania od „więc” - przerywała jej Gebertowa. - Mów porządnie.

Ofiara milczała chwilę.

- Więc... - wrywało jej się samo. Gizella była nieubłagana.

- Nie. Zostaw to „więc”.

- Więc...

- Słuchaj, powiedz sobie to „więc” w duchu, a do mnie mów dalszy ciąg.

- Więc...

W obliczu takiej sytuacji człowiek mógł zapomnieć, jak się nazywa.

Wszystkie siły poświęcając opanowaniu „więc”, traciłyśmy z oczu treść historyczną, a wymagania pani profesorka miała niezłe. Latała nam po czasie i przestrzeni, nigdy nie byłyśmy pewne, jak zacząć pytać. Co się działo w jakimś kraju przez wieki, czy też co się działo w tym samym roku w rozmaitych krajach.

Rozwijała inteligencję i uczyła nas sztuki myślenia, ale przy tym gnioła psychicznie niczym prasa hydrauliczna. Do tego stosowała jeszcze jedną metodę, zgoła nieludzką, mianowicie kazała nam pytać się wzajemnie. Odpowiadająca jednostka przyznawała się, że czegoś nie wie, bo z dwojga złego już lepiej było wyznać niewiedzę, niż strzelić błędem, Gizella zaś na to polecała:

- Spytaj którąś z koleżanek.

Trzeba było widzieć tę rozpacz w spłoszonym, latającym po klasie wzroku, desperackie pytanie: „Która...?!” Rzadko się zdarzał sygnał: ja wiem! Przeważnie delikwentka natykała się na mordercze spojrzenia, groźbę straszliwą albo błaganie: „Tylko nie mnie!” W rezultacie wybierała nieprzyjaciółkę, albo odgrywała się na tej, która wrobiła ją poprzednio.

Tym sposobem załatwiła mnie Janka. Miałam, żeby to piorun spalił, piątkę z historii, obowiązana byłam zatem wiedzieć wszystko. Lubiłam historię i wiedziałam bardzo dużo, ale gdzie mi było do wszystkiego, poza tym pamięć ludzka jest zawodna i zazwyczaj działa nie wtedy, kiedy trzeba. Janka, niemal już półprzytomna, odwaliała upiorny wiek dziewiętnasty, który budził we mnie opory, nie podobał mi się i wyrzucałam go z umysłu. Wyliczała bezpośrednie przyczyny wybuchu powstania listopadowego, jedną z nich było niedopuszczenie do Dumy dwóch polskich posłów. Przy posłach załamała się ostatecznie.

- Nie pamiętam, jak się nazywali - powiedziała z determinacją.

- Spytaj koleżankę - zaleciła pani profesorka. Janka przezornie zamknęła oczy i nerwowym gestem skłaniając mnie do podniesienia się w ławce, wymieniła moje nazwisko. Podniosłam się możliwie wolno. Głównie zastanawiałam się, czego jej życzyć, żeby pękła może, albo zaniemiała, żeby jej język kołkiem stanął, co do posłów natomiast płatało mi się po głowie, że byli ze sobą spokrewnieni i nazywali się jednakowo, ojciec i syn chyba, jakoś na pe...

Litościwa Opatrzność powstrzymała mnie od wyjawienia tego poglądu.

- Nie pamiętam ich nazwisk - rzekłam głucho po chwili milczenia.

Gebertowa patrzyła na mnie długo.

- To byli bracia Niemojewscy - powiedziała w końcu tonem, który do dziś dźwięczy mi w uszach. Potępienie wgniotło mnie w szpary od podłogi. A potem dodała jeszcze: - Zawiodłam się na tobie...

Jezu Chryste! Już nic gorszego nie mogła wykombinować. Dotrwałam do końca lekcji w osobliwym stanie duszy, wulkan w niej szalał z jednej strony, a z drugiej szarpały mdłości.

- Ty świniou!!! - wrzasnęłam strasznie, ledwo się za tą sadystką drzwi zamknęły. - Co ci do łba wpadło...?!!!

- Ale już daj spokój, o Boże. słuchaj, ja już nie mogłam! - broniła się rozpaczliwie zgnębiona Janka, wciąż jeszcze czerwona na twarzy, machając rękami

jak wiatrak. - Ona patrzyła na mnie i patrzyła, i patrzyła, i już nie mogłam tego znieść, już nic nie wiedziałam, tylko żeby, o Boże, chociaż na chwilę przestała patrzeć! Żeby spojrziała gdzie indziej!

To potrafiłam zrozumieć, ale ciągle byłam wzburzona.

- Ale dlaczego mnie...?!

- Bo ty najwięcej umiesz. Myślałam, że wiesz. A w ogóle mnie już było wszystko jedno...

Długo jej tego nie mogłam darować, bo cholerną piątkę z historii, utraconą przez braci Niemojewskich, byłam zmuszona potem nadrabiać i na każdej lekcji z Gizellą miałam nerwowe wewnętrzne drgawki. W dodatku ta piekielnica nie wzywała mnie do odpowiedzi ciągłej, tylko zadawała zniechęcające krótkie pytanie od Sasa i od Łasa i bezustanne napięcie bokiem mi wyszło. W rezultacie tej piątki już nie odzyskałam.

Poważnych kłopotów w zasadzie w szkole nie miałam, chociaż każde niepowodzenie i każdą niepewność przeżywałam do głębi. Przez źle napisaną klasówkę miałam zatrute całe popołudnie, wieczór i noc, nazajutrz zaś okazywało się, że klasówka została napisana dobrze. Jedyne, co nie stwarzało mi najmniejszych problemów, to były wypracowania z polskiego. Proszę bardzo, mogłam je pisać w ilości dowolnej i na obojętny temat, rozpisywałam się już po paru pierwszych zdaniach i dalej szło samo.

Matematyka w zakresie szkoły średniej była prosta i łatwa, historię lubiłam, polski język nie nastęczał trudności, geografia mi się podobała, propedeutykę filozofii zdołałam opanować, fizyka natomiast nie dała mi rady. Nie lubiłam jej, czegoś w końcu miałam prawo nie lubić. Nauczycielka, odstręczającej urody, ale naprawdę dobra i sympatyczna, wykładała świetnie i zrozumiale, do nas jednak jakoś to nie przemawiało. Janka stosunek do przedmiotu miała podobny jak ja, a może nawet jeszcze gorszy.

Coś falowało, Bóg raczy wiedzieć, co to było. Na tablicy została narysowana sinusoida, falowała sobie przez całą szerokość, zajmowałyśmy się czym innym i tylko czasem jakieś słowa wpadały nam w ucho.

- I ta cząsteczka jest tu! - mówiła z przejęciem nauczycielka, pukając palcem w tablicę. - A potem tu! A potem tu! I tu, tu, tu, tu...

- Popatrz, kurczęta woła - powiedziała do mnie Janka z niesmakiem.

Co zraziło do fizyki mnie, pojęcia nie mam, ją zapewne zamknięty obwód

elektryczny. Kazano nam trzymać się za ręce, wszystkie dziewczyny w kółko, Janka podporządkowała się poleceniu, nie mając najmniejszego wyobrażenia, po co i w ogóle o co tu chodzi, zamyśliła się, wpatrzona w okno, po czym nauczycielka włączyła słaby prąd. Przypuszczam, że był słaby, bo żadnej z nas nie zabił, ale zamknięcie obwodu dało skutek straszliwy. Moja przyjaciółka z potwornym wrzaskiem wyrwała nam ręce, dziko zaskoczona i wstrząśnięta.

- Jak to można tak człowieka...!!! - krzyknęła ze śmiertelnym oburzeniem i we łzach.

Nauczycielka stropiła się do tego stopnia, że zaczęła ją przepraszać, reszta klasy o mało nie umarła ze śmiechu.

Paradoksem absolutnym był fakt, że z fizyki miałam piątkę. Zadziałał czysty przypadek, jako dobra uczennica do odpowiedzi byłam wzywana rzadko, pod koniec roku raz i padła na mnie budowa atomu. Narysować na tablicy ten atom razem z jądrem i latającymi dookoła neutronami, czy innym świństwem, nie stanowiło wielkiej sztuki, narysowałam z dziecinną łatwością i cześć. Więcej pytań nie było, dostałam piątkę, nie protestowałam, aczkolwiek wydawało mi się to idealnym kretyństwem.

Chemii nie zostałam nauczona nigdy. Chemiczka przyszła do przedostatniej klasy i od razu oznajmiła nam, że pierwszy raz w życiu ma pracować w szkole średniej, przyzwyczajona do wykładów na wyższej uczelni, a w ogóle pisze doktorat i nie ma głowy do zajmowania się nami. Musi tu uczyć z jakiegoś powodu, no więc dobrze, będzie uczyć, ale jest to liceum humanistyczne, więc potrzebna nam ta chemia jak dziura w moście. Zgodziłyśmy się z nią bardzo chętnie i w rezultacie z całej chemii zostało mi H_2O i SiO_2 , woda i piasek, soli kuchennej nie jestem już pewna.

Skąd mi się wzięły rozmaite, proste zresztą, wiadomości o dźwigni, ciepłe i ruchach powietrza, o ciśnieniu i ciężeniu oraz inne tym podobne, sama nie umiem odgadnąć. Możliwe, że ze szkoły, ale ślad w umyśle pozostawiły bez mojej wiedzy i raczej przypadkowo.

Lekcje obie z Janka nadal odrabialiśmy razem, chociaż teraz już nieco rzadziej, bo nie mieszkałam naprzeciwko szkoły, wzbogacając je dość osobliwymi dyskusjami. Jedną taką rozmowę zapisałam bezpośrednio, dzięki czemu mogę ją zaprezentować dosłownie, chociaż nie świadczy najlepiej o poziomie naszych umysłów.

Ogrzewanie w mieszkaniu działało akurat bardzo nędznie, zimno było, przyniosłam zatem stołeczek i siedzenie z fotela, po czym usiadłyśmy pod kaloryferem, plecami wsparte o słabe ciepło. Janka z zapalem powtarzała upadek Rzeczypospolitej Szlacheckiej.

Ona: A potem była wojna północna, rozumiesz?

Ja: (w zamyśleniu) Rozumiem. Więc uważaj. Jak będzie wojna, to zmiatamy!

Ona: (nieco zaskoczona, po chwili) Co? Aha. No tak, zmiatamy natychmiast. Ale wiesz co? Przebierzemy się!

Ja: No, ma się rozumieć. Przecież nas...

Ona: Czeka! Tadzik pójdzie z nami, on też będzie nawiewał. My się przebierzemy za chłopaków, a on za dziewczynkę!

Tadzik to był jej brat, nieco młodszy, ale już wyrosnięty w pełni. Dobiegał metra osiemdziesięciu.

Ja: (z niesmakiem) Zwariowałaś? Ślicznie to będzie wyglądało, taki drag-dziewczynka! Zwróciłybyśmy na siebie powszechną uwagę.

Ona: (zgodnie) No to nie za dziewczynkę. Przebierzemy się wszyscy za stare baby. Albo my za baby, a on za dziada.

Ja: (po namyśle) Nie. Najlepiej będzie za opryszków. Baby mogą być podejrzane. Jak zaczniesz, na przykład, rwać przez pole jak zając, bo trzeba będzie uciekać, to co? Zapłaczesz się w taką kupę spódnic i tyle.

Ona: To nie będę uciekać, położę się w brudzie i poczekam. A jak będziemy opryszkami, to nas zamkną. (Z nagłym podskokiem i jękiem, ponieważ wyrznęła głową w parapet okienny od spodu) A nawet... wiesz co? To będzie świetnie, jak nas zamkną! Posiedzimy sobie spokojnie przez wojnę, a potem ta władza, która zwycięży, ulituje się i nas uwolni. (krytycznie) No dobrze, a jak zwycięży ta, która nas zamkneła?

Ona: To powiemy, że nas zamkneła ta, która przez chwilę zwyciężała.

Ja: A jak tamta będzie zwycięska bezwzględnie przez cały czas?

Ona: (po dłuższej chwili intensywnego namysłu) Niemożliwe! Przez jakiś czas ta druga też musi trochę pozwycięzać!

Ja: (drwiąco) Bo ty tak sobie życzysz. Wojna ma się odbywać w ten, a nie

inny sposób, bo tak pasuje pannie Janinie, (z uporem) A jeżeli jednak ci nasi ciemniężyciele ciągle będą zwyciężać?

Ona: (przygnębiona) No to już nie wiem co. Ja: (z triumfem) To głupia jesteś. Przecież uciekniemy! Któraś z nas musi mieć scyzoryk i będziemy dłubać w murze od samego początku, a w odpowiedniej chwili dziura będzie gotowa i damy nogę.

Ona: (z ożywieniem) No właśnie, możemy nawet dłubać paznokciami.

Ja: Wykluczone, połamię się.

Ona: No to co? Weźmiemy ze sobą pilniczek. A zresztą, co jakiś czas będą odrastać.

Ja: (z troską) A co będzie, jak nas zamkną na piętrze?

Ona: (stanowczo) Wyjdziemy przez okno. Ja cię będę trzymała za rękę, a Tadzik mnie za nogi...

Ja: Właśnie, zawisniesz głową w dół i będzie ci bardzo wygodnie...

Ona: (ciągle pełna zapału) No to czekaj, nie tak! Ja ciebie za nogi... nie, ty mnie za nogi, a Tadzik mnie za rękę, o, widzisz!

Ja: (również z zapałem) Nie, jeszcze nie tak! Ty Tadzika za nogi, a on się będzie trzymał rękami za parapet. W ten sposób będzie dłuższy!

Ona: Tak, tak, właśnie! Potem ty dosięgniesz ziemi, ja ci stanę na ramionach, a Tadzik...

Ja: (uczynnię) Zleci na zbity łeb...

Ona: (w rozpędzie) Zlezie po mnie, a ja po Tadziku...

Ja: I tak będziecie złażyć trzy dni z rzędu aż do oblędu...

Ona: (z nagłym niepokojem) A jeżeli nas umieszczą na trzecim piętrze?

Ja: (stanowczo) Porwiemy garderobę na paski i zjedziemy po sznurze.

Ona: (ostrzegawczo) No to pamiętaj, żebyś w razie czego włożyła nową kieckę. Albo wiesz co, może lepiej weźmiemy ze sobą na wszelki wypadek sznury od bielizny?

Ja: Można i sznury... A w ogóle dokąd będziemy uciekać?

Ona: (prawie bez namysłu) Na lewo w dół!

Ja: No to najlepiej w okolice Cieszyna!

Ona: (niepewnie) Kiedy, czekaj, tam pewnie będzie wojna. Może lepiej nad morze?

Ja: (z oburzeniem) Oszalałaś! Właśnie nad morzem będzie wojna! A nie

możemy się przecież plątać po okolicach Warszawy!

Ona: No to gdzie?

Ja: (po głębokim namyśle, niepewnie) Może do Strzelec? I zamieszkamy na Bąkowej Górze...

Ona: (kiwając głową) W ogóle najlepiej w górach.

Ja: (z irytacją) No to przecież mówiłam od razu, że w okolice Cieszyna! Tam są akurat odpowiednie góry!

Ona: Aha, ty o górach... Myślałam, że chcesz przez granicę lecieć.

Ja: Wcale nie chcę. Zatrzymamy się koło źródła Janosika, tam nas nikt nie znajdzie. Tylko co będziemy jeść? Trzeba chyba będzie schodzić na dół po wałówkę...

Ona: Nie, kupimy sobie kozy... nie, owce. I będziemy się żywić.

Ja: (z obrzydzeniem) Zwiariowałaś. Będziesz pić owcze mleko?

Ona: (stanowczo) Wolę pić owcze mleko, niż leżeć trupem.

Ja: (przekonana) No, ja też wolę... A mięsa nie będziemy jeść?

Ona: Nie.

Ja: A chleba?

Ona: Chleba też nie. Za ciężki.

Ja: (zgodnie) I prędko się zsycha... No, ale co ty sobie wyobrażasz, samym mlekiem będziesz żyła? A może masz zamiar, na wzór moli, żreć wełnę z tych owiec?

Ona: Wełnę tobie zostawię. Ale możemy jeść rozmaite korzonki.

Ja: (z nagłym ożywieniem) Ale, prawda! Tam są wspaniałe jagody! Tylko co będzie w zimie?

Ona: (z wahaniem) W zimie...? No co... Śnieg! Ja: (zgrzyliwie) Śnieg! A to się strasznie najemy, wiesz? Możemy się nawet przejeść!

Ona: (z naganą) Co ty chcesz, śnieg się gotuje w garnku na herbatę. Zresztą, już wiem! Zjemy te owce, kolejno, a jedną zostawimy na mleko. Musimy sobie cztery sztuki kupić.

Ja: (znów pełna zapału) I możemy na jesieni nazbierać orzechów i suszonych grzybów na zapas.

Ona: (kategorycznie) Wykluczone! Nie znoszę grzybów!

Ja: Ja też, ale wolę jeść grzyby, niż umrzeć z głodu. Ale, popatrz, śnieg będzie! Można jeździć na nartach!

Ona: (z troską) Trzeba zabrać kalosze...

Ja: (po długiej chwili milczenia i namysłu) Wiesz co, a może byśmy tak od razu „uciekli ciężarówką? Bo na piechotę się chyba nie zabierzemy...

Ona: (optymistycznie) E, co tam, zabierzemy się! Słuchaj, myśmy się miały uczyć historii!

Ja: (zaskoczona) Co...? A, historii... No to uczmy się. Na czym stanęłaś?

Ona: (z westchnieniem) Na wojnie północnej. No więc Karol dziewiąty doleciał aż do Mazepy i tam poniósł klęskę pod Połtawą, tak? Zgadza się?

Ja: (zaglądając do zeszytu i sprawdzając) Tak. Wypchaj się zresztą Karolem. Ja się uczę rewolucji.

Ona: (podejrzliwie) Po co rewolucji? Oszalałaś? To za świeże!

Ja: (ponuro) Świeże, nie świeże, ona może z tego pytać. A co, ty się uczysz tylko takiego, co już trochę zatęchło?

Ona: (stanowczo) Ja się w ogóle nie uczę. Jak będzie klasówka, to będę ściagać.

Ja: Na maturze też będziesz ściagać?

Ona: liii, do matury jeszcze się zdążę nauczyć.

Ja: (z uciechą) No to ja też się nie uczę. W nosie mam historię, najwyżej nie zdam...

Zapisałam ten błyskotliwy dialog z przyczyn bliżej mi nie znanych. No i proszę, czy nie kretynki? Zgroza ogarnia, kiedy się pomyśli, na jakim dnie umysłowym człowiek przebywał! Dla współczesnej młodzieży rozwijany przez nas z zapalem temat musi być nie do pojęcia, ale wówczas był rok czterdziesty siódmy i szalała psychoza wojenna. Zbyt świeże były przeżycia tamtych pięciu lat, żeby dało się o nich zapomnieć, co nie zmienia faktu, że dobrały się dwie idiotki.

Ogólnie biorąc, w odniesieniu do szkoły dysponowałam swobodą nieograniczoną. Mogłam nie pójść wcale, gdyby mi się nie chciało, ojciec podpisywał w dzienniczku wszystko, nie wnikając w treść, nie dość na tym, umiałam fałszować jego podpis tak, że sam nie potrafił odróżnić, które jego, a które moje. Nie kryłam się z tym.

- Tato - mówiłam. - Podpisałam cię wczoraj, bo cię nie było.

Nie wykorzystywałam tej przeraźliwej wolności, bo automatycznie przeistaczała się w odpowiedzialność, narzucała poczucie obowiązku i zmuszała do

dbałości o sens i konsekwencje poczynań. Wyglupię się, zaniedbam i co? Nikt za mnie tego nie odpracuje, będę musiała sama. Z dwojga złego już lepiej nie zaniedbywać.

Nie znaczy to, że objawiałam się w postaci anioła, może nawet wręcz przeciwnie. Zdaje się, że pomysł wagarów w pierwszy dzień wiosny pochodził ode mnie. Nauczycielki zgadły, że coś knujemy i pilnowały na schodach, nasza klasa mieściła się na drugim piętrze, wymyśliłam, żeby bagaże wyrzucić przez okno i zejść z pustymi rękami. Poleciały teczki i palta, zeszliśmy spokojnie w samych fartuchach, po czym każda łąpała swoje i leciała do Królikami. Wychowawczym zorientowała się w sytuacji dopiero przy ostatniej sztuce, chwyciła ją za fartuch, ale dziewczyna wyrwała się i też uciekła. No owszem, musieli potem przyjść rodzice, ale wiadomo było, że wszystkich nas nie wyrzucą, a ten obniżony stopień ze sprawowania dało się strawić.

Gorzej wyszliśmy na piecach, chociaż szkoła żadnej kary nie zastosowała. Centralnego ogrzewania w owej ruderze po Giżyckim nie było, w klasach stały kaflowe piece, woźny rozpałał w nich o poranku i nie od razu robiło się ciepło. Zima nastąpiła rzetelna. Przyszliśmy na ósmą i dokonaliśmy odkrycia, że temperatura w pomieszczeniu sięga zaledwie czternastu stopni, któraś przypomniała sobie przepis, nakazujący przerwanie lekcji, jeśli temperatura zejdzie poniżej dziesięciu, ucieszyło nas to ogromnie i nabraliśmy wielkich nadziei. Robota poszła wartko, otworzyliśmy okna na przestrzal, zgarnęliśmy śnieg z parapetu i wepchnęliśmy do pieca. Ogień zgasł, ale śmierdziec zaczęło straszliwie. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego topiony w piecu śnieg tak okropnie śmierdzi. W dodatku zmarznięte dziewczyny usiłowały przy okazji ogrzać sobie nogi, przytykając do drzwiczek buty na gumie i ta guma ostro dołożyła woni. Ostateczny rezultat był rozpaczliwy, lekcje odbyły się, bo nikt nie zamierzał ich odwoływać, w jeszcze gorszym zimnie, a do tego w dymie i koszmarnym smrodzie z pieca. Więcej tych podstępów nie próbowałyśmy stosować.

Nie samą szkołą człowiek żyje, lepiej pamiętam wydarzenia i problemy pozaszkolne. Szczególnie kolejne wakacje, chociaż chronologia znów mi się nieco myli.

Dwa tygodnie którychś wakacji, miałam chyba wtedy szesnaście lat, spędziłam zupełnie upiornie. Pojechałyśmy z moją matką na idealnie głuchą wieś, gdzie nie było ani lasu, ani wody, ani w ogóle nic. Pola uprawne i chłopska chałupa. Tam nauczyłam się nowej formy życzeń imieninowych, syn gospodarzy, człowiek

dorosły, acz młody, był wypychany na imieniny ciotki, nie chciał jechać, uległ w końcu, ale zgniewał się i rzekł:

- Dobra, żeby mamusia wiedziała, pojedę i powiem jej: kochana ciociu, dziś twego patrona, siadaj na świni, trzymaj się ogona!

Zapamiętałam to, oczywiście, od jednego kopa, ale więcej atrakcji mnie tam nie spotkało. Chociaż nie, owszem, pojawiła się jeszcze jedna. Moja matka nudziła się jeszcze bardziej niż ja i z nudów postanowiła upiększyć córkę, mianowicie przyciemnić mi brwi brązową henną. Proszę bardzo, nie miałam nic przeciwko dbałości o urodę. Przystąpiliśmy do zabiegu.

Brązowa henna okazała się tak przeraźliwie czarna, że chyba nic czarniejszego nie istniało na świecie, poza tym tkwiła na mnie trochę za długo. To, co pojawiło się potem na mojej twarzy, przechodziło ludzkie pojęcie, straszliwie czarna krecha nad oczami, wszystko inne przestało istnieć, składałam się wyłącznie z brwi, nawet nogi budziły wątpliwość. Moja matka wpadła w rozpacz, ja też, szorowałam to, bez mała zdzierając sobie skórę, bez skutku. Ktoś powiedział, że to się daje zmyć wyłącznie popiołem z papierosa, moja matka w ekspiacji posunęła się tak daleko, że wypaliła papierosa, ze śmiertelnym wstrętem i nie zaciągając się rzecz jasna, usiłując nawet nie oddychać. Narobiła popiołu, myłyśmy nim cholerne brwi, też bez rezultatu. Na szczęście była to naprawdę głucha wieś, do pokazania się ludziom zostało mi jeszcze przeszło tydzień i aczkolwiek henna była rzeczywiście pierwszego gatunku, to jednak codzienne zabiegi, stosowane przez tydzień, złagodziły nieco pierwsze efekty, wyglądałam może nieco dziwnie, ale już nie budziłam okrzyków przerażenia, najwyżej ktoś się za mną czasem obejrzał. Do września zeszło prawie zupełnie.

Może nawet zeszło nieco wcześniej, bo wydaje mi się, że w tym samym roku kolejne dwa tygodnie spędziłam z Teresą na wczasach w Łącku. A może po prostu ludzie myśleli, że taka moja uroda, dopust boży, i nic na to nie można poradzić.

W Łącku było bardzo przyjemnie, pałac stał nad jeziorem, można było pływać łódką i nauczyłam się wiosłować, opanowując nawet sztukę utrzymywania kierunku do tyłu. Przeżycie miałam jedno, ale za to treściwe. Na basenie przywykłam już do wchodzenia do wody metodą skakania na głowę, to samo robiłam i tam, ale basen miał blisko przeciwległą bandę, jezioro zaś nie. Na wszelki wypadek, nie chcąc znaleźć się zbyt daleko, żeby nie mieć kłopotów z dopłynięciem z powrotem, skoczyłam z pomościku prawie pionowo w dół i po łokcie zaryłam się w czarny muł na dnie. Nie wypływałam spokojnie, o nie, z wody wynurzyło się dziko rozchłapanie

szaleństwo, a nie ludzka istota. Zmyłam z rąk tłusty szlam i potem już byłam ostrożniejsza.

Łódka stała przy pomoście, zazwyczaj zamknięta na łańcuch i kłódkę, klucz i wiosła brało się z recepcji. Nie było wielkiego tłoku. Przyszedł raz popływać młodzieniec, na stronie zwany Połamańcem, bo dziwnie jakoś wydawał się pokraczny. Za dużo miał rąk i nóg i takie robił wrażenie, jakby mu się kończyny wyginały na wszystkie strony. Włazł do łódki.

Przyglądałam mu się przez chwilę, po czym powiedziałam grzecznie:

- Ona jest zamknięta. Musi pan wziąć klucz z recepcji.

Uprzejmy Połamaniec podziękował, poszedł i wrócił z kluczem. Ubrany był jeszcze w spodnie i koszulę. Znow włazł do łódki i wówczas okazało się, że zapomniał o wiosłach. Wylazł, poszedł po wiosła, wrócił. Łódka przez ten czas odpłynęła kilka metrów i utkwiała w trzcinach. Przyglądałam się temu cały czas z wielkim zainteresowaniem. Połamaniec zakłopotał się okropnie, jał czynić próby przyciągnięcia jej z powrotem, ale była za daleko, żaden drąg nie sięgał. Pomedytował nieco, po czym tak jak stał, w tych spodniach, butach i koszuli, włazł po pas w wodę, pobrnął ku trzcinom i przyciągnął łódkę. Wylazł na pomost, zamierzał do niej wsiąść, ale wtedy jedno wiosło wpadło mu do wody i odpłynęło. Zastanowił się, znow włazł do jeziora, nie wiem, co by zrobił, bo dalej było głęboko, ale akurat przyszedł na pomost jakiś normalny człowiek.

- Panie, gdzie pan się wybiera? - spytał z politowaniem. - Popłyn pan po to wiosło, przecież ma pan drugie.

Połamaniec wrócił na pomost, włazł do łódki i popłynął na jednym wiosle. Dogonił tamto drugie. Nie utopił się, bo nazajutrz widziałam go żywego, ale od owej chwili wiem z całą pewnością, że głupota ludzkich poczynań nie ma żadnych granic. I niech mi nikt nie wmawia, że cokolwiek jest niemożliwe.

Odbываły się w tym łąckim pałacu zachwycające bale, w których uczestniczyłam bez najmniejszych sprzeciwów ze strony Teresy. Największe powodzenie miała przedwojenna pani generałowa, osoba delikatnego zdrowia, co najmniej pięćdziesięcioletnia, w dni zwykle rzucająca się w oczy powłóczystym purpurowym szlafrokiem, w którym chodziła rano i wieczorem do łazienki. Ktoś raz okazał niewiarę w jej dolegliwości, mocno eksponowane przy okazji rozmaitych wymagań.

- ...a tak pani dobrze wygląda? - powiedział podejrzliwie.

- Bo ja, proszę pana, jestem chora na serce, a nie na twarz - odparła dama z godnością i nieco zgryźliwie.

Mimo serca, wieku i tuszy tańczyła na owych balach z zapalem i ku mojemu zdumieniu była rozrywana. Dowiedziałam się potem, że tańczy jak anioł, a co kogo obchodzi, ile ma lat. Nikt się z nią żenił nie będzie.

Ów Łąck jest dla mnie jeszcze o tyle pamiętny, że tam po raz pierwszy w życiu spadł na mnie pocałunek osobnika płci męskiej. Wstrząs był to potężny, moje poglądy na taką rozpustę stanowiły mieszaninę przedwojennych powieści o cnotliwych panienkach, nakazów religii, opinii mojej matki oraz własnego, prywatnego poczucia honoru. Co tu miał honor do rzeczy, trudno dociec, ale miał. Młodzieniec mnie pocałował z zaskoczenia i przypadło, zbrukana byłam na zawsze.

Podobałam się mu. Umówił się ze mną w Warszawie, poszliśmy na spacer do Łazienek i tam wykreślił się z mojego życiorysu, można powiedzieć, jednym kopem. Przez aleję przełąziła w poprzek wielka, kolorowa, niewątpliwie bardzo piękna licha. Gąsienica znaczy. Do lich i liszek miałam stosunek zgoła osobliwy, nie znosiłam tego, owszem, usiłowałam przełamać wstręt i kiedyś, po przyglądaniu się dwóm sztukom i wmawianiu w siebie, że są bardzo ładne i nieszkodliwe, dostałam w nocy gorączki i jakichś innych objawów paranoi. Zrezygnowałam z zaprzyjaźnienia się z żyjątkami i wolałam je omijać.

Teraz, w tych Łazienkach, na widok stworzenia miotnęło mną, skrzyłam, żeby się oddalić, z wysiłkiem patrząc w inną stronę, a ten kretyn przy moim boku postanowił okazać się mężczyzną. Idiota tysiącokrotny. Podbiegł do lichy i rozdeptał ją.

Wstręt do niego eksplodował we mnie z trzaskiem. Zabił żywe stworzenie! Niepotrzebnie! Z głupoty, a może z okrucieństwa! Połączył się w dodatku tym sposobem z tą lichą i ze wszystkimi Uchami świata! Podobał mi się przedtem, przestał podobać w jednym mgnieniu oka, nie umówiłam się z nim więcej, pożegnałam go w histerycznym pośpiechu i więcej nie widziałam na oczy.

Co do lichy natomiast, szmergiel na tym tle pozostał mi na zawsze. Znów dokonam przeskoku w czasie, tym razem do przodu. Dorosła już byłam, miałam dzieci, moja rodzina zaś miała tak zwaną działkę pracowniczą na Okęciu. Zbierałam na tej działce maliny i na jednym liściu siedziała mała zielona liszka. Zamknęłam oczy, ominęłam ją, ominęłam także dojrzałe owoce, rosące tuż przy niej. Liszka nagle urosła, pozostała zielona, ale miała co najmniej metr długości i grubość

ludzkiego uda. Uniosła głowę i popatrzyła na mnie.

- Ślepa jesteś? - spytała z naganą. - Nie widzisz tych malin?

- Widzę, ale wiesz, siedziałaś na nich... - odparłam z zakłopotaniem.

- Po pierwsze, co z tego? - obraziła się licha. - A po drugie, świń ze mną nie pasłaś. Jak ty się do mnie zwracasz? Bądź uprzejma mówić „proszę pani”.

- Tak, proszę pani - powiedziałam posłusznie. - Muszę pani powiedzieć, że ja mam pewien uraz. Takie liszki... no, nie chciałabym być niegrzeczna, ale jakoś mi nie leżą.

- A niby dlaczego? - zdziwiła się licha.

- Nie wiem. Bardzo mi przykro, ale nie wytrzymuję.

- Nie powiesz chyba, że nie jestem piękna...?

- Ach, nie - zgodziłam się pośpiesznie. - Oczywiście, że pani jest piękna! Ale ja na to akurat nie mogę patrzeć, nic nie poradzę i najmocniej panią przepraszam...

- Musisz być zupełnie głupia - zaopiniowała licha po namyśle. - No dobrze, zdarzają się wśród ludzi takie kretyńskie zamroczenia. Zbierz te maliny, bo w końcu ja ci źle nie życzę. Nie próbowałaś się przełamać? I czy ci nie przychodzi do głowy, że wszystkie jesteśmy motylami?

- Będziecie - sprostowałam. - Będą panie - poprawiłam się pośpiesznie, bo nie zamierzałam się jej narażać, jeszcze by się na mnie rzuciła... - Owszem, ale czy ja się muszę przełamywać? Nie wchodzimy sobie w drogę wzajemnie.

- Niemniej jest mi przykro budzić wstętność - powiadomiła mnie licha z godnością. - Może jednak mogłabym ci się spodobać? Popatrz na mnie!

Popatrzyłam. Jej rozmiary powodowały, że nie wywoływała we mnie normalnego obrzydzenia, może istotnie mogłaby mi się w końcu spodobać.

Powiedziałam jej o tym.

- No i widzisz! - ucieszyła się. - Bardzo dobrze. Porozmawiać, w każdym razie, możemy...

Nie pamiętam niestety całej tej konwersacji z lichą. Kiedy wylazłam z malin, nie bardzo wiedziałam, gdzie jestem i obraz tego wielkiego, jasnozielonego cielska w gąszczu do dziś mam przed oczami. Nie pierwszy to był wypadek opętania przez moją upiorną wyobraźnię i, jak łatwo zgadnąć, nie ostatni.

Zanim przejdę do ostatnich przed maturą, niezmiernie atrakcyjnych wakacji, muszę jeszcze wspomnieć wielce pamiętną podróż. W okresie zimowych ferii, które w tamtych czasach obejmowały okres Bożego Narodzenia i Nowego Roku aż do

Trzech Króli, pojechałam sobie do Cieszyna, tym razem już sama, bo moja matka nie znosiła zimy. Najpierw stałam w ogonku po bilet, w Orbisie, pięć i pół godziny, nie wiadomo po co, bo w pierwszy dzień świąt pociągi jeździły prawie puste i bez żadnych kłopotów mogłam kupić bilet na dworcu. No dobrze, ale w obliczu wściekłego tłoku wszędzie i permanentnych kolejek, komu by taki luksus przyszedł do głowy? Stanie w owym ogonku zresztą było dość rozrywkowe, rozżarty naród usiłował nie wpuścić do środka kasjerki, a dwie osoby zostały siłą wywleczone za garderobę spod częściowo opuszczonej kraty, tak że nawet tego błędu nie żałowałam.

W owym prawie pustym pociągu spadły na mnie pierwsze poważne oświadczyzny. W tym samym przedziale jechał restaurator z Warszawy, miał tę restaurację gdzieś na Pradze i tyle z niego pamiętam, że miał okrągłe, wyłupiaste oczy. Był potwornie stary, miał trzydzieści osiem lat, sam mi o tym powiedział, przedstawiając się z detalami. Wdowiec chyba, trzeźwy jak świnia, już po krótkiej rozmowie z całą powagą i bardzo elegancko zapraszał mnie do siebie po powrocie z tych ferii, nie kryjąc, iż zacieśnia znajomość w celach matrymonialnych. Wyznałam mu wprawdzie, że mam dopiero piętnaście lat, ale odparł, że to nic nie szkodzi, za pół roku będę miała szesnaście i dojrzeję do zamęścia, a on chętnie poczeka. A życie będę miała jedwabne. Nie zamierzałam go poślubić, ale poczułam się wzruszona i dumna niezmiernie.

W lecie znów byłam w Cieszynie, tyle że krócej. Twardo chodziłam po górach, nie po turniach tatrzańskich rzecz jasna, tylko po zwyczajnym Beskidzie. Szłam zawsze pierwsza, tempo narzucałam ostre, a tak naprawdę leciałam pod górę jak z propelerem, żeby jak najszybciej mieć za sobą najgorsze. W wieku lat jedenastu zbyt szybko wyrosłam, miałam osłabienie mięśnia sercowego i dusiłam się na każdym wzniesieniu, obojętne, czy była to Barania Góra, czy schody. Na szczytach mi przechodziło, zaczynałam czuć się lepiej i wszystko było w porządku, pchałam się zatem na szczyty.

Teraz się zastanawiam, czy owa podróż i owe oświadczyzny nie nastąpiły w okresie Wielkanocy, bo na Wielkanoc z całą pewnością też byłam w Cieszynie. Nie, chyba jednak nie, kiedy kotłowałam się w orbisowskim ogonie, był porządny mróz, w Cieszynie zaś, na Wielkanoc, musiałam sobie pożyczyć letnią kieckę od Lilki, tak się zrobiło gorąco. Poza tym, chodziłam już wówczas prawie wyłącznie na wysokich obcasach, więc może ta Wielkanoc wypadła w rok później. W każdym razie wyszliśmy na spacer wiosenny, szosą, ja na tych obcasach, i opatrzyliśmy się pod

szczytem Baraniej. Szłam obmurowanym brzegiem Wisłoki, a śnieg mi sięgał do bioder, równie dobrze mogłam iść po śniegu, bo był ubity na kamień.

Ostatnie wakacje, te po klasie dziesiątej...

Znalazłam swoje szkolne świadectwa i wyraźnie widzę, że z tymi klasami panował czysty obłęd. Szkoły przechodziły na inny system, w wyniku zmian w roku czterdziestym szóstym, po ukończeniu w Bytomiu klasy drugiej, zostałam przyjęta w Warszawie do klasy trzeciej, potem zaś, w roku czterdziestym siódmym apiać ukończyłam klasę drugą. W pierwszym półroczu roku szkolnego 47/48 uczęszczałam do klasy trzeciej, zaś w roku czterdziestym ósmym znalazłam się w klasie dziesiątej. Dalej już było w porządku, maturę zdawałam jako klasa jedenasta. Po owej klasie dziesiątej zatem precudowne wakacje w połowie spędziłam na obozie harcerskim nad morzem.

Pojechałyśmy na ten obóz wszystkie trzy, Lilka, Janka i ja, przy czym tylko Lilka znalazła się tam legalnie. Był to obóz artystyczny chorągwi Śląsko-Dąbrowskiej i zgadzało się, Lilka należała do chorągwi Śląsko-Dąbrowskiej. Mnie wyrzucono z warszawskiej, Janka zaś, zdaje się, w owym momencie nie należała nigdzie. Pojechałyśmy po kumotersku, kierownikiem artystycznym obozu był bowiem przyjaciel Lucyny, niejaki pan Zdzisław, podczas gdy ona sama objęła stanowisko instruktorki tańca. Uzyskałam posadę jej zastępczyni i uroczyście zapewniam, że nie była to synekura.

Pan Zdzisław był od śpiewu, i w ogóle od układów artystycznych, i od pierwszej chwili wypowiedział do mnie bardzo rozsądne słowa:

- Ja panią bardzo proszę, niech pani nie śpiewa. Chciałbym, żeby mi chór czysto brzmiał...

Śpiewu wyrzekłam się chętnie. Zanim to jednak nastąpiło, spotkałyśmy się wszystkie trzy w Katowicach u Lucyny i spędziłyśmy dzień na pakowaniu plecaków. Jednej Lilce przeszło ulgowo, umiała. Ja się poddałam, co mi nie weszło, wepchnęłam Lucynie. Janka natomiast, zziębnięta, rozczochrana, ubiła wreszcie swój tobół do końca, otarła pot z czoła i usiadła byle gdzie, żeby trochę odpocząć. Natychmiast okazało się, że siedzi na swoich butach, które też należało zmieścić...

Z Katowic wielka wataha wyruszyła ku morzu. Cała podróż trwała dwadzieścia sześć godzin. Mieliśmy dla siebie wagony w ilości raczej umiarkowanej, ale młodzieży tłok nie przeszkadza. Nawaliło zaopatrzenie, skończył się nam własny suchy prowiant i na jakiejś stacji, w czasie dość długiego postoju, byliśmy już

strasznie głodni: W pobliżu znajdował się sklep spożywczy, poszliśmy tam, my trzy i jeden chłopak, niejaki Zbyszek, wielbiciel Lilki. W sklepie były wyłącznie czerstwe bułki i skumbria w tomacie. Nabyliśmy te produkty, po czym okazało się, że skumbrii w puszcze nie ma czym otworzyć. Głód przeistoczył nas w skrzyżowanie dzikiego zwierzęcia z wynalazcą i otworzyliśmy ją w końcu za pomocą zardzewiałego gwoździa i scyzoryka. Finki nie były wtedy rozpowszechnione, rzadko kto taki cymes posiadał. Następnie wyszło na jaw, że nie ma czym jeść. Nie pamiętam, czy mieliśmy własne sztucce, ale nawet jeśli, znajdowały się na dnie plecaków, a plecaki w pociągu, ciasno upchane i wcale niełatwe do wywleczenia, możliwe też, że sztucce miały być obozowe i własnych się nie wiozło. Poszliśmy dalej w wynalazczości i wygarnialiśmy tę skumbrię z puszki następującymi narzędziami: pilnik do paznokci, trzonek szczotki do zębów, kawałek połamanej plastikowej mydelniczki oraz żyłotka. Pierwszy zakończył posiłek Zbyszek, bo jednak żyłotka nie zdała egzaminu, szybko zaczął wyglądać jak wampir, co trochę odbierało apetyt. Najlepiej wyszła na tym interesie Janka, ponieważ mydelniczka zagarniała największe porcje. W każdym razie z głodu udało nam się nie umrzeć.

Podróż trwała dostatecznie długo, żeby znalazł się czas na rozmaite głupoty. Na jakiejś innej stacji kupiliśmy truskawki i przypomniało mi się nagle, że maseczka z truskawek doskonale robi na cerę. Radośnie, wśród chichotów i ogólnej aprobaty, rozmasowałam sobie dwa owoce po brudnej i zakurzonej twarzy i efekt był wstrząsający. Truskawki zaschły, pociąg ruszył, nie miałam wody do zmycia tego upiększenia i pod koniec podróży wyglądałam jak ranny Indianin, osoba chora na czarną ospę i w ogóle mazepa. Nabyte tym sposobem parchy zeszyły mi dopiero po paru dniach.

Od pierwszej chwili rozbijania obozu zyskałam sobie opinię nieroba, lenia oraz kretyнки. Skompromitowana Lucyna warczała i pluć jadem, ja zaś pograżyłam się we wstydzie i rozpacz. Powód tego był prosty, nie miałam zielonego pojęcia, jak się rozbija obóz i co przy tym trzeba robić, nie umiałam wbijać śledzi, nie umiałam ustawiać masztu, nie umiałam ocenić terenu, nic, zero kompletne. Bardzo chciałam pomagać i odwalać robotę, tymczasem udawało mi się tylko albo przeszkadzać, albo sterczeć na uboczu w charakterze hrabianki o dwóch lewych rękach. Na to, żeby się schować i nie rzucać ludziom w oczy, nie miałam dość rozumu, a wyznanie, że nic nie umiem, nie przechodziło mi przez gardło.

Obozów było dwa, męski i żeński, oddzielone od siebie kawałkiem lasu, a

usytuowane były w Mielnie, tuż nad morskim brzegiem. Namioty mieliśmy wielkie, dwunastoosobowe. Moja matka, która radośnie towarzyszyła swojej siostrze, mieszkała razem z nią w pokoju wynajętym u rybaka przy szosie, niezbyt daleko, między nami a miastem. Usiłowała mnie namówić, żebym zamieszkała razem z nimi, ale zaprotestowałam z siłą cyklonu i pozostałam w obozie. Pozostałabym też zapewne w klatce z głodnymi tygrysami.

Obóz, chwalić Boga, zdołano urządzić beze mnie, morze znajdowało się pod nosem, można się było wreszcie nie tylko wykąpać, ale nawet umyć, co z racji maseczki z truskawek stanowiło dla mnie czynność pierwszej potrzeby. Pogoda trwała przecudowna, morze jak zupa, jednak było to pełne morze i fale istniały. Wlazłyśmy do wody obie z Janką, mydląc się gorliwie normalnym mydłem, niechętnym słonej wodzie, słona woda przeszkadzała, Jankę nagle poderwało.

- No kto się wygłupia z tymi falami?! - wrzasnęła z irytacją.

- To jest morze - pouczyłam ją, kiedy już przestałam się śmiać, dziko dumna z faktu, że już nad nim byłam i już je poznałam. - Ty się w ogóle ciesz, że one takie małe. Za to na większych można skakać.

Harówka zaczęła się od razu, od następnego dnia. Moim pierwszym obowiązkiem było zerwać dziewczyny o szóstej rano i poprowadzić gimnastykę. Najtrudniej było zerwać siebie, w następnej kolejności Jankę, reszta wstawiała dobrowolnie. Krzyż pański z nią miałam od początku do końca, bo demoralizowała pozostałe, gimnastyka w jej wykonaniu mocno przypominała niemrawe opędzanie się od much, przeciwko energiczniejszym ćwiczeniom protestowała głośno i stanowczo. To ja byłam zgrzana po gimnastyce, a nie one, za to pełne rozbudzenie następowało błyskawicznie.

Natychmiast potem, nie na głodno rzecz jasna, tylko po posiłku i rozmaitych zajęciach porządkowych, zaczynały się ćwiczenia artystyczne. Pan Zdzisław był czarujący, Lucynę młodzież uwielbiała, wszyscy z zapałem przystępowali do tańca i śpiewu. Była to w ogóle ta biedniejsza młodzież śląska, starannie dobrana z punktu widzenia różnych uzdolnień i talentów.

Prowadziłam taniec, umiałam, chociaż pojęcia nie mam skąd, wszelkie polki, mazury, krakowiaki i oberki z figurami, trochę mnie podszkoliła Lucyna, a dziw zgoła, że nie zauważył Sygietyński. Tu Janka odpracowywała poranne niedociągnięcia, była najlepsza bezwzględnie, tańczyła w pierwszej parze ze Zbyszkiem, uroczym zresztą chłopcem, który odznaczał się szczególną właściwością.

Tańce ludowe tańczył genialnie i na tym się kończyło. Ile się namęczyłyśmy, żeby go nauczyć zwyczajnego walca, tanga, albo chociaż swinga, ludzkie pojęcie przechodzi, wszystko bez rezultatu. Oberek też był na raz-dwa-trzy.

- Słuchaj - mówiłyśmy z rozpaczą. - To jest całkiem to samo, tylko trochę wolniej!

Nic, jak do pnia, paraliż miał w nogach, salonowe mu nie szły. Za to taki mazur na przykład, Jezus Mario, tylko mu kontusz i karabelę...!

Był jeden chłopak, ogromnie sympatyczny i równie niedźwiedziowaty. Na klęczkach błagałam, żeby spróbował podskoczyć, nie tańczy się marszowym krokiem! Nawet usiłował, ale bez skutku, w końcu zebrał się w sobie, trzeba nieszczerstwa, że wtedy już mieliśmy próby występów w sali ze sceną, podskoczył i scena się zawaliła. Przestałam go namawiać.

Jakoś szybko, chyba już po kilku dniach, zrobiliśmy wspólne ognisko na plaży. Najpierw były śpiewy, a potem zaczęto wołać: „Franek, zagraj!”

Franek to też był chłopak śląski, dziewiętnastoletni, naczelnym akordeonista obozu. Nie miał nic przeciwko granium.

- Co mam zagrać? - zapytał.

- Rapsodię Węgierską! - odkrzyknięto. Ścierpła mi skóra i jelito długie zwinęło się w dodatkowe węzły. Rapsodię Węgierską znałam i wyjątkowo lubiłam, mimo braku słuchu umiałam ją ocenić, dziwne, ale prawdziwe. Cholera, spaskudzi nastrój rzepoleniem...! Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale jakoś głupio mi było, no trudno, może przetrzymam zarznięcie ulubionego utworu...

No i Franek zagrał. JAK zagrał...! Oniemiałam, w życiu nie słyszałam tak wykonanej na jednym akordeonie Rapsodii Węgierskiej. To nie był akordeon, to była cała orkiestra!

Franek był zwyczajnie utalentowany. Już w dwa lata później grał w Wielkiej Orkiestrze Polskiego Radia w Katowicach. Pojęcia nie mam, jak się nazywał, więc nie wiem, co się z nim dzieje obecnie, może gra w Londynie albo w Nowym Jorku.

Śpiew stał na wysokim poziomie, bo pan Zdzisław był fachowcem. Już po tygodniu chyba zaczęliśmy występy, na które przychodziła cała miejscowa ludność, tak przyjezdna, jak i stała. Nie ograniczyło się do śpiewu i tańca, za dużo mieliśmy siły i wigoru, za dużo inicjatywy i chęci, ruszyły przedstawienia. Jedno było pantomimą z narracją, drugie stanowiło mieszaninę.

Narracja szła wierszem, który wygłaszałam tyle razy, że częściowo do tej pory

pamiętam.

Na granicę skał wielki zamek stał, a w nim, znany z dumy pańskiej, mieszkał sobie grand hiszpański, co jadł, pił i spał. I ów możny pan, z szumnych wąsów znan, miał on piękną bardzo córę, która ciągle rosła to górę pośród zamku ścian.

Dalej forma mi umknęła, ale została treść. W nieobecności granda do zamku przybył młodzian i uderzył w konkury do córy. Grandowi się to nie spodobało, zaskoczył młodzieńca i przymusił do pojedynku. *Śmiałku!, krzyknął, wióry trumny będziesz gryźć! Broń się więc!*

Kończyło się następująco:

Nagle straszny cios! W pannie zamarł głos. Bo gdy z sobą tak walczyli, poprzez pannę sobie wbili ostateczny cios!

Epilog zawierał krótką informację, że trzy duchy krążą w zamku po dziś dzień.

Drugie przedstawienie wyglądało podobnie, z tym że osoby dramatu dawały niekiedy głos. ale też całość oparta była na narratorze. Król w tym interesie występował, królowa i przybyły zza mórza na białym koniu królewicz. Król oceniał konkurenta negatywnie, obrzucając inwektywami, królowa, nie pamiętam już, albo z nim uciekała, albo umierała z żalu, pewne jest, że w wyniku tragicznych wydarzeń *los zaszumiał, jezioro z rozpaczy wylało, a zamek rozsypał się w gruzy.*

Rzadko w życiu zdarzało mi się śmiać tak jak wtedy. I nie mnie jednej. Za szczytowe osiągnięcie uznaliśmy zesiowanie się ze śmiechu dorosłego chłopaka, który uciekł wyjąc, a struga się za nim ciągnęła. Nikt się z niego nie natrząsał i nikt mu złego słowa nie powiedział, wręcz przeciwnie, obdarzony został wdzięcznością za właściwą ocenę przedstawienia.

W pierwszej sztuce grandem był szczupły chłopak, porządnie wypchany poduszkami, młodzianem zaś najcudowniejsza pokraka świata. Chłopak bardzo wysoki i chudy, z wystającymi kolanami i łokciami, z okrągłymi ciemnymi oczami w równie okrągłej twarzy, z fenomenalnym poczuciem komizmu. Mocno przypominał Połamańca z Łącka.

Omam przez niego nie położyłam sztuki, bo byłam, rzecz jasna, narratorem. Zawsze spadały na mnie jakieś takie uciążliwe i odpowiedzialne role. Stałam z boku, w przedzie sceny, a sztuka toczyła się za moimi plecami, rozwój akcji rozpoznawałam po dźwiękach. Grand sapał i szurał tronem, córa rosła w górę wśród westchnień w ten sposób, że” siedziała w kucki, dwie dziewczyny zasłaniały ją

kocem, ona zaś podnosiła się stopniowo, wylaniając zza zasłony, po czym jeszcze włąziła na ukryty stołek i osiągała mniej więcej metr dziewięćdziesiąt. Młodzian przybywał tupiąc, grand wpadał z hałasem, zaś po słowach: *Broń się więc!* następował okropny klekot białej broni z drewna.

Powiedziałam: „Broń się więc!” i czekałam na klekot. Za mną panowała idealna cisza, widownia natomiast powolutku zaczynała dostawać spazmów. Nim jeszcze rozszalały się wycia, piania i ryki, obejrzałam się delikatnie, zaniepokojona, co się dzieje i o co chodzi. Ujrzałam scenę, której wręcz nie ma sposobu opisać.

Pokrakowaty młodzieniec, z oczami jak spodki, na ugiętych patykowatych nogach, obracał się z wolna, wyraźnie szczękając zębami, grand zaś, z wyrazem świętego oburzenia na twarzy, kłuł go mieczem w tyłek.

Na całe szczęście widownia była już w tym momencie niezdolna do oceny czegokolwiek, a bitwa na drewniane miecze trochę potrwała. Może nawet dłużej niż zwykle, bo musiałam się opanować. Jakoś zdołałam, podjęłam tekst, grandówna zleciała ze stołka, padli wszyscy, zostali przyrzućeni kocem i płacząc się w tym kocu, w charakterze duchów opuścili scenę.

W drugiej sztuce król wprowadzał dodatkowe napięcie, miał bowiem rzec: *Takiemu opryszkowi mam dać córkę za żonę?* Króla grał niejaki Romek, który wprowadził jąkanie się na samogłoskach i kiedy zaczynał: „Takiemu o... o... o...”, z dziką ciekawością czekaliśmy, co powie. Za każdym razem wymyślał inne słowo, opryszkowi, ofermie, oszustowi, obibokowi, wszystko na „o”, a w pomysłach był niewyczerpany. Zdaje się, że poleciał jeszcze osioł, oberwaniec, obrzydliwiec i ofiara boża.

Królewiczem był Zbyszek, pasował doskonale. Białego konia zdobył. Gdzieś wynalazł żelazny maszt pomalowany na biało, uwiązał na nim but i już miał rumaka. Jak nim zawinął na scenie i przygruchał mi w goleń, przez tydzień czułam przedstawienie na sobie. Królowny zawsze grała Ewa, prześliczna piętnastoletnia idiotka, doskonała do tych ról.

O stroje wszyscy starali się sami, wykazując niewiarygodną inwencję. W charakterze zamku, który rozsypywał się w gruzy, występował ogromny dziurawy sagan o dwóch kondygnacjach uszu, znaleziony gdzieś na śmietniku. Przewracany był kopnięciem i raz poleciał w widownię. Włosy doskonale wychodziły z wydmowej trawy. Dokładna penetracja terenu dawała olśniewające rezultaty i udało się znaleźć nawet pancerz ze srebrnego papieru.

Któreś przedstawienie odbyło się specjalnie dla wojska i trzeba przyznać, że żołnierze stanowili bardzo wdzięczną publiczność, wszyscy jak jeden popłakali się ze śmiechu. Kiedy obóz się skończył i już wyjeżdżaliśmy, żegnało nas nie tylko całe Mielno, ale zgoła pół wybrzeża, ostatnie przedstawienie odbywało się na peronie, „żegnajcie, kochani” śpiewał z nami cały dworzec kolejowy, a co poniektóre osoby miały szczere łzy w oczach.

Żarcie na tym obozie było znakomite, gotowała świetna kucharka, o młodej kapuście napisałam w utworze p.t. *Drągi wątek*. Mimo to byłyśmy dożywiane prywatnie. Wszystkie trzy, Lilka, Janka i ja, latałyśmy do mojej matki i Lucyny i pożerałyśmy dodatkowo bułeczki z wędzoną makrelą albo inne specjały, bo nad morzem apetyt nam „dopisywał. Lucyna, która często miewała szatańskie pomysły, o mało przy okazji nie przyprawiła mojej przyjaciółki o zawał w młodym wieku.

Szłam do nich pierwsza, Janka kawał za mną, Lilka jeszcze dalej, na końcu. Tak nam jakoś akurat wypadło. Weszłam do pokoju i natychmiast Lucyna pokazała mi olbrzymiego węgorza, jeszcze trochę żywego, rozszarpującego opakowanie z papieru.

- Podłożymy Jance - zaproponowała z uciechą. - Zobaczymy, co będzie.

Też byłam ciekawa, co będzie, więc nie protestowałam. Janka nie znosiła wijących się stworzeń jeszcze bardziej niż ja i kiedyś cały dodatek do filmu przesiedziałyśmy z zamkniętymi oczami, bo pokazywali węże w przyrodzie. Jedna drugą pytała, czy już, i zachęcała do popatrzenia.

Wracając do węgorza, umeblowanie tego pokoju wyglądało tak, że pod ścianą stała kanapa, a do niej dosunięty był stół, tak blisko, że nie można się było za nim wyprostować, wchodziło się i wychodziło z dużym trudem, w przysiadzie. Lucyna położyła węgorza razem z papierem na kanapie.

Janka weszła, nie przeczuwając zamachu.

- Siadaj! - poleciła jej Lucyna, wskazując kanapę.

Janka spojrzała pytająco i zawahała się.

- Siadaj, siadaj. Mamy do ciebie interes. Zaraz się dowiesz jaki.

Wciąż trochę niepewnie, ale posłusznie, moja przyjaciółka zaczęła się wciskać za stół, wpatrzona w Lucynę, nie spoglądając za siebie. Zlitowałam się nad nią. - Obejrzyj się - poradziłam ostrzegawczo. Janka, już i tak nabierająca podejrzeń, obejrzała się błyskawicznie. W tym właśnie momencie czarny potwór wyłazł z papieru i zaprezentował się w całej okazałości.

Jak ona to zrobiła, nie byłam i nie jestem w stanie pojąć. Nie wychodziła zza tego stołu, z wrzaskiem potwornym wyfrunęła chyba i możliwe, że górą. W ułamku sekundy tkwiła w kącie ze ściśle zamkniętymi oczami, nadal wrzeszcząc i opędzając się rękami od okropności. Lilka usłyszała ją na zewnątrz, przyspieszyła kroku i trafiła na sam rozkwit przedstawienia. Janka w końcu uciekła, przez kilka dni omijała ten dom szerokim łukiem i nie dawała się namówić na wejście do środka, chociaż tłumaczyłam, jak mogłam, że ten węgorz nie tylko zdechł, ale nawet został pożarty.

Wolnego czasu było dość dużo, korzystałyśmy z niego, nie marnując ani chwili. Lecialiśmy nad jezioro, kajaki mieliśmy do dyspozycji, moja matka wczuwała się w rolę kury z kaczkami.

- Co one robią! - mówiła ze zgrozą. - Przebierają się na tym kajaku! Wpadną do wody!

Jasne, że rozbierałyśmy się z mundurów już na kajaku, bo na brzegu lepiej było nie ryzykować, a kostiumy kąpielowe miałyśmy pod spodem. Byle odpłynąć, już nas wtedy te baby nie dopadną, a wezwań postaramy się nie słyszeć. Pogoda nam się przytrafiła rzadko spotykana, bo w ciągu całego miesiąca zaledwie dwa razy padał deszcz. Raz był wiatr od lądu i Lilka omal się nie utopiła, odpłynawszy z wsteczną falą. Nie popłynęła daleko, ale okazało się, że nie może wrócić. Przerazone śmiertelnie, zrobiłyśmy łańcuch rąk, udało nam się w końcu do niej dotrzeć, podać jakiś drag i przyciągnąć. Leżała potem na piasku ledwie zipiąc.

Raz, a może nawet dwa razy, urządziłyśmy sobie cywilizację. Zimna morska woda nie myje najlepiej, nagrzałyśmy kocioł słodkiej i zajęłyśmy na łazienkę piętro jednego z licznych, pustką stojących domów. Możliwe, że bezpośrednią przyczyną wybuchu tych potrzeb higienicznych była Ewa-królowna, której szyja zaczęła się rzucać w oczy. Drużynowa osobiście sprawdziła tę wyjątkowo silną i nietypową w kolorze opaleniznę, po czym wszystkie, plując na palec, z niepokojem zaczęłyśmy sobie pocierać skórę. Wyszło nam, że jednak łazienka bardzo się przyda.

Tamże właśnie, na tym obozie, byłam na pierwszej w życiu romantycznej randce, nocą, przy gwiazdach i księżycu. Obiektem towarzyszącym był czarujący chłopak, pierwowzór Bogusia ze Zwyczajnego życia, już po maturze, wybierający się na Akademię Medyczną. Naprawdę na imię miał Stefan. Proza wdarła się w sentymy i amory, były to bowiem czasy, kiedy bronowano plażę i WOP patrolował wybrzeże. Siedzieliśmy w koszu i całowaliśmy się, do której to czynności miałam już stosunek odmienny niż przed rokiem, kiedy nagle na piasku zaskrzypiały kroki. Na

myśl, że może to być moja matka albo Lucyna, zamarłam, zdrętwiałam i zrobiło mi się słabo. Widok żołnierza WOP-u uszczęśliwił mnie tak, że wręcz gotowa byłam paść mu na szyję. Żołnierz był młody i pełen zrozumienia, nie czepiał się przesadnie, puścił nas wolno i tylko wygonił z plaży. Wieść o wykroczeniu jednakże jakoś się rozeszła i zostałam ukarana, ale nie przejęłam się wcale, bo wiedziałam, że drużynową kieruje głównie zawiść. Chłopaka straciłam z oczu nie tak od razu, nieco później, o ile wiem, dziś jest profesorem medycyny, jak chce, niech się rozpozna. Przepięknie pływał, zazdrościłam mu z całej siły.

Usłyszałam wtedy komplement wielkiej miary, aczkolwiek gatunku może nietypowego. Na kajaku to było.

- Jak ci pięknie łopatki chodzą! - powiedział z zachwytem siedzący za mną młodzieniec.

Ogólnie biorąc, wyglądałam na tym obozie jak pomietło, więc istotnie ciężko było znaleźć we mnie cokolwiek więcej pięknego. Doceniłam, że chociaż łopatki...

Po obozie obie z Lilką pojechałyśmy do Cieszyna, moja matka oczywiście też, Janka została w Warszawie. Owego sierpnia w Cieszynie stałam się solą w oku i kością w gardle Hance, narzeczonej Heńka. Pan Bóg mnie skarał, bo niejeden raz później sama padłam ofiarą podobnych uczuć. Wtedy jednak, nie pojmując sedna sprawy, egzekwowałam swoje prawa do własnego kuzyna, a Heniek, być może nieco przeciwny zaborczości narzeczonej, jeszcze mi w tym pomagał. Na szczęście później się z nią ożenił i już mają wnuki, mogłam zatem pozostać z Hanką w przyjacielskich stosunkach.

Zaraz po wakacjach nastąpiła przełomowa dla mnie chwila i popełniłam największy idiotyzm w życiu, mianowicie pokierowałam się rozsądkiem.

Już we wrześniu, po rozpoczęciu roku szkolnego, zostało zaplanowane w Katowicach wielkie ognisko, niejako uroczyste zakończenie tamtego obozu artystycznego. Byłyśmy na nie zaproszone. Nie miałam pieniędzy, bo korepetycje jeszcze nie szły, ze szkoły musiałabym się zwolnić na co najmniej trzy dni, co, diabli wiedzą dlaczego, wydało mi się szkodliwe, razem wzięwszy, sprawa była trochę skomplikowana. Zastanowiłam się i postanowiłam postąpić racjonalnie, trudno, zrezygnować z rozrywki, nie jechać, nie szarpać się i nie miotać, rozważyłam argumenty, z których najistotniejszym był ten cholerny brak pieniędzy, i podjęłam męską, negatywną decyzję.

Odżalować tego potem nie mogłam. Okazało się, że koszty zamierzała ponieść

Lucyna, podstawowy problem zatem odpadał, ale dowiedziałam się o tym za późno. Na miejscu było przecudownie, przyjechał Stefan, Zbyszek na peronie kolejowym klęczał przed Lilką z bukietem kwiatów w ręku, wszyscy pytali o mnie i o Jankę, nie było komu prowadzić konferansjerki i w ogóle straciłam bezpowrotnie chwile niebiańskiego szczęścia.

Poprzysięgam sobie wtedy, solennie i uroczyście, że nigdy więcej w życiu nie będę rozsądna. I zdaje się, że tej przysięgi udało mi się dotrzymać...

Ostatni rok szkolny obfitował w wydarzenia natury uczuciowej, ale to już należy do innego tematu. Nie, wcale się nie uchylam, wręcz przeciwnie, z ekshibicjonistyczną lubością zamierzam potraktować rzecz obszernie, tylko ma ona jakąś ciągłość i nie należy jej szarpać kawałkami. Wejdzcie w ciąg dalszy i powlecze się przez lata, niczym smród za wojskiem, okazując się nawet, być może, pouczającą na zasadzie: uczmy się na cudzych błędach, bo sami i tak nie zdążymy wszystkich popełnić.

Chwilowo chciałabym skończyć z dzieciństwem i wyraźnie widzę, że udało mi się przeoczyć kilka istotnych elementów. Na przykład ryby.

Cud boski, że jednych karpie nie przypląciłam życiem. Ostrzegam, że zaczynam od dygresji do przodu.

Wszyscy wiedzą, jak wyglądała przez lata sytuacja z rybami przed świętami Bożego Narodzenia. Zdobywało się je różnie, podstępem, kumoterstwem, przemocą, stawem w Łazienkach, a przeważnie ogonami. Osobiście stałam po karpie dwa razy w życiu, za to długo, częściej stawała Lucyna, która z upodobaniem wprowadzała w ponury i wściekły kolejkowy tłum nastrój rozrywki i bawiło ją to ogromnie. W sześćdziesiątym dziewiątym roku wróciłam z Kopenhagi, po dwudziestu dziewięciu godzinach nieprzerwanej jazdy w zamieciach śnieżnych, zaspach i po gołoledzi, dobiłam do domu w przeddzień wigilii i bez odpoczynku udałam się do rodziny, poprzysięgając sobie, że przez tydzień nie dotknę kierownicy. Pogoda była piękna, szalał deszcz ze śniegiem albo śnieg z deszczem, na ulicach rozdyżdane błoto i wczesnie zapadłe ciemności, myśl, że mam do siebie trzy minuty jazdy, stanowiła nadzwyczajną przyjemność. U rodziny zamierzałam się tylko pokazać, udowadniając, że jestem żywa i zdrowa. A otóż i chała. Moja matka kazała mi natychmiast udać się na Grochów po ryby, razem z ojcem, który te ryby po kumotersku załatwił. Protestowałam rozpaczliwie, nie czułam się na siłach przejechać nawet stu metrów

poza własny dom, a co tu mówić o Pradze, ale mogłam gadać do ściany. Moja matka obraziła się na mnie, powiedziała, że wobec tego w ogóle nie robi świąt, spotkałam się z powszechnym potępieniem i w rezultacie pojechałam, głęboko przekonana, że właśnie popełniam samobójstwo. Ojciec, człowiek odważny i dla świętego spokoju gotów na wszystko, pojechał ze mną, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Nie byłam zdolna do prowadzenia samochodu, to pewne, pojazd jednak zachował się przyzwoicie, załatwił sprawę we własnym zakresie, beze mnie. Nie ja jechałam opel, tylko opel mną i przejechaliśmy w obie strony szczęśliwie.

Inne ryby, które pętały się po całym moim dzieciństwie, nie groziły już żadnym niebezpieczeństwem. Ojciec był wędkarzem zakamieniałym, z tych, co to mogą trzymać patyk nad każdą ciecżą, bez względu na sens i efekt. Złowione przez niego ryby widziałam kilkakrotnie.

Pierwszy raz, może to było nawet kilka pierwszych razy, łowił wspaniałe karpie w hodowlanych stawach swojego znajomego w Kośminie, jeszcze przed wojną. Przyglądałam się temu z wielkim zainteresowaniem i zapamiętałam na zawsze, że ryby łowi się na małe kostki cielęciny, na kulki z chleba, na groch, łubin i w ostateczności robaki. Świeży chleb usiłowałam zeżreć, a ojciec bronił go przede mną i w końcu oddawał mi skórkę. Połowy były wtedy obfite, uświetnione wieczorem straszliwymi scenami w kuchni, gdzie należało te ryby sprawić i usmażyć. Z okropnym krzykiem moja matka uciekła kiedyś przez całe mieszkanie aż do sypialni, bo jedno dzwonko ruszyło jej się jeszcze na patelni. Jadać tych ryb nie chciałam za skarby świata, ponieważ miały ości.

Następna złowiona przez ojca ryba pojawiła się przed moimi oczami w dziewięć lat później, kiedy pierwszy raz byliśmy w Cieszynie. Ojciec do nas dobił i wszyscy razem pojechaliśmy dokądś na ryby.

Zapalonym wędkarzem był także wujek, ojciec Lilki, który łowił głównie w Olzie, ale znał różne inne miejsca i udzielał rad. Wysłał nas w okolice Ustronia, gdzie owszem, rzeka płynęła, przechodził przez nią mostek i przed tym mostkiem moi rodzice zaczęli się kłócić. Matce się chyba wyprawa nie spodobała, postanowiła wracać do domu, ruszyła z powrotem, ojciec koił jej pretensje, namówił jakoś do kontynuowania wycieczki, zawrócili, poszli przez mostek. Na końcu mostka moja matka znów się zdenerwowała i znów zawróciła, a ojciec za nią. Przelecieli na drugą stronę, zatrzymali się, zawrócili.

Idąc powoli za nimi, czytałam książkę i nie zwracałam uwagi na sytuację.

Kiedy jednak uświadomiłam sobie, że czwarty raz przechodzę przez ten sam mostek, straciłam cierpliwość. Usiadłam na jakimś kamieniu i bez reszty oddałam się lekturze, postanowiwszy podnieść się dopiero, kiedy obydwójce podejmą jakąś wiążącą decyzję. Podjęli ją za jakimś szóstym albo siódmym przejściem, matka dała się przekonać, nadęta nieco i obrażona poszła dalej, znaleźli to miejsce do łowienia i wówczas ojciec skupił wszystkie siły, żeby ostatecznie ułagodzić żonę. Złapał rybę, możliwe, że siłą woli. Dumny z tego niezmiernie, nauczył mnie przy okazji zarzucać wędkę. Łowił potem ryby, owszem. Z reguły w czasie naszej nieobecności, a najwięcej, kiedy przyjeżdżał do Cieszyna sam, bo bardzo zaprzyjaźnił się z wujkiem. Coś uwędzonego przywoził nawet do Warszawy i musiał to być połów własny, bo podobnych okazów w sklepach nie sprzedają.

Ciotka wyznawała zasadę, że ten patroszy ryby, kto je złapał i moja matka z największą łatwością dała się zbuntować, złowili, przynieśli, niech teraz czyszcza. Wujek był do tego od dawna przyzwyczajony, ojciec uległ bez słowa protestu. Któregoś wieczoru odbyła się przy tej okazji krótka, ale trochę dziwna rozmowa.

- Czy ja cię zdołam namówić, żebyś mi zrobiła sałatkę z pomidorów? - powiedział Heniek do mnie.

- Przytrzymaj ją za łeb albo za ogon, to ci będzie łatwiej - powiedziała moja matka do mojego ojca.

Heniek osłupiał.

- Ja ją...? Za ogon? - spytał, przez moment zdezorientowany.

Ciotka miała wesołe usposobienie, przez tydzień po tym dialogu nie mogła się uspokoić i bardzo sobie chwaliła ich wędkarskie wyprawy.

Do Warszawy wracaliśmy wtedy wszyscy troje razem. Ojciec oczywiście wioził wędki, poskładane, ale co z tego, jednak bardzo długie. Na dworcu Głównym zaczął umieszczać je w taksówce. Najpierw spróbował wzdłuż i omal nie wybił przedniej szyby, spróbował w poprzek, wystawiając przez otwarte okna, i zaczął zaczepiać ludzi i samochody z boku. Ulokował je zatem na skos i wetknął matce w oko. W dodatku, kiedy wysiadaliśmy, zrzucił jej kapelusz z głowy. Matka dostała szału i zapowiedziała, że mu te wędki połamie i spali. Ojciec uwierzył w groźbę, przestraszył się i schował je tak, że przez dwa miesiące sam ich nie mógł znaleźć. Zdaje się, że wpadły za szafę.

W tym samym mniej więcej okresie, może następnej wiosny, coś w domu zaczęło śmierdzieć. Wracałam ze szkoły i woń, najpierw delikatna, potem coraz

silniejsza, a zawsze obrzydliwa, uderzała mnie w nos. Przypominało mi to mocno owe nie tak dawne czasy ze szpitala na Wierzbnie, gdzie w piwnicach gnieździło się laboratorium chemiczne, z tym że wówczas rodzaj aromatów ulegał zmianie, teraz zaś nie. Śmierdziało ciągle jednakowo, tyle że coraz nieznośniej. Obwąchałyśmy z matką wszystko, śmieci, wychodek, artykuły spożywcze, nawet kwiatki, chociaż największe natężenie woni występowało w przedpokoju. Szukałyśmy pod szafami i tapczanami zdechłego szczura albo innego podobnego elementu, bez skutku. Podejrzanie padło na sąsiadów, sąsiadka bowiem, kobieta młoda, usmażyła kiedyś placki kartoflane na pokoście zamiast na oleju, pomyliła się, bo jednakowe butelki stały obok siebie, ale to nie był pokost tym razem.

Trwało to przeszło tydzień, blisko dwa, i może śmierdziałoby do tej pory, gdyby nie to, że musiałam zejść po coś do piwnicy. Klucz od piwnicy leżał na półeczce nad kaloryferem w przedpokoju. Podeszłam, sięgnęłam po ten klucz i wówczas wykryłam źródło woni.

Na tejże półeczce, obok klucza, stała sobie mała, niewinna, metalowa puszka i ta puszka śmierdziała nieziemsko. Okazało się, że zawierała w swoim wnętrzu ugotowany groch. Ojciec go sobie ugotował na ryby, po czym zapomniał o przynęcie i mimo całego gadania o smrodzie nie miał żadnego skojarzenia. Wywietrzało po następnym tygodniu.

A propos smrodu, odbiegnę na chwilę od ryb. W okresie letnim, w upalny dzień, jechałyśmy do Katowic we trzy, moja matka, Teresa i ja. W Katowicach czekała Lucyna. Pociąg nie był zatłoczony, w przedziale drugiej klasy, pierwsza wtedy nie istniała, siedzieli jacyś państwo w średnim wieku i my.

W połowie drogi coś zaczęło śmierdzieć. Trochę dziwnie i bardzo wstrętne. Udawałyśmy, że nie czujemy, tamci państwo też, ale miły aromat się wzmagał i obie części towarzystwa zaczęły łypać na siebie podejrzliwym wzrokiem. Teresa pełnym zgorszenia szeptem rozważała, co też oni takiego wiozą, a może wydzielają tę woń z siebie i powinno to być w ogóle zakazane. Państwo patrzyli na nas coraz dziwniej. Dojechaliśmy wreszcie do Katowic, oni wysiedli pierwsi, bo myśmy miały więcej bagażu, Teresa sięgnęła na siatkową półkę, gdzie leżała jeszcze jedna nasza paczka i wzięwszy ją do ręki, skamieniała.

- Jezus Mario, co to jest? - spytała ze zgrozą. -To nasze?

- Oczywiście, to kaczki - odparła moja matka. -Przecież wieziemy dwie kaczki.

Teresa nie powiedziała już nic, z kaczkami w ręku opuściła wagon i wrzuciła paczkę do pierwszego kosza na śmieci.

- Nic dziwnego, że tak na nas patrzyli - rzekła z rozgoryczeniem.

- One były zawinięte w dwie nowe ścierki -zauważyła melancholijnie moja matka.

- I co, jak nowe, to uważasz, że nie prześmierzły?! - rozzłościła się Teresa. - I pomyśleć, że ja myślałam, że to oni! Skrzywdziłam niewinnych ludzi!

Znalazła nas Lucyna.

- Co robicie? - zainteresowała się. - O co chodzi? Czego ona taka zła?

Zaczęłyśmy jej wyjaśniać, wychodząc z dworca, puenta wypadła na końcu peronu, chyba nawet już za bileterem. Lucyna zatrzymała się jak wryta.

- Wy głupie! - wrzasnęła. - Nie wypatroszone wiozły, w taki upał! Po coście wyrzucili, tylko wąpła im śmierdziały, a reszta była dobra! Należało tylko umyć!

Tym sposobem dobiła swoje siostry ostatecznie. Nie dość, że się skompromitowały w oczach obcych ludzi, nie dość, że straciły dwie nowe ścierki,- to jeszcze przepadły dwie dobre kaczki, prawie gotowe do upieczenia.

Wracam do ryb.

Martwa ryba dokopała mi również, tyle że lekko. Moja matka wyjechała, chyba znów do Katowic, do Lucyny, na trzy dni. Nie było jej przeszło tydzień i co przeżyłam, to moje. Teresa leżała akurat w szpitalu na Solcu, pojęcia nie mam na co, ale nie było to nic zagrażającego życiu, może woreczek żółciowy albo inna drobnostka. W domu był ojciec i pies. Z ojcem nie miałam żadnego kłopotu, dostał herbaty i bułkę i był z głowy, z psem wychodziło gorzej, herbaty pić nie chciał, musiałam go karmić porządniej, a najuciążliwsze grymasy stroiła Teresa. Bywałam u niej codziennie, zażądała kompotu z jabłek i ryby w galarecie.

Pojęcie o gotowaniu miałam raczej mgliste, umiałam usmażyć jajecznicę i naleśniki i zrobić bardzo dobre kruche ciastka, chyba nic więcej, ale istniała w domu książka kucharska, przedwojenna. Chwyciłam ją czym prędzej. Dowiedziałam się, że najpierw mam ugotować syrop odpowiedniej konsystencji, potem wrzucać do niego jabłka, dołożyć cynamon w laskach i ewentualnie doprawić produkt białym winem. Cynamonu Teresa nie znosiła, lubiła goździki. Zgniewało mnie, poszłam na oportunistę, ugotowałam wszystko razem, cukier, jabłka i goździki, a cynamonem w ogóle nie zwracałam sobie głowy, bo i tak go nie było. Ryba przerosła moje siły, z litości przyrzędziła ją sąsiadka. Zabrałam cały nabój, rybę na półmisku, kompot w

słoiku i coś tam jeszcze i pojechałam do Teresy. Kiedy schodziłam w dół po schodach pod wiaduktem, przejeżdżał właśnie tramwaj, grzmiało mi nad głową i wszystko się trzęsło, pomyślałam, że to się może przecież na mnie zawalić i przeraziłam się rzetelnie. Tylko jednym. Mianowicie, że rozleci mi się wtedy ta cholerna ryba.

Zaraz potem ojciec, nie bacząc na sytuację, przyniósł do domu cztery kilo śledzi na kartki. Coś z tymi śledziami musiałam zrobić. Znów złapałam książkę kucharską i wyczytałam, że powinnam je moczyć dwadzieścia cztery godziny w wodzie i dwadzieścia cztery godziny w mleku. Był wieczór, z niepokojem spojrzałam na kredens, gdzie stało w słoiku dziesięć deko śmietany, i pomyślałam, że nawet przy rozwodnieniu jednak nie starczy. Machnęłam ręką na zalecenia, poprzestałam na wodzie i tylko jednych dwudziestu czterech godzinach, nazajutrz zaś czyściłam to całe draństwo do pierwszej w nocy za pomocą dwóch widelców i jednego noża, bo gołą ręką brzydziłam się dotknąć. Denerwująca książka kucharska okazała się jednak dobra, bo wedle niej zrobiłam z tego chłamu śledzie w occie, śledzie w oliwie i rolmopsy, i wszystko było nie tylko jadalne, ale nawet doskonałe.

Jakoś to gospodarstwo szło, tyle że jednego dnia nie zdążyłam w ogóle pójść do szkoły. Ostatecznie dobiła mnie babcia, która przysłała z Grójca piękny schab, na szczęście jednak, zanim się zaśmierdł, moja matka zdążyła wrócić.

Ale i tak wybrnęłam z tego lepiej niż ojciec, który też kiedyś został sam, z psem, a psa należało karmić. Mniej wymyślnie niż Teresę, ale jednak. Ojciec ugotował makaron, coś słyszał o moczeniu suchych produktów, moczył zatem ten makaron całą noc, ugotował nazajutrz i pies tego jeść nie chciał.

Reszta moich stosunków z rybami przypada na czasy późniejsze i jeszcze o nich będzie.

Drugim elementem, który wałkował się po mnie całe życie, były karty. Jak już pozwoliłam sobie napisać, grać w te karty zaczęłam wcześniej, niż mówić, lubiłam tę rozrywkę, ale nastał taki okres, kiedy je znienawidziłam z całej siły. Działo się to jeszcze w czasie okupacji i wpływ na sprawę miała godzina policyjna. Przychodzili znajomi ojca, towarzystwo siadało do brydza, godzina umykała ich uwadze i potem musieli tak już siedzieć do rana. Zza drzwi sypialni słyszałam głosy, śmiechy, kłótnie, okrzyki, budzili mnie i denerwowali niewymownie. W dodatku nie rozumiałam odzywek, co było podwójnie irytujące. Potem oczywiście wydarzenia dziejowe spowodowały przerwę, a jeszcze później okazało się, że brakuje czwartego. Grali moi rodzice i Teresa, usiłowali dokooptować Lucynę, ale Lucyna była twarda, nie chciała.

Na polecenie: „Wychodź!”, kładła karty i wychodziła z pokoju. Nie miała ochoty grać, nie lubiła kart, wygłupiała się tak, że musieli z niej zrezygnować. Zostałam ja. Pobuntowałam się trochę, ale trwało to krótko, bo gra mi się wreszcie spodobała, nauczyłam się grać, czym kto chciał, Culbertsonem, czterotreflówką, treflem przygotowawczym, a przy okazji nauczyłam się oceniać ludzkie charaktery i umysły wedle gry. Na dobrą sprawę nic tak nie demaskuje jak brydż. Sobkostwo, egocentryzm, kłótniowość, zarozumiałość i megalomania, apodyktyczność i despotyzm, lekceważenie partnerów, kłamliwość, skłonność do podstępów i oszustw, chciwość, także cechy odwrotne, szlachetność, poczucie humoru, bystrość umysłu, dobre wychowanie, pobłażliwość i wspaniałomyślność, wszystko wychodzi na jaw na bazie jednego robra. Także beznadziejna i głęboko ukrywana tępota.

Od dzieciństwa umiałam i lubiłam układać pasjanse, ale też przyszła chwila, kiedy mi nosem wyszły. Moja matka układała pasjanse maniacko całymi wieczorami w towarzystwie jednego znajomego, ściśle biorąc był to ojciec owego młodzieńca, który mi się pierwszy oświadczył, i niewątpliwie musiał się kochać w mojej matce, ojciec rzecz jasna, nie młodzieniec, niemożliwe bowiem, żeby normalny facet poświęcał czas tej manii bez dodatkowych bodźców. Słuchali przy okazji płyt mojej matki, wszystko, Bach, Beethoven, Mozart, Schubert, uzupełnione operami oraz tak zwaną muzyką lekką i operetkową, i wymyślali romantyczne historie na podkładzie muzycznym. Musiałam chyba już wtedy mieć jakieś zwyrodniałe skłonności pisarskie, bo przypominam sobie mały fragment, smętna dziewczyna w klasztornym ogrodzie, pogrążona w marzeniach. Od tej dziewczyny aż mi skóra ścierpła i starannie unikałam słuchania owych utworów. Spaliłabym się ze wstydu, gdybym coś takiego napisała, a potem jeszcze musiała głośno przeczytać.

Całą kolekcję swoich płyt razem z adapterem matka sprzedała zaraz po wojnie, co odebrałam jako osobistą krzywdę, zabrakło mi bowiem dźwięków, właściwych wiekowi. O magnetofonie i taśmach nie było co marzyć, nie wiedziałam, że coś takiego istnieje. Radio owszem, radio przeważnie gadało, przy gadaniu trudno tańczyć.

Ogólnie biorąc, nie były to dla mnie czasy roztańczone. Prawdziwe bale stanowiły zjawisko całkowicie baśniowe, odbywały się wyłącznie zabawy, już samo słowo „bal” należało do jakichś innych, nierealnych epok i wręcz nie wypadało go używać. Zabawy były organizowane przeważnie przez instytucje, możliwe, że istniały także dancingi, ale po knajpach wtedy nie chodziłam, więc nie mam w tej kwestii

rozeznania. Kawiarnia tak, ale przecież nie nocna restauracja! Zabawy też przytrafiały się raczej rzadko i na jednej ogromnie zdenerwowałam się Janka.

Miałyśmy ze sobą umowę, gdyby się przyczepił natrętnie jakiś nieodpowiedni facet, należało ratować przyjaciółkę. Tancerzy miewałyśmy, żadna nie siedziała pod ścianą, z tym nie było problemu. O ile pamiętam, obtańcowywał mnie wtedy całkiem interesujący porucznik Wojska Polskiego i nagle ujrzałam, że Janka tańczy z osobnikiem przerażająco zezowatym. Jezus Mario, pewnie trzyma się jej jak rzep, a ona nie może dać mu rady, na mnie spoczywa obowiązek pomocy! Z pewnym wysiłkiem odstawiłam porucznika, poleciałam do niej, powiedziałam, że jest wzywana przez rodzinę, słowa prawdy w tym nie było, jaka rodzina, ojciec, który nas tam przyprowadził, dawno znikł mi z oczu. Poszła za mną niechętnie.

- Czego chcesz? - spytała niecierpliwie i wrogo.

- No jak to? - zdziwiłam się. - Oderwałam cię od tego zezowatego!

- Głupia jesteś! - odparła z gniewem i poleciała do zezowatego z powrotem.

Przeraziłam się, że dostała pomieszania zmysłów. Usiłowałam ją oderwać ponownie, ale kręciła głową i nie zwracała na mnie uwagi. Całą zabawę miałam zatrutą niepokojem, wreszcie rzecz się wyjaśniła.

- Słuchaj - oznajmiła w upojeniu i uroczyście, już pod koniec, w jakimś momencie przerwy w tańcach. - To jest syn Terpsychory!

Upewniłam się, że musiała zwariować. Potomek muzy, z takim świrem...!

- A co mnie obchodzi, że zezowaty! - odpowiedziała na moją delikatną uwagę.

- Niech sobie będzie, niech ma oko na plecach! Jak on tańczy...!!! Słuchaj, nigdy takiego nie spotkałam, ja chcę z nim tańczyć całe życie...!!!

No dobrze, zrozumiałam, ale jednak ten zez mnie przygnębiał. Nie ujrzałyśmy go już więcej, ale wspominałyśmy wielokrotnie, bo upierała się, że był to najlepszy tancerz świata i wzdychała do niego bardzo długo. Zdaje się, że w tym wszystkim zraziłam do siebie porucznika, który nawet zaczynał mi się podobać.

Co do kart, to też jeszcze o nich będzie. Jedna rozgrywka brydżowa wydarła mi z rąk najbardziej interesującego mężczyznę na świecie, do dziś nie mogę tego odżałować i rozwinę temat we właściwej chwili.

Jeśli już mowa o rozrywkach, odpadł mi rower. Używałam go z upodobaniem, a kilka drobnych ekscesów zapadło mi nawet w pamięć porządnie. Jeszcze w czasach grójeckich, po pierwszym powrocie z Ursynowa, pełna podziwu dla sztuk wyczynianych przez Jędrka, postanowiłam go naśladować, wsiadłam i ruszyłam

twardą ścieżką pomiędzy żytami. Ścieżka, aczkolwiek ogólnie gładka, miała jednak wzniesienia i muldy. Rozpedziłam się, ile mogłam, po czym nagle nastąpiło coś, czego nie zdołałam zrozumieć. Rower poleciał w żyto, ja zaś potężnym szczupakiem przebyłam część przestrzeni ku przodowi i wylądowałam na brzuchu. Jęknęliśmy razem, ziemia i ja. Poleżałam chwilę, zbierając myśli, nie odgadłam, co się stało, ale zaczęłam się delikatnie podnosić, próbując wszystkich części ciała po kolei. Obmacałam zebra., które budziły największe wątpliwości, nie wydawały się złamane, żołądek też znajdował się na swoim miejscu, chociaż chyba w gorszym stanie niż przedtem. Zębów sobie nie wybiłam. Pozastanawiałam się jeszcze trochę, podniosłam rower, usunęłam słomę z kłosami i pojechałam dalej, bardzo wolno i ostrożnie.

W pierwsze powojenne wakacje... Nie, nie w pierwsze, w drugie, musiało to być po powrocie z Bytomia... Otóż nie, w pierwsze, w związku z czym w żaden sposób nie mogę zrozumieć kompletnego braku kondycji. Nie siedziałam na siodełku przez ładne parę miesięcy, odwykłam od roweru gruntownie, może chodziłam już do szkoły, która działała od chwili wyzwolenia, a rowery znajdowały się na wsi, w każdym razie nie używałam żadnego i nie pamiętam przyczyn. Bez względu na ich rodzaj popełniłam piękny idiotyzm, mianowicie dopadłszy pojazdu, udałam się do rodziny którejś przyjaciółki, albo Wiški, albo Janki, na jakąś daleką wieś. Co do kondycji, obie byłyśmy w jednakowym stanie, co do rowerów natomiast, jeden był mój, a drugi pożyczony, do zwrotu w określonym terminie nazajutrz.

Takich odczuć się nie zapomina i zawsze już potem współczułam uczestnikom Wyścigu Pokoju. Inna rzecz, że może mieli lepsze rowery, mój był na balonach i ze zdezelowanym siodełkiem. Trasa w jedną stronę liczyła sobie prawie dwadzieścia kilometrów, niby nic takiego, ale dla dwóch dziewczynek, które nie dbały zbyt pieczołowicie o sprawność fizyczną, okazała się mordercza.

Ostatnie kilometry w tamtą stronę, już w ciemnościach, przeszliśmy piechotą, prowadząc rowery. Księżyc świecił nieco myląco, niepewne, czy czarna plama na ścieżce jest kępą trawy, dołkiem czy górką, pod pozorem obaw, że wjedziemy do rowu, z ulgą zsiadliśmy z tego draństwa. Odpoczynek nie wypadł nam najlepiej, ani siedzieć, ani stać, ani nawet leżeć, nazajutrz zaś przyszły chwile jeszcze gorsze. Połamane i odgniecione, prawie niezdolne do poruszania nogami, z tym wiszącym nam nad głową terminem zwrotu drugiego roweru, ruszyliśmy w drogę powrotną.

Uratowała nas ciężarówka. Siedziałyśmy w rowie, wykończone doszczętnie i w stanie rozpaczki, na widok nadjeżdżającego gruchota jedna z nas machnęła

beznadziejnie butelką herbaty i stał się cud, ciężarówka się zatrzymała. Z nadludzkim wigorem wepchnęliśmy rowery na pudło i poobijane nieco, ale szczęśliwe bez granic, dojechałyśmy do domu na czas.

Później zaś wjechałam w pomór świń i zatrzymało mnie wojsko. Farma świńska znajdowała się na dalekim Mokotowie, duży napis „POMÓR ŚWINI” wisiał i nawet go przeczytałam, ale nie dostrzegłam dodatku pod spodem: „Wstęp wzbroniony”. Wojsko spragnione zapewne było jakiegokolwiek rozrywki, moje wykroczenie ucieszyło ich niezmiernie, proponowali mi dwutygodniową kwarantannę. Chciałam być dzielna i doceniać żarty, ale źle mi wyszedł ten śmiech przez łzy i w końcu zostałam wypuszczona na swobodę razem z rowerem.

Jeszcze później zaś wpadło mi do głowy zjechać ulicą Dolną po jezdni. Dolna była wówczas wybrukowana kocimi łbami i po tym zjeździe miałam poważne wątpliwości, czy nie grzechoczą mi żebra, pozbawione łączności z mięsem. Zraziłam się do roweru.

Ugruntowało się za to we mnie uczucie do pojazdów mechanicznych i zdołałam dopaść nawet samochodu. Kierowca dyrektora mojego ojca garażował gdzieś blisko naszego domu i o poranku wyruszał ku Puławskiej. Wyruszając z nim razem, luksusowo przejeżdżałam całą Różaną, po czym miałam już bliżej do szkoły. Żebrałam o kierownicę, kierowca, młody chłopak i ryzykant, puścił wreszcie do kółka tę rozszałałą namiętność, pękał ze śmiechu, kiedy jechałam od krawężnika do krawężnika, pozwalał mi potem prowadzić prawie codziennie i zanim się obejrzałam, uzyskałam linię prostą. Rychło przestało mi brakować nóg do pedałów, po czym namiętność ustabilizowała się we mnie ostatecznie.

Motor z koszem nie zachwyił mnie zbyt. Dysponował czymś takim kumpel brata Janki, wybraliśmy się na wycieczkę, rwałam się do prowadzenia, na bocznych szosach nikt nie łapał i komu były wtedy w głowie prawa jazdy. Umiałam, ruszyłam i natychmiast zjechałam do rowu, na szczęście płytkiego, bo nie miałam pojęcia, w jakim stopniu kosz ściąga. Potem zaś zdrętwiała mi prawa ręka i uznałam, że nie jest to pojazd moich marzeń.

Zmorą całej mojej egzystencji w owym czasie były pieniądze, a ściślej biorąc, ich brak. Obie z Janka próbowałyśmy handlować pończochami, ale próba się nie powiodła, musiałam poprzestać na korepetycjach, które stanowiły ciężki krzyż pański, czasochłonne i mało intratne. Korepetycjom podlegały wyłącznie najgorsze tumany, do których nawet ich rodzice się zniechęcili i nie mieli ochoty dopłacać.

Najtrwalej w mojej pamięci zapisała się niejaka Marysia L., nie powiem, jak się nazywała, bo jej rodzina żyje, młodsza ode mnie o dwa lata, która wszystkie siły i cały umysł poświęcała wielkiej miłości do właściciela sklepu z dywanami na placu Unii. Sklep nazywał się Teheran, dla niej to było imię ukochanego i nie kojarzyła go z żadną nazwą geograficzną. Pętała się tam godzinami, a Teheran nie zwracał na nią żadnej uwagi. Odwalałam z nią Kochanowskiego, głądziłam o Trenach, aż mi język kołkiem stawał, spytałam w końcu po tym całym gadaniu:

- No więc powiedz, jakie uczucia do Urszulki wyraża Kochanowski w Trenach? No pytam cię, jakie uczucia?!

Marysia myślała strasznie długo, w końcu odparła:

- Namiętność...

Bić głową w ścianę i nic innego. W wieku dorosłym Marysia wpadła w alkoholizm i kto wie, czy nie z rozpaczy, że nie udało jej się tego Teherana dopaść.

W braku możliwości finansowych, co mogłam, odwalałam własnymi siłami. Kiedy miałam dwanaście lat, Teresa nauczyła mnie robić sobie samej manicure. Umiejętność okazała się bezcenna, na manikiurzystkę nie wydawałam ani grosza, ale ujawniła się przy tym niesprawiedliwość losu. Teresa mianowicie za swój szlachetny czyn została ciężko ukarana.

Przyjeżdżała do Warszawy na każdą sobotę i niedzielę, ja zaś w owym okresie pijałam bratki dla uzyskania pięknej cery. Teresa nadciągnęła nieco schetana, bo warunki podróży bywały mało luksusowe, i od razu krzyknęła: „Pić!” Rozejrzała się, chwyciła szklankę z moimi bratkami i napiła się chciwie. Nie smakowały jej, ale był to dopiero początek. Za drugim razem napiła się z garnka wody po kartoflach, w której moczyłam odmrożenia z czterdziestego drugiego roku, odnawiały mi się, a woda po kartoflach stanowiła znakomite lekarstwo. Za trzecim wreszcie przytrafiło się, że tuż przedtem robiłam sobie manicure i filiżanka wody z mydłem stała jeszcze na kredensie. Teresa uczyniła to, co zwykle. „Pić!”, krzyknęła. „Co to jest, herbata z mlekiem?” Nie czekając na odpowiedź, chlupnęła sobie zdrowo. Po odpluciu napoju zrobiła okropną awanturę, że chcemy ją otruć i rodzina specjalnie czyha na nią z takimi świństwami. Potem już bardzo nieufnie obwącichiwała każdy płyn.

Jej wszystkie przyjazdy odznaczały się cechą szczególną, sprzątała bowiem maniacko. Nic nie miało prawa leżeć na wierzchu, wszystko musiało być pochowane. Chowała gdziekolwiek, odruchowo i bez zastanowienia, i kiedyś urządziła kolejną awanturę, bo zginął jej szalik. Musiała już wyjeżdżać, szalika nigdzie nie było, diabli

go wzięli, któraś z nas niewątpliwie ukradła. Odjechała w końcu w szaliku Lucyny, a jej szalik znalazł się nazajutrz w szufladzie kredensu, gdzie przebywały noże i widelce.

Za te mydliny po paznokciach zemściła się na mnie straszliwie z lekkim opóźnieniem. Byłam już wtedy na studiach i miałam przed sobą egzamin z historii architektury polskiej. Czasy panowały ciągle trudne, podręczników i skryptów brakowało, źródło wiedzy stanowiły wykłady i ćwiczenia. Notatki z tych wykładów miałam precudowne, bo lubiłam przedmiot, uczyć się z nich żadna sztuka, wręcz sama przyjemność. Sięgnęłam po tę przyjemność i okazało się, że notatek nie ma.

Zewnętrznie stanowiły gruby plik papieru w kratkę dużego formatu. Zniknęły z biurka. Zdenerwowałam się, zaczęłam szukać, najpierw w domu, potem na Wydziale, bo może zostawiłam w kreślarni, mało prawdopodobne, ale możliwe. Nazajutrz szukała już cała rodzina, teraz ja zrobiłam awanturę i zdenerwowali się wszyscy. Ojciec zaglądał pod tapczan, rwąc włosy z głowy wrzeszczałam, że musiałabym chyba upaść na głowę, żeby ten gruby plik papieru przemocą wpychać pod tapczan i potem o tym wysiłku zapomnieć! Przeszukaliśmy cały dom, bez skutku, kamień w wodę.

Egzamin zdałam, ucząc się z notatek koleżanki, znacznie gorszych niż moje. Następny był z rysunku technicznego. Zabrałam się do roboty, rozwinęłam grubą rurę brystolu, już dawno stojącą na biurku, i wewnątrz niej znajdowały się zwinięte w rulon moje zaginione notatki. No tak, oczywiście, Teresa sprzątała...

Znów wybiegłam do przodu, ale już wracam. Wcześniej, kiedy miałam siedemnaście lat, wszyscy z Teresą na czele przeżyli kilka trudnych chwil z przyczyn natury całkowicie odmiennej. Jej perypetie małżeńskie przebiegały rozmaicie, od czterdziestego pierwszego roku swego męża nie widziała na oczy, wieści otrzymywała różne, raz żył w niewoli, raz nie żył wcale, raz wracał do zdrowia w londyńskim szpitalu, raz na nią czekał, raz się z nią rozwodził. Zdaje się, że wtedy właśnie, w cztery lata po wojnie, byli na etapie rozwodu. Teresa zawsze miała powodzenie i wielbicieli, jeden się jakoś ustabilizował, mieszkał też w Grójcu, ale widywali się w Warszawie i nie tylko dlatego, że był żonaty. Powiedzmy, że średnio żonaty, żonę miał ogromnie tolerancyjną i zajętą raczej własnymi wielbicielami, ale w szranki wstępowała babcia. Oznajmiła stanowczo, że jej się to nie podoba i jeśli Teresa nie odstawi gacha od piersi, ona popełni samobójstwo, skacząc z mostu Poniatowskiego do Wisły. Inny most nie wchodził w rachubę, niemniej należało

przed nią cały romans ukrywać.

Kochał się wtedy we mnie interesujący chłopak, starszy nieco, już dwudziestoletni, też z Grójca i również przywrócony Warszawie, bo studiował. Zналиśmy się jeszcze ze szkoły podstawowej, Janusz mu było. Zaczynałam być zajęta moim przyszłym mężem, więc jego uczucia pozostawały nie odwzajemnione, ale na razie nie tracił nadziei.

W niedzielę odprowadził mnie z kościoła do domu, zatrzymaliśmy się pod tym domem, chciałam się go pozbyć, bo mnie nudził, a w planach miałam wizytę rywala, zaczęłam go żegnać i w tym momencie wyszedł ojciec z psem. Janusza znał od dzieciństwa, przywitał go mile i zaczął zapraszać na górę. „Proszę, proszę, niech pan wejdzie, co u rodziców słyhać?” i tak dalej. Nie miałam wyjścia, westchnęłam ciężko i powiedziałam: - No to chodź...

Weszliśmy. Ojciec z psem jeszcze został na dole. Drzwi były otwarte, przeszłam przez hol, dotarłam do drzwi przedpokoju i zatrzymałam się jak gromem rażona.

W pokoju, ukrywany starannie, wielbiciel Teresy, który zapewne świeżo przyjechał i właśnie się umył po podróży, nieco rozczochrany, w samej koszuli, odwijał rękawy. Dla uniknięcia nieporozumień wyjaśniam, że spodnie miał na sobie również. Odwrócił głowę i zamarł w trakcie odwijania, Teresa spojrzała, chwyciła się za twarz i powiedziała pod nosem: - Och, cholera...

Moja matka, jak później wyznała, zdziwiła się, dlaczego ona tego chłopaka tak bardzo nie lubi, przyzwoity w końcu i sympatyczny. W sekundę potem uświadomiła sobie sytuację, oni się przecież znali, wszyscy się znali wzajemnie, Janusz nie miał prawa tamtego zobaczyć, Jezus Mario, plotki, babcia w Wiśle, straszne rzeczy! Zgłupieli wszyscy, ja też.

Przez jeden straszny moment nie wiedziałam, co robić. Janusz wchodził tuż za mną, cofnąć się, wypychając go tyłkiem...? Wejść i zatrasnąć mu drzwi przed nosem? Wszystko źle! Weszłam po chwili wahania do wnętrza, Janusz zatrzymał się w progu i zaczął się kłaniać. Moja matka i Teresa, obie gotowe do wyjścia, w kapeluszach, wielbiciel z połowicznie odwiniętymi rękawami, wszyscy patrzyli na niego w kamiennym bezruchu, nie reagując na ukłony, on zaś kiwał się i kiwał, zaskoczony i zdetonowany. Może by się kiwał do dziś dnia, gdyby nie to, że dotarł na górę ojciec z psem i w prostocie ducha rozładował atmosferę.

- Proszę, proszę - zachęcił. - Co tak stoicie...?

- Czyś oszalała? - wyszczała do mnie moja matka. - Po coś go tu...

- To nie ja, to ojciec! - zaprotestowałam z oburzeniem, po czym spytałam głośno: - Czy jest dla mnie obiad?

- Kto późno przychodzi, może nie jeść obiadu -odparła z gniewem Teresa i wszystko to razem nie miało najmniejszego sensu. Wcale nie przyszłam późno, to po pierwsze, po drugie, obiad mnie kompletnie nic nie obchodził, a po trzecie, był i wystarczył nawet na dwie osoby.

Przyrodzone zdolności odzyskali w końcu wszyscy. Janusz, zmuszony przepuścić przez drzwi ojca z psem, przestał się kiwać i wszedł do środka. Zostałam wywołana do kuchni.

- Słuchaj, on się tamtemu przedstawił! - powiedziała wzburzona Teresa. - Przecież go zna od dziecka! Rób, co chcesz, ale zorientuj się dyplomatycznie, czy go rzeczywiście nie poznał, czy tylko jest taki uprzejmy!

Moja matka na stronie robiła awanturę ojcu. Wychodzili wszyscy razem, wyszli, zostałam z Januszem, obarczona dyplomatycznym zadaniem. Podzieliłam się z nim obiadem. Spróbowałam spełnić polecenie i wyszło mi, że otumaniony tak uczuciami, jak i osobliwym przyjęciem chłopak rzeczywiście nie poznał faceta, widywanego prawie codziennie od ładnych paru lat. Najprawdziej w świecie, nie miał pojęcia, kto tu był, zanim cała rodzina opuściła dom!

Pomijam tu już następną scenę, kiedy moi wielbiciele przetrzymywali się wzajemnie. Konkurencję wygrał mój przyszły mąż. Pies się nie wtrącał.

Kwestii pieniędzy nie sposób tu zakończyć, bo jej cechą główną była długofalowość. Uciążliwą sytuację rok wcześniej złagodził ojciec, wygrywając na loterii pół miliona złotych na stare pieniądze. Piękna wełna sukienkowa kosztowała wówczas sześć tysięcy za metr, co pamiętam dokładnie, bo razem z matką robiłyśmy zakupy odzieżowe i wyłącznie dzięki tej wygranej rodzina zdołała się nieco ubrać. Przestałam nosić przedwojenną francuską bieliznę po matce i zostałam przyodziana w jakiś przemyt, czy może import z Jugosławii, trwałością nie umywał się do tamtych paryskich wyrobów, ale przynajmniej nie było potrzeby codziennie czegoś zeszywać. Miałam modną spódnicę w kratę i prawdziwe pantofle, nie drewniaki. Poszło te pół miliona w podziwu godnym tempie, ale trzeba przyznać, że bardzo pomogło.

Nadal miałam siedemnaście lat, kiedy obie z Janka postanowiłyśmy upić się doświadczalnie, wykorzystując na ten cel sylwestrowy wieczór. Miało to nastąpić u mnie, moja matka kładła się wcześniej i dla jakiegoś tam Sylwestra nie zamierzała

czynić wyłomu, ojciec nie miał nic do gadania, szedł za jej przykładem. Jej ukochane przedwojenne okropne łoże stało w dużej służbówce, bo nie nadawało się do prezentacji ludzkim oczom, obydwójce tam spali i w ten sposób od wieczora miałam dla siebie pokój, a gdyby chodzić na palcach i nie oddychać, to nawet i kuchnię. Warunki dla naszego zamierzenia wręcz idealne. Upić się chciałyśmy same, we dwie, nie wiadomo było, co z tego wyniknie i na wszelki wypadek należało wykluczyć możliwość kompromitacji przy ludziach.

Podstępnie i w tajemnicy nabyłam produkt, który wydał mi się właściwy, mianowicie wzmocnione wino na miodzie w pękatej butelce z długą szyjką. W charakterze zagrychy wystąpiło dziesięć deko orzechów włoskich, łuskanych, i dziesięć deko laskowych. Dwunastą godzinę miałyśmy w nosie, czekałyśmy tylko, żeby moja matka zasnęła.

Nasz nocleg przygotowany został na szerokim tapczanie, poduszek było w domu skołko ugodno, a do przykrycia służyła pierzyna. Właściwa chwila nadeszła. Od korkowałyśmy butelkę, nie pamiętam jak, ale przypuszczam, że istniał w mojej rodzinie co najmniej jeden korkociąg. Uroczyście, z przejęciem, przechyliłam flachę nad pierwszym kieliszkiem.

Gulgot się rozległ tak okropny, że obie przeraziłyśmy się śmiertelnie. Ta długa szyjka to sprawiła. Naszym zdaniem, słyhać go było aż na ulicy, bez tchu czekałyśmy na reakcję zza ściany, nic się nie działo, dalej tych dźwięków jednakże nie należało ryzykować. Stłumić, czym, pierzyną oczywiście!

Dla bezpieczeństwa zatem naczynia zostały napełnione pod pierzynowym namiotem, niewielka część napoju znalazła się na prześcieradle, ale na drobiazgi nie zwracałyśmy już uwagi. Wytrąbiłyśmy prawie całą flachę pod te orzechy i popatrzyłyśmy na siebie.

- I co? - spytałam z zainteresowaniem. Janka wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nic nie czuję. Zatrokałam się.

- Może to za słabe. Czekać, domieszajmy wódki. W kredensie stały jakieś alkohole, nieco czystej również. Domieszałyśmy do pozostałej resztki własnego napoju nieco tej rodzinnej, delikatnie, żeby nikt nie zwrócił uwagi, wypiliśmy i uznaliśmy, że dalej nic. Wyciągnęłam pół butelki kolorowej, nalałam do kieliszków już bez żadnych dodatków, powąchałam, ona również.

- Ale wódką śmierdzi! - powiedziałyśmy do siebie prawie równocześnie ze wzruszeniem i lekką zgrozą.

Musiałyśmy już być na niezłej bani, ponieważ nazajutrz okazało się, że był to sok wiśniowy. Zużyłam jeszcze po odrobinie z innych butelek, po czym uznałam, że teraz koniecznie muszę umyć zęby. Nad umywalką wisiało lustro, mycie zębów wydało mi się czynnością nieopisanie śmieszną, chociaż trochę uciążliwą, bo pasta rozmazywała się jakoś po całej twarzy. Opanowałam ten żywioł, wróciłam do pokoju, Janka już leżała pod pierzyną, mamrocząc pod nosem, że myć się nie będzie i nie życzy sobie żadnego zawracania głowy. Z niechęcią poszłam za jej przykładem, aczkolwiek butelkę i kieliszki chyba gdzieś schowałam, bo rano śladów naszej uczty nie było.

Za to, było świąteczne śniadanie. Czułam się doskonale, Janka trzymała się jako tako aż do kawy z mlekiem, wyszło tylko na jaw, że spała w pończochach i ciepłych majtkach, drobiazg, kawa z mlekiem jednakże ją załatwiła. Na jej widok jakby trochę zzieleniała i zaczęła się strasznie śpieszyć do domu. Wyszła, no trudno, nie zdołałam jej zatrzymać.

Dopiero następnego dnia wyznała, że dotrwała tylko do końca jazdy tramwajem. Wsiadła na swoim przystanku i nie bacząc już na nic, skoczyła pod najbliższy parkan. Na szczęście wśród nielicznych o tej porze ludzi nie było nikogo znajomego, a obcy przestali ją obchodzić. Żadnego alkoholu do końca życia do ust nie weźmie, podjęła to postanowienie niezłomnie i z wielkim rozgoryczeniem.

Raz byłam na prywatce. Nastąpiło to oczywiście przed owym pijackim Sylwestrem. Zaprosił mnie na to przyjęcie Darek, znów aktualnie skłócony z Bożeną, mieszkający już w Warszawie, poszłam, znałam prawie całe towarzystwo, niektórych jeszcze ze szkoły podstawowej. Okazało się, że jest wino. Odezwało się moje przedwojenne wychowanie, alkoholem, jak wiadomo, wybrukowana została droga do zguby, to przekonanie wpajano mi od urodzenia w komórki i naczynia krwionośne, nadełam się, zeszywniałam, napoju do ust nie wzięłam i zaparłam się, że wracam do domu. Zostałam elegancko odwieziona i nie zaproszono mnie nigdy więcej.

W domu natomiast sama nie mogłam urządzić niczego, ponieważ we wszelkich imieninach, urodzinach i innych spotkaniach młodzieżowych uczestniczyło całe starsze pokolenie z babkami włącznie i nie dało rady inaczej. Później próbowałam robić coś na dwie raty, jednego dnia rodzina, a drugiego młodzież, nic z tego, moja matka i Lucyna obrażały się śmiertelnie, że nie zaproszono ich także na ten drugi dzień, a cioci Jadzi było przykro. Nie strzymałam, poddałam się i zaniechałam głupich prób.

W jednej dziedzinie tylko okazałam charakter granitowy. Z głębokim wzruszeniem i jeszcze głębszym zdumieniem wspominam własną inteligencję z tamtego okresu. Miałam w końcu szesnaście i siedemnaście lat i cud jakiś sprawił, że przy całej przeraźliwej głupocie chwilami umiałam myśleć. Skąd pojawiła się we mnie ta bezcenna wiedza, pojęcia nie mam, ale pojawiła się i nawet zdołałam ją zużytkować, za co samej sobie do końca życia pozostanę wdzięczna do granic.

Przez całe życie, od wczesnego dzieciństwa, byłam pchana na medycynę. Wśród pchaczy na pierwszym miejscu stała moja matka, zaraz na drugim Lucyna, reszta rodziny stanowiła orszak. Miałam skończyć Sorbonę, *summa cum laude*, zostać lekarzem, specjalność obojętna, najlepiej wszystko razem, z chirurgią na czele. Zdaje się, że w tym miejscu myśleć przestawała cała familia. Godziłam się z tym przeznaczeniem, aczkolwiek Sorbona po wojnie stała się niedostępna, godziłam się z medycyną i nawet uważałam ją wręcz za swój obowiązek aż do chwili, kiedy wstrząsnęła mną drobnostka.

Ktoś sobie coś zrobił. Nie pamiętam, kto i co, ale doskonale pamiętam słowa Lucyny:

- Masz iść na medycynę, jazda, bierz się za robotę!

Należało opatrzyć jakieś zranienie nogi, może kolana. Zakrwawione i ohydne. Nagle uświadomiłam sobie, że nie chcę. Za skarby świata, brzydzę się tym, niedobrze mi się robi! Przemogłam się, wzięłam udział w leczniczych poczynaniach, ale myśl i uczucie pozostały. Jezus Mario, i ja mam iść na medycynę, całe życie zajmować się takimi okropnościami, przedtem jeszcze odwalać robotę w prosektorium, wachać koszmarnie wonie, a należy zauważyć, że węch miałam wtedy jak pies, w dodatku jeszcze uczyć się chemii, ratunku! Zaczęłam się poważnie zastanawiać nad własną przyszłością.

Dosyć szybko doszłam do wniosku, że coś mi tu nie gra. Człowiek powinien wiedzieć, co lubi i do czego się nadaje, a zawód należy sobie wybrać taki, do którego ciągnie, a nie taki, od którego odrzuca. Rozważania jęłam toczyć na piśmie, w punktach notując własne cechy i własne upodobania, zaczynała mnie już wtedy interesować architektura, bo umiałam rysować, a w szkole właśnie pisałam referat o gotyku. Zaciekały mnie te style i te budowle, referat napisałam na piątkę, przedtem odwalałam potężną robotę, pętając się po bibliotekach i zbierając dane w znacznie szerszym zakresie, niż było potrzebne. Nie przestałam, podobało mi się to, chciałam więcej. Prawie dwa lata spędziłam na podejmowaniu decyzji, aż wreszcie wyszło mi

na czoło stwierdzenie podstawowe: CZŁOWIEK POWINIEN DAŻYĆ DO TEGO, ŻEBY ROBIĆ TO, CO LUBI I DO CZEGO SIĘ NADAJE.

Gryzłam się przez ten czas całkiem nieźle, bo ta cholerna medycyna wciąż wydawała mi się jakimś obowiązkiem, a ogólnie biorąc, byłam obowiązkowa, co odkryłam znacznie później. Co mam zatem zrobić, spełnić koszmarny obowiązek, który mi zatruje życie, czy iść za głosem serca. Całe zeszyty zapisywałam tymi dociekaniem, upodobań i chęci pojawiało mi się coraz więcej, brałam pod uwagę architekturę, archeologię, dziennikarstwo, usiłowałam znaleźć coś, co by mi pozwoliło podróżować bez przeszkód, przy medycynie rozpatrywałam stanowisko lekarza okrętowego. Dziennikarstwo odpadło dość szybko, bo było upolitycznione straszliwie, a do polityki nadawałam się jak wół do karety. Na nic. Medycyna definitywnie won. Zostawała architektura.

No i oczywiście chciałam pisać. Co pisać, jeszcze nie byłam pewna. Napisanie książki, która by została wydana, którą by ludzie czytali, to było marzenie mojego życia, zbyt piękne, żeby mogło się spełnić. Czort bierz, przeczytają czy nie, ja w każdym razie będę pisać, czysta grafomania, nie szkodzi. Jedno drugiemu nie przeszkadza, można mieć dowolny zawód, a przy tym pisać, podstawą jest w końcu znajomość własnego języka, a to się osiąga już w szkole podstawowej.

Sprecyzowałam wreszcie swoją drogę życiową.

Chciałam, co następuje:

1. Skończyć studia, najlepiej architekturę.
2. Podróżować po świecie.
3. Mieć męża i dzieci.
4. PISAĆ!!!
5. Wyglądać pięknie i pachnieć fiołkami.

Dlaczego akurat fiołkami, diabli wiedzą, ale jakoś mi te fiołki pasowały. Może przeistoczył się w nie zwyczajny fioł. Osiągnęłam wszystko, z wyjątkiem ostatniego punktu programu, fiołki mi przeszły, przerzuciłam się na Diora, a co do pięknego wyglądu, to przytrafił mi się jeden raz w życiu. Ostatecznie dobre i tyle.

W ostatnim roku szkolnym zapędzono nas do pracy społecznej. Po obozie artystycznym obie z Janka miałyśmy już niejaki doświadczenia, bo rzecz polegała na występach. Komu to wpadło do głowy, Bóg raczy wiedzieć, ale miałyśmy dostarczać rozrywek Domom Starców w Warszawie, w Górze Kalwarii i jeszcze gdzieś tam. Z dwóch równorzędnych przed-maturalnych klas utworzono zespół, znów robiłam

konferansjerkę, bo do niczego innego się nie nadawałam, jedna dziewczyna umiała tańczyć czardasza, większość potrafiła śpiewać, także deklamować, no i do tego jeszcze tańczyła Kasiunia.

Kasiunia w dzieciństwie ćwiczyła w balecie, za straszne świństwo i skandal uważaliśmy odebranie jej z tego baletu, przyczyn nie znałam i nie znam, ale przeniesienie jej obowiązków z nóg do głowy było pomysłem poronionym i nie miało żadnego sensu. W nogach była lepsza. A, prawda, wybuchła wojna! No to nie będę się czepiać...

Kiedy na drewnianej, pustej pod spodem, rezonującej estradzie, w drewniakach, tańczyła klasycznego walca, rozlegało się tylko delikatne, cichutkie stuk-stuk, stuk-stuk, stuk-stuk. Jak ona to robiła, jest nie do pojęcia, płynęła w powietrzu. Staruszkom sprzed pierwszej wojny światowej oczy wychodziły z głowy, cała wiekowa widownia wręcz szalała z zachwytu. W szkole zaległa się, a potem ugruntowała opinia, że Kasiunia wytańczyła sobie maturę, żadna nauczycielka nie miała serca rąbnąć jej dwóji, w ogóle przestały ją pytać, żeby uniknąć konfliktu z pedagogicznym sumieniem, stawiały stopnie za taniec, z góry zdecydowane usprawiedliwiać ją na egzaminie maturalnym nie opanowanym zdenerwowaniem. Chyba swoim, Kasiuni było ganc pomada, zamierzała wrócić do tańca i nie przejmowała się głupstwami.

Pozazdrościłam jej i poszłam do szkoły baletowej, gdzie dokonałam odkrycia, że do pierwszej pozycji niezbędny jest platfus. Bez platfusa nie ma co się wygłupiać. Pochodziłam na ćwiczenia parę tygodni, potem przestałam, zdaje się, że z braku czasu.

Wśród dawnych dziewczyn, tkwiących w tej szkole od początku, pojawiały się czasem nowe, przybyłe w ostatnim albo przedostatnim roku. Wpływ na to miał może fakt, że byłyśmy ostatnią klasą, która szła starym kursem, aczkolwiek nazywała się już jedenastą, a nie drugą licealną. Między innymi do tych nowych należały Hania Krallówna i Maja Broniewska, jednostki, można powiedzieć, publiczne. Hania Krallówna wyglądała jak ten róży kwiat, tak zwana krew z mlekiem, od jej cery oczu nie można było oderwać. Maja Broniewska natomiast budziła naszą dziką zawiść strojem, mianowicie przychodziła do szkoły w kostiumie. Po zagłodzonej dziewczynce w Ulicy Granicznej mogła się zdobyć na to wytworne odzienie, zdaje się zresztą, że jedyne, jakie sobie sprawiła, i wyglądała elegancko i dorośle, aż człowieka skręcało.

Zazdrościłyśmy także, wszystkie w czambuł i bardzo zgodnie, niejakej Lidce albo Lilce, nie jestem pewna jej imienia, która miała przedziwne włosy. Jasnoblond o niezwykłym, kremowo-popielatym, odcieniu, prawdziwym, nie podrabianym, co sprawdzałyśmy starannie, układające się w loki i trzymające uczesanie. Jak ona to robiła, nikt nie mógł zrozumieć, bo lakiery do włosów jeszcze wtedy nie istniały. Żaden wiatr jej nie ruszył, żadne warunki atmosferyczne jednego włoska nie przemieściły. Na zdjęciach z wycieczek było to wyraźnie widoczne, wszystkie dziewczyny jak rozczochrane straszydła, ona jedna z tym przedziałkiem na środku, z falami do ramion, jakby przed sekundą wyszła od fryzjera.

Na ostatnią wycieczkę szkolną pojechałyśmy tylko obie z Janka. W zasadzie urządzana była dla klas o rok niższych, ale kto chciał, mógł w niej uczestniczyć na ochotnika i na własną odpowiedzialność, bo matura była o krok. Zdecydowałyśmy się zuchwale i ryzykancko, w przekonaniu, że wola boska, albo zdamy, albo nie zdamy i te cztery dni już nas nie uratują. Była to wycieczka na Mazury i wtedy właśnie prowadziłam statek pasażerski, o czym pozwoliłam sobie wspomnieć w Coim zdaniu nieboszczyka. Zawsze pchałam się do rozmaitych czynów nietypowych, rzeczywiście w pierwszej chwili szło mi to slalomem, stojący obok kapitan i sternik płakali ze śmiechu, kiedy zaś uzyskałam wreszcie linię prostą i otarłam pot z czoła, dopłynęliśmy do kanału i ster, ku mojej rozpaczy i żalowi, został mi odebrany. Upiorna matura wreszcie nadeszła i wszelka beztraska minęła nam jak ręką odjął. W tym samym domu i na tym samym piętrze mieszkała koleżanka z mojej klasy, etatowa pierwsza uczennica, a przy tym, co tu ukrywać, kujon. U mnie uczyły się jedne trzy sztuki, u niej inne cztery. W przeddzień egzaminów wpadła do nas jedna z tamtych i zadała przerażające pytanie:

- Co wiecie o Henryku Brodatym?!

Jezus Mario. Henryk Brodaty...! Jak oszalałe rzuciłyśmy się do książek i notatek, Henryk Brodaty jakoś umknął z naszej pamięci, dlaczego .tamte kretynki czepiają się akurat Henryka Brodatego...?! Uświadomiłam sobie nagle, że synowie. Bolesława Krzywoustego, jako też jego wnuki i prawnuki, stanowią dla mnie czarną masę, myślą mi się gruntownie, nie jestem w stanie tego kłębowiska rozwikłać i jeden Konrad Mazowiecki wystaje z niego przez cholernych Krzyżaków. Boże jedyny, a może to był kardynał Hozjusz...? Nie, kardynał Hozjusz sprowadził jezuitów... Te Laskonogie i Płatonogie, te Leszki Białe, Czarne i Kędzierzawe... zaraz, nie tak. Kędzierzawy był Bolesław... Żeby ona pękła, ta Salomea, wszystko przez nią...!!!

Poddałyśmy się. Zapadło postanowienie, że nie zdamy matury. Porzuciłyśmy naukę i poszłyśmy na lody.

Wszystkimi egzaminami denerwowałam się zawsze do obłąkaństwa, a od matury już na tydzień wcześniej robiło mi się niedobrze. Dłużej tego stanu znosić nie mogłam, poszłam na pierwszy ogień.

Weszłyśmy do sali egzaminacyjnej we dwie, niejaka Maryna Kawczyńska i ja. Maryna była duża, łagodna, bardzo ładna, podobna do kota, wdzięczna i doskonale wychowana. Powiedziała „dzień dobry” takim głosem, że szyby w oknach zadrżały. Wątpliwe jest, czy odezwałam się bodaj szeptem, bo czułam się chyba gorzej niż na tych kartoflach w piwnicy w czasie bombardowania. Usiłowałam na poczekaniu rozstrzygnąć, co mam zrobić, rozplakać się, ujawnić mdłości, czy uciec. Nie zdążyłam podjąć decyzji, bo wskazano mi pierwszy temat.

Istniał już w owym czasie zachwycający przedmiot, noszący skrótową nazwę „Zagadnienia”, a była to tak zwana Nauka o Polsce i Świecie Współczesnym. Głównym tematem upiornego przedmiotu była przerażająca ilość życiorysów Róży Luksemburg, Marcelego Nowotki, Lenina, Dzierżyńskiego, różnych Finderów, Hibnerów, i diabli wiedzą, czyich jeszcze. Z owych życiorysów nie pamiętałam i nigdy nie umiałam ani jednego. Do tego dochodziły historie rozmaitych partii, ruchy wyzwolenicze klasy robotniczej oraz całe propagandowe szaleństwo. Mój umysł tego nie przyjął, stawiał opór tak zdecydowany, że nawet nie próbowałam go przełamywać. Z siedemdziesięciu dwóch tematów umiałam dwa, które z jakichś przyczyn, w moim przekonaniu, miały nieco sensu, dotyczyły chyba ekonomii politycznej.

Przedmiotu udzielał nauczyciel, jedyny mężczyzna w żeńskiej szkole, doskonale zorientowany w poziomie naszej wiedzy. Nie zamierzał mnie pograć, kartki z tematami przygotował wcześniej, jak to się stało, dokładnie już nie pamiętam, bo cały czas byłam ogłuszona, w każdym razie jeden z tych moich tematów wypisał na kartce w kratkę. Pozostałe były gładkie. Popatrzył na mnie i wetknął kartkę w stos. Rzecz oczywista, cholerne „Zagadnienia” były pierwszym przedmiotem maturalnym. Przed kupą papierków siedziała dyrektorka. Wróciła mi nagle część przytomności umysłu, wypatrzyłam kartkę w kratkę, wyciągnęłam ją. Nie zdążyłam rozchylić, kiedy ta straszna zołza powiedziała suchym głosem:

- Wiesz, moja droga, wolałabym, żebyś wyciągnęła inny temat.

W tym momencie zrobiło mi się wszystko jedno. Oddałam jej kartkę w kratkę i uświadomiłam sobie, że leży przede mną siedemdziesiąt jeden tematów, z których

umiem jeden. Słownie: jeden. W porządku, zatem nie zdam matury.

Beznadziejnie i z całkowitą obojętnością sięgnęłam po byle co innego, bo nie umiałam tej reszty jednakowo, więc co za różnica, na czym się wyłożę. Rozchyliłam, spojrzałam i nie uwierzyłam własnym oczom. Był to ten drugi temat, doskonale mi znany, jak już bowiem zauważyłam, razem umiałam dwa.

Niewiarygodne, ale prawdziwe. Niewątpliwie nastąpił cud. Wstrząsnęło mną, skrzydła mi wyrosły u ramion, cała matura przeistoczyła się nagle w rozrywkę. „Zagadnienia” odwaliałam śpiewająco ku wyraźnemu zdumieniu dyrektorki, następny był polski, pisemną pracę miałam już za sobą, wiedziałam, że wyszła dobrze, czułam się pewnie. Cud jednakże zdarza się raz, a ten z „Zagadnieniami” był tak potężny, że musiała powrócić jakaś równowaga, na tym polskim trafił mi się upadek literatury w osiemnastym wieku. Akurat o tym nie miałam pojęcia, nie lubiłam okresu, nie miałam serca do upadków, prezentowało mi się wszystko z tych czasów jako zbita czarna zmasa, w której świeciło jedno nazwisko: Drużbacka. Kto to był, ta Drużbacka? Pewno coś pisała. Powinnam się była załamać, ale już byłam w rozpędzie, bez chwili namysłu przejechałam się przez stulecie wcześniej i stulecie później, właściwy okres omijając starannie. Drużbacką chyba wymieniłam. Nauczycielka polskiego słuchała w milczeniu i kiwała głową, później zaś uczyniła mi wyznanie:

- Moja droga, głupstwa okropne plotłaś i całkiem nie na temat, ale mówiłaś tak pewnie, że oni się nie zorientowali, więc już ci nie chciałam przerywać...

„Oni” to była komisja z zewnątrz. A pewnie, skąd mieli wiedzieć cokolwiek o tym upadku w osiemnastym wieku, skoro pilnowali głównie czystości ideologicznej. W dodatku mieli dwie uczennice równocześnie i uwagę nieco rozproszoną. Nauczycielka francuskiego zdążyła do mnie syknąć: „Co mówisz, idiotko!”, oczywiście po francusku, więc może tego w ogóle nie zrozumieli. Opamiętałam się i w końcu jednak tę maturę zdałam, nawet na całkiem niezły ogólny stopień, pięć minus albo cztery i trzy czwarte, nie pamiętam, a własnej matury na oczy nie widziałam od czasu, kiedy na zawsze została w dziekanacie. Liceum było humanistyczne i taka na przykład fizyka ominęła mnie bezpiecznie.

Mam wrażenie, że zdałyśmy wszystkie, chociaż głowy za to nie dam. Sposoby zdawania bywały rozmaite, rok wcześniej jedna, na przykład, zemdląca, dzięki czemu komisja w panice zaliczyła jej wszystkie przedmioty bez zadawania głupich pytań. Zemdlona oprzytomniała, poszła na stomatologię i była najlepszą dentystką, jaką znałam, jej plomby trzymały się w zębach przeszło dwadzieścia lat, a rękę miała tak

lekką, że prawie nie czuło się borowania. Wyjechała na zawsze do Szwajcarii, szkoda. Odznaczyła się jeszcze w ten sposób, że ślub brała u wizytek w zielonej krynolinie.

Na studia dostałam się dziwnie. Stosunek do ustroju miałam w owym czasie mieszany. Z jednej strony opierający się na wspólnocie komunizm budził we mnie dreszcz wstrętu, z drugiej jednak oświata dla mas, likwidacja analfabetyzmu, elektryfikacja kraju, bezpłatna opieka lekarska dla wsi i w ogóle ludzi ubogich, możliwości życiowe najbiedniejszych spotykały się z moją pełną aprobatą. Policyjność odstręczała, chamstwo jeszcze bardziej. Głupiego gadania i propagandy nie trawiłam, ale rozmiary łgarstwa, na którym to wszystko było oparte, uświadomiłam sobie dopiero znacznie później. Dla kariery zeszmaciłam się raz, mianowicie zapisałam się do ZMP. Potrzebne mi było to ZMP jak dziura w moście i szczęśliwie mnie z niego później wyrzucono, ale z wszelkich rozważań, przykładów i licznych informacji wynikało, że bez dodatkowego argumentu na studia się nie dostanę. Pochodzenie miałam niewłaściwe, a protekcji żadnej, pozostawały stopnie w szkole i ewentualnie organizacja młodzieżowa. Omówiliśmy kwestię w klasie, rozgrzeszyliśmy się wzajemnie i zapisały się prawie wszystkie, które chciały iść dalej.

Potem był egzamin. Na egzaminie, oprócz rysunku odręcznego i czegoś tam jeszcze, należało napisać pracę na temat związany z kierunkiem studiów. Temat brzmiał: „Mechanizacja pracy jako czynnik podniesienia stopy życiowej”.

W odpowiedzi na ten temat nie widziałam najmniejszych trudności. Na rozum i logikę wychodziło samo, sens tej mechanizacji wręcz strzelał ze wszystkiego, co działo się w dziewiętnastym wieku, dziewiętnasty wiek znałam lepiej niż dwudziesty. Zdążyłam przeczytać wszystkich klasyków angielskich, francuskich i polskich, zdążyłam zauważyć, co się dzieje w moim własnym kraju, pamięć działała bez zahamowań, usiadłam w audytorium i napisałam, co myślę.

Następnie zaś wyszło na jaw, że jednak w obliczu całej młodzieży wiejskiej i robotniczej nie zostałabym przyjęta, gdybym nie wyróżniła się tak przeraźliwie.

Na dwieście pięćdziesiąt pięć sztuk zdających, dwieście pięćdziesiąt cztery osoby opisały z detalami cały plan sześcioletni i tylko w jednej pracy o planie sześcioletnim nie było ani słowa. W mojej. Nie napomknęłam o nim nawet z szalenie prostego powodu, mianowicie nie miałam o nim najmniejszego pojęcia i w ogóle nie wiedziałam, że coś takiego istnieje.

Oryginalność, jaką tym prostym sposobem wykazałam, spowodowała, że zostałam dopisana atramentem na samym dole napisanej na maszynie listy przyjętych. Możliwe, że w obliczu tak niezwyklej cechy, jak lekceważenie planu sześciolatniego, mogłam sobie darować to całe ZMP.

Ostatnie kawałtko wakacji, zaraz po maturze, spędziłyśmy obie z Janka nad jeziorem Augustowskim. Przyjechali tam do nas jej brat i mój narzeczony i omal nie potopiliśmy się wszyscy, wypłynawszy kajakami w potworną pogodę. Fala przelewała się przez dziób, mowy nie było o ustawieniu się do niej bokiem, żeby zawrócić, musieliśmy przybić do lądu naprzeciwko, odwrócić jednostki pływające tyłem do przodu i dopiero ruszyć z powrotem.

Tę resztę wakacji miałam nieco zatrutą, ponieważ byłam w ciąży, czego wcale nie zamierzam ukrywać. Nic gorszego niż ukrywanie! Była taka jedna, nie powiem kto, która brała ślub w wielkiej tajemnicy w dwa tygodnie po porodzie, potem się gadało z naciskiem, że wzięła ten ślub pół roku temu, a dziecko urodziło się sześciomiesięczne, wszyscy zainteresowani łgali i kręcili, i całe miasto plotkowało z nastawionymi uszami. Ja się ujawniłam beztrąsko od początku i pies z kulawą nogą się tym nie zainteresował, nikogo nie obchodziło, w jakim stanie szłam do ołtarza. Tajemnica budzi emocje tylko tak długo.

jak długo jest tajemnicą, potem już każdemu, za przeproszeniem, wisi.

W każdym razie natura, połączona z wonią bigosu z wczasowej stołówki, spowodowała, że zmarnowałam kompletnie pierwsze poziomki, co ogromnym rozgoryczeniem napełniło Jankę.

- Widzisz, ty świnió - powiedziała do mnie z ciężkim wyrzutem. - Jakbym ja zjadła, to by przynajmniej był jakiś pożytek, a jak ty, to co...?

Za te poziomki zapewne odegrała się na mnie później przy pomocy kaszki manny na mleku. Co z nią przeżyłam, to moje, ale na razie, nie będę się nad tym rozwodzić.

Zaraz potem wyszłam za mąż i obawiam się, że w tym momencie moje dzieciństwo skończyło się definitywnie...

Wiadomość z ostatniej chwili:

Uparcie usiłując trzymać się prawdomówności, komunikuję, iż dotarło do mnie właśnie, i rzeczywiście w ostatniej chwili, że ciotkostwo hrabiny Ledóchowskiej było wymysłem Lucyny. De facto moja prababcia piastowała stanowisko

hrabiowskiej garderobianej. Zarazem pozostaje w mocy informacja, jakoby trzy siostry poszły za Szpitalewskiego, Chmielewskiego i Ledóchowskiego. Nic z tego nie rozumiem i na wszelki wypadek za wszystko razem nie biorę na siebie żadnej odpowiedzialności.